MOC CZYTANIA NA BOŻE NARODZENIE

TYGODNIK POWSZECHNY

Kraków 22-29 grudnia 2019 nr 51-52 (3676-3677)
cena 12 zł (w tym 8% VAT)
Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

Boże Narodzenie

2019

'89 2019 GDAŃSK

1980

1970

Puste nakrycie przy świątecznym stole
zostawiamy dla bohaterów
wielkich przyszłorocznych rocznic –
tragicznych wydarzeń Grudnia ’70
i zwycięskiego strajku w Sierpniu ’80.
A także dla Was,
Darczyńcy z całej Polski i świata,
dzięki którym przez cały rok
mogliśmy opowiadać o pokojowej
rewolucji Solidarności
i dyskutować o wyzwaniach współczesności.
Niech świąteczny czas
przyniesie pokój między nami
i solidarność, bo ona oznacza,
że chcemy być razem.

Basil Kerski
dyrektor Europejskiego Centrum Solidarności
wraz z zespołem

ECS europejskie centrum solidarności

REKLAMA

PRZEŻYJ ŚWIĘTA Z KS. ADAMEM BONIECKIM

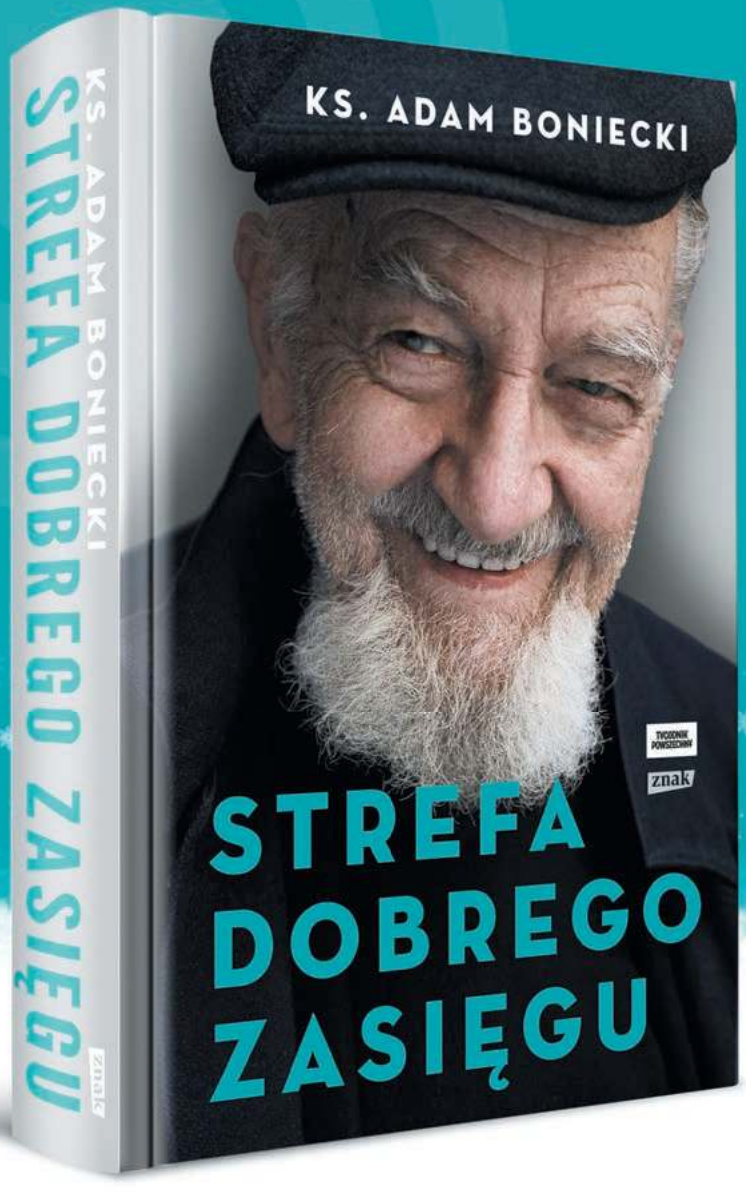

JUŻ W SPRZEDAŻY

Kod rabatowy: StrefaTP w księgarni **www.znak.com.pl**

znak

TYGODNIK POWSZECHNY

KS. ADAM

Boniecki: *Biskup w eremie*

Miejsce akcji: Kraków, Bielany, Srebrna Góra, od ponad 400 lat erem kamedułów. Trzeba wjechać do Lasu Wolskiego, potem kiepską drogą w górę obok winnicy, aż się pokaże mur, w prawo, wzdłuż muru, i w lewo, pod górę żwirówką (żwir wali w karoserię), jakby korytarzem między murami na placyk przed klasztorną bramę. Wieże kościoła i kawałek dachu są doskonale widoczne z daleka, stąd widać tylko ślepą ścianę i bramę. Szarpnięcie za sznur dzwonka i z okienka w bramie głos pytający (głos słychać, osoby nie widać), kto przychodzi i po co. Jestem umówiony, wystarczy nazwisko. Wtedy się zjawia brodaty zakonnik w białym habicie. Otwiera bramę. Wjeżdżam na porośnięty trawą przestronny plac przed zamkniętym na głucho kościołem. Na prawo szeroki widok na całą okolicę u stóp góry i Wisłę. Zakonnik zamyka bramę i prowadzi mnie przez kolejną bramę, sklepioną sień, chodniczek do budynku dla gości. Tu, w narożnej celi, mam spędzić tydzień rekolekcji.

Rekolekcje w kamedulskim eremie to jak wyjście na pustynię. Piękna architektura, osiedle kilkunastu pustelniczych domków. Przy wejściu do tej części eremu napis: „Wstęp wzbroniony" – tam nie wolno wchodzić, ale napatrzeć można się do woli. Pustelnia?... W tej uroczej i zamkniętej przestrzeni, poza którą przez tydzień nie wyjdę, poczuję się po kilku dniach jakby zamknięty. Oglądana na okrągło piękna architektura tych kilku zabudowań, choć pozostanie piękna, przestanie urzekać. Widok z okna celi, daleki, z niebem i rzeką, drogą, samochodami oraz malutkimi jak żuczki ludzikami, każdego dnia taki sam, zapisze się w pamięci oczu tak silnie, że będę mógł go oglądać bez podchodzenia do okna. Wystarczy, że zamknę oczy.

To jest jak wyjście na pustynię. Milczenie. Na rekolekcjach u kamedułów rozmawiać można – jeśli się potrafi – tylko z Bogiem. Można czytać. Książka, która miała być przewodnikiem w rekolekcjach, leży nietknięta. Odkryłem, że nie przyjechałem, żeby coś tu przeczytać. Rekolekcje na Bielanach nie są po to. Poczytam w domu. Nic się nie dzieje – tak ma być. Telewizja, radio, internet, gazety i wszystkie urządzenia służące (nie wyłącznie przecież) do spędzania czasu, zabijania czasu, marnowania czasu tu nie istnieją. Cisza. Jedyna głośna rozmowa to bardzo wolne, wspólne z mnichami czytanie psalmów i innych brewiarzowych modlitw, zawsze w tych samych godzinach: w ciemnościach przed świtem, rano, kilka razy w ciągu dnia i wieczorem. W pustym kościele.

Brewiarz odmawiamy (my to jest kilku rekolektantów) wspólnie z mnichami. Nie widzimy ich, tylko słyszymy. Są w chórze za ołtarzem. I jeszcze koncelebrowana msza święta. W zakrystii, w zupełnym milczeniu, wkładamy liturgiczne szaty. Koncelebransi ubierają się sami. Brat zakrystian pomaga dwóm osobom (raczej oznaka rewerencji niż potrzeba pomocy): przeorowi i biskupowi. Liturgia. Znów bardzo powolna recytacja tekstów. Żadnych wstępów do liturgii, homilii ani kazań. Mszy przewodniczy przeor. Biskup jest jednym z koncelebrujących i tylko błogosławieństwa na zakończenie udziela nie przeor-główny celebrans, ale biskup. Błogosławieństwa biskupiego, w trzyczęściowej formule pontyfikalnej. Poza skromnym pierścieniem biskup nie ma żadnych biskupich ozdób, fioletów, piuski, mitry. Nic z tych rzeczy.

Posiłki też jemy w samotności. Trzy razy w ciągu dnia pukanie do drzwi celi. Mnich podaje kilka kromek chleba, tro-

TP

W kolejnym, noworocznym numerze „Tygodnika Powszechnego"
– same czytelnicze fajerwerki!

Justyna BARGIELSKA, Łukasz LAMŻA, Wojciech JAGIELSKI, Marcin NAPIÓRKOWSKI, Anna GOC, Jarosław FLIS, Dariusz KOSIŃSKI, Gaston DORENN, Vamık D. VOLKAN, Israel KNOHL

O świetlanej przyszłości ▪ Kto nie zostanie prezydentem ▪ Ryjówka, nasze zwierzę roku ▪ Elegia na pożegnanie Anglii
Dobry czas dla Mesjasza ▪ Bądź jak prepers, gotowy na wszystko ▪ Machiavelli oceanów, czyli 500 lat po Magellanie
Trzej Królowie, nasze radosne misterium ▪ Rozwiązywanie języków ▪ Wojny do psychoanalizy ▪ Obraz roku 2019

Obszerne, pięknie ilustrowane wydanie noworoczne „Tygodnika Powszechnego" w sprzedaży w kioskach i salonach prasowych już we wtorek 31 grudnia. A w e-wydaniach, w wydaniu na Kindle i w aplikacji – już dzień wcześniej wieczorem.

Weź, czytaj!

chę masła, dżemu albo sera – to śniadanie. Na obiad menażki z zupą i drugim daniem, wieczorem porcja chleba, masło, dżem. Kawę (rozpuszczalną) lub herbatę przygotowuję sam. Mam elektryczny czajnik w ściennej szafce i talerze, sztućce, kubek, słoiczek z kawą, torebki herbaty, cukiernica. Nigdy nie byłem głodny, ale też rozkoszy podniebienia nie zaznałem. Może z motywów ascetycznych na kucharza wyznacza się takiego mnicha, który nie jest obdarzony talentem kulinarnym. Umeblowanie celi: biurko, fotelik, łóżko, szafka i stoliczek, przy którym się jada. Pod ścianą wielki klęcznik. Samotność i cisza. Pustynia zmusza do wchodzenia w siebie. Tam właśnie ożywają myśli, sprawy, do których teraz można i trzeba powrócić. Te także, na których przemyślenie nie było czasu ani chęci.

Wiem, jak wygląda porządek dnia kameduły, bo odprawiający tu rekolekcje musi się zobowiązać, że będzie przestrzegać programu dnia eremu. To jest obowiązek, wolnej decyzji każdego pozostawiono zgłoszenie się (lub niezgłoszenie) do fizycznej pracy w ogrodzie, w winnicy, w warsztacie, przy sprzątaniu czy gdzie będzie trzeba. Widziałem pracujących mnichów. Zwykle pracują w pojedynkę, bez habitów, w roboczych ubraniach. Jednak zawsze wkładają habity, udając się do kościoła na modlitwy.

Podobnie wygląda dzień biskupa, przez sześć miesięcy pustelnika. Przed wyruszeniem do eremu wyznał, że od wielu lat o tym myślał. „Duchowość pustyni była mi zawsze bardzo bliska i szukałem okazji, aby to moje pragnienie zrealizować" – powiedział do przedstawicieli duchowieństwa i wiernych świeckich z diecezji płockiej. 21 styczna 2018 r. przyjęty na prywatnej audiencji poprosił papieża o udzielenie zgody na skorzystanie z tzw. roku sabatycznego, do którego każdy ksiądz ma prawo. Papież Franciszek prośbę zaakceptował. Na złożonym mu piśmie napisał: „*Concedo*" (udzielam). Biskup jeszcze wyjaśniał: „W kontekście tego, co się dzieje, siłą rzeczy mój pobyt nabiera w jakimś sensie charakteru pokutnego. To nie jest żadna ucieczka, a jeśli już, to ucieczka do Boga, nie przed czymś, ale do Kogoś, do Boga. Chcę być na tej pustyni duchowej z Panem Bogiem".

Decyzja biskupa była czymś zdumiewającym. Nawet zwykle wyrozumiały dla błądzących Szymon Hołownia napisał ironicznie na Facebooku: „Owce w środku burzy, a pasterz od zawsze przecież pragnął duchowego SPA, no i teraz mu się złożyły terminy". Dla wielu komentatorów decyzja biskupa była wręcz oburzająca. Czy słusznie? Że była zaskakująca, to rozumiem. Nasi biskupi z roku sabatycznego nigdy nie korzystali, a sytuacja Kościoła w Polsce (pewnie i w diecezji płockiej), kiedy biskup Piotr Libera na pół roku się zamykał w eremie, była trudna.

Decyzja księdza biskupa zaimponowała mi. Z tego, co wiem, nie jest on jakimś „odklejonym mistykiem". Podejmował ważne inicjatywy, by rozwiązać problemy księży pedofilów, kiedy inni jeszcze nie wiedzieli, jak się do tego zabrać. Nie wyjechał na wczasy ani na prestiżowe kursy dla biskupów, lecz przez sześć miesięcy wiódł twarde pod każdym względem życie pustelnika, na co, jak sądzę, mało który z biskupów by się zdobył. A szkoda...

Biskup Libera wraca w tych dniach do diecezji. Nie była pozostawiona bez pasterza. Zarządzał nią, jako administrator apostolski na czas nieobecności biskupa, warszawski metropolita kard. Kazimierz Nycz. Na miejscu był biskup pomocniczy, wikariusz generalny bp Mirosław Milewski.

Piszę o tym na Boże Narodzenie, bo biskup w eremie wydał mi się postacią bardzo betlejemską. ©℗

GM / EA

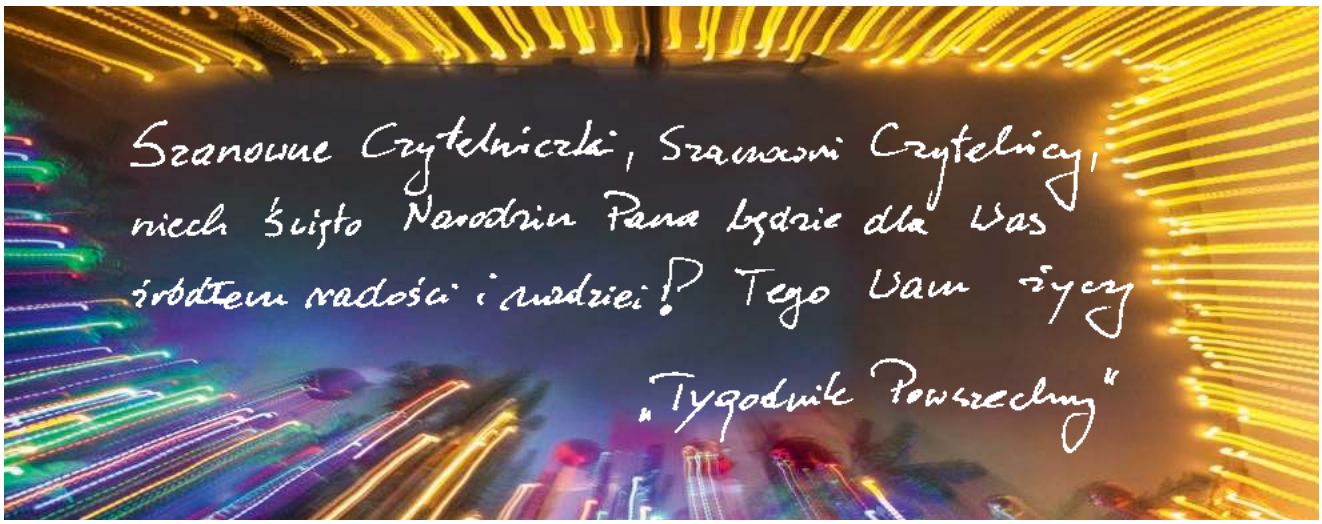

BOŻE NARODZENIE 2019

16 Mięso sensu
PIOTR SIKORA
Boże Narodzenie to święto obecności Boga w ciele. W naszym ciele. W naszych ciałach.

Celebrujemy Boga wcielonego w każdą dobrą międzyludzką relację, w takie fragmenty materii jak umyte okna, w prezenty, w kawałki sernika na stole.

19 Apokalipsa Narodzin
ROZMOWA Z OJCEM SZYMONEM HIŻYCKIM, BENEDYKTYNEM:
Trauma Bożego Narodzenia w ich życiu jest wielka. A jednak wychodzą naprzeciwko tej tajemnicy z wiarą. I dlatego dostają Boga Wcielonego.

23 Msza koguta
MIROSŁAW WLEKŁY
Zdaniem jednego z najmłodszych brazylijskich biskupów, dom Zenildo, amazońskie Boże Narodzenie można opisać trzema słowami: radość, religijność, prostota.

26 Ludzie na moście
KRZYSZTOF STORY
Niektórzy górale na czas Adwentu zdejmowali ze skrzypiec struny. Żeby nie kusiło – mówi Krzysztof Trebunia-Tutka.

30 Karp przed Trybunałem
ŁUKASZ MODELSKI
4 grudnia 1793 roku rewolucyjna Francja skazała na śmierć wszystkie ryby pływające w stawach Republiki.

OPOWIEŚCI WIGILIJNE

54 PAWEŁ SOŁTYS
Czy przewija się wtedy ten film z życia, jak na filmach właśnie pokazują? I ile klatek w takim filmie zajmuje frajer od jednej Wigilii, od jednej młodości, od jednego razu.

56 MAREK BIEŃCZYK
Kloszardzi, żebracy, mieszkańcy otchłani wystawiają na pokaz nasze istnienie, każą się pytać, kim jesteśmy.

Z KOLEKCJI PRADO / EAST NEWS // POLONA / BN // BRUNO KELLY / REUTERS / FORUMS / FORUM // KRZYSZTOF STORY // BIBLIOTHÈQUE NATIONALE DE FRANCE / GALLICA.BNF.FR // BANKSY.CO.UK // ZUZANNA SYNORADZKA-WRÓBEL

8 Zielony Ład i szara strefa PAWEŁ BRAVO

9-15 Wiadomości / Komentarze

34-35 Czytania / Widzenia ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

36 Pobożne życzenia PIOTR STANKIEWICZ: *Najpiękniejszy prezent od losu dla Polaków – co to?*

40 Co kotek ma w środku DOROTA KOZIŃSKA: *W sporze o żeńskie końcówki chciałabym zająć stanowisko odrębne*

43 Strzeż się przynoszących dary! MARCIN NAPIÓRKOWSKI

REPORTAŻ

48 W imię ojca MARCIN CHODUŃ: *Georg Mitschke wraca na Górę św. Anny od ponad 20 lat*

ŚWIAT

62 Z powrotem MARCIN ŻYŁA, GRAŻYNA MAKARA Z JORDANII: *Tych, przed którymi uciekali, muszą prosić o zgodę na wejście do własnego domu*

67 Głód ma twarz Jaganki DAMIAN NOWICKI Z ZIEMI OGNISTEJ: *Cristina jest ostatnią Indianką z plemienia Jagan*

71 Gdy turysta jest bogiem ULA IDZIKOWSKA Z NEPALU: *Rząd ma nadzieję, że turystyka rozwiąże problemy kraju*

OPINIE

76 Natura nie jest tania ROZMOWA Z JASONEM W. MOORE'EM

WIELKIE PYTANIA NA NOWO

Co jeśli Bóg istnieje?
Co jeśli nie istnieje?
Jaki obraz JHWH wyłania się z Biblii?
Czy dyskusję ateistów z teistami można rozstrzygnąć przy pomocy nauki?
Jakie problemy z Bogiem i wyobrażaniem go sobie mają dzieci i teolodzy?
Odpowiedzi na te pytania w naszym dodatku specjalnym.

FELIETONY

47 ANNA DZIEWIT-MELLER
93 WOJCIECH BONOWICZ
114 JAN KLATA **115** PAWEŁ BRAVO
122 STANISŁAW MANCEWICZ
122 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: Antonio Aquili, zwany Antoniazzo Romano (1461–1508), Madonna z Dzieciątkiem
LEEMAGE / GETTY IMAGES

Redaktor prowadzący: PIOTR MUCHARSKI

HISTORIA

80 Szwedka, która śniła po polsku WALDEMAR ŁAZUGA: *Alicja Ankarcrona-Badeni-Habsburg-Altenburg to wiek XX w miniaturze*

Z ODDECHEM

88 Niegdysiejsze śniegi MAGDALENA ŁANUSZKA: *W sztuce też widać ślady zmian klimatycznych*

KULTURA

96 Bóg w brzuchu ROZMOWA Z ALEKSANDRĄ KONIECZNĄ, AKTORKĄ: *Kutia babci Róży, słodka i kwaskowata. Mam w ustach ten smak „na pstryk"*

100 Próba dzwonów JACEK PODSIADŁO

102 Żelazny kapitał ducha ELIZA KĄCKA: *Teksty Brunona Schulza to najlepsza proza, jaką napisano po polsku*

106 Idź i patrz DARIUSZ KOSIŃSKI: *Caravaggio i Bernini spotkali się na jednej wystawie w Wiedniu. Zaiskrzyło!*

110 Pszczoły i ludzie ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Kraina miodu" Tamary Kotewskiej*

114 Kategoria „S" LEKTOR *o listach Wisławy Szymborskiej i Joanny Kulmowej „Tak wygląda prawdziwa poetka, podciągnij się!"*

ZMYSŁY

116 Szalony biały człowiek BARTEK DOBROCH: *Gdyby wspinanie było tylko zginaniem ręki w łokciu, tobym się nie wspinał – mówi Marek Raganowicz*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Jestem Mata, ksywkę wymyślił mi papa
Dlaczego wokół kawałka „Patointeligencja" tyle szumu? – **MONIKA OCHĘDOWSKA** *pisze o tym, że Michał Matczak nie nawija pod blokiem, ale na dziedzińcu renomowanego liceum. I, o ironio, naiwnie przy tym fantazjuje o byciu z getta* **powszech.net/mata**

Opowieść wigilijna Pawła Sołtysa
Już 24 grudnia wyjątkowy, świąteczny odcinek Podkastu Powszechnego – *a w nim opowieść wigilijna czytana przez autora. Weź, słuchaj!*
powszech.net/opowiesc-soltys

T.P

W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA"

dodatek przygotowany we współpracy z Fundacją Dorastaj z Nami

Wybuch miny w Iraku, roztrzaskany radiowóz, zawalona ściana płonącego budynku... W mediach to „wypadek na służbie". Ale dla osób pomagających dzieciom, które straciły rodzica – początek długiej pracy. Zapraszamy do lektury opowieści o empatii, nadziei i wsparciu, jakie daje wiara w dobrą przyszłość.
Więcej o festiwalu i jego bohaterach w następnym wydaniu „Tygodnika Powszechnego".

Fundacja Dorastaj z Nami

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

OBRAZ TYGODNIA

RADEK PIETRUSZKA / PAP

ZIELONY ŁAD I SZARA STREFA

Premier Morawiecki zakładał, że grożąc wetem uzyska lepszą pozycję podczas targów nad budżetem UE. Wypisując się na starcie z ekologicznych zobowiązań ryzykuje jednak coś więcej.

PAWEŁ BRAVO

Premier Mateusz Morawiecki na szczycie Unii Europejskiej, Bruksela, 13 grudnia 2019 r.

Dyskusje nad strategicznymi decyzjami w sprawie ograniczenia skali zmian klimatycznych oznaczają wieloletnie wysiłki na rzecz przestawienia gospodarek i rozlicznych aspektów codzienności setek milionów ludzi. Krzyżujące się interesy generują chaos sprzecznych opinii i interpretacji. Z fizyką i nauką o klimacie się nie dyskutuje, ale makroekonomia, globalne finanse, strategie rozwojowe, zmiany obyczaju i wzorców konsumpcji to obszary, gdzie nikt nie może sobie rościć prawa do ostatecznej racji. Co jest ambitne i dalekowzroczne, a co jest szkodliwą utopią? Jak sprawiedliwie wyważyć obciążenia? Jaką wspólną miarę przyjąć dla krajów w tak różnej sytuacji jak np. Niemcy i Bułgaria?

Ostatnie dni przyniosły kilka niejednoznacznych sygnałów w tych sprawach: Komisja Europejska na początek urzędowania wyłożyła na stół założenia Nowego Zielonego Ładu. Wśród najważniejszych celów jest – ambitniejsze niż dotąd zakładano – zredukowanie emisji CO_2 do 2030 r. (50–55 proc. zamiast 40), a także tzw. pełna neutralność klimatyczna do 2050 r. Kilka dni potem kwestia tego ostatniego zobowiązania stanęła na szczycie przywódców państw unijnych i spotkała się ze sprzeciwem Polski, który sprytnie ominięto, przyjmując jednomyślne zobowią-

zanie dla całej Unii z zastrzeżeniem, że jeden kraj nie jest na to gotowy. Co wcale zresztą nie oznacza, że Polska załatwiła sobie zwolnienie z np. wymogów redukcji emisji do 2030 r., które wkrótce Komisja zacznie wdrażać w ramach wspomnianego ładu.

Ten zielony pośpiech można wyjaśnić m.in. potrzebą wizerunkowego sukcesu nowej unijnej egzekutywy. Chodziło o to, by UE mogła zaznaczyć swoją czołową rolę podczas trwającego równolegle w Madrycie szczytu COP 25 poświęconego implementacji porozumień paryskich. Który to szczyt nie przyniósł rezultatów. Nie udało się m.in. doprecyzować zasad globalnego systemu handlu emisjami.

Trudno dociec, jak potoczą się dalej rozmowy i działania w skali globu. W skali europejskiej jest jasne, że rozwiązania Zielonego Ładu nabiorą wkrótce ciała. Premier Morawiecki zakładał, że grożąc wetem uzyska lepszą pozycję, by w ramach prac nad budżetem wytargować korzystniejsze zasady wsparcia finansowego dla – niewątpliwie kosztownej – transformacji polskiej energetyki i gospodarki. To prawda: bez wielkich pieniędzy z Unii Polsce nic się nie uda – chociaż na razie nasz rząd nie przedstawił przygotowywanej w bólach od paru lat strategii energetycznej z konkretnymi wyliczeniami. Ale wypisując się na starcie z tak istotnego zobowiązania, ryzykujemy, że stracimy w ogóle wpływ na to, jak te hipotetyczne fundusze zostaną ustalone i podzielone. Jedyna nadzieja Morawieckiego (i wielu jego wyborców) w tym, że większość krajów unijnych tylko udaje determinację w dążeniu do neutralności klimatycznej. Greta Thunberg przy okazji madryckiego fiaska mówiła: „największym zagrożeniem nie jest bezczynność, lecz to, gdy politycy i prezesi pozorują realne działania, podczas gdy prawie nic się nie dzieje poza sztuczkami księgowymi i kreatywnym PR-em”.

W swoich pokerowych zagrywkach premier przegapił ważną rzecz: działania na rzecz klimatu są kolejnym ćwiczeniem z unifikacji. Być może równie głębokim, jak proces akcesji poszczególnych krajów do Unii, który też nieraz wydawał się niemożliwy z racji ogromu zmian ustrojowych, prawnych i mentalnych. W ubiegłym tygodniu, przy okazji szczytu Rady Europejskiej, Polska dała sygnał, że tak jak było ją stać na tamten wielki wysiłek z przełomu tysiącleci, tak teraz – przynajmniej na razie – uważa, że szkoda zachodu.

Szkoda nas na Zachodzie. ©℗

Ziobro na celowniku Banasia

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Proponując drakońską ustawę dyscyplinującą sędziów, PiS liczy na odwrócenie uwagi od afery Banasia. Ale nie znaczy to, że ustawa ta jest tylko politycznym wybiegiem. Gra jest znacznie poważniejsza.

Miny Zbigniewa Ziobry i jego współpracowników były nietęgie, gdy dowiedzieli się, że szef NIK złożył przeciwko nim aż 16 doniesień do prokuratury w sprawie nieprawidłowości przy programie zatrudniania więźniów. W czerwcu – jeszcze gdy prezesem NIK był związany z opozycją Krzysztof Kwiatkowski – wnioski z tej kontroli były powściągliwe. Konkluzja w otoczeniu Ziobry: to Marian Banaś wziął w swe ręce tę kontrolę i ją podrasował.

Uderzenie w Ziobrę nie jest przypadkowe. Po pierwsze, to Ziobro kieruje prokuraturą, która wszczęła śledztwo w sprawie Banasia. Po wtóre, w otoczeniu Ziobry jest masa ciekawych rzeczy do kontroli. Choćby fundusz pomocy ofiarom przestępstw, z którego kupiono program do masowej inwigilacji Pegasus, czy skuteczność pomocy międzynarodowej, którą nieść mieli ziobryści Beata Kempa i Michał Woś. Po trzecie wreszcie, Ziobro to nie PiS. A zatem Banaś może potraktować jego rządowe królestwo jak poligon, na którym demonstruje Kaczyńskiemu swe zdolności strzeleckie.

W tej sytuacji Ziobro dramatycznie potrzebował ucieczki do przodu. Dlatego wyciągnął ustawę wprowadzającą drakońskie kary dla sędziów, którzy kwestionują legalność przejętej przez PiS Krajowej Rady Sądownictwa oraz dwóch izb SN stworzonych przez obecną władzę. Sędziowie mieliby stracić też prawo do protestu, bo nie będą mogli „wyrażać wrogości wobec innych władz”. Najbardziej groteskowy jest jednak fragment, w którym Ziobro każe sędziom spowiadać się z aktywności w internecie, choć to przecież pod jego bokiem wyrosła farma hejterów opluwających krytycznych wobec PiS sędziów.

Nie ma wątpliwości, że taka ustawa przygotowywana była wcześniej, gdy sędziowie zaczęli podważać obsadzone przez PiS instytucje sądowe. Kluczowe było orzeczenie sędziów z Izby Pracy SN, którzy uznali Izbę Dyscyplinarną składającą się z ludzi Ziobry za nielegalną, a KRS – za podporządkowaną władzy.

Oczywiście PiS mógłby zlekceważyć tę i inne decyzje krytycznych wobec władzy sędziów. Jest jednak ryzyko – jeśli ten sprzeciw zacząłby się rozszerzać, to doszłoby do zakwestionowania legalności sędziów Sądu Najwyższego wybranych przez KRS od momentu dojścia przez PiS do władzy. A to uniemożliwiłoby PiS wybranie własnego pierwszego prezesa SN w miejsce kończącej w kwietniu kadencję Małgorzaty Gersdorf.

W tym wyborze decydującą rolę odgrywa prezydent. To wyjaśnia, czemu Andrzej Duda – choć niedawno wysyłał sygnały łagodzące wizerunek – znów włączył się do wojny ze środowiskiem sędziowskim. Jeśli Duda dostanie na biurko ustawę zwaną przez opozycję „kagańcową”, to złoży pod nią swój podpis, bo chce wybrać pierwszego prezesa zgodnie z wolą Kaczyńskiego. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

KLETA / BEW NEWS

W związku z oświatą

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Zaczęło się od grupy na Facebooku (dziś 40 tys. „lubiących"). Brali udział w wiosennym strajku i negocjacjach tzw. kwadratowego stołu, ale nie byli podmiotem w rozmowach z rządem. Teraz chcą być. Drugim krokiem było założenie fundacji. Trzecim: planowany na końcówkę lutego start nowego związku zawodowego – Ja, Nauczyciel'ka.

Po co nowy byt w kraju, w którym jeden związek (ZNP) skupia armię 200 tys. nauczycieli, a drugi (Solidarność) – 80 tys.? Mówią otwarcie: pierwszy okazał się nieskuteczny, zawieszając strajk, drugi zbytnio ceni sobie przyjaźń z władzą. Nie da się w ich zbiorowym portrecie uniknąć z lekka ageistowskiej nuty, bo też sami subtelnie nią grają: młodsi nauczyciele nie czują więzi z działającymi od dekad i zarządzanymi przez tych samych z grubsza działaczy centralami. Chcą skruszyć szkolną biurokrację, poprawić byt nauczycieli, uszczuplić absurdalnie rozdęte podstawy programowe. To akurat żadna nowość – tego samego chce ZNP. Ale już wysłanie do muzeum oświaty pamiętającej PRL Karty Nauczyciela i zastąpienie jej nowym dokumentem to pomysł świeży.

Wróżenie im sukcesu byłoby szaleństwem. Zwłaszcza że reformatorski walec przejechał już po szkołach i dawno zgasił silnik. A oświatowa władza ani myśli spełniać postulatów płacowych. Jedno nowemu związkowi paradoksalnie może sprzyjać. Tysiące nauczycieli, którzy wyszli z wiosennego strajku z poczuciem porzucenia: przez niespecjalnie ceniące sobie edukację społeczeństwo, przez skupione na innych sprawach partie (także opozycyjne), przez związki.

W skostniałej rzeczywistości polskiej oświaty nowy byt na pewno nikomu nie zaszkodzi. ©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

MARCIN ŻYŁA, autor korespondencji z Jordanii (s. 62), będzie gościem Pawła Sulika w „Popołudniu Radia Tok FM", w środę 18 grudnia, o godz. 18.00
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

KRAJ W SKRÓCIE

SĄD
Aktywista miejski Jan Śpiewak został skazany prawomocnym wyrokiem na 5 tys. zł grzywny i 10 tys. zł nawiązki na rzecz córki b. ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ćwiąkalskiego: sąd okręgowy w Warszawie uznał, że pomówił ją o nieprawidłowości w wykonywaniu funkcji kuratora jednej z reprywatyzowanych warszawskich kamienic, a w rezultacie naraził na utratę zaufania potrzebnego do wykonywania zawodu. Ze Śpiewakiem spotkał się Andrzej Duda, a aktywista zwrócił się do prezydenta z wnioskiem o ułaskawienie.

OSĄD
„Poziom zakłamania tego towarzystwa i jego hipokryzji mnie osłabia" – powiedział prezydent o polskich sędziach podczas spotkania z matką jednej z ofiar stanu wojennego. Kilka dni wcześniej mówił, że „tam [w wymiarze sprawiedliwości – red.] ten stary układ się bardzo dobrze trzyma, nie chce pozwolić sobie na to, by zabrać im przywileje i władzę nad ludźmi, do której doszli".

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

PRZESĄD
„Proszę państwa, ceny rosną. Tak, ceny rosną, ja sobie zdaję z tego sprawę. Ale państwo musicie mieć świadomość, że jak rosną wynagrodzenia, to niestety rosną też i ceny" – ogłosił Andrzej Duda podczas wizyty w Nowym Mieście Lubawskim.

DZWON
Kolizja z udziałem limuzyny wiozącej wicepremiera Gowina, po której niedoświadczonego kierowcę pojazdu ukarano mandatem i sześcioma punktami karnymi, była 54. zdarzeniem z udziałem samochodu SOP w ciągu ostatnich 14 miesięcy.

Sto lat rentowności

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

W NASZEJ POLITYCE GWIAZDKA trwa ostatnio przez cały rok, dlatego państwowy Mikołaj potrzebuje pieniędzy. Jeden z jego elfów, oddelegowany na stanowisko ministra finansów (na zdjęciu), zapowiedział właśnie, że rząd zachęci Polaków do zakupu obligacji państwowych z ok. 220 mld zł, które trzymają w domach w gotówce, ewentualnie także z 1,5 bln zł leżących bezproduktywnie w bankach. Oprócz papierów, które rząd będzie musiał wykupić już za trzy, pięć i dziesięć lat, na chętnych mają czekać także obligacje stuletnie.

Z punktu widzenia każdego rządu odwleczenie spłaty o cały wiek ma wyłącznie zalety. Budżetowi pożyczka od obywateli zapewni z kolei większą niezależność od rynków finansowych; podobnie kredytuje się od lat np. Japonia. Za to nabywcy, pozostając przy świątecznej metaforyce, mogą wyjść na renifery. Obligacje stuletnie nie są wprawdzie nowością (ostatnio wypuściła je m.in. Argentyna, Meksyk, Belgia i Irlandia), ale ich zakup zawsze stanowi rodzaj geopolitycznego zakładu z Bogiem, którego niebywale śmieszą długofalowe plany śmiertelników.

Zwłaszcza tych, którym przyszło zamieszkiwać dorzecze Wisły. ©℗ MR

Pacjent ze wskazaniem: starość

„Z PREMEDYTACJĄ POWODUJĄ np. odwodnienie" – mówi młody lekarz w filmie wyprodukowanym przez Okręgową Izbę Lekarską w Warszawie. OIL już po raz trzeci – tym razem wspólnie ze stołecznym magistratem – prowadzi akcję „Wspólne Święta" mającą zapobiec narastającemu zjawisku pozbywania się starszych osób z domu na czas świąt. Niemal każdy starszy człowiek ma jedną lub więcej chorób przewlekłych (cukrzycę, niewydolność nerek, chorobę wieńcową itd.), więc o pretekst nietrudno. Procedura jest podobna: wzywa się karetkę lub zamawia wizytę domową i zgłasza objawy, które mogą zostać zweryfikowane tylko na oddziale. A wcześniej np. zaniedbuje się odpowiednie dawkowanie leków.

Lekarze z warszawskiej OIL przypominają, że hospitalizacja może się skończyć np. zakażeniem wewnątrzszpitalnym. Apelują nie tylko o empatię wobec starszych, ale także o rozwiązania systemowe wspierające rodziny: potrzebna jest odpowiednia liczba domów dziennej opieki oraz tzw. ośrodków wytchnieniowych. ©℗ MACIEJ MÜLLER

LINDSEY PARNABY / WPA POOL / GETTY IMAGES

A więc brexit!

KONSERWATYŚCI BORISA JOHNSONA wygrali wybory parlamentarne w Wielkiej Brytanii: mają w Izbie Gmin komfortową większość (365 z 650 mandatów). Teraz jest już pewne, że Brytyjczycy opuszczą Unię Europejską.

„Zmieniliście przyszłość kraju na lepsze" – mówił Johnson podczas powyborczej wizyty w pięciotysięcznym miasteczku Sedgefield w północnej Anglii (na zdjęciu), które Partia Konserwatywna odbiła Partii Pracy po raz pierwszy od lat 30. XX w. Sedgefield nie było jedyne – labourzyści ponieśli historyczną porażkę, tracąc prawie 60 mandatów. Ich szczodre obietnice socjalne nie przekonały wyborców, gdyż torysi też wiele obiecywali.

Najważniejszą kwestią był jednak brexit. Do Brytyjczyków nie trafiła propozycja Partii Pracy renegocjowania umowy z Unią i kolejnego referendum. Nie przekonali ich też Liberalni Demokraci, którzy chcieli odwołać brexit (symboliczny wymiar ma fakt, że mandat utraciła nawet ich przewodnicząca Jo Swinson). Jest więc pewne, że brexit nastąpi zgodnie z planem 31 stycznia 2020 r. Wynegocjowaną przez Johnsona umowę rozwodową z Unią parlament miałby przegłosować jeszcze przed świętami. Premier może triumfować.

Jednak są też inni zwycięzcy tych wyborów – jak Nicola Sturgeon i jej Szkocka Partia Narodowa, domagająca się referendum dotyczącego niepodległości Szkocji. Z kolei w Irlandii Północnej po raz pierwszy tamtejsi republikanie zgromadzili więcej mandatów niż unioniści. Wprawdzie do zjednoczenia Zielonej Wyspy jeszcze daleko, ale wahadło powoli się przechyla.

„Nasz kraj rozpoczął wspaniałą przygodę" – mówił Johnson po wyborach, zapewniając, że jego rząd dokona „fantastycznych rzeczy". Ta przygoda może obfitować w niespodzianki. ©℗ PATRYCJA BUKALSKA

Francja: protest na święta

ROZEJMU NIE BĘDZIE: francuscy kolejarze grożą strajkami także w okresie Bożego Narodzenia. Są jedną z grup zawodowych, które stracą na reformie systemu emerytalnego. Do kontynuowania protestów, trwających od kilkunastu dni, wzywają też inne związki zawodowe. Po tym, jak w środę 11 grudnia premier Édouard Philippe ogłosił szczegóły reformy, demonstrowano w całym kraju: stały pociągi i paryskie metro, blokowano porty. Minister odpowiedzialna za transport Élisabeth Borne mówi, że strajki w czasie świąt, gdy więcej ludzi niż zwykle jest zdanych na komunikację publiczną, byłyby „nieodpowiedzialne".

Reforma ma uprościć system wyjątkowo skomplikowany i przyznający wiele przywilejów różnym grupom. Ponadto, choć wiek przejścia na emeryturę (62 lata) nie będzie podniesiony, to pełne świadczenia mają otrzymać ci, którzy będą pracować co najmniej do 64. roku życia. Rząd zapewnia, że policjanci, żołnierze, pielęgniarki czy nauczyciele nie stracą na reformie. Uderzy ona natomiast np. w pracowników metra i kolei państwowych – dziś mogą przejść na emeryturę w wieku, odpowiednio, 56 i 57 lat.

Plany rządu utrudnia też napięty klimat społeczny: obecne protesty nakładają się na trwające od wielu miesięcy manifestacje antyprezydenckiego ruchu „żółtych kamizelek". ©℗ WP / DPA, NZZ

Odra zabija na wyspach Oceanii

CZERWONA PŁACHTA wywieszona przed domem to sygnał. Takie ostrzeżenia – kojarzące się raczej z dawnymi wiekami, gdy w Europie szalały epidemie dżumy i cholery – wiszą dziś w wielu miejscach na Samoa.

Epidemia odry, która jesienią wybuchła w tym 200-tysięcznym wyspiarskim państwie na południowym Pacyfiku, jest wyjątkowo śmiertelna: do początku grudnia zachorowało ponad 6 tys. osób, a zmarło co najmniej 70 – głównie małe dzieci (uwzględniając liczbę ludności to tak, jakby w Polsce umarło 10 tys. osób). Rząd ogłosił stan wyjątkowy i zarządził przymusowe szczepienie wszystkich obywateli. Nakazano, by przed każdym domem, w którym przebywają osoby nieszczepione, wywieszono czerwoną flagę – to ostrzeżenie i informacja dla mobilnych zespołów prowadzących szczepienia. Znany aktywista ruchu antyszczepionkowców, który się opierał, został aresztowany.

Tak gwałtowny przebieg epidemii jest spowodowany faktem, iż przed jej wybuchem tylko jedna trzecia małych dzieci na Samoa była zaszczepiona przeciw odrze i wirus padł na podatny grunt. Przyczyną tak niskiej wyszczepialności był brak zaufania do służby zdrowia po tym, jak w 2018 r. po szczepieniu zmarło kilkoro dzieci. Wprawdzie ustalono, że winna nie była szczepionka, lecz jej niefachowe podanie, ale to nie przekonało lokalnych działaczy antyszczepionkowych.

Wirus dotarł na Samoa zapewne z Azji Wschodniej – wcześniej duże epidemie odry wybuchały w Wietnamie i na Filipinach. ©℗ WP / DPA, NZZ

CHIKARA YOSHIDA / GETTY IMAGES

Rosja na dopingu

ŚWIATOWA AGENCJA ANTYDOPINGOWA WADA wykluczyła Rosję z wielkich imprez na cztery lata za systemowy doping w sporcie i fałszowanie próbek. Dotyczy to także olimpiad w Tokio (2020) i Pekinie (2022). Rosyjska Agencja Antydopingowa może się odwołać w terminie 21 dni do Trybunału Arbitrażowego ds. Sportu (CAS) w Lozannie (jeśli Rosja złoży odwołanie, egzekucja zostanie wstrzymana do ogłoszenia werdyktu).

Specjaliści wątpią, czy odwołanie coś da, gdyż ich zdaniem materiał dowodowy jest mocny. W Rosji ze szprycowania sportowców uczyniono system pod auspicjami państwowych instytucji, mających w statutach rozwój rodzimego sportu. A potem system zrobił wiele, by przez lata mydlić oczy kontrolerom. Częściowo się to udawało. Teraz też WADA uchyliła furtkę przed rosyjskimi sportowcami, którzy zdołają dowieść, że są czyści – będą mogli startować pod flagą neutralną. Niektórzy członkowie WADA uznali, że sankcje są zdecydowanie za słabe, np. wiceprzewodnicząca Linda Helleland protestowała przeciw zwolnieniom od kary. To ma być środek otrzeźwiający i droga ku wyleczeniu systemu, a nie udawanie, że wszystko samo się zmieni na lepsze.

LAURENT GILLIERON / AP / EAST NEWS

Po decyzji WADA w Rosji podniósł się krzyk. Zabrzmiały wezwania do bojkotu igrzysk, do wystąpienia z WADA i MKOl; przewodnicząca Rady Federacji wystąpiła z pomysłem, aby Rosjanie zorganizowali własną olimpiadę.

Sport jest dla autorytarnych reżimów substytutem osiągnięć państwa, które na innych polach przegrywa rywalizację. Dyskwalifikacja jest więc w tym wymiarze dla reżimu Putina dotkliwa. Złapana za rękę Rosja mówi: to nie moja ręka. Przekupstwem i zastraszaniem stara się przekonać opinię publiczną, że ci, którzy zwracają jej uwagę na niewłaściwe postępowanie, są rusofobami. Chęci do oczyszczenia nie przejawia. © ANNA ŁABUSZEWSKA

Więcej na blogu autorki: labuszewska.blog.tygodnikpowszechny.pl

Ten test Zełenski zdał

WOJCIECH KONOŃCZUK

W ubiegłym tygodniu w Paryżu po raz pierwszy od ponad trzech lat spotkali się przywódcy Ukrainy, Niemiec, Francji i Rosji, by w ramach tzw. formatu normandzkiego rozmawiać o rozwiązaniu konfliktu w Donbasie. Brak przełomu w jego trakcie nie powinien dziwić: udało się tylko ustalić, że do końca 2019 r. dojdzie do wstrzymania ognia (co jest mało realne) i wymiany jeńców (to jest już bardziej możliwe).

Co jednak istotne: prezydent Wołodymyr Zełenski pozytywnie zdał swój pierwszy poważny test w polityce zagranicznej, co nad Dnieprem musieli odnotować nawet jego przeciwnicy. Strona ukraińska wyraźnie określiła „czerwone linie", czyli punkty, na które nie zgodzi się w żadnym wypadku. Sęk w tym, że niemal dokładnie pokrywają się one z oczekiwaniami ze strony Moskwy, która tę wojnę zaczęła, dzierży klucz do jej zakończenia i próbuje bezpardonowo przekonywać, iż jest jedynie pośrednikiem w procesie pokojowym w ramach „ukraińskiej wojny domowej".

Kolejna runda negocjacji ma się odbyć w ciągu czterech miesięcy. Jednak skrajnie rozbieżne interesy stron oznaczają, że na jakikolwiek realny postęp w uregulowaniu konfliktu trudno liczyć. ©

GRAŻYNA MAKARA

IRACKI KURDYSTAN, prowincja Erbil, to tu Polska Misja Medyczna prowadzi działania pomocowe dla irackich rodzin przesiedlonych przeważnie z Mosulu oraz syryjskich uchodźców. Na zdjęciu obóz w Qushtapie. Zima to przenikliwa wilgoć, szybko zapadający zmrok, zaduch w namiotach i częsty brak prądu. ©℗ MAG

Nowa premierka Finlandii

34-LETNIA SANNA MARIN z Partii Socjaldemokratycznej stanęła na czele nowego rządu Finlandii. W jej gabinecie większość stanowią kobiety. Ta kombinacja kilku czynników – młodego wieku, składu rządu (12 kobiet, 7 mężczyzn) i fakt, że na czele czterech z pięciu partii fińskiej koalicji stoją kobiety – przyciągnęła uwagę światowych mediów. Akcentuje się też fakt, że Marin jest młodą matką (ma niespełna 2-letnie dziecko) i że została wychowana przez dwie kobiety, matkę i jej partnerkę.

Co jednak gdzie indziej brzmi sensacyjnie, w Finlandii nie wzbudza emocji. Nominacja Marin jest dla wielu Finów ważna z innego powodu: daje nadzieję. Nowa premier jest kompetentna, z doświadczeniem samorządowym i parlamentarnym. W Tampere, gdzie przewodniczyła radzie miasta, zasłynęła, prowadząc obrady żelazną ręką. To się jej przyda, bo rządzenie nie będzie łatwe – poprzedni premier utrzymał się tylko pół roku. W ostatnich wyborach o zwycięstwo otarła się populistyczno-prawicowa Partia Finów. Stosunki w koalicji rządzącej są dość napięte. Problemów będzie więc sporo. ©℗ PATRYCJA BUKALSKA

Jak przełamać stereotypy o pedofilii?

LIST, KTÓRY TRAFIŁ DO WSZYSTKICH proboszczów archidiecezji krakowskiej, zaczyna się wyliczeniem przykładów stereotypowego myślenia na temat pedofilii w Kościele. Przecież tyle lat żyję i nigdy nie spotkałem się z takim problemem – czy doniesienia są prawdziwe? Dlaczego osoby pokrzywdzone zgłaszają się dopiero teraz, po wielu latach? Wykorzystanie małoletnich ma miejsce też w innych środowiskach – dlaczego atakowany jest tylko Kościół? Ile czasu będzie trwało to samobiczowanie? Następnie autorzy listu – diecezjalny delegat ds. ochrony dzieci i młodzieży ks. Marcin Cholewa i duszpasterz osób skrzywdzonych ks. Artur Chłopek – ukazują perspektywę skrzywdzonych. „Tego rodzaju lęki i obawy mogą sprawiać, że osoby skrzywdzone nie otrzymają w naszych wspólnotach kościelnych potrzebnego wsparcia” – piszą i pokazują, czego się one boją i jak im pomóc. Do listu dołączone zostały kolorowe ulotki z kontaktem do instytucji (nie tylko kościelnych) niosących pomoc – w niektórych gablotkach parafialnych już zawisły.

Akcja uzyskała aprobatę abp. Marka Jędraszewskiego. Jak dowiedział się „Tygodnik”, list będzie przesłany do wszystkich polskich parafii razem z materiałami na dzień modlitwy i postu za grzech wykorzystania małoletnich (przypada 28 lutego 2020 r.). ©℗ ASK

Złote, a skromne

SKROMNIE I RODZINNIE obchodził papież 50. rocznicę święceń kapłańskich (13 grudnia 1969). Wieczorem odwiedził kurię generalną swego zakonu, gdzie wręczono mu pięciotomowe wydanie pism o. Miguela Fiorito, wychowawcy i duchowego mistrza kilku pokoleń argentyńskich jezuitów. „Wieczór wspomnień”, rozpoczęty prezentacją książki, zakończył się kolacją w zakonnym refektarzu.

„Obecność papieża była powrotem do domu, rodzinnym świętem” – mówił o. José Narvaja, redaktor dzieła, dodając, że nie da się zrozumieć Franciszka, jego myślenia i działania, bez poznania o. Fiorito, któremu Jorge Bergoglio zawdzięcza całą zakonną i kapłańską formację. ©℗ EA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PRZYGODA Z UBOGIMI
30 lat temu zaczęła się przygoda Małgorzaty Chmielewskiej z ubogimi. W grudniu 1989 r. Chmielewska wraz z Tamarą Kwarcińską i Maciejem Rayzacherem zorganizowała na Dworcu Centralnym w Warszawie wigilię dla ubogich. Kilka miesięcy później wstąpiła do Wspólnoty Chleb Życia. Dziś Wspólnota pod przewodnictwem s. Chmielewskiej prowadzi dziewięć domów dla ludzi bezdomnych, starych, chorych i matek z dziećmi.

MACIEJ AUGUSTYN

WIARA W NIEPEWNOŚCI
„Wątpliwości w wierze są zaproszeniem do szukania Boga oraz do dalszego rozwoju” – tłumaczył brat Marek z Taizé podczas spotkania u jezuitów w Warszawie promującego jego książkę „Bóg. Cisza. Prostota”. Jest to wywiad rzeka przeprowadzony przez Piotra Żyłkę i wydany przez Wydawnictwo WAM.

PRACA KSIĘDZA
W ciągu ostatnich sześciu lat spadło poważanie pracy księdza przez Polaków – wynika z grudniowych badań CBOS. Duży szacunek deklaruje 36 proc. badanych, mały zaś 29 proc. W porównaniu do roku 2013 jest to spadek odsetka osób deklarujących duże poważanie o 5 proc., z kolei wzrost deklarujących małe o 8 proc. Ksiądz na liście 30 zawodów znalazł się na 24. miejscu wyprzedzając ministra, radnego, posła, maklera giełdowego i działacza partyjnego. Na szczycie listy znajduje się strażak (94 proc. osób deklarujących szacunek) i pielęgniarka (89 proc.).

Dwa podejścia do eutanazji

ARTUR SPORNIAK

W Szwajcarii przypadki wspomaganego samobójstwa zdarzają się coraz częściej. Episkopat postanowił wydać dokument określający postępowanie duszpasterzy w takich sytuacjach. Chodzi przede wszystkim o oferowanie pomocy w taki sposób, który wykluczałby sugestię uczestniczenia w samym procederze. Biskupi zalecają, aby towarzyszyć osobom, które zdecydowały się na samobójstwo tak długo, jak jest to tylko możliwe – jednak duszpasterz jest zobowiązany do opuszczenia pomieszczenia w momencie podawania zabójczego preparatu.

W niespodziewany sposób zareagował na to zalecenie abp Vincenzo Paglia, przewodniczący Papieskiej Akademii ds. Życia. Zapytany przez dziennikarzy, jak powinien zachować się duszpasterz, odpowiedział: „Zostawcie zasady. Uważam, że nikt nie powinien zostać porzucony”. Hierarcha uważa, że „towarzyszenie, trzymanie za rękę umierającego” jest „wielkim obowiązkiem, który każdy wierzący powinien promować”.

Główną troską szwajcarskich biskupów okazało się unikanie ewentualnego zgorszenia i dawanie świadectwa moralnej niezgody na eutanazję. Takie podejście bliskie było Janowi Pawłowi II. Abp Paglia pomyślał przede wszystkim o umierającym człowieku. Jestem przekonany, że to z kolei podejście jest bliższe Franciszkowi. ©℗

Kościół zawsze otwarty

MACIEJ AUGUSTYN

PIERWSZY W RZYMIE KOŚCIÓŁ czynny 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu – nie z powodu wieczystej adoracji, ale dla bezdomnych – to pomysł hiszpańskiego księdza i filantropa, Ángela Garcíi Rodríguezа. Wolontariusze założonej przez niego organizacji Mensajeros de la Paz dzień i noc dyżurują w barokowej świątyni pw. Stygmatów św. Franciszka, niedaleko Piazza Navona.

Jak powiedział „Tygodnikowi” Álvaro Suárez, koordynator projektu, pełniący w piątek, 13 grudnia, nocny dyżur w kościele, bezdomni mogą o każdej porze schronić się przed deszczem, ogrzać, skorzystać z toalety, podładować telefon.

– Akcja ruszyła 9 grudnia – mówi Suárez. – Na razie z pomocy skorzystało dwunastu bezdomnych, którzy nie znaleźli innego miejsca na nocleg. Ale w ciągu dnia przychodzi ich więcej. W krużgankach mogą zjeść śniadanie, napić się kawy. Do południa dyżuruje tam lekarz i psycholog. Zainstalowaliśmy też dwa prysznice.

Projekt „Kościół zawsze otwarty – szpital polowy” to wspólne przedsięwzięcie Mensajeros de la Paz i księży misjonarzy Maryi, opiekujących się parafią.

© MACIEJ AUGUSTYN z Rzymu

Nowy hak na bakterie

ODPORNOŚĆ BAKTERII NA ANTYBIOTYKI, a nawet całe ich klasy, to potężny problem dla medycyny. Szczególne trudności dotyczą bakterii Gram-ujemnych, które w przeciwieństwie do Gram-dodatnich posiadają podwójną błonę komórkową, a więc dwie bariery do pokonania przez antybiotyki. W błonie zewnętrznej zakotwiczony jest zespół białek, które utrudniają przenikanie cząsteczek, a czasem bakterie mają nawet zdolność ich wypompowywania. W tym tygodniu aż trzy grupy badawcze donoszą o próbach ataku na ten właśnie punkt obrony mikrobów. Pierwszy zespół stworzył darobaktynę, antybiotyk, który, łącząc się z białkami błonowymi, niszczy ich strukturę, co prowadzi do śmierci bakterii. Pozostałe dwa eksperymenty sprawdzały skuteczność antybiotyków o nazwach murepavadin i MRL-494. Wymienione środki działają na podobnej zasadzie co darobaktyna, zaburzając prawidłowe funkcjonowanie zewnętrznej błony bakteryjnej.

© MICHAŁ ŚWIĄTEK

Proszę naładować samolot i zapiąć pasy

ERA LOTNICTWA ELEKTRYCZNEGO ROZPOCZĘTA. 10 grudnia na rzece Fraser pod Vancouver pierwszy raz w historii wystartował samolot napędzany silnikiem elektrycznym. Lot trwał tylko kwadrans, wykonał go wysłużony (egzemplarz z 1957 r.!) DHC-2 Beaver, legenda kanadyjskich *bush pilots*, ale to i tak wielki sukces australijskiej firmy magniX, która „zelektryfikowała" samolot, i sponsorujących projekt linii Harbour Air. Przewożą one rocznie w Kolumbii Brytyjskiej pół miliona pasażerów i już zapowiadają szybką elektryfikację całej floty.

Lotnictwo bezemisyjne na długich dystansach jeszcze długo nie będzie możliwe. Baterie są wciąż zbyt duże i zbyt ciężkie, aby mogły być używane w większych samolotach. E-samoloty mogą jednak zrewolucjonizować lotnictwo regionalne. Ich silniki są tańsze i łatwiejsze w utrzymaniu od napędów turbośmigłowych. Maszyny latają ciszej, co może sprawić, że wrócą na małe lotniska w centrach dużych miast. I, co najważniejsze, w czasie kryzysu klimatycznego udowadniają, że „ekologiczne" latanie jest możliwe.

©℗ ŻYM

NOAA PHOTO LIBRARY

Duzi mają łatwiej

PŁETWALE BŁĘKITNE nie są tylko największymi żyjącymi dziś zwierzętami. Są największymi istotami w historii życia ziemskiego. A może nawet największymi zwierzętami, jakie mogą pojawić się na świecie w obecnych warunkach ekologicznych. Takie wnioski płyną z badań Jeremy'ego Goldbogena i współpracowników, których wyniki opublikowane zostały w „Science".

Przodkowie płetwali byli znacznie mniejsi i polowali na pojedyncze ofiary. Płetwale (i inne tzw. fiszbinowce) poszły odmienną ścieżką ewolucyjną: urosły i wykształciły liczne adaptacje do filtrowania z wody ogromnych ilości drobnego pokarmu. Taka strategia jest znacznie bardziej wydajna, zwłaszcza dla gatunków, których przedstawiciele ważą ponad 10 ton. Każdy większy rozmiar jeszcze bardziej poprawia bilans energetycznych kosztów i zysków związanych ze zdobywaniem pożywienia – potencjalnie w morzach mogłyby więc żyć jeszcze większe organizmy... gdyby tylko wystarczyło jedzenia. Przy obecnych zasobach planktonu płetwale osiągnęły rozmiar maksymalny.

Publikacja zespołu Goldbogena zbiegała się z doniesieniami Andrew Reada, który opisał kilkanaście gatunków małych wielorybów i delfinów, krytycznie zagrożonych wyginięciem. Padają one przypadkową ofiarą rybaków – zaplątują się w ich sieci, które od połowy XX w. produkowane są z materiałów trudnych do przegryzienia.

©℗ ŁK

Niemiłe recenzje wyzwaniem dla nauki

ŁUKASZ LAMŻA

Bycie naukowcem wiąże się nie tylko z emocjonalnymi uniesieniami, towarzyszącymi odkryciom. Każdy badacz musi publikować w recenzowanych czasopismach naukowych, co może być bardzo stresujące.

Z ankiety przeprowadzonej przez biolożki morskie Nyssę J. Silbiger i Amber D. Stubler wynika, że ponad połowa spośród tysiąca respondentów – naukowców z 46 krajów, reprezentujących 14 dyscyplin – otrzymała „nieprofesjonalne" recenzje zgłaszanych do publikacji artykułów. Recenzenci stosowali obraźliwe komentarze pod adresem autorów i wyśmiewali ich językowe braki, czasem w całości pomijając kwestie merytoryczne. Wielu ankietowanych wskazało, że takie recenzje naraziły ich na poważny psychiczny dyskomfort, podkopały wiarę w siebie i spowolniły rozwój kariery. Zjawisko zaczyna więc wyglądać jak problem systemowy.

Tym bardziej że recenzentami w czasopismach naukowych są także naukowcy, specjalizujący się w danej dyscyplinie – czyli ludzie, którzy sami są narażeni na nieprzyjemne recenzje. Polepszaniu atmosfery w środowisku na pewno nie pomaga to, że recenzenci za swoją pracę (często wymagającą) nie otrzymują wynagrodzenia. Wykonują ją dla dobra publicznego – choć widocznie nie zawsze.

©℗

Zrób to sam

SUMIŃSKI ZE „ZWIERZYŃCA”, Zimiński z „Niewidzialnej ręki”, Kamiński i Kurek z „Sondy”, nie ukrywajmy tego: Przymanowski z „Teleranka” oraz zmarły właśnie Adam Słodowy z tejże, emitowanej w późnym PRL audycji dla dzieci, a w jej ramach – kącika „Zrób to sam”. Bohaterowie dzieciństwa obecnych 40-, 50-, pewnie nawet 60-latków, bo w tamtych czasach nie tylko premierem trzeba było być długo.

Słodowy popularyzatorem majsterkowania został już w 1959 r., a na antenie utrzymał się do emerytury w 1983 r. Był też autorem kilkunastu książek na temat majsterkowania i motoryzacji oraz scenarzystą równie kultowych jak „Zrób to sam” kreskówek, np. „Pomysłowego Dobromira”. Z dzisiejszej perspektywy oglądanie statycznie filmowanego, eleganckiego pana, który opowiada o konstruowaniu najróżniejszych pożytecznych przyrządów, demonstrując przy pomocy charakterystycznego wskaźnika miejsca, w których należy coś naciąć/upiłować, następnie wyciąga spod stołu przygotowane już półprodukty, by w końcu zaprezentować gotowe dzieło, wydaje się czymś niewyobrażalnym – a przecież jest w tym coś jeszcze, oprócz nostalgii za własnym dzieciństwem i gorzkiego przypomnienia, że w PRL wiecznie czegoś brakowało i trzeba było zrobić to samemu. W świecie Słodowego wszystko wydawało się do czegoś potrzebne, wszystko można było użyć ponownie. Autor „Zrób to sam” jako patron *zero waste*? ©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

MAREK LASYK / REPORTER

Palma w ogrodzie

NA ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA UJ poinformował o zakończeniu przebudowy piątej szklarni w Ogrodzie Botanicznym. Budynek urósł o 7 metrów specjalnie dla wyjątkowego lokatora – mierzącej już 17 metrów palmy daktylowej z Wysp Kanaryjskich, posadzonej w tym miejscu ponad 150 lat temu. To najstarszy i największy daktylowiec Europy, z tych rosnących w szklarnianych warunkach.

Krakowski Ogród Botaniczny powstał z inicjatywy Komisji Edukacji Narodowej na ziemi przekazanej KEN po kasacie zakonu jezuitów, którzy wcześniej kupili ogród założony przez rodzinę Czartoryskich. Jest to najstarszy ogród botaniczny w Polsce i znajduje się w rejestrze zabytków jako cenny obiekt przyrody. Pierwszą szklarnię w tutejszym ogrodzie wybudował w 1785 r. Michał Jerzy Poniatowski, brat króla Stanisława Augusta. ©℗ PATRYK STANIK

KULTURA W SKRÓCIE

POŻEGNANIE
Zmarła Marie Fredriksson, kompozytorka i wokalistka popularnego zespołu Roxette. Pod koniec lat 80. szwedzki duet (Fredriksson grała z Perem Gessle) był jedną z najbardziej znanych grup na świecie. W 1989 r. zajął 1. miejsce na amerykańskiej liście Billboard Hot 100. Nagrał 10 płyt, które rozeszły się w ponad 60 mln egzemplarzy. W 2016 r. zespół odwołał wszystkie koncerty ze względu na chorobę wokalistki.

JØRUND F PEDERSEN / CC-BY-SA-3.0

POLONIA
W Krakowie, po dwóch latach dopasowywania kolorowych fragmentów szkła i ich odcieni, ukończono prace nad zaprojektowanym przez Stanisława Wyspiańskiego witrażem „Polonia”. Wyspiański przygotował go w 1894 r. dla Katedry Lwowskiej, jednak pomysł okazał się zbyt kontrowersyjny. Dziś dzieło jest częścią zmodernizowanej ekspozycji krakowskiego Muzeum Witrażu.

POPULARNE
Google jak co roku informuje, czym żyliśmy przez ostatnich 12 miesięcy. Najpopularniejszą pisarką 2019 r. była oczywiście Olga Tokarczuk. W kategorii „Film” zwyciężył „Irlandczyk” Martina Scorsese, który polską premierę miał pod koniec listopada. Zaraz za nim uplasował się „Joker” Todda Phillipsa. Najpopularniejszym serialem okazała się emitowana przez TVP „Zniewolona” – wyprzedziła nawet „Czarnobyl” produkcji HBO.

Noblistka trafia pod strzechy

DWIEŚCIE TYSIĘCY EGZEMPLARZY – to oficjalne dane o sprzedaży książek Olgi Tokarczuk od momentu ogłoszenia decyzji o przyznaniu jej Literackiej Nagrody Nobla. I to tylko w jednej, choć największej sieci księgarskiej w Polsce, jaką jest Empik.

W płytkim bajorku rodzimego rynku książki to sukces właściwie bez precedensu – zwłaszcza że chodzi o ambitną literaturę, a nie o kolejne sprawnie napisane skandynawskie czytadło czy memuary telewizyjnego bądź internetowego celebryty. Wydawnictwo Literackie, które pracuje z Olgą Tokarczuk od 18 lat, wydało do tej pory niespełna milion jej książek. Jeśli potwierdzą się nieoficjalne informacje, że do końca tego roku WL powinno sprzedać ok. 750 tys. książek Olgi Tokarczuk, może się okazać, że to nazwisko znajdzie się także na szczycie rankingu najpopularniejszych tegorocznych polskich prezentów gwiazdkowych.

Otwarte pozostaje jednak pytanie, w jakim stopniu „efekt Nobla” przełoży się także na popularyzację twórczości noblistki. Słabością polskiego rynku książki, oprócz malejącego popytu, jest bowiem także zamierające czytelnictwo. Odsetek Polaków, którzy w ciągu roku przeczytali przynajmniej jedną książkę, w latach 2004-18 spadł z 58 do 37 proc. Sądząc po danych o sprzedaży, która od kilku lat oscyluje na poziomie około 110–115 mln książek rocznie, można wręcz odnieść wrażenie, że to nie popyt na nie jest dziś największą zmorą branży. Serwis Allegro, największy gracz polskiego e-handlu, chwali się np., że w ubiegłym roku sprzedał 7,7 mln książek – o 1,6 mln więcej niż w 2013 r.

Oldze Tokarczuk uda się więc „trafić pod strzechy”. Nie wiadomo tylko, czy nie będzie to znaczyło po prostu „na półkę”. ©℗ MAREK RABIJ

RDC POLSKIE RADIO

BARTEK DOBROCH, autor zimowo-górskiej opowieści o Marku Raganowiczu (s. 116), będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 18 grudnia o godz. 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.
| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

Marinus Claeszoon van Reymerswaele „Madonna karmiąca Dzieciątko", 1511 r. (fragment)

MIĘSO SENSU

Boże Narodzenie to święto obecności Boga w ciele. W naszym ciele. W naszych ciałach.

PIOTR SIKORA

Warto zacząć od małego bożonarodzeniowego eksperymentu. Może to być rozmowa z bliską osobą na jakiś neutralny, niewzbudzający emocji, lecz w miarę interesujący Was temat. Na początku niech jedna z osób usiądzie, a druga niech przed tamtą klęknie. W pewnym momencie, bez przerywania rozmowy, zamieńcie się „miejscami". Co stało się z samopoczuciem w momencie zmiany pozycji ciała? Jeśli coś się zmieniło, czy w treści rozmowy było coś, co mogło być przyczyną tej zmiany? Czy nie sprawił tego po prostu ruch fizyczny w przestrzeni?

Istnieje prostsza wersja eksperymentu: trzeba usiąść spokojnie, rozluźnić mięśnie twarzy i w pewnym momencie unieść kąciki ust lekko w górę, jakby do uśmiechu, obserwując własny nastrój... I jak?

Ciało ducha

Psychika jest cielesna. Widać to chyba jeszcze wyraźniej w ścisłym związku stanu emocjonalnego i prostej czynności, która towarzyszy nam zawsze, nawet kiedy śpimy. Oddech. Gdy pojawia się lęk, niepokój i zdenerwowanie – oddech jest płytszy, szarpany i szybszy. Spowolnienie i wyrównanie oddechu jest – potwierdza to zarówno osobiste doświadczenie, jak i liczne empiryczne badania – jednym z najskuteczniejszych środków do osiągnięcia relaksacji i psychicznego uspokojenia.

Jesteśmy jednak nie tylko cieleśni – jesteśmy cieleśni społecznie. Nasza psychika jest głęboko uwikłana nie tylko w nasze własne ciało i to, co się z nim dzieje – nie tylko ono ma przemożny wpływ na nasz stan ducha. Równie ważne są ciała innych ludzi. Nie tylko oddech może służyć redukcji stresu. Jak pokazują liczne naukowe badania, podobnie skutecznym „narzędziem" jest dotyk drugiego człowieka.

Okazuje się np., że gdy w sytuacji doświadczanego bólu dotyka nas bliska nam osoba, znacznie bardziej aktywują się obszary mózgu związane z „mechanizmem nagrody" – redukując tym samym subiektywne odczuwanie bolesnych doznań. Co więcej: podobny efekt występuje także u osoby wspierającej nas dotykiem – i ona lepiej się czuje. Są też inne badania, które pokazują, że przyjazny dotyk wzmacnia naszą odporność, zarówno na infekcje wirusowe w rodzaju grypy, jak i na stres związany z egzystencjalnym niepokojem pojawiającym się wobec świadomości własnej śmiertelności.

Te oraz podobne proste ćwiczenia i eksperymenty pokazują coś, o czym, bywa, zapominamy: jak bardzo jesteśmy cieleśni nawet w tych wymiarach człowieczeństwa, które często w konceptualizacjach i w wyobraźni religijnej czy filozoficznej są od ciała oddzielane.

Wielu współczesnych myślicieli postrzega powyżej naszkicowane fakty jako podstawę do redukcjonistycznej interpretacji religii i duchowości. Skoro można za pomocą fizycznych ćwiczeń zmieniać swój stan psychiczny i osiągać pewne efekty opisywane w tradycjach religijnych jako duchowe, znaczy to – twierdzą – że ludzka duchowość jest po prostu aspektem naszej biologii. Postrzeganie jej jako czegoś więcej – konkludują – wynikało w przeszłości z naszej niewiedzy co do prawdziwej natury zjawisk.

Święta Bożego Narodzenia otwierają jednak przed nami zupełnie inną perspektywę patrzenia na rzeczywistość.

Duch ciała

Klucz do tej perspektywy ukryty jest w dobrze znanych wersetach prologu Ewangelii Jana: „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga i boskie było Słowo" („*En arche en ho logos*..."; J 1, 1). „Arche" to nie tylko początek, ale także zasada, podstawa, to, co stanowi najgłębszą istotę rzeczy. „Logos" to nie tylko słowo, ale także rozum, miara, sens. Pozornie znany nam werset mówi zatem również to, że u podstawy wszystkiego, w najgłębszej wszystkiego naturze, leży boski, ostateczny Sens.

„Wszystko przez Nie się stało, a bez Niego nic się nie stało. To, co się stało, w Nim było życiem" (J 1, 3-4) – czytamy w dalszej części tekstu. Logos – Słowo, Rozum, Sens – nie tylko jest źródłem istnienia rzeczywistości, która nas otacza. Wszystko, co istnieje, o ile znajduje się w przestrzeni Logosu, o ile zachowuje z Nim związek – jest życiem. Życie bowiem – z ludzkiego punktu widzenia – nie jest po prostu biologiczną wegetacją. Żebyśmy mogli uznać, że żyjemy naprawdę po ludzku, musimy rozpoznać, iż nasza egzystencja – jako całość i w swoich poszczególnych elementach – ma znaczenie i godny naszego działania cel: ma sens.

Kolejny – najbardziej bożonarodzeniowy – werset brzmi: „A Słowo stało się ciałem" (J 1, 14). Do takiego znaczenia polskiego przekładu jesteśmy tak bardzo przyzwyczajeni, że nie przypuszczamy najczęściej, iż grecki oryginał („*logos sarks egeneto*") można tłumaczyć na inne również sposoby. Na przykład: „Rozum stał się mięsem". Albo: „Sens się zmaterializował".

Ostatnie tłumaczenie współbrzmi z początkiem Pierwszego Listu Jana: „Co było od początku, co usłyszeliśmy, co zobaczyliśmy własnymi oczami, na co patrzyliśmy i czego dotykały nasze ręce odnośnie Sensu życia – bo życie objawiło się" (1 J 1, 1-2). Autor pisze tu wyraźnie o słyszeniu, widzeniu i dotykaniu Sensu (Logosu) życia. Sformułowanie to może wydać się dziwne – i takim właśnie wydało się tłumaczom Biblii Tysiąclecia, którzy przestawili w swoim przekładzie kolejność słów i napisali: „cośmy usłyszeli o Słowie życia", pozostawiając bez wyjaśnienia, co było przedmiotem widzenia i dotyku. Oryginał mówi jednak wyraźnie o doświadczaniu Logosu – tj. Słowa, ale i Sensu – życia wszystkimi zmysłami. Życie bowiem się ujawniło – stało się dostępne naszemu bezpośredniemu doświadczeniu.

Bliskość Wcielonego

Nawet jeśli frazy te brzmią nam w uszach nieco dziwnie, warto je rozważyć, ujawniają bowiem ważne aspekty znaczenia świętego czasu, który właśnie przeżywamy. Boże Narodzenie to przecież święta boskiego wcielenia.

Sens wcielenia przesłaniają nam często pobożne obrazy. Jedno z bardziej popularnych przedstawień (widziałem je nieraz w kościołach) wygląda tak: przed ołtarzem ustawiony jest pusty żłóbek, za nim fioletowe jakby schody czy drabina, z czterema stopniami, po których do żłóbka zniża się – w każdą kolejną niedzielę Adwentu – dzieciątko Jezus z wyciągniętymi rączkami, by wreszcie, podczas Pasterki, położyć się w pustym dotąd żłobie.

Obrazy takie, po pierwsze, sprowadzają wcielenie Logosu do czegoś w rodzaju ruchu w przestrzeni, w którym Bóg zbliża się do nas z daleka. Po drugie sugerują, że ruch ten zmienia położenie Boga względem nas, ale że nie zmienia nic w Nim – i nic w nas. W końcu wskazują, że wcielenie dokonało się w jakimś jednym miejscu w naszym świecie, w żłobie w Betlejem; w jednym, jedynym człowieku, Jezusie z Nazaretu. ↦

MUZEUM PRADO / EAST NEWS

Mistrz Eckhart dosadnie skomentował podobną wizję: „Otóż pewien mistrz mówi: Bóg stał się człowiekiem, a przez to cały rodzaj ludzki został wywyższony i uszlachetniony. Możemy się więc radować, że Chrystus, nasz Brat, własną mocą się wzniósł ponad wszystkie chóry anielskie i zasiada po prawej ręce Ojca. Mistrz ten dobrze powiedział, ja jednak, szczerze mówiąc, niewiele dałbym za to. Cóż by mi bowiem przyszło z tego, że miałbym bogatego brata, gdybym ja pozostał ubogi? Cóż by mi pomogło, jeślibym miał mądrego brata, gdybym ja sam był głupcem?”.

Dlatego Eckhart przywołuje starą chrześcijańską naukę, zgodnie z którą Syn Boży wcielając się przyjął całą ludzką naturę. W konsekwencji zmienia perspektywę interpretacji słów Pisma: „Bóg posłał swego Syna Jednorodzonego na świat” (por. J 3, 17). „Nie rozumiejcie tych słów – mówi Eckhart zarówno słuchaczom swego kazania, jak i nam – w odniesieniu do świata zewnętrznego, w którym jadł On i pił z wami, lecz w odniesieniu do wewnętrznego. Jak Ojciec w swej prostej naturze prawdziwie rodzi swego Syna według natury, tak samo prawdziwie rodzi go w najgłębszym wnętrzu ducha, i to stanowi ten świat wewnętrzny. Tutaj głębia Boga jest moją głębią, a moja – Jego. Tutaj żyję moim własnym życiem, tak jak Bóg swoim”.

Cielesne życie duchowe

Słuchając Eckharta trzeba mieć jednak na uwadze cielesność naszego „świata wewnętrznego”. Nie chodzi bowiem o przeciwstawienie „wnętrza” – ciału (wbrew pewnym sformułowaniom, które można znaleźć w pismach samego Eckharta). Chodzi o to, by nie traktować wcielenia Boga jako czegoś, co stało się kiedyś i gdzieś tam, daleko od nas, poza nami. Trzeba rozpoznać, że dzieje się ono właśnie tu i teraz, w jak najbardziej własnym, naszym życiu: że głębia Boga jest głębią naszego życia, a nasze życie – Jego życiem.

Tragiczny paradoks ludzkiej egzystencji polega jednak na tym, że możemy być biologicznie żywi, ale tak od siebie samych oddzieleni, iż (jakby? w gruncie rzeczy?) martwi. Coś na kształt zombie.

Warto zatem przeżyć Boże Narodzenie jako czas powrotu do siebie. Zatrzymać się, usiąść. Przypomnieć sobie, że oddychamy. Zauważyć ruch powietrza przepływającego od nosa, przez krtań, do oskrzeli, do płuc. Bez pośpiechu i bez napięcia podążać za nim świadomością, aż do momentu krótkiego bezruchu płuc i przepony, chwili ciszy i zatrzymania. A potem z powrotem – czując raczej niż słysząc delikatny szum wydechu.

Celebrujemy Boga wcielonego
w każdą dobrą międzyludzką relację, w takie fragmenty materii jak umyte okna, w prezenty, w kawałki sernika na stole.

Spróbować być mniej rozproszonym, bardziej przytomnym, uważnym na tę chwilę wokół nas. Jak? Niepotrzebne tu są żadne skomplikowane wygibasy świadomości. Wystarczy, siedząc, wyprostować kręgosłup, rozluźnić ramiona, czubek głowy jakby zawiesić „w niebie”. To bardzo głęboka, choć bardzo prosta, modlitwa.

Nie trzeba wcale do niej nic dodawać, jakichś specjalnych technik „wznoszenia umysłu do Boga”. To ostatnie określenie modlitwy jest bowiem o tyle mylące, że może sugerować, iż świadome śledzenie oddechu (czyli rytmu życia) albo uważność na świat płynąca z prostego kręgosłupa – jeszcze modlitwą nie są. Są – są bowiem otwarciem na Logos, który wszystko całkowicie napełnia (por. Ef 1, 23). Wszystko – a więc i nasze ciało. Ciało zaś pełne Logosu modli się nawet bez udziału myśli. Wstać. Klęknąć. Upaść na ziemię. Ręce rozwarte szeroko wyciągnąć ku niebu. Skulić się w sobie. Zapłakać. Odetchnąć głęboko.

A przecież gesty i postawa ciała nabierają jeszcze większej wagi w obecności innych osób. Spojrzenie w oczy, dotyk dłoni, uśmiech, przytulenie. To wszystko jest materią międzyludzkich więzi. Ściegiem łączącym dwa oddzielne życia w jedno. I znów: często spełnia swą rolę samo z siebie, niezależnie od towarzyszącego mu (lub nie) strumienia myśli. Znaczenie, sens – Logos – jest wszak w nim obecny, wypełnia je po brzegi i poprzez nie ujawnia się drugiej lub drugiemu. To właśnie dlatego jednym gestem – wydawałoby się czymś tak banalnym jak ruch w przestrzeni kawałków kości, ścięgien oraz mięśni – można ducha podnieść, życie uratować albo – zadając kłam Logosowi, życiu, światłu (por. J 1, 9) – zdruzgotać osobę.

Skoro zaś Logos wcielony jest wszędzie, zwrócenie się ku Niemu nie jest jakimś specjalnym ukierunkowaniem uwagi na wybrany „kawałek” rzeczywistości, relacja do Niego nie jest jakąś inną, istniejącą obok wszystkich innych związków. Jak czytamy w Piśmie: „kto nie kocha swego brata, którego zobaczył, nie może kochać Boga, którego nie widzi” (1 J 4, 20); albo: „Boga nikt nie dojrzał, jeśli kochamy się nawzajem, Bóg w nas trwa i miłość Boga w nas jest doskonała” (1 J 4, 12). A zatem miłość, wyrażająca się również w cielesnych gestach, nie jest tylko z nas. Myśmy „poznali i uwierzyli w miłość, którą Bóg ma (kocha) w nas. Bóg jest miłością, kto trwa w miłości, trwa w Bogu, a Bóg w nim” (1 J 4, 16).

Codzienne Boże Narodzenie

Skoro Boże Narodzenie jest świętem Boga wcielonego w tkanki świata, do jego celebracji nie potrzeba w gruncie rzeczy żadnej specjalnej sakralnej przestrzeni wydzielonej ze sfery *profanum*. Polska tradycja religijna ujawnia (świadomie bądź nie) głęboką intuicję teologiczną. W odróżnieniu np. od Triduum Paschalnego – z jego rozbudowaną liturgią trwającą od Wielkiego Czwartku do Wielkiej Nocy – kościelne obchody Bożego Narodzenia są skromne, wyróżniają się właściwie tylko Pasterką, jedną mszą o północy. Wszystko, co najważniejsze, dzieje się w domu: sprzątanie, gotowanie, pieczenie, ubieranie choinki, układanie pod nią prezentów, nakrywanie stołu z jednym pustym miejscem. W domu – i to

przy stole, gdzie śpiewamy kolędy jedząc specjalne potrawy, a nie modląc się pod świętym obrazem – odbywa się czuwanie na narodziny Pana: wigilia. Samo święto także spędzamy głównie w domach, wśród bliskich osób, nie w kościele.

Nic w tym złego. Tak ma być. Celebrujemy wszak Boga wcielonego w każdą dobrą międzyludzką relację, w takie fragmenty materii jak umyte okna (albo i brudne, jeśli zmęczenie nas zmogło), w zapakowane prezenty, w kawałki sernika na stole. Świętujemy Boga wypełniającego nasze ciała, które witają się dotykiem lub gestem, odkurzają podłogę (albo siedzą zmęczone), pakują i rozpakowują prezenty (czyż nie piękny jest szelest celofanu?), czują na języku smak ciasta.

Właściwie jednak nawet takie świętowanie jest trochę niedoskonałe i może nas mylić, zasłonić Najważniejsze. Bo jest celebracją specjalnego czasu, jakby wyjętego (w rzeczywistości lub w naszych oczekiwaniach) z powszechnej codzienności. Koncentracja na tych wyróżnionych chwilach rodzi specjalne oczekiwania: wobec tych dni, wobec sposobu ich urządzenia, mającej panować w ich czasie atmosfery (czasami włącznie z pogodą), a więc ostatecznie – wobec innych ludzi.

Skoro jednak, zgodnie ze słowami Pisma, „wiemy, że przeszliśmy ze śmierci do życia, bo kochamy braci" (1 J 3, 14), to Bożym Narodzeniem, świętem rodzącego się życia, tak naprawdę jest po prostu miłość, która powstaje codziennie na nowo, nawet w małych gestach.

Warto więc uwolnić się od nawyku szukania Boga w czymś specjalnym, co Mistrz Eckhart nazywa „sposobem", ostrzegając: „Kto Boga szuka w jakimś sposobie życia, chwyta ten sposób, traci zaś ukrytego w nim Boga. Ten natomiast, kto Boga szuka bez takiego sposobu, ujmuje go takim, jakim jest On sam w sobie; człowiek taki żyje z Synem i jest samym życiem".

Po prostu – życie. A „życie – posłuchajmy znowu Eckharta – żyje mocą swojej własnej głębi i tryska z siebie samego". Kto to odkryje, odkrywając tym samym wcielony w mięso (*sarks*) rzeczywistości Logos, nie potrzebuje już nic specjalnego, wystarczy mu kęs chleba i łyk wody, ciepło ciała, oddech, tętno krwi.

©℗ PIOTR SIKORA

Apokalipsa Narodzin

O.SZYMON HIŻYCKI, BENEDYKTYN, OPAT TYNIECKI:

Oni są świeżo po kryzysie małżeńskim. Trauma Bożego Narodzenia w ich życiu jest wielka. A jednak wychodzą naprzeciwko tej tajemnicy z wiarą. I dlatego dostają Boga Wcielonego.

MACIEJ MÜLLER: Kto leży w żłóbku?

SZYMON HIŻYCKI OSB: Jezus Chrystus – prawdziwy Bóg i prawdziwy człowiek. Wcielony Syn Boży, Syn Ojca, jedyny Zbawiciel świata.

Anioł powiedział do pasterzy: „dziś narodził się wam Zbawiciel, którym jest Chrystus Pan". Na czym polega nowość tej wieści?

Dla pasterzy była zaskakująca z wielu względów. Wśród Żydów nadzieje mesjańskie były wtedy ogromne. Nie sądzę, żebyśmy byli sobie w stanie choćby wyobrazić, ile one znaczyły. Świadomość całego narodu wybranego była przeniknięta myślą, że przyjdzie mesjasz, który ich wyzwoli. My nie znamy nic analogicznego. Po drugie, pasterze nie należeli do elity narodu. Dlaczego więc akurat im anioł miał objawić tę zaskakującą prawdę? I po trzecie – mesjasz, którego oczekiwano, miał być wojownikiem, który wyzwoli Izraela. A zobaczyli parę nastolatków i noworodka w żłobie.

Szok?

Szok. Mimo to uwierzyli. Myślę o pasterzach z sympatią. Mamy głęboko wdrukowane, że Żydzi nie przyjęli Pana Jezusa. A jednak na kartach Ewangelii widzimy wielu ludzi, którzy Go wbrew zdrowemu rozsądkowi przyjęli. Jak pasterze, jak Symeon i Anna, Nikodem, apostołowie. Przy czym każde z tych doświadczeń jest inne. Symeon używa słów starotestamentowej teologii: że ujrzał „światło na oświecenie pogan i chwałę ludu Twego Izraela". Z kolei prorokini Anna jest osobą tła. „Sławiła Boga i mówiła o Nim wszystkim, którzy oczekiwali wyzwolenia". Tu nie było nawet momentu osobistego spotkania. Symeon całe życie czekał na te kilkanaście sekund, kiedy bierze małe Dziecko w objęcia i mocno przeżywa Bożą bliskość. Anna tą obecnością jest przeniknięta cały czas – mówi o Bogu, który przychodzi.

Ale tam nie jest powiedziane wprost, że przyszedł Bóg.

Zdecydowanie. Mowa o Mesjaszu, czyli Chrystusie.

A kim On jest, na czym polega tajemnica Jego tożsamości – to była kwestia, która stopniowo miała stawać się jasna poprzez Boże objawienie. Miał być Synem Dawida, Synem Przedwiecznego, ale co to miało oznaczać? Pamiętajmy, że wyznanie wiary w bóstwo Jezusa pada w całej Ewangelii tylko raz, u św. Jana, a wypowiada je Tomasz: „Pan mój i Bóg mój". Podobnie wyznaje wprawdzie Piotr: „ty jesteś Mesjaszem, Synem Boga żywego" – ale choć my to z miejsca rozumiemy w sensie trynitarnym, to Kościół do tej formuły dogmatycznej doszedł później.

Anioł nie wiedział, kto się urodził?

Aniołowie są bardzo dobrymi teologami, bo nieustannie patrzą w Boże oblicze. Ale Bóg zawsze mówi do człowieka na takim poziomie, żeby człowiek zrozumiał, o co chodzi. Wystarczającym szokiem była już informacja, że przyszedł mesjasz – i to, w jakich okolicznościach się to stało.

Zakładamy, że po zesłaniu Ducha Świętego apostołowie wiedzieli już, z kim mieli do czynienia.

Sprawy dla nich tajemnicze dla nas są tak oczywiste, że nie budzą już żadnych emocji.

Każdy człowiek zmaga się z formułami dogmatycznymi – każdy ma swoją historię. Z drugiej strony – nam dzisiaj łatwiej myśleć o Jezusie jako o Bogu, a trudniej jak o człowieku. Wtedy było odwrotnie.

↦

„To będzie dla was znakiem – mówi anioł – znajdziecie niemowlę owinięte w pieluszki". Czym jest znak?
Manifestacją Bożej mocy.

Dziecko w pieluchach, urodzone w jaskini, to manifestacja mocy?
Na pierwszy rzut oka – nie... Ten temat zgłębiała ikonografia wschodnia, przedstawiając dwie groty istotne w życiu Jezusa: narodzenia i zmartwychwstania. Na ikonach Bożego Narodzenia mały Jezus jest owinięty w pieluszki jak trup, który leży w żłóbku – sarkofagu, widać tylko główkę. A Maryja nie adoruje Go, jak w malarstwie zachodnim, tylko leży z boku, ubrana na czarno i odwrócona tyłem: *Mater Dolorosa.*

Co nas zbawia, wcielenie czy zmartwychwstanie?
A warto to rozdzielać? Zbawia nas wszystko, co zrobił Jezus Chrystus. Nie można powiedzieć, że lubię Boże Narodzenie, a Pascha mnie już nie interesuje. Wschód zawsze mówił, że wcielenie ma charakter zbawczy. Ale nie w tym sensie, żeby odzierać z niego zmartwychwstanie – chodziło o to, że już w tym momencie zbawienie się dokonało. Teksty mszalne, także łacińskie, mówią, że przez wcielenie czcimy początek naszego zbawienia.

Ale dlaczego Bóg nas zbawia, stając się człowiekiem?
Jedni mówią, że potrzebne było wynagrodzenie Bogu za wszystkie grzechy człowieka. Mógł to uczynić tylko człowiek, ale ponieważ wynagrodzić może tylko równy równemu, konieczne było, by zrobił to Bóg. W tym ujęciu wcielenie było konieczne dla pojednania nieba i ziemi.

Siostra Małgorzata Borkowska uważa, że Syn Boży stał się człowiekiem z miłości do Ojca: chciał okazać Mu ją do tego stopnia, żeby dla Niego umrzeć. Wcielił się więc nie tylko po to, by zbawić ludzi. Ojcowie greccy, jak Atanazy, pisali, że wcielenie ma charakter przebóstwiający – Syn Boży uzdrawia wszystko, czego dotknie. Kiedy wchodzi do Jordanu, uświęcona zostaje woda i odtąd ma moc zbawczą: dlatego wodą się chrzci. Kiedy dotyka natury człowieka, ona przestaje być śmiercionośna. To myślenie symboliczne, ale pomocne, bo czasami myślimy o człowieczeństwie jako czymś przeklętym. Od wcielenia już tak nie jest.

Jakkolwiek beznadziejna wydawałaby się nam sytuacja, to wszystko będzie dobrze **– bo przecież dziecko urodziło się w żłobie, z ubogich rodziców.**

W bożonarodzeniowym kazaniu Luter opowiedział taką bajkę: „Przyszedł kiedyś diabeł do kościoła na mszę, kiedy śpiewano następujące słowa: »Et homo factus est« – Syn Boży stał się człowiekiem, a ludzie nadal stali i nie przyklękli. Uderzył diabeł jednego z nich w twarz, zwymyślał i powiedział: »Ty łobuzie, nie wstydzisz się, że stoisz jak słup i nie padasz na kolana z radości? Gdyby tylko Syn Boży stał się naszym bratem, tak jak stał się waszym, nie wiedzielibyśmy, gdzie się podziać z radości«". Chyba i dziś niespecjalnie doceniamy wartość wcielenia.
To aluzja do starego rytu mszy, w którym należało przyklęknąć za każdym razem, kiedy wypowiadano słowa dotyczące wcielenia. Dzisiaj Luter pewnie nawiązywałby raczej do sfery emocjonalnej, pewnego braku zadziwienia tym, co uczynił Bóg. Niemniej byłbym przeciwny temu, żeby generować w ludziach poczucie winy, że nie są szczęśliwi z tego powodu, iż Bóg stał się człowiekiem.

A nie powinniśmy?
Rozkazywanie emocjom czy stanom duchowym jest kiepskim rozwiązaniem. To tak jak w sytuacji, kiedy mama mówi do dziecka, że powinno być wdzięczne za samochodzik, który dostało od cioci – i nieważne, że dziecku się on nie podoba.

Wdzięczność pojawi się w człowieku, kiedy on sam odkryje, co znaczy dla niego wcielenie, kiedy ta prawda go dotknie. Takie przeżycie przemienia – i to nie tylko emocje.

Jak sobie w tym pomóc? Boga nie da się dotknąć, trudno o silne wrażenia zmysłowe.
I całe szczęście, inaczej szukalibyśmy w wierze głównie mocnych przeżyć. Niemniej szopka, kolędy, liturgia i Pismo Święte zostały wymyślone po to, żeby pomóc ludziom przeżywać prawdy wiary. Św. Franciszek, który szopkę wymyślił, podobno nie umieścił w niej Dzieciątka, natomiast tak ją zaaranżował, że w jej centrum był ołtarz, tak więc w momencie przeistoczenia pojawiała się w nim Hostia. W ten sposób uzmysławiał ludziom, że nie są w gorszej sytuacji niż pasterze – z tą różnicą, że oni musieli uwierzyć, iż w żłóbku leży mesjasz, a my, że prawdziwy Bóg i prawdziwy człowiek. Katecheza Franciszkowa była bardziej eucharystyczna, we współczesnej szopce to się trochę zatarło.

Jan pisze o światłości, która przyszła na świat. Dlaczego dziecko miałoby być światłością?
W Ewangelii Jana światło jest przejawem boskości – ono pada na to, co jest prawdą, co istnieje naprawdę, co daje życie i pokój. Ciemność wiąże się z tym, co skończone, co przemija, co człowieka okłamuje, odbiera mu nadzieję i sens życia. Jan pisał to na przełomie wieków, kiedy mrok ogarniał Kościół. Przekonywał, że możemy mocno doświadczać siły zła, może nam się wydawać, że Kościół jest zagrożony, wiara krucha, a Pan Bóg słaby – ale „światłość w ciemności świeci, a ciemność jej nie ogarnęła". Jakkolwiek wydawałaby się nam beznadziejna sytuacja, to wszystko będzie dobrze – bo przecież dziecko urodziło się w żłobie, z ubogich rodziców. To ciągle powracający obraz Boga, który w słabości przychodzi do słabego człowieka.

To jest to samo światło, od którego uciekamy, żeby nie było widać naszych grzechów?
Tak mówi Pismo. Może to nawiązanie do wydarzenia z raju, kiedy pierwsi rodzice schowali się przed Bogiem w krzakach.

Czyli światło obnaża.
Ale też uzdrawia. W psychoterapii człowiek konfrontuje się ze swoimi mrocznymi stronami, z czymś, przed czym przez całe życie uciekał, a co powoli go zabijało. Konfrontacja z tą ciemnością, wyciągniętą na światło dzienne, niesie w perspektywie uleczenie, pozwala zrzucić kamień noszony na plecach od lat. Po-

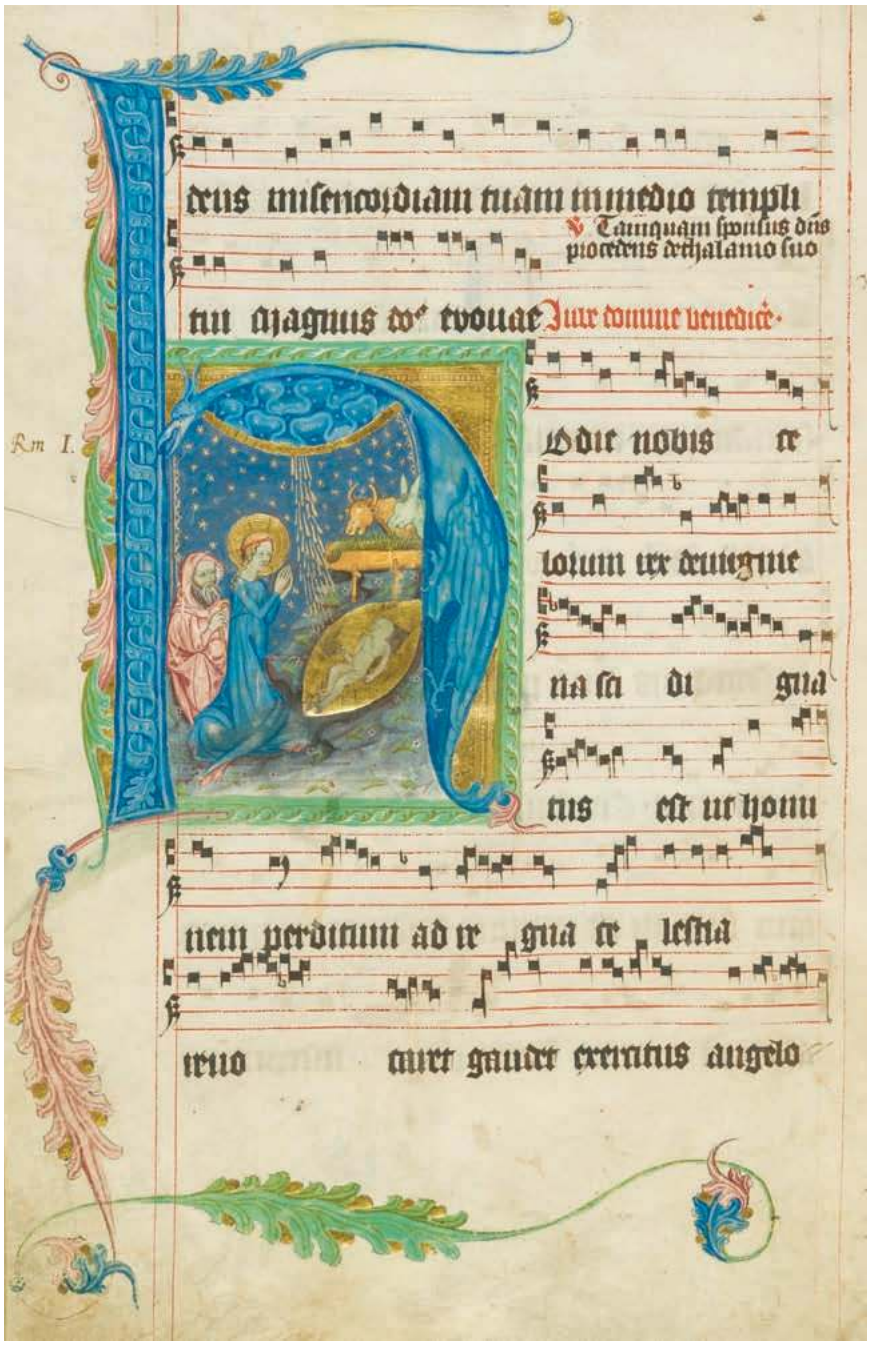

POLONA / BIBLIOTEKA NARODOWA

Antyfonarz opata Mścisława (ok. 1395–1400), Biblioteka Narodowa w Warszawie

dobnie – idę do spowiedzi i wyznaję grzechy w taki sposób, w jaki je rozumiem (Tischner mówił, że absolutnie szczera spowiedź jest ontologicznie niemożliwa, bo człowiek nie zna siebie do końca). Wówczas Pan Bóg rzuca na nie swoje światło, tak jak się napromieniowuje nowotwór. Jeśli człowiek się schowa, nie skonfrontuje z Bogiem i samym sobą, ostatecznie doprowadzi go to do śmierci.

Skoro światłość przyszła na świat, oznacza to, że pojawiła się nowa szansa, której wcześniej, przed wcieleniem, nie było?

Pan Bóg dał kolejny dowód na swoje zaangażowanie w dzieje człowieka. Pierwszym było stworzenie, kolejnymi wszystko to, co działo się w historii narodu wybranego. A teraz Bóg postanowił zaangażować się w sposób widzialny.

Polskie przekłady Biblii mówią, że „Słowo Boże zostało skierowane" – i tu pada, czy do Jeremiasza, czy do Izajasza, czy innego proroka. To rozmycie sensu – bo skierować to można list do sądu. Ale już Wulgata mówi: *Verbum Dei factum est* – Słowo Boże stało się. Bo ono jest jak wybuch, jest czymś, co wydarza się np. w życiu proroka, a on, przeniknięty Słowem, musi mówić. Jak wcześniej pozostawało pod postacią proroctw czy historii świętej, tak teraz wybuchło w inny sposób, stając się człowiekiem. I rzeczywiście odtąd wszystko jest inaczej, bo jeśli Pan Bóg zszedł na dół, to rodzi się nadzieja, że wydźwignie nas do góry.

Jezus mówi, że „Ojca nikt nie zna, tylko Syn, i ten, komu Syn zechce objawić", a Jan pisze w prologu: „Boga nikt nigdy nie widział, Jednorodzony Bóg, który jest w łonie Ojca, o Nim pouczył". Czyli do tej pory jakby błądziliśmy, bo nie wiedzieliśmy do końca, kim jest Bóg – a teraz On sam przyszedł na ziemię, żeby powiedzieć o sobie. Kościół, jako mistyczne Ciało Chrystusa, dzięki sukcesji apostolskiej przechowuje tę prawdę, opowiada o tym, jaki jest Bóg, i doprowadza ludzi do zbawienia. Dzieje Kościoła można czytać jako poszukiwanie odpowiedzi na to, kim jest Bóg. Od ksiąg Ewangelii, przez teologię ojców greckich i łacińskich, po Rahnera czy neoscholastyków – to jest ciągłe zmaganie się z pytaniem, dlaczego Bóg stał się człowiekiem.

Ale do kogo On przyszedł? W liturgii śpiewamy „Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli", jednak w hymnie anielskim u Łukasza mowa jest o „ludziach, których sobie upodobał" albo „ludziach Bogu miłym". Ten drugi zbiór jest większy, bo obejmuje wszystkich.

Tekst liturgiczny to kwestia przekładu: hymn „Gloria in excelsis Deo" pochodzi z czasów starożytnych i prawdopodobnie bazuje na jakimś starym łacińskim przekładzie. Tu wchodzi też w grę żydowski sposób myślenia: w Księdze Wyjścia Bóg mówi: „wyświadczam łaskę, komu chcę, i miłosierdzie, komu Mi się podoba" – ale to nie oznacza rozkapryszenia na zasadzie: tobie Jasiu nie, bo mi się nie widzisz. Chodzi o darmowość łaski, którą Bóg chce dać wszystkim. Bo podobają Mu się wszyscy.

Czyli kiedy podczas przeistoczenia padają słowa o krwi, która „za was i za wielu będzie wylana"...

...to też chodzi o wszystkich. Jeden z synodów hiszpańskich z VIII wieku mówił, ↦

↦ że nie ma, nie było i nie będzie ani jednego człowieka, za którego Chrystus by nie cierpiał.

„Bóg stał się człowiekiem, żeby człowiek stał się Bogiem" – mówią ojcowie Kościoła. Czy nie na tym właśnie polegał błąd Adama i Ewy?

Adam i Ewa zostali stworzeni na Boży obraz i podobieństwo, więc chcąc stać się takimi jak Bóg, podążali za swoją naturą – tylko że próbowali wejść kuchennymi drzwiami, zamiast rozmawiać o tym z Bogiem. Warto konfrontować się ze światłem.

Boże wcielenie, jak mówili ojcowie greccy, jest odpowiedzią na ludzkie pragnienie, żeby być takim jak Bóg. On staje się taki jak człowiek po to właśnie, żeby człowiek ostatecznie stał się taki jak Bóg, czyli doznał przebóstwienia.

Mamy stać się Bogami?

Będziemy mieć udział w Boskiej naturze, tak mówi formuła. Już teraz go mamy choćby przez to, że przyjęliśmy chrzest, czyli jesteśmy członkami Ciała Chrystusowego.

Każda epoka ma swój problem z Panem Bogiem. Żydzi spodziewali się mesjasza na koniu bojowym. W nas jest głęboka potrzeba tego, żeby poczuć i doświadczyć. To dlatego formuły dogmatyczne nie budzą w nas żadnych emocji i przez to wydają się niezrozumiałe. One są drogowskazami, które mają pokazać, w jaki sposób myśleć o Bogu i świecie. Formuła głosząca, że człowiek ma stać się Bogiem, ujawnia kierunek, w jakim podążamy. Jak mówi św. Jan – będziemy do Boga podobni, bo ujrzymy go takim, jaki jest.

Trudno to uchwycić.

Gdybyśmy nie znali dorosłych kobiet, ciężko by nam było sobie wyobrazić, że dwuletnia dziewczynka kiedyś stanie się żoną i matką. A jednak w tej małej istocie jest zawarty potencjał, by stać się kimś takim. I analogicznie: mimo naszych wad, dzięki wcieleniu i odkupieniu istnieje w nas potencjał do takiego rozwoju, by stać się uczestnikami boskiej natury. Co to dokładnie oznacza – dopiero się przekonamy.

Przyjmując chrzest jesteśmy na początku drogi zbawienia czy na końcu?

JACEK TARAN

SZYMON HIŻYCKI OSB (ur. 1980) jest benedyktynem, opatem klasztoru w Tyńcu pod Krakowem. Studiował teologię, filologię klasyczną oraz starożytny monastycyzm – w kolegium św. Anzelma w Rzymie. Autor kilku książek, ostatnio wydał „Apokalipsę Bożego Narodzenia" (dostępną jako darmowy e-book na stronie Wydawnictwa Benedyktynów tyniec.com.pl).

Według starej interpretacji Pawła „już i jeszcze nie". Już Chrystus umarł za nasze grzechy i odkupił rodzaj ludzki, ale jeszcze nie powrócił i ciągle czekamy na dopełnienie się dziejów świata.

Ale mamy jeszcze jakieś zadania do wykonania?

Mamy uwierzyć. Pana Boga nie trzeba przebłagiwać, tylko przyjąć to wszystko, co dla nas zrobił. Nie chodzi o to, żebyśmy się stali lepszymi ludźmi i wreszcie przestali grzeszyć. To jest na drugim planie, bo to skutki.

Czyli nie trzeba nic specjalnego robić, żeby dostąpić zbawienia?

A kiedy człowiek się ożeni, to już wszystko się dokonało czy wszystko przed nim? Skoro żona go kocha, to czy on może wyłożyć się na kanapie, pić piwo i mieć święty spokój? Jest naturalną rzeczą, że jeśli Bóg coś dla mnie czyni, to człowiek na to odpowiada. Robi wszystko, co może, ale nie po to, żeby coś osiągnąć – bo już to ma. Jan od Krzyża mówi, że za miłość płaci się tylko miłością. W ten sposób otwiera się przed nami droga wzrostu. Wybitny fizyk zawsze może dowiedzieć się jeszcze więcej o działaniu świata. Z wiedzą o Bogu, ze znajomością z Nim i zażyłością, jest tak samo. Ta gra nigdy nie będzie miała końca. Może raj będzie polegał na ciągłym odkrywaniu w Bogu kolejnych skarbów?

A druga strona medalu? Da się zmarnować to całe dzieło Boga?

Tak. W pewnym sensie człowiek jest silniejszy od Boga. Kościół uczy, że odrzucenie Go, poprzez dobrowolne podeptanie Jego przykazań, jest teoretycznie możliwe i piekło faktycznie istnieje.

Izajasz pisze, że „wilk zamieszka wraz z barankiem, pantera z koźlęciem razem leżeć będą, cielę i lew paść się będą społem i mały chłopiec będzie je poganiał" – czy coś z tego możemy zaobserwować w dziejach Chrystusa albo Kościoła?

Te obrazy opisują przede wszystkim to, co się dzieje w ludzkiej duszy. Wcielenie sprawia, że niemożliwe staje się możliwe. Jeśli w moim życiu coś jest niemożliwe, a wiem, że zaprowadziłoby pokój – to dzięki wcieleniu to się właśnie stanie. Na przykład otrzymam odpuszczenie grzechów. Czas zostanie cofnięty, wszystko, co zrobiłem złego, nie będzie mi policzone. Co więcej, Pan Bóg naprawi to, co zepsułem. Jeśli komuś zabiłem dziecko, to cóż z tego, że Bóg mi odpuści – skoro cierpią jego rodzice?

Po takim dramacie ludzie na ogół jednak żyją w bólu aż do śmierci.

Pamiętajmy, że Ewangelia nie mówi o świecie doczesnym, tylko sięga w świat, który przychodzi. Kiedy mówimy o nadziei na przyszłe życie, to chodzi o czas paruzji, sądu ostatecznego, kiedy Bóg otrze wszelką łzę. Jak mówi Samarytanka: „wiemy, że przyjdzie mesjasz i naprawi wszystko".

W swojej książce Ojciec porównuje Boże Narodzenie do Apokalipsy. Apokalipsa to koniec świata.

Albo po prostu: objawienie. Tyle to znaczy po grecku. Ściągnięcie zasłony z tego, co zakryte. Boże Narodzenie pokazuje Boga takiego, jaki On jest, i zwiastuje koniec starego myślenia o Nim, dopełnienie się czasów. Ale nie ma zerwania ciągło-

ści między Starym a Nowym Testamentem. Orygenes pisał, że Stary Testament jest wodą, która, kiedy przyszedł Jezus, stała się winem.

Apokalipsa jest straszna.
A ja codziennie się modlę o koniec świata.

O te wszystkie rozłamywane pieczęcie, trąby, szarańcze?
Pewnie. Skoro Bóg to zrobi, to musi być dobrze.

Co to ma wspólnego z łagodnym obrazkiem młodych rodziców z dzieciątkiem?
Pamiętajmy, co przeżywają ci rodzice. Są świeżo po kryzysie małżeńskim. Trauma Bożego Narodzenia w ich życiu jest wielka. A jednak wychodzą naprzeciwko tej tajemnicy z wiarą. I dlatego dostają Boga Wcielonego.

Natomiast o koniec świata warto modlić się w tym sensie, żeby jak najszybciej dopełniły się Boże obietnice, żeby Syn Boży przyszedł i naprawił to, co zepsuł grzech. Apokalipsa posługuje się językiem apokaliptycznym i ma do tego prawo. Pokazuje wszechmoc Boga w świecie, który wydaje się być zdominowany przez zło. Według tradycji tę księgę pisał na wyspie Patmos Jan Apostoł, stary człowiek przeżywający klęskę swego życia, bo nie dość, że nie skończył jak wszyscy inni apostołowie jako męczennik, to został odizolowany od swojej gminy. W tych warunkach Pan Bóg objawia mu, kto jest naprawdę panem historii. To jest księga pocieszenia.

Jak czekać na koniec świata?
U kartuzów co piętnaście minut uderza dzwon, żeby wiedzieli, że czas płynie i Pan Bóg jest coraz bliżej. Ale patrzyłbym na to od pozytywnej strony, bez nerwicy. Izaak Syryjczyk mówił, że bramy do nieba są wszędzie. To nie tak, że Bóg przyjdzie nie wiadomo kiedy. On już jest. Od czasu wcielenia nie ma nic normalniejszego niż głęboka więź z Bogiem. Bez względu na to, w jakim stanie jesteś, na jakim etapie życia – wszędzie znajdziesz dojście do Niego.

©℗ Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

BRUNO KELLY / REUTERS / FORUMS / FORUM

Św. Mikołaj – wolontariusz z grupy Jose de Deus, która przygotowuje prezenty dla dzieci z wiosek nad Amazonią, rejon Manaus, Brazylia, 19 grudnia 2015 r.

Msza koguta

MIROSŁAW WLEKŁY

Zdaniem jednego z najmłodszych brazylijskich biskupów, dom Zenildo, amazońskie Boże Narodzenie można opisać trzema słowami: radość, religijność, prostota.

Wprawo, w lewo, w prawo, w lewo. Meandry rzeki Paraná do Urariá nie mają końca. Co jakiś czas mijam zdezelowane drewniane łodzie, prymitywne czółna, kopcące spalinami barki. W powietrzu czuć słodki zapach tropikalnego lasu. Z drzew zwisają liany. Niebieskie ptaki szybują tuż nad wodą. Mijamy dryfującego martwego aligatora. Może zdechł, a może ktoś go zabił dla zabawy, w tej części Amazonii nie je się jego mięsa. Kiedy rzeki wysychają, aligatorów widać tu mnóstwo. Wylegują się na słońcu. Niektóre są olbrzymie, nawet siedmiometrowe. Nie atakują ludzi, bo pożywienia mają w bród. Z wody wyskakują rzeczne delfiny, mniejsze od morskich, szare, z jasnoróżowymi paskami.

Przestaje padać, chmury odpływają. Za kolejnym zakrętem ukazuje się widnokrąg, który wydaje się bezkresnym morzem, lecz oczywiście nim nie jest, bo znajdujemy się w samym sercu brazylijskiej Amazonii.

Wieś

Białe plamy na horyzoncie to wioska Laranjal – najstarsza z dwunastu osad Indian Munduruku wzdłuż rzeki Mari-Mari. Mieszka w niej 250 osób. Od 2012 r. działa tu ośmioklasowa szkoła. Przez kilka godzin płynąłem tam z miasteczka Borba, by dowiedzieć się, jak wygląda życie religijne we wsi.

Ksiądz przypływa tu raz, dwa razy w roku. Poza Dniem Indianina (przypada 19 kwietnia) pozostałe święta wytycza kalendarz katolicki. W czerwcu przez dziesięć dni wieś obchodzi święto swojego patrona Jana Chrzciciela. W sierpniu jest fiesta ku czci Matki Bożej, a w grudniu na cześć świętej Łucji. Jest jeszcze peregrynacja obrazu Jana Chrzciciela.

Dzień Bożego Narodzenia, po wigilijnym nabożeństwie o północy – odprawianym nie przez księdza, lecz świeckiego przewodniczącego liturgii – mieszkańcy spędzają na plaży. Przez noc i w dzień Bożego Narodzenia stoły uginają się od jedzenia, urządza się turnieje piłki nożnej, tańce i śpiewy. Kto chce, idzie popływać w rzece.

– Nie ma tu piranii. Na plaży jest bezpiecznie, bo jaguary wolą zostać w lesie ↦

↦ – opowiada Eurico Freitas Reis. Urodził się w 1949 r. w miasteczku Nova Olinda do Norte, w indiańskiej rodzinie plemienia Maraguá. Do Laranjal przyjechał jako pracownik Narodowej Fundacji Indian (FUNAI). Zakochał się w Indiance Munduruku, w 1975 r. pobrali się i Eurico został we wsi na całe życie. Przez 36 lat uczył w szkole historii i geografii. Jako jedynego bierzmowanego we wsi wyznaczono go do przygotowywania innych do tego sakramentu. Został administratorem wspólnoty katolickiej, a potem przewodniczącym liturgii.

Wybrzeże

Brazylijska Amazonia ma ponad 5 mln km kw. i obejmuje 61 proc. terytorium tego kraju. Laranjal leży w jej sercu, dzień drogi wodnej od Manaus, największej metropolii regionu. Do miasta dostać się można samolotem lub Amazonką – pięć dni promem z nadmorskiego Belém, czyli Betlejem. Jak nie spytać w takim miejscu o bożonarodzeniowe zwyczaje?

Pochodzi stąd Mara Nascimento. Znamy się od lat. Jej cała rodzina należy do zielonoświątkowego Kościoła Zbory Boże (Assembléia de Deus). Każde święta Bożego Narodzenia spędzają u rodziny w leżącym nad Atlantykiem stanie Maranhão, także będącym częścią Amazonii.

Droga z Belém do Santa-Inês ma 550 km, dziewięć godzin w autobusie. I dystans, i czas przejazdu to dla Brazylijczyków pestka, rzut beretem, jeśli spojrzeć na mapę. Świętowanie rozpoczyna się od wieczornej pasterki, 24 grudnia. Gwoździem programu jest przedstawienie teatralne o narodzinach Jezusa przygotowane przez parafian. Całe nabożeństwo trwa około trzech godzin.

– Dopiero koło północy wszyscy zasiadają do wigilijnego stołu – opowiada mi Mara. Na stole królują mięsa: indyk, wieprzowina i kozioł przyrządzany przez babcię. Nie może zabraknąć owoców morza. Bożonarodzeniowym specjałem jest tu *bacalhau* – suszony dorsz z jajkami i krewetkami. Na deser, zamiast ciasta, amazońskie owoce: zazwyczaj kakaowiec *cupuaçu* i *bacuri* – oba z soczystym miąższem o słodko-kwaśnym smaku.

Rodzina Mary rzadko spożywa te wieczerze w domu. Każdego roku stoły ustawiają przed budynkiem i biesiadują niemal do białego rana, przez całą noc nawiedzani przez krewnych i sąsiadów, więc liczba i skład gości przy stole nieustannie się zmienia.

Uczestników bożonarodzeniowej celebracji przybywa jeszcze następnego dnia. 25 grudnia zjeżdżają się kolejne ciocie i wujkowie, i wszyscy razem, teraz już około 30 osób, jadą nad jezioro uformowane przez rzekę Pindaré. Ten dzień przeznaczony jest na słodkie lenistwo: plaża, gra w piłkę, ryby z rusztu, opalanie i kąpiele.

Miasteczko

A teraz w głąb Amazonii. Pięć dni Amazonką do Manaus, a stamtąd barką po rzece Madeira aż do 30-tysięcznego miasteczka Borba. Zatrzymuję się tu u Zenildo Pereiry da Silvy, jednego z najmłodszych brazylijskich biskupów, stojącego na czele miejscowej prałatury. W Brazylii do hierarchów kościelnych ludzie zwracają się po imieniu, dodając tytuł grzecznościowy „dom".

Dom Zenildo zaprasza mnie do swojego skromnego domu z oknami bez szyb, tylko z roletami i moskitierami, i daje pokój z widokiem na rzekę.

Jego zdaniem amazońskie Boże Narodzenie można by opisać trzema słowami: radość, religijność, prostota. Wszystko to widziałem podczas odprawianych przez niego mszy: radosne piosenki i wymachiwanie ramionami podczas celebracji, uśmiechy na twarzach wiernych, ich gorliwość w modlitwie, skromne kaplice, w których trudno znaleźć najmniejszy przejaw przepychu.

– No więc wszędzie jest pełno *pisca pisca* – dom Zenildo opowiada mi o światełkach, które my w Polsce nazywamy choinkowymi. – Tradycją jest bożonarodzeniowa nowenna: dziewięć dni modlitw przygotowujących do narodzin Jezusa, zakończonych uroczystą celebracją w wieczór 24 grudnia. W całej Amazonii po mszy katolicy spotykają się na rodzinnych wieczerzach. Często, w miarę finansowych możliwości, nie brakuje na nich indyka i wina. Jest mnóstwo zabawy i wymiana prezentów. O wiele spokojniejszy jest dzień następny. 25 grudnia rodziny wypoczywają i nie celebruje się tego dnia już z taką intensywnością.

Pytam o pasterkę, po portugalsku nazywaną *missa do galo*, mszą koguta.

– Niestety – odpowiada dom Zenildo. – Już od lat w Brazylii się z niej rezygnuje. Ze względów bezpieczeństwa.

Więcej opowiada mi o tym świecki misjonarz Claudio Jorge Soares: – Kiedyś msze koguta odprawiano koło północy nawet na stadionach, dla tysięcy ludzi. Ale te czasy minęły. Brazylijczycy przestali używać nazwy *missa do galo*, niewielu już ją pamięta. W Brazylii niebezpiecznie jest wychodzić o tej porze na ulicę. Tylko zamknięte społeczności, jak wioski Indian Munduruku, mogą pozwolić sobie na mszę o północy. Już nawet w małych mieścinach jak Borba kwitnie przestępczość i teraz msza z okazji Bożego Narodzenia zaczyna się o dwudziestej. Tu przecinają się szlaki przemytu narkotyków. Bywa, że ludzie są napadani po wyjściu z kościoła.

Nie umarła za to, jak opowiada Claudio, tradycja nowenn. Nie tylko w Amazonii, ale w całej Brazylii. I nie tylko w kościołach: bardzo często przez dziewięć dni poprzedzających Boże Narodzenie ludzie spotykają się w domach, codziennie innym, i się modlą.

– Mimo problemów z bezpieczeństwem noc Bożego Narodzenia jest wesoła – przyznaje Claudio. – Gra głośna muzyka, nierzadko na żywo. Kogo nie stać na indyka, a nie stać wielu, je kurczaka. Do tego ryż z fasolą.

Takie właśnie danie jem z parafianami z Borby przy innej okazji: święta patrona.

Prezenty świąteczne dla dzieci w Iquitos, miejscowości położnej w peruwiańskiej części puszczy amazońskiej, grudzień 2012 r.

BERNARD GOLDEN / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

Po mszy odprawionej przez biskupa parafianie rozstawiają przed kaplicą plastikowe krzesła, gra latynoska muzyka, razem z dom Zenildo zajadamy kurczaka palcami i popijamy piwem. Dosiada się do nas João Paulo Marques Gonzaga. Ma 28 lat, kilka lat temu przeprowadził się do Borby ze wsi. Pochodzi z biednej rodziny rolniczej. Jest jednym z dziesięciorga rodzeństwa. Skończył filozofię, teologię i stosunki publiczne. W Borbie uczy w szkole średniej. Chce zostać diakonem, a w przyszłości – kto wie – nawet *vir probatus*, czyli żonatym księdzem. Jego żona Rarisse i syn Nicolas już nieraz widzieli go za ołtarzem podczas odprawiania nabożeństw.

– Nie tylko podczas dziewięciodniowej nowenny; tu w Borbie o Bożym Narodzeniu myślimy i przygotowujemy się już w listopadzie – opowiada. – I nie chodzi tylko o modlitwę. Ostatnio w tym okresie gotowaliśmy zupę i zapraszaliśmy na nią ubogie dzieci, a dla najbiedniejszych rodzin przygotowaliśmy kosze z podstawowymi produktami spożywczymi.

João Paulo, czyli Jan Paweł (oczywiście na cześć papieża z Polski), nakłada sobie tłusty kawałek: – Tutaj w Amazonii wiele rodzin podczas wigilijnej wieczerzy celebruje takie danie z kurczaka, jakby to był najwspanialszy indyk.

W Borbie główna bożonarodzeniowa msza odprawiana jest w katedrze. Odprawia ją dom Zenildo, a trwa od 20 do 22.30. I zawsze jest przedstawienie – dzieci, młodzież i dorośli przygotowują je cały miesiąc, by co roku zaprezentować nowy spektakl o narodzinach Chrystusa. Przed północą wszystkie rodziny siadają do stołów, o północy zaś są życzenia, uściski, krótka modlitwa, a potem radosna uczta czy zabawa.

Metropolia

Pół dnia drogi od Borby, pośrodku największego tropikalnego lasu świata, rozlała się dżungla betonu. Manaus jest ponaddwumilionową metropolią, do której przez lata nie prowadziła żadna droga lądowa, za to w centrum stoi wspaniały budynek opery, a dawni królowie kauczuku wysyłali stąd koszule do prania w Paryżu. Od tamtego czasu miasto zubożało, stało się zaniedbane i bardzo się rozrosło. Od 11 lat mieszka tu polski misjonarz ksiądz Grzegorz Paderewski.

– Tutejsze zwyczaje bardzo się różnią od naszych, a właściwie nie istnieją. Jak się przyjedzie z Polski, to aż boli – uważa. – Do Brazylii trafiłem kilka miesięcy przed świętami, nie mogłem się ich doczekać, a tu nic. Zrobiliśmy sobie z proboszczem coś wigiliopodobnego, a w pierwszy dzień świąt pojechaliśmy do jednej z wiosek odprawić mszę, ale się nie odbyła, bo wszyscy byli pijani. Po prostu: w noc wigilijną zrobili sobie fiestę. W Manaus obsługujemy pięć kaplic, a wszyscy proszą, by odprawić pasterkę jak najszybciej. Pierwsza jest więc o 18.00, ostatnia o 22.30. Bo oni mylą Boże Narodzenie z Nowym Rokiem. O północy zaczynają strzelać race i zaczyna się zabawa. Już wieczorem w kościele nic nie słychać, tyle wokół hałasu. Ale ludzi w kościołach jest dużo, a tego dnia przychodzą też tacy, których nie widać tam przez cały rok.

– Potrawy – kontynuuje ksiądz Grzegorz – pochodzą z Portugalii (suszony dorsz) lub Stanów Zjednoczonych (indyk), a symbolem szczęścia, pożądanym w każdym domu, jest włoska babka *panettone*. Biedniejsi jedzą tego dnia to, co na co dzień: rybę z Amazonki i kurczaka. Niektórzy ustawiają coś choinkopodobnego z plastiku. Śpiewa się amerykańskie „Jingle Bells". Jedyną kolędą jest „Cicha noc", po portugalsku „Noite feliz". Z Polakami z okolic spotykamy się zawsze kilka dni przed Bożym Narodzeniem. A wtedy Brazylijczycy się dziwią. Po pierwsze, że śpiewamy przy jedzeniu, po drugie, że śpiewamy tak smętnie. A jak tłumaczymy, że śpiewamy o Bożym Narodzeniu, to już w ogóle są zdziwieni.

Cicha noc

Jednak dom Zenildo bardzo lubi amazońskie Boże Narodzenie. Twierdzi, że w jego prałaturze społeczności katolickie są bardzo aktywne religijnie, choć do niektórych ksiądz dociera tylko raz albo dwa razy w roku. Sam to widziałem, kiedy przez kilka dni płynąłem rzekami po gigantycznym terytorium parafii, zamieszkanych głównie przez kaboklów, potomków Indian i Portugalczyków, ale też przez Indian. W wioskach ludzie budują kaplice, sami sobie odprawiają nabożeństwa. W Borbie jest 30 kandydatów na diakonów.

I również tym razem, gdy na horyzoncie zniknie ostatni płynący rzeką Madeira prom, zamilkną silniki spalinowe czółen, a czerwone słońce zniknie za wodą, dom Zenildo zaintonuje w katedrze św. Antoniego „Cichą noc".

© MIROSŁAW WLEKŁY

Autor jest reporterem, autorem m.in. książki „Raban! O Kościele nie z tej ziemi".

ARCHIWUM RODZINNE

Stanisław Budz Mróz (w środku) z synem Janem (po prawej), córkami i zięciem Janem Trebunią-Tutką (po lewej), Poronin, ok. 1928 r.

Po prawej: Krzysztof Trebunia-Tutka, Pardałówka, Zakopane, grudzień 2019 r.

Po prawej na dole: Trebunie-Tutki, kwiecień 2019 r.

Ludzie na moście

KRZYSZTOF STORY

Niektórzy górale na czas Adwentu zdejmowali ze skrzypiec struny. Żeby nie kusiło.

Zakopane, mieszkanie rodziny Trebuniów-Tutków. W niedużym salonie trudno znaleźć puste miejsce na ścianie. Większość zajmują obrazy, tatrzańskie pejzaże i obrazy na szkle, głównie autorstwa ojca Krzysztofa. Jest też kilka portretów Stanisława Budza Mroza, ostatniego dudziarza podhalańskiego, przodka po kądzieli, jest autoportret Władysława, artysty plastyka i muzyka. Po prawej od niego zmieścił się jeszcze zegar, a dalej już jest kominek, nad którym wisi sześć par skrzypiec.

Krzysztof i Anita opowiadają o budowaniu mostów. Na początku tych muzycznych.

– Staliśmy się kontrowersyjni już od pierwszych nagrań – mówi Krzysztof. – Muzykowaliśmy ze wszystkimi, muzyka była dla nas spotkaniem, formą rozmowy. Jeszcze przed powstaniem zespołu Trebunie-Tutki przyjeżdżali do nas Szwedzi, Holendrzy, Baskowie. Już jako dzieci podróżowaliśmy z góralskimi zespołami regionalnymi po Europie. Chcieliśmy pokazywać światu naszą kulturę, być jej ambasadorami, ale równocześnie ją rozwijać.

– Chciałeś też poznawać ładne dziewczyny z Zachodu – dorzuca jego żona. Krzysztof przyznaje jej trochę racji i wraca do muzyki. Od 1991 r. przeszli ewolucję od kapeli góralskiej po zespół koncertujący na największych festiwalach muzyki świata w Europie, a także w Azji i Ameryce Północnej. Osiągnęli to, wychodząc poza ramy kultury góralskiej, spotykając ją z innymi. Nagrywali m.in. z Voo Voo, polskimi jazzmanami, Adrianem Sherwoodem, a ostatnio z gruzińskim zespołem Urmuli. Jednak ich najsłynniejsza współpraca to ta z 1992 r., na początku istnienia zespołu. Liderem grupy był wtedy Władysław Trebunia-Tutka, ojciec Krzysztofa. Ten z portretu w kuchni.

– Zespół Twinkle Brothers to była ikona muzyki *roots reggae*, klasyka gatunku – wspomina Krzysztof. – Na festiwalu w Kazimierzu Dolnym poznaliśmy Włodzimierza Kleszcza z Polskiego Radia, który zaproponował nam współpracę. A mój ojciec się tego bał. Że nie wszyscy zrozumieją połączenie jamajskiej, transowej muzyki ze swojską góralszczyzną, że to zbyt nowatorskie. Kazał mi odpisać, że nie damy rady, bo mamy sianokosy... To była bzdura, bo żadnego siana nie kosiliśmy od lat, jesteśmy rodziną inteligencką, bez gazdówki. Nie posłuchałem. Przesunąłem spotkanie na później, oswajając tatę. Kleszcz przyjechał w jesieni i zrobił nam szybki kurs z wiedzy o kulturze rastafariańskiej, słuchaliśmy ich nagrań. Miesiąc później przywiózł Jamajczyków.

Krzysztof miał wtedy 21 lat, był na studiach i właśnie wracał z egzaminu. Pamięta scenę jak z filmu.

Wchodzi do domu, a tam jego rodzina biesiaduje z rastafarianami z Jamajki, którym dredy sięgały do pasa. Ta scena została kilka lat później odtworzona przez

KRZYSZTOF STORY

JAN WIERZEJSKI

Juliusza Machulskiego w filmie „Girl Guide".

– Baliśmy się, czy damy radę. Transowość jamajskiej muzyki łączyliśmy z prostą harmonią naszych pieśni. Na początku nie było łatwo, ale wczuliśmy się w ich rytm. Zaproponowałem tacie i siostrze, by dopasować do niego nasze „krzesane po śtyry", czyli po cztery, i zagrało! Problem był z naszymi nieforemnymi zbójnickimi balladami. Musieliśmy dać sobie trochę miejsca, przestrzeni. Żeby na serio dialogować w muzyce, trzeba też wziąć oddech, posłuchać drugiej strony – opowiada Krzysztof .

Płyta „Higher Heights" trafiła na listy przebojów i stała się jednym z najtrwalszych mostów, jakie Trebunie stworzyli.

Nie wszystkim się takie muzyczne mieszanki podobały.

– Są tacy, którzy uważają, że psujemy tradycję. W nagraniach z Jamajczykami nie zmieniliśmy ani jednej nuty, co zostało dowiedzione w muzykologicznych badaniach, m.in. sceptycznie nastawionego do tego projektu prof. Tima Cooleya z Kalifornii. Na swoje usprawiedliwienie dodam, że nowa muzyka, takie eksperymenty, na które patrzono krytycznie, powstawała co pokolenie. Np. dzisiaj zazwyczaj ludzie myślą, że tradycyjna góralska muzyka to tylko skrzypce i basy, a dawniej to były głównie instrumenty dęte – piszczały, fujary, dudy. Skrzypkowie kiedyś też byli w awangardzie.

Skansen

Dom rodziców, kolebka rodziny, znajduje się w Białym Dunajcu. Krzysztof był wychowywany w atmosferze artystycznego domu. Jego ojciec był malarzem, muzykiem, robił witraże i projektował tkaniny. Muzyki uczył się od niego, co nie zawsze było łatwe. Władysław był cierpliwym nauczycielem, ale tylko dla obcych uczniów. Od swoich dzieci oczekiwał instynktownej, wrodzonej umiejętności gry, a nie tracenia czasu na naukę. Z wykształcenia Krzysztof jest architektem, skończył Politechnikę Krakowską.

– Lubiłem w dzieciństwie budować domki, z piasku, z patyków, kamyczków, i choć zawsze przypominały góralskie chałupy, były dość współczesne. Później przyszło mi do głowy: w architekturze i muzyce robić to samo. Korzystać ze starych wzorców do stworzenia czegoś nowego – tłumaczy i dodaje: – Nikt się nie dziwi, że nowoczesna, naszpikowana elektroniką willa może nawiązywać do ↦

ANITA TREBUNIA-TUTKA

Krzysztof z dziećmi – Małe Trebunie-Tutki, 2013 r.

stylu góralskiego. A z muzyki czasem próbuje się zrobić skansen, być może w dobrej wierze, w trosce o to, by nasza kultura nie rozmyła się w zalewie innych treści. Ja też mam takie obawy, dlatego od 25 lat prowadzę dla młodzieży zajęcia wychowania regionalnego, nauki śpiewu, muzyki i tańca. Ale granie zawsze musi być żywe i emocjonalne, żeby miało wartość artystyczną i wypływało z tradycji.

Górale

Krzysztof idzie się przebrać do zdjęcia. Zakłada góralski strój, kapelusz. Tak wygląda na koncertach. Pytam, czy nie czuje się sztucznie.

– Dla mnie to naturalne. Mam na sobie odświętne ubranie góralskie, a wyjście na scenę traktujemy jak święto. To już jest relacja z publicznością. Kiedy muzykujemy w domu, jest to powszednie. Scena to zobowiązanie. Tam wychodzimy podzielić się kulturą i wydobyć z niej to, co najpiękniejsze.

– Warto?

– Warto. Pamiętaj, że dawne elity intelektualne, dzisiaj tak napiętnowane, właśnie pod Tatrami szukały źródła polskości. Ta kultura kojarzyła się z czymś pierwotnym, miała w sobie siłę. Trafiła do literatury. Góralszczyznę opisywali Sienkiewicz, Witkacy, Tetmajer, wielu innych. To nas zbudowało. Powstał Związek Górali, potem Związek Podhalan, który obchodził w tym roku setne urodziny.

– Być góralem: co to dzisiaj znaczy?

– Niektóre elementy naszej tradycji znają wszyscy, takie jak strój, taniec, muzykę, gwarę, instrumenty, część zwyczajów. Ale jest też zestaw wartości, podobny od wieków. Otwartość na innych na przykład. Tu przez lata mieszało się wiele różnych kultur, nie tylko pasterskich. Lud pogranicza nie tylko otwierał się na innych, ale cały czas asymilował inne grupy etniczne. Jeśli szukamy najlepszych cech dawnych górali, to jest jedna z nich. Ja wiem, że w literaturze, szczególnie u Stanisława Witkiewicza i Tetmajera, jesteśmy idealizowani. Ale ja te same cechy widziałem u swojego dziadka, u swojej prababci, która przyjmowała w domu bezdomnych – wędrownych „dziadów", jak ich wtedy nazywano. Te wartości to traktowanie chrześcijaństwa na serio, proste życie Ewangelią.

– Dzisiejszy stereotyp górala ma niewiele wspólnego z otwartością.

– To już niestety kwestia polityczna, cierpią z jej powodu również ci, którzy na to nie zasłużyli. Dzisiaj jedna strona przyznała sobie monopol na patriotyzm, szermuje wartościami, padają wielkie słowa, a w rzeczywistości nie wygląda to tak dobrze. Zapominamy, że ten inny, ten bliźni, którego Biblia nakazuje szanować, to także uchodźca, to także gej, to każdy człowiek.

– Mówiłeś o traktowaniu chrześcijaństwa na serio, a te postawy są często kojarzone z Kościołem.

– Zgoda, górale zawsze byli i są bardzo wierzący. Ale też umiejętnie oddzielali wiarę od przesadnych praktyk religijnych. Dewocja była nawet źle widziana, zwłaszcza w wydaniu męskim. Spójrz na postać Jana Krzeptowskiego Sabały. On miał głęboką wiarę, ale jak sam mówił – nie zawracał Panu Bogu głowy swoimi problemami. Na ziemi chce być zdrowy, a w niebie – chodzić po lasach i halach, i od czasu do czasu jakąś koziczkę ustrzelić. I tyle. Górale zawsze bardzo naturalnie podchodzili do księży. Z księdza można było sobie delikatnie dworować w śpiewkach, bo był tylko człowiekiem. Wiara była prywatną sprawą, nie służyła polityce. Dzisiaj to się zatraca.

– Wy się w ten wizerunek nie wpisujecie.

– I dobrze. Ks. prof. Józef Tischner napisał takie zdanie: „Kultura góralska nie przez to jest wielka, że jest góralska, tylko przez to, że jest ludzka". Staramy się o tym pamiętać.

Zdjęcie

Zdjęcie pochodzi z koncertu Męskiego Grania w Katowicach, 10 sierpnia 2019 r. Na scenie stoją dwie osoby, trzymają się za uniesione ręce. Po lewej Krzysztof Trebunia-Tutka w odświętnym góralskim stroju – białe portki, kapelusz, zdobiony pas bacowski. Po prawej stoi Maria Peszek w krótkich blond włosach i czarnym T-shircie. Na ramieniu ma tęczową opaskę.

– Poznaliśmy się na Koncercie Wolności w Gdańsku, 1 czerwca – wspomina Krzysztof. – Naszą piosenkę „Jo cłek wolny" zaśpiewali wtedy wszyscy artyści. Tam była taka atmosfera, taka chwila, podniesienie ducha, że łatwo było się zaprzyjaźnić. Kiedy Maria zadzwoniła z zaproszeniem do spotkania na scenie, było to naturalną konsekwencją tego porozumienia, które czuliśmy. Od początku było wiadomo, że będziemy jej gośćmi, i musieliśmy dla siebie znaleźć miejsce muzycznie i światopoglądowo.

– Znaleźliście? Jesteście z dwóch kompletnie różnych światów.

– To prawda, wiele nas różni, ale zupełnie nie przeszkadza w przyjaznych relacjach i dobrej energii na koncercie. Wtedy w Katowicach wykonaliśmy razem m.in. utwór-manifest „Polska ABC i D". Ten tekst zaczyna się od wersu „Dzieli nas wszystko, nie łączy nic, daj mi być sobą, pozwól mi żyć". Nawet jeśli mamy ze

sobą niewiele wspólnego, to nie oznacza, że nie możemy rozmawiać, szanować się. Patrzę na to zdjęcie i jesteśmy na nim tacy, jakimi chcielibyśmy siebie widzieć. Otwarci, dobrzy, serdeczni.

– Nie baliście się? Maria jest kojarzona z bardzo ostrymi słowami, jej teksty są mocno antyklerykalne.

– Są też przejmujące i, niestety, coraz bardziej aktualne. Artyści, kiedy dopada ich smutek, beznadzieja, chcą go wyrazić, wyśpiewać. Najtrudniejsze tematy można łagodzić muzyką. My chcemy budować mosty i mamy na to swój sprawdzony sposób. Po prostu gramy – z Jamajczykami, z muzykami z Gruzji, spotykamy się na scenie i w życiu, bo przy wspólnym stole rozmawiamy o tych samych, najważniejszych dla wszystkich sprawach: miłości, wolności i rodzinie. Uważamy, że szacunek należy się każdemu. Także Marii, z którą śpiewamy: „Inny nie znaczy gorszy lub zły / Nie strzelaj proszę, pozwól mi być". Już bardziej wymownie się nie da.

ANITA TREBUNIA-TUTKA

Twinkle Brothers i Trebunie-Tutki przed nagraniem płyty „Songs of Glory/Pieśni chwały", Antałówka, Zakopane, 2007 r.

KRZYSZTOF STORY

Krzysztof Trebunia-Tutka (w środku) z dziećmi Anią i Jankiem, grudzień 2019 r.

Trebunie

Od lat uparcie nie wpisują się w stereotyp góralszczyzny. Nie tylko muzycznie, „psując tradycyjną muzykę" podczas nagrań zagranicznymi artystami, ale także światopoglądowo. W 1999 r. Trebunie-Tutki wsparli kampanię „Muzyka przeciwko rasizmowi" stowarzyszenia Nigdy Więcej. Krzysztof wiele razy zabierał głos w sprawach społecznych. W wywiadzie dla „Wprost" mówił, że czeka na *coming out* w góralskim kapeluszu. Często ponosili tego konsekwencje.

Krzysztof w 2017 r. został wykluczony z organizacji Festiwalu Folkloru Ziem Górskich w Zakopanem, który współtworzył od prawie 30 lat.

– Przez skrajną prawicę jesteśmy traktowani jak zdrajcy, wywrotowcy – mówi Krzysztof. – Zespół jest od pięciu lat konsekwentnie pomijany w życiu kulturalnym Zakopanego. Przez lewicę zaś dalej jesteśmy postrzegani jako konserwa, bo przecież gramy muzykę tradycyjną, śpiewamy o Bogu, chodzimy w tradycyjnych strojach i modlimy się w kościołach. Nigdy nie byliśmy typowymi góralami, ale i Zakopane jest coraz mniej typowe dla całego Podhala. Magia Zakopanego, Witkiewiczowska „zakopianina" dobrze na mnie działa. Oboje z Anitą staramy się widzieć przez nie góry, które są wieczne. Widzimy je z naszych okien i uczymy się dystansu. Góralskie pochodzenie mamy udokumentowane od XVII wieku, a od dwóch pokoleń jesteśmy inteligencką rodziną. Inteligencja, przecież bardzo piękne słowo, dzisiaj ma często pejoratywny wydźwięk. Nastał czas chaosu, podważania prawd, pisania historii na nowo. Myśleliśmy, że ta wolność, ten wypracowany, choć niedoskonały ład, jest normą. Że jest na zawsze – dodaje.

Adwent

Krzysztof wstaje, odbiera telefon od córki. Mówi, żeby przyniosła basy, zaraz przyjdzie syn ze skrzypcami, umawiają się na próbę. Jest początek grudnia. – To czas oczekiwania, ale dla nas również intensywnych przygotowań, bo za chwilę zaczniemy kolędować. Zwykle górale traktowali go jako czas wyciszenia – stwierdza Krzysztof. – Używało się innych instrumentów, pościło się nie tylko w piątki, ale też środy i soboty. Grało się na fujarach wielkopostnych, trombitach. Co ciekawe, nie można było grać na skrzypcach. Niektórzy górale na czas Adwentu zdejmowali ze skrzypiec struny. Żeby nie kusiło. Potem radość, odświętny czas, dużo dobrego się wtedy dzieje. Zauważ, że kolędy to jedne z nielicznych pieśni, które Polacy umieją i lubią śpiewać razem. Dla mnie to jeszcze okazja do innego rodzaju przekazu. Trafiamy również do ludzi, którzy stereotypowo myślą, że przyjechali ci przysłowiowi górale...

↦

– Krzysztof zawsze mówi ze sceny ważne rzeczy. Nawet do zwykłego zastanowienia się, czy hejt, obmowy, wycinanie drzew i palenie śmieci mieszczą się w jakichkolwiek wartościach – dodaje Anita.

– Macie swoje tradycje świąteczne?

– Ważną góralską tradycją są przedstawienia kolędnicze, to dzisiaj odżywa. I my chodziliśmy z szopką jako dzieci, czasem wozimy ją na koncerty, tylko anioły już z nas za stare. Pod Tatrami nigdy nie było dwunastu dań, u górali zawsze była bieda. Zupa grzybowa, kapusta z grochem, kluski z makiem, kompot. Na Podhalu przetrwało też sporo zwyczajów z kultury rolniczej: siano pod obrusem, snop zboża w kącie izby. Po pasterce można wyruszyć na podłazy. Sypie się owsem w izbie „na scyńście, na zdrowie" i składa życzenia, m.in. „w kozdym kątku po dzieciątku".

– A wasza własna Wigilia?

– Choinka stoi zwykle o tam, za tobą. W moim domu wieczerza wygląda inaczej, łączymy dwie tradycje, bo żona pochodzi z Brodnicy na Pomorzu, mamy 12 potraw i dużo ryb. Kolędujemy w domu, jemy wieczerzę, a potem idziemy zagrać na pasterkę za rodziców do kaplicy w Białym Dunajcu. Dla nas święta to czas oddechu po ciężkiej pracy i wielu podróżach.

– Kiedyś wróciliśmy do domu w Wigilię o piątej rano po dwóch tygodniach w trasie. Ale i tak udało się stworzyć świąteczny, rodzinny klimat, choć bez pomocy Krzysztofa i syna, którzy od lat akurat wtedy „muszą" jechać do lasu; w tym jesteśmy bardzo blisko tradycji – opowiada Anita.

– Czego będziecie życzyć ze sceny ludziom na święta?

– Jest wiele tradycyjnych góralskich życzeń. Wierszowanych, często zabawnych – mówi Krzysztof. – Ale chciałbym życzyć spokoju. Tego, na czym kiedyś polegał Adwent. Wyciszenia. Wszystkim nam się przyda.

Do małego mieszkania wchodzą dzieci. Przyszli na próbę. 17-letni Janek i 23-letnia Anna niosą odpowiednio: skrzypce i basy. Krzysztof rozkłada na stole nuty i tekst. Nie mają paradnych strojów, Ania ma wzorzystą spódnicę, Janek i Krzysztof zwykłe czarne golfy. Powszednie, rodzinne granie. Całe mieszkanie wypełnia się góralską nutą.

© KRZYSZTOF STORY

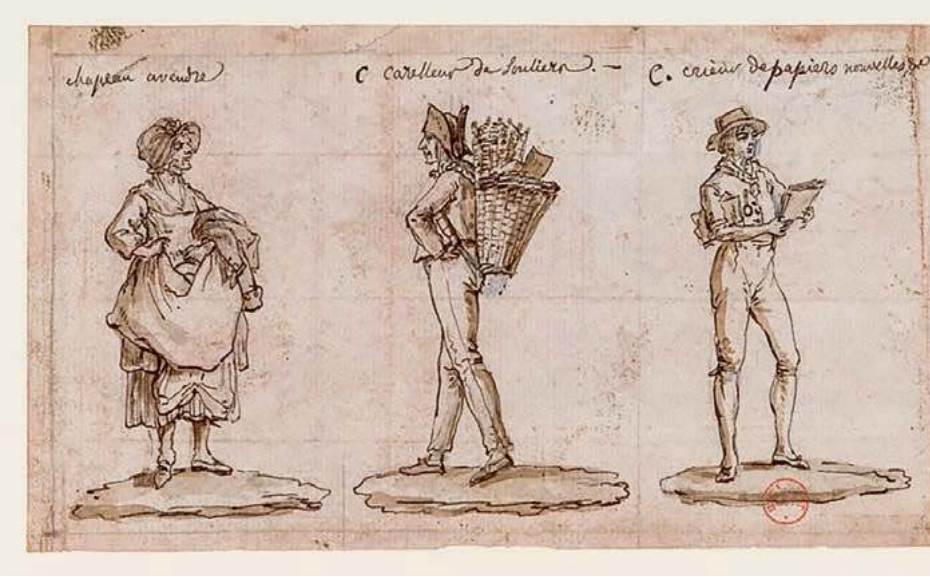

Karp przed Trybunałem

ŁUKASZ MODELSKI

4 grudnia 1793 roku rewolucyjna Francja skazała na śmierć wszystkie ryby pływające w stawach Republiki.

Od zburzenia Bastylii minęły z górą cztery lata. Rewolucja trwała nadal, więcej – nabierała rozpędu. Ludwikowi XVI nie udało się uciec. Odkąd przywieziono go z powrotem do Paryża, podpisywał wszystkie dokumenty – od konstytucji po wypowiedzenie wojny Austrii, która domagała się powrotu Francji do starych porządków. Jesienią 1792 r. powołano nową legislatywę – Konwent Narodowy. Każdy mógł do niego kandydować. W swej pierwszej ustawie znosił monarchię, by nazajutrz proklamować republikę. Ulica wrzała, jakobini napadali na więzienia mordując osadzonych tam arystokratów.

Na początku roku Konwent skazał na śmierć obywatela Ludwika Capeta, niegdyś króla. Wkrótce po jego egzekucji do Prus, Austrii i Sardynii, które na wybuch rewolucji zareagowały jako pierwsze, dołączyła Wielka Brytania, Hiszpania i Portugalia oraz kilka pomniejszych państw. Koalicja antyfrancuska wprowadziła blokadę morską Republiki, a wiosną pokonała armię generała Dumourieza, który po ogłoszeniu oburzającego Konwent zawieszenia broni oddał się do austriackiej niewoli. W marcu wybuchło powstanie w Wandei, katoliccy monarchiści rozpoczęli marsz na Paryż, podobnie zresztą jak wojska interwentów.

Dodajmy do tego głód, hiperinflację (rządowe asygnaty piętrzyły się w pozbawione wartości stosy) i wystąpienia różnych zradykalizowanych grup domagających się rozprawy z mającymi większość w Konwencie żyrondystami. Konwent miał więc pełne ręce roboty: w dniu wybuchu katolickiego powstania powołał do życia Trybunał Rewolucyjny, miesiąc później – Komitet Ocalenia Publicznego z Georges'em Dantonem na czele. W ciągu kilku wiosennych i letnich miesięcy jakobini sprawnie przeprowadzili w Konwencie pucz, eliminując z polityki (a po zabójstwie Marata w lipcu – również spośród żywych) żyrondystów. Republika wkroczyła na drogę terroru.

Suszymy!

Konwent zbierał się codziennie, na bieżąco decydując o prawach, które

GALLICA.NET

Claude-Louis Desrais, Paryscy uliczni sprzedawcy (przeł. XVIII/XIX w.). Od lewej – kapelusze, obuwie, gazety, garnki, warzywa, żywe karpie.

w formie dekretów niezwłocznie wprowadzano w życie. 14 frimaire'a roku II (4 grudnia 1793 r.) był jednak dniem szczególnym – wydano bowiem „Dekret o funkcjonowaniu rządu tymczasowego i rewolucyjnego", pełniący rolę tymczasowej konstytucji i ustalający faktyczny ustrój państwa. Konwent zdecydował, że „rząd pozostanie rewolucyjnym aż do osiągnięcia pokoju". W całym kraju zniesiono instytucje prokuratorów i trybunałów rewolucyjnych, zastępując ich „agentami krajowymi" i podporządkowując jedynemu, centralnemu Trybunałowi. Wszelkie działania o charakterze wojskowym zostały scentralizowane, a prawo do występowania w imieniu ludu stało się wyłącznym prawem deputowanych i Trybunału. Na mocy dekretu powstawał także „Bulletin des lois de la République", czyli dziennik ustaw. Urzędnicy w całym kraju zostali zobowiązani do wprowadzania w życie publikowanych w nim dekretów w ciągu 24 godzin od ich otrzymania.

Jeszcze tylko zrozumiały ze względu na sytuację wojenną dekret o „pomnożeniu fabryk siarki" (Paryż produkuje 700 karabinów dziennie, dostawy składnika do produkcji prochu strzelniczego są daleko niewystarczające) i „Bulletin" publikuje kolejną ustawę: „Prawo dotyczące osuszenia stawów". Do 15 pluviose'a, czyli do 3 lutego 1794 r., wszystkie stawy i jeziora Republiki mają zostać osuszone. Ich powierzchnie mają być przeznaczone pod zasiew zbóż lub nasadzenia warzyw. Wyjątki stanowią zbiorniki zasilające w wodę fosy obronne, dostarczające wodę do zakładów metalurgicznych, stanowiące część dróg wodnych, niezbędne do funkcjonowania młynów, papierni oraz irygacji terenów suchych i pojenia bydła – jeśli akweny te nie przekraczają powierzchni jednego arpenta (ok. 5 km^2).

Potrzeba błyskawicznej walki z głodem w warunkach wojennych zdaje się podobne rozwiązanie (i dwumiesięczny okres jego wprowadzenia) uzasadniać. Chodziło o uzyskanie szybko przynoszących plon upraw, żywności nadającej się do przechowywania i transportu. Co więcej – w przedrewolucyjnej pamięci elit pobrzmiewało echo pewnego trendu żywieniowego lansowanego przez fizjokratów. Wyznawcy tej teorii ekonomicznej, dowartościowującej rolnictwo jako gałąź przemysłu, i uprawę ziemi jako działanie etyczne, uznawali szczególną pozycję chleba jako podstawy wyżywienia. Osuszanie zbiorników wodnych, by w ich miejsce posadzić zboże, byłoby więc zgodne także z modną teorią.

Ludwik XVI jako świnia w koronie z ryb trzymany na postronku przez przedstawiciela stanu trzeciego. Odbitka propagandowa, 1791.

GALLICA.NET

Reakcyjne ryby

Dyskusja nad osuszaniem ma już wówczas we Francji tradycję. W latach 80. XVIII w. dużo mówiło się o bagnach jako o terenach malarycznych, które sprawiają, że ich mieszkańcy szybciej się starzeją, chorują i umierają. Bohater nominowanego do Złotej Palmy, obsypanego licznymi Cezarami i nagrodą Bafta filmu „Śmieszność" („Ridicule") Patrice'a Leconte'a (i powieści Rémiego Waterhouse'a, na podstawie której powstał film), prostoduszny arystokrata z prowincji, jedzie do Wersalu, by przekonać Ludwika XVI do idei osuszania bagien. Poddani naszego bohatera, mieszkający na podmokłych terenach, zapadają na malarię, osuszenie mokradeł uratowałoby setki rodzin. Arystokracie nie udaje się niczego wskórać (projekt zrealizuje dopiero po kilku latach, już na mocy dekretu z 14 frimaire'a – rewolucja obejdzie się z nim łagodnie), jednak sam pomysł wysyłania bohatera na dwór z podobną petycją jest echem dyskusji trwającej już za czasów ancien régime'u. Dyskusja ta dotyczyła ↦

jednak nie tylko osuszania malarycznych mokradeł, ale tego, czym są same mokradła. W poszerzonej definicji zaliczano do nich wszelkie wody stojące, przez które nie przepływa rzeka, a więc również stawy.

Dekret z 14 frimaire'a nie wyrósł na surowym korzeniu. Idea osuszania zbiorników wodnych powróciła już na samym początku rewolucji. W grudniu 1790 r. przyjęto dekret o osuszeniu bagien, a niecałe dwa lata później – „bagienniejących stawów". Podczas stosownej debaty we wrześniu 1792 r. deputowany Rougier-Labergerie (do niedawna Rougier de la Bergerie) żarliwie krytykował wykonanie ustawy o osuszaniu bagien, zarzucał złe funkcjonowanie systemu, słabe wykonanie ustawy, które powierzono władzom lokalnym. W jego wypowiedzi zabrzmiał jednak również nowy ton. Deputowany wzywał do osuszenia stawów, które „od tak dawna służą stołom próżniaczych mnichów albo uprzywilejowanych despotów". Z kolei deputowany Jacques-Antoine Boudin z departamentu Indre nazywał stawy „zabójczymi kloakami, którymi feudalna żarłoczność i przesąd pokryły ziemię zatruwając piękne okolice". Dyskusja poprzedzająca dekret z 14 frimaire'a trwa wiele dni. 3 frimaire'a, czyli 23 listopada 1793 r., Konwent przyjmuje raport deputowanego Bourdona z departamentu Oise, w którym autor precyzyjnie wylicza (opierając się na średniej liczbie ziaren w kłosie), jakie korzyści przyniosłoby osuszenie stawów i posianie na ich miejscu zbóż. Deputowany przekonuje również, że „Praktykowane przez księży publicznie posty, których najściślejsze przestrzeganie nałożyli na ludzi nazywających siebie »wiernymi«, przywiodły ich do myśli, by przekształcić najżyźniejsze obszary naszych wsi w stojące wody". Bourdon wskazuje kierunek, w którym podczas debaty pójdą i inni deputowani aż po finalny głos Dantona. Stawy trzeba osuszyć, ponieważ mają charakter reakcyjny i służą utrzymywaniu katolickiego zabobonu. Istotnie, o ile bagna w znakomitej większości leżały na terenach gminnych, stawy należały do szlachty lub (przede wszystkim) duchowieństwa, w znacznej zazwyczaj części (zależnie od regionu) – do klasztorów.

GALLICA.NET

Potwór o trzech głowach przedstawiających trzy stany arystokracji zajęte pożeraniem resztek trupa ludu. Poprzedza go zjawa o smoczych ogonach ubrana w mnisi habit. Dosiada ją okrakiem Hipokryzja trzymająca węża sączącego arystokratyczną truciznę. Anonimowa odbitka propagandowa z 1790 roku.

Przyczółki reakcji

Jesienią 1792 r. deputowany Rougier-Labergerie głosił: „Monastycyzm, godny towarzysz feudalizmu, również brał udział w zakładaniu stawów, jednak w swój proceder włączył kwestie religijne i proceder ten uznawany był właśnie z powodów religijnych". Wtórował mu deputowany Boudin, wskazując, że „dzięki poluzowaniu zasad wstrzemięźliwości i odrazie wobec monastycyzmu zmniejszy się spożycie potraw postnych. Obecnie, kiedy klasztory zostały bezpowrotnie zniesione, przestrzeganie postu będzie słabło w tym samym stopniu, w jakim postępu dokonywać będą republikanizm i rozum. Skutek powienien zniknąć w ślad za przyczyną".

Skutek – deputowany Boudin mówi wprost – to przestrzeganie postu. Jego przyczyną jest istnienie instytucji religijnych. W swym memoriale z jesieni 1793 r. Boudin przestrzega: „Każdy zachowany staw stanie się przyczółkiem (...) powrotu ancien régime'u".

Warto przypomnieć, że już Pierre François Boncerf w swej słynnej, opublikowanej w Londynie broszurze o szkodliwości feudalizmu (1776) domagał się „zniesienia" stawów jako symbolu przywilejów feudalnych (to „senior" decydował o założeniu stawu w swoich włościach), uniemożliwiających „pogodzenie człowieka z naturą". Staw jest więc symbolem feudalnym, stale obecnym zagrożeniem, przypominającym zarówno o dawnym, niesprawiedliwym porządku społecznym, jak i opresyjnym, sprzecznym z naturą porządku religijnym. W reakcyjnych stawach pływają reakcyjne ryby tradycyjnie wiązane z obowiązkowymi postami.

W przededniu rewolucji hodowla ryb słodkowodnych była zajęciem intratnym – kilogram karpia kosztował tyle, ile dwa kilo wołowiny, żywe ryby hodowane w stawach były droższe niż ryby morskie. Deputowany Bourdon: „Ryba nigdy nie trafiała na stół biedaka, a na stole bogacza była daniem zbytkownym". Karpie, szczupaki, liny i okonie – najpopularniejsze ryby XVIII-wiecznej Francji, były jednak towarem bardzo popularnym. Z okolic obfitujących w stawy i żyjących z nich (jak leżące w środkowej Francji Sologne, Brenne, Meaux czy położone nieco na północ od Lyonu Dombes) transportowano ryby w barkach rzekami, zapewniając wymianę słodkiej wody, czy

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

na wozach, w specjalnych skrzyniach, w których również wymieniano wodę. Jednym słowem – ryby pokonywały odległe dystanse, w znacznej mierze trafiając także na eksport do Sabaudii, a nawet do Piemontu. Nic dziwnego, że w „karpionośnych" regionach cena czynszu za staw wynosiła mniej więcej dwukrotność tego, ile najemca płacił za pole uprawne. To karp, wbrew dzisiejszemu przekonaniu, był przez stulecia najpopularniejszą rybą Francji. Na stoły szlacheckie i klasztorne trafiał tysiącami. Dla przykładu: w roku obrachunkowym 1361-62 w dobrach księcia Burgundii odłowiono 33 766 karpi, a jedynie 2739 innych ryb.

Ból w stawach

Deputowani mieli rację – ogromny popyt na ryby hodowlane ściśle wiązał się z postem. Ryba, sama od początku symbolizująca chrześcijaństwo, będąca symbolem zarówno chrzcielnym, eucharystycznym, jak i wprost chrystologicznym, stanowiła główny posiłek podczas dni postnych, których w wieku XVIII, według ścisłej obserwancji, było w ciągu roku przynajmniej dwieście. Walka z hodowlą „postnych" ryb była walką z postem, to oczywiste. Jednak dekret z 14 frimaire'a nie przeszedł automatycznie. Całe regiony Francji żyły z hodowli ryb. Osuszenie stawów w sposób oczywisty zabijało ich gospodarkę.

Podczas dyskusji przywoływano wszystkie znane już argumenty – od tych używanych przez fizjokratów, przez argumenty zdrowotne (bagna i stawy nadal traktowano jako synonimy), walkę z epidemiami, rzekome wywoływanie powodzi, po walkę z symbolem feudalizmu. Staw – w dobie ciężkiego kryzysu, w jakim znajdowała się młoda Republika – musiał zostać zniesiony także dla uspokojenia nastrojów społecznych, zwłaszcza wśród paryskich sankiulotów domagających się, aby to państwo decydowało, co można uprawiać na ziemiach pozostających w rękach prywatnych.

Staw, jako efekt spisku dawnych stanów uprzywilejowanych, zakładany po to, by głodzić masy, musiał zniknąć.

Jednak deputowani z Dombes czy Meaux nie byli przekonani. Dekret godził w podstawy bytu obywateli ich regionów. Dyskusja stała się gwałtowna. Opór wobec projektu był większy, niż się spodziewano. I tutaj właśnie wkracza Danton stojący na czele wszechwładnego w czasach terroru Komitetu Ocalenia Publicznego. „Wszyscy jesteśmy ze sprzysiężenia przeciwko karpiom" – krzyczy, nie ruszając się z miejsca. „Sprzysiężenie" czy „spisek" doskonale oddaje język czasów terroru. W spisanych po latach wspomnieniach deputowany Rougier-Labergerie pamięta wystąpienie Dantona tak: „Obywatelu przewodniczący, jeśli chodzi o mnie, wolę barana od karpia, głosuję za ustawą". Głos Dantona zdecydował. Dekret uchwalono jednogłośnie. Wszystkie stawy Republiki (z niewielkimi wyjątkami) miały zostać osuszone. Cztery dni później wydano do ustawy przepisy wykonawcze.

Dekret z zadziwiającą skutecznością udaje się wprowadzić w życie. W Meaux w ciągu trzech lat osuszono 84 proc. stawów, zagospodarowano jednak zaledwie połowę „odzyskanej" powierzchni, przeznaczając ją pod pastwiska i uprawy. Przekształcenia stawów w pola uprawne były kosztowne, wymagały wielu rąk do pracy. Z tym było niełatwo. Nie było również wystarczających ilości ziarna i sadzonek pod zasiewy i nasadzenia. Co więcej, ryby zbierane zimą ze spuszczonych stawów były młode, a przez to małe, często zbyt małe, by można było je jeść.

14 marca 1794 r., zaledwie półtora miesiąca po terminie osuszenia stawów wyznaczonym przez Konwent, komisarz Boutier, który wprowadzał wykonanie nowej ustawy w departamencie Seine-et-Marne, napisał memoriał do Komisji Wyżywienia i Zaopatrzenia. Pyta w nim, czy na pewno osuszać należy również stawy w lasach, w których nie da się uprawiać zboża, pozbawiając tym samym zwierzynę hodowlaną źródeł wody, a także: czy Komisja jest świadoma, że ograniczenie powierzchni stawu do jednego arpenta pozbawi bydło wody w czasie suszy. Boutier nie był jedyny. Komisja miała świadomość absurdów, jednak nie ośmieliła się wystąpić przeciwko Konwentowi. „Komisja nie może wyłączyć się spod działania prawa, nie może go zmieniać ani interpretować" – odpowiadał Boutierowi przewodniczący, życząc komisarzowi „kontynuowania misji z zapałem".

Wraz z końcem Wielkiego Terroru zapał osuszania stawów osłabł. Ostateczny cios francuskim hodowlom karpia zadało dopiero wprowadzenie katastru w 1831 r. Podatek naliczany od wartości gruntu uczynił ją całkiem nieopłacalną.

© ŁUKASZ MODELSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia**: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ® mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak:
Bóg przenika istnienie

Bóg przenika całe istnienie, ożywia je i porusza. Ale nasze myślenie, nasz język, poznanie są na tyle ograniczone, że nie jesteśmy w stanie Go pojąć. Nie rozumiemy jego dróg. Konsekwencja tego stanu rzeczy dla nas jest katastrofalna. Nie możemy i nie potrafimy się do świata zewnętrznego dostosować. Nie jesteśmy w stanie nawet z doświadczenia nauczyć się decyzji Wiekuistego. Nawet jeśli dane są nam spełnienie, radość i wygody, nie możemy nic innego uczynić, niż w milczeniu oraz pokorze przyjąć ten dar. Nie panujemy nad swoim losem i przeznaczeniem – i nic tego nie zmieni.

Nie uzyskamy żadnej innej wiedzy o Bogu i żadnej nauki od Niego poza jedną: jesteśmy skazani na niekończący się trud. Trud, którym jest praca, zmaganie z życiem, czasem głód , niewdzięczność, niepewność istnienia.

Kohelet przedstawia się jako ktoś, kto w każdej sytuacji jest tak bardzo podatny na zranienie. Wynika to nie tylko z tego, iż lepiej niż inni jest zdolny do wyjątkowej ostrości widzenia, ale przede wszystkim dlatego, że utracił zaufanie do świata. W teologiach wcześniejszych Ksiąg znajdziemy jednocześnie dwa twierdzenia: ich autorzy piszą o zaufaniu do Boga, a ich intelektualny zapał wiąże się właśnie z wiarą i miłością do Pana. Wiedzieli też, że otacza Go niepojęta tajemnica. Ale to nie podważało i nie niepokoiło ich wiary. W przypadku Koheleta jest inaczej. Owa tajemnica niepokoi go. Jest ciężarem, jak ciężarem jest niepokój o przyszłość i wyroki Najwyższego. I dlatego dochodzi do skandalicznego wniosku, tak bardzo niepojętego dla jego poprzedników: wszystko jest marnością. Całe życie jest marnością i padają w traktacie tego życia słowa straszne: lepiej jest się nie urodzić, niźli nieść ze sobą ów trud i marność życia: „I chwaliłem umarłych, że już umarli, bardziej niż żyjących, którzy jeszcze są żywi. A za lepszych od nich obu uznałem tych, których jeszcze nie ma, bo nie widzą tego wszystkiego, co się dzieje złego z tego, co jest czynione pod słońcem” (Koh 4, 2-3). Nie ma w tym – co zabrzmi skandalicznie – wiary w zbawienie i zmartwychwstanie.

Pogląd Koheleta nie ma oparcia w naukach żadnych ze szkół teologicznych Izraela. Widzimy go jako człowieka spoza tradycji i takim się nam przedstawia. Jest „obcym” w tej rzece tradycji, porusza się w kręgu swoich tylko doświadczeń. Można to nazwać jeszcze inaczej, być może trafniej: Kohelet odkrywa przed nami ten wymiar doświadczenia, który dotąd nie był wyrażony, nie miał swojego języka, albo też wszedł w taką materię bytu, która była przesłonięta czy wręcz wygłuszona przez konwencjonalnych nauczycieli wiary. Jest świadkiem czegoś, co nie miało nazwy. Wkroczył do wcześniej niemal nieznanego wymiaru świata. Dzięki niemu zaistniały i zyskały swoje imiona, a są nimi – absurd i marność. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Cztery msze

W uroczystość Narodzenia Pańskiego mamy aż cztery msze. Pierwszą w Wigilię, drugą o północy, trzecią o świcie i czwartą w ciągu dnia. Dawniej msza o północy nazywała się mszą anielską, jako że to aniołowie byli pierwszymi, którzy ogłosili światu, że w Betlejem narodził się nam Zbawiciel. Druga, odprawiana rankiem, nazywała się mszą pasterską, gdyż to pasterze pierwsi usłyszeli anielskie orędzie i odpowiedzieli na nie, udając się do miejsca narodzin. Wreszcie msza królewska, odprawiana w południe, miała przypominać o przybyciu Mędrców ze Wschodu.

Cztery msze, cztery uczty w ciągu jednego dnia. Jak świętować, to świętować. Podobne świętowanie czeka nas na wiosnę, w uroczystość wszystkich uroczystości, czyli w Zmartwychwstanie Pańskie. Zresztą w tradycji wschodniej Narodzenie Pańskie nazywa się Paschą Zimową, a Wielkanoc to Pascha Wiosenna (a Mała Pascha to Wniebowzięcie Maryi Matki Chrystusa). Małą Paschą bywa też nazywana niedziela. Jest więc co świętować. Ale jak świętować, żeby było po chrześcijańsku? Trzeba przypatrzeć się Jezusowi: w jaki sposób świętował On i z Nim zaprzyjaźnieni?

W działalności Jezusa, a mówiąc uczenie: w historii zbawienia, zasadniczą rolę odgrywa uczta i stół. Zarówno w Pierwszym, jak i Drugim Przymierzu najważniejsze rzeczy wydarzyły się przy stole i tego porządku nie zdołał zniszczyć nawet krzyż. Zaraz po Jego śmierci apostołowie znowu odnajdują Jezusa przy stole, przy posiłku – i to przygotowanym przez Niego samego. Autorzy biblijni, opowiadając o tych wydarzeniach zaznaczają, że skoro tylko Jezusa rozpoznano, czy to w Emaus, czy nad brzegiem Jeziora Galilejskiego, w tej samej chwili znikał z oczu. Można to rozumieć tak, że w ten sposób podawał apostołom, a tym samym nam, swój nowy adres zamieszkania. Chcąc Go dzisiaj odnaleźć, trzeba iść po śladach pasterzy, mędrców, królów i aniołów i szukać Go tu, gdzie się żyje.

I tak pasterze odnaleźli najważniejszą osobę swoich czasów i wszech czasów w miejscu pracy, na pastwisku, pośród trzody. Podobnie jest z Mędrcami: początek drogi do najważniejszego wydarzenia w historii odnaleźli w tym, czym się zajmowali, najpewniej w astrologii. A ślady aniołów, gdzie ich szukać? Nigdy gdzieś tam, ale wokół siebie.

Spróbujmy na ten świąteczny czas zostawić za progiem wszystkie najpilniejsze sprawy zawodowe, a zwłaszcza politykę. Wróćmy do nich po świętach. A, jeszcze prezent. Najpiękniejszym, jaki możemy sobie dać, to czas i uważna obecność – koniecznie przy stole. Tym kościelnym i tym domowym, ponieważ między nimi istnieje nierozerwalna więź, sprzężenie zwrotne. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Pokora i zgorszenie

Mówi Jezus: „Kto się napił z mych ust, stanie się takim jak ja. Ja sam stanę się nim i to, co ukryte, zostanie mu objawione”.
EWANGELIA TOMASZA

Jak Bóg pragnie, by człowiek wewnętrzny został uformowany na Jego podobieństwo, tak człowiek tworzy Boga na ziemi na swoje podobieństwo.
ASKLEPIOS

Wybrał PIOTR SIKORA

„Upokorzył samego siebie” – pisze św. Paweł, rozważając prawdę o wcieleniu Syna Bożego (Flp 2, 8). To prawda: żłób, los uchodźczego dziecka, życie spędzone w „ukryciu”, potem bezdomność życia publicznego: wśród najbiedniejszych, napiętnowanych i grzesznych („żarłok i pijak, przyjaciel celników i grzeszników”), śmierć niewolnika (krzyż). I dalej: pokora wcielenia „przedłużonego” w prostym słowie Ewangelistów i w słabości/naruszalności chleba i wina. Aż po największą pokorę, najbardziej szaloną, wymagającą najwięcej odwagi i zaufania – pokorę wcielenia w... Kościół: w nas, ciebie i mnie.

Pięknie mówi o tym 18. rozdział Ewangelii wg św. Mateusza: „Gdzie dwóch albo trzech jest zebranych w imię moje – tam Ja jestem pośrodku nich” (Mt 18, 20). Czynimy Go obecnym, kiedy się schodzimy – nasza wspólnota jest sakramentem Jego obecności. Tyle tylko że nie jest to w żadnej mierze wspólnota idealna (i to pokazuje ów 18. rozdział). To wspólnota braci, których rozsadza niezdrowa ambicja (zob. Mt 18, 1-5). To wspólnota, którą rozwala zgorszenie: najpierw gorszymy w niej „maluczkich” (tzn. stajemy się przyczyną ich upadków), a następnie nimi gardzimy i zostawiamy samym sobie (Mt 18, 6-12). To wspólnota wezwana do trudnej miłości, której formą jest upomnienie braterskie (Mt 18, 15-18) i wybaczenie – jeśli trzeba, to siedemdziesiąt siedem razy (Mt 18, 21-35).

W takim właśnie Kościele: pyszałków i upokarzanych, gorszących i gorszonych, grzeszących i zmagających się z wezwaniem do miłosierdzia – trwa Pan! Z taką wspólnotą się utożsamia, w nią się wciela.

Dlaczego więc mnie przychodzi to z taką trudnością? Albo dlaczego chciałbym sam arbitralnie niektórych wyrzucać poza granice owej wspólnoty – odmawiając im prawa czy moralnego tytułu, by byli członkami Jego mistycznego Ciała?

Może dzieje się tak po prostu dlatego, że we mnie nie ma takiej pokory, jaka jest w Nim. Umyka mi także konsekwentne zrozumienie Jezusowego zdania: „Nie jest wolą Ojca mego, który jest w niebiosach, aby zginął jeden z tych małych” (Mt 18, 14). Właśnie tak! Nie chodzi o to, jaka jest moja (!) wola; chodzi o to, jaka jest wola Ojca. Liczą się Jego nadzieje w stosunku do każdego z tych „maluczkich”.

Czy jest na tej ziemi – i czy jest w naszym Kościele – choć jeden człowiek, o którym moglibyśmy powiedzieć, że został już na zawsze „skreślony” przez Ojca? Że Ojciec stracił wiarę w jego dobro, w jego przemianę i nawrócenie? To, na ile poddajemy się logice Jezusowego wcielenia, widać po naszym stosunku nie do najmocniejszych i najświętszych członków naszej wspólnoty, ale do „maluczkich”, pogubionych i grzesznych. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (22 XII – 5 I)

Czwarta niedziela Adwentu: Iz 7, 10-14; Ps 24; Rz 1, 1-7; Mt 1, 18-24;
Poniedziałek: Ml 3, 1-4. 23-24; Ps 25; Łk 1, 57-66;
Wtorek: 2 Sm 7, 1-5. 8b-12. 14a. 16; Ps 89; Łk 1, 67-79;
Środa, uroczystość Narodzenia Pańskiego (msza w dzień): Iz 52, 7-10; Ps 98; Hbr 1, 1-6; J 1, 1-18;
Czwartek, św. Szczepana: Dz 6, 8-10; 7, 54-60; Ps 31; Mt 10, 17-22;
Piątek: 1 J 1, 1-4; Ps 97, J 20, 2-8;
Sobota: 1 J 1, 5 – 2, 2; Ps 124; Mt 2, 13-18;
Niedziela, święto Świętej Rodziny: Syr 3, 2-6. 12-14; Ps 128; Kol 3, 12-21; Mt 2, 13-15. 19-23;
Poniedziałek: 1 J 2, 12-17; Ps 96; Łk 2, 36-40;
Wtorek: 1 J 2, 18-21; Ps 96; J 1, 1-18;
Środa, uroczystość Świętej Bożej Rodzicielki Maryi: Lb 6, 22-27; Ps 67; Ga 4, 4-7; Łk 2, 16-21;
Czwartek: 1 J 2, 22-28; Ps 98; J 1, 19-28;
Piątek: 1 J 2, 29 – 3, 6; Ps 98; J 1, 29-34;
Sobota: 1 J 3, 7-10; Ps 98; J 1, 35-42;
Druga niedziela po Narodzeniu Pańskim: Syr 24, 1-2. 8-12; Ps 147B; Ef 1, 3-6. 15-18; J 1, 1-18.

POBOŻNE ŻYCZENIA

Prognozy klimatyczne nie okażą się raczej błędne – choć byłby to najpiękniejszy prezent od losu. Ale możemy skromniej pomarzyć, że polityka się odmłodzi i nauczymy się, iż życie publiczne jest trochę teatrem.

PIOTR STANKIEWICZ

Czas świąt grudniowych to czas wyjątkowy dla wszystkich, nawet dla ateistów. Wyjęty z bieżączki życia codziennego, ale też z logiki, która kazałaby życzyć (sobie i światu) tego, co możliwe do spełnienia. A więc czego – u progu lat 20. XXI w. – możemy życzyć naszemu społeczeństwu, nie patrząc na to, czy będzie łatwo? Na rozgrzewkę parę aktualnych konkretów, które można by wysłać pod konkretne adresy. Dbając o sprawiedliwie rozłożone złośliwości rzekłbym, że można by życzyć Prawu i Sprawiedliwości, by Marian Banaś zrobił wigilijny rachunek sumienia i złożył rezygnację. Platformie Obywatelskiej – żeby udało się jej wystawić kandydata/kandydatkę na prezydenta (nie jest to jeszcze ogłoszone, w chwili gdy piszę te słowa), który/która byłby/byłaby w stanie porwać choćby działaczy partii. Lewicy – by wystawiła kandydatkę, która będzie jakkolwiek rozpoznawalna poza gronem facebookowych komentatorów. PSL-owi niczego życzyć nie trzeba, bo wszystko ma, a Konfederacji, wiadomo, żeby z jej szeregów wyemanował spot na majowe wybory równie przebojowo surrealny jak nieśmiertelny „kościół – szkoła – strzelnica”.

JACEK TARAN

Młodzieżowy Strajk Klimatyczny, Kraków, listopad 2019 r.

Dajcie miejsca

A mniej złośliwie, bardziej serio? Życzyłbym nam wszystkim, aby moje pokolenie zostało bardziej dopuszczone do udziału w życiu politycznym. Ba! Urodziłem się w roku 1983, a więc w roku, w którym zginął Grzegorz Przemyk, w którym zniesiono stan wojenny, a Nobla dostał Wałęsa, a nie Tokarczuk. Innymi słowy: to było naprawdę dawno. Ogromne pokolenie wyżu lat 80. powoli zbliża się do czterdziestki – nie jesteśmy już młodzieżą, niespecjalnie nawet można nas nazwać młodymi ludźmi. Są nimi studenci, których uczę. Innymi słowy, polska polityka jest tak zabetonowana, że zanim spełniło się hasło „dajcie trochę miejsca mojemu pokoleniu", trzeba je już rozszerzyć. „Dajcie trochę miejsca mojemu pokoleniu... i temu następnemu!".

Polska klasa polityczna jest silnie zdominowana przez mężczyzn w wieku słusznym i bardziej niż słusznym. Przykład najbardziej oczywisty: skład Sejmu. Mieliśmy akurat wybory, więc są nowe, jeszcze ciepłe dane. Owszem, pojawiło się w Sejmie dużo świeżej krwi, w tym krwi młodej, ale średnia wieku jako całości nie drgnęła o jotę i wynosi 50 lat. Ba, nawet się nieco podniosła, bo w poprzedniej kadencji było to lat 49. Średnia to zwodniczy parametr, owszem. Ale bardziej szczegółowe dane też są raczej jednoznaczne: ponad połowa (53 proc.) obecnych posłów i posłanek jest po pięćdziesiątce, a 80 proc. – po czterdziestce. W VIII (poprzedniej) kadencji były to liczby bardzo podobne: 54 proc. po pięćdziesiątce, 79 proc. po czterdziestce. W VII kadencji – odpowiednio 50 i 80 proc. Ujmująca stałość. Nie jestem ejdżystą, ale trzeba zauważyć, że polityka jest zajęciem dla ludzi w drugiej połowie życia.

Problem dotyczy oczywiście nie tylko Polski: przykład najbardziej oczywisty to Stany Zjednoczone. Czołowi kandydaci w wyborach 2020 r., Bernie Sanders, Elizabeth Warren, Michael Bloomberg, Joe Biden czy oczywiście sam Donald Trump – wszyscy są po siedemdziesiątce. Takie są fakty. Ale faktem jest też, że w chwili, gdy piszę te słowa, Finlandia wybiera 34-letnią premierkę, Sannę Marin. Moje pokolenie ma już swoich szefów rządów na Ukrainie (Ołeksij Honczaruk, 35 l.) czy w Nowej Zelandii (Jacinda Ardern, 39 l.), a miało i w Austrii (Sebastian Kurz, 31 l. w chwili objęcia urzędu). Na tym tle Polska wypada blado. Dwukrotne premierostwo Waldemara Pawlaka (w tym jedno trwało 33 dni) jest ciekawostką właściwą latom 90. XX w.

Czy zatem rządy starszych panów są czymś złym samym w sobie? Bynajmniej! Tu nie o istotę chodzi, ale o ilość. Myśmy po prostu w tej materii przesadzili – ta struna jest przeciągnięta za bardzo. Polskie „zawłaszczenie" (może nawet bez cudzysłowu) polityki przez starsze pokolenia rodzi problemy. Jakie?

Przede wszystkim: stajemy się zakładnikami sposobu myślenia ukształtowanego, delikatnie ujmując, w poprzednim tysiącleciu. Niedosyt ludzi młodych na najwyższych szczeblach sprawia, że władza nie jest w stanie dostrzec problemów realnych, które są tu i teraz, a które dotyczą teraźniejszości i przyszłości. Lista tych problemów również nie jest nowością i jest dłuższa niż świąteczny numer „Tygodnika": począwszy od nierówności społecznych, przez prekaryzację i uberyzację rynku pracy, wyzwania migracji, po wszechwładzę korporacji i wyzwania stawiane społeczeństwu (i demokracji) przez technologię. A najwyrazistszy przykład to oczywiście sprawa klimatu. I zjawisko szalenie charakterystyczne: jak bardzo pokoleniowa jest reakcja społeczna na tym froncie. Strajki klimatyczne są niejako odwrotnością marszów KOD-u: tam dominowały siwe włosy, tu dominują licealiści. To nie przypadek, że Greta Thunberg nie ma nawet siedemnastu lat, i nie jest też przypadkiem, że wszystkie te protesty odbywają się w znacznej mierze wbrew. Młodzi ludzie protestują wbrew i przeciw temu, że starsi problemu wolą nie widzieć.

Systemowa niedoreprezentacja ludzi młodych w polityce rodzi szereg dalszych problemów. Niejasne kanały awansu są demotywujące czy wręcz demoralizujące. Co gorsza, starsze pokolenia wymuszają na młodszych to smutne ustępstwo, że aby zrobić karierę w polityce – trzeba przyjąć *modus operandi* starych. Zachodzi reprodukcja złych wzorców, która sprawia, że nie chodzi tylko o metrykę, ale i odtwarzanie pewnego stylu uprawiania polityki. Dla przykładu, PiS potrafi dbać o reprodukcję pokoleń całkiem nieźle (przykładem Michał Woś – minister 28-letni), co nie znaczy, że problemy młodych i dalszy los świata widzi on lepiej niż którakolwiek z poprzednich ekip.

Polityczna energia młodych ludzi jest blokowana. Nie znajdując sobie ujścia w oficjalnej, instytucjonalnej polityce, szuka go gdzie indziej, często niezbyt szczęśliwie. Mówiąc inaczej: młodzi się uczą nieszczęsnego myślenia, że rzeczy politycznych nie rozstrzyga się w polityce. Uczymy się ucieczki w życie prywatne, uczymy się nierzeczywistości. Czyli czego?

Wyjść z nierzeczywistości

Polskie życie polityczne i publiczne (ale nie tylko; to problem dużo szerszy) jest trochę jak „Gospodarka wyłączona" Kazimierza Wyki. Cały czas żyjemy w dwóch obiegach, w wiecznej konspiracji przeciwko rzeczywistości. Dobrze się tutaj ma klasyczny argument, że dwa stulecia podległości weszły nam za bardzo w krew – wskutek czego własne państwo, wraz z jego oficjalnym dyskursem, uważamy ↦

za „nie nasze” czy wręcz „nierzeczywiste” właśnie. Podkreślam przy tym, że mówimy już o głębszych problemach – nie jest tak, że za przyczynę wszystkiego uznać można zbyt wysoki wiek średni posłów IX kadencji.

Co znaczy „nierzeczywiste”? Polska debata publiczna polega na tym, że dużo mówimy w niej o sprawach niepotrzebnych, a przynajmniej sztucznie rozdętych, natomiast o rzeczach realnie dotykających prawdziwych ludzi – nie mówimy. Ciągle dużo jest zepchnięte do życia prywatnego. Ciągle pół życia jest wyparte, obłożone tabu.

Przykłady? Dwa miliony Polek i Polaków wyjechały zarobkowo do Europy Zachodniej – ale w Polsce w pewnym sensie ciągle „nie wolno” powiedzieć, że wyjechali dlatego, że na Zachodzie państwo jest bardziej opiekuńcze, a płace wyższe. Oto nasze wyuczone rozdwojenie: masowo wyjeżdżamy do krajów bardziej „socjalnych”, ale w polskich mediach opiekę socjalną potępiamy jako „rozdawnictwo”, a na propozycję podniesienia pensji minimalnej się oburzamy. Dalej, na pewno są wśród nas tacy, którzy faktycznie nie uprawiają seksu przed ślubem. Jako stoik – szanuję to. Szanuję też jednak statystykę, a nade wszystko realia życia, które są takie, że miażdżąca większość Polek i Polaków kocha się przed ślubem, a najczęściej w ogóle bez ślubu. Niestety, „oficjalna moralność”, której nie przestrzega prawie nikt, wiąże nam ręce tak bardzo, że nie wolno nam wprost rozmawiać o tym, co dotyczy nas wszystkich. Edukacja seksualna (ściślej: jej brak) jest uznawana w Polsce za tabu, za rzecz prywatną, o której tylko rodzice mają prawo szeptać dzieciom. Panuje tu partyzantka absolutna. Karykatury miłości uczymy się w szkole z „Cierpień młodego Wertera”, a karykaturę wiedzy o seksualności kolejne pokolenie dzieci przyswaja już nawet nie z „Bravo Girl”, ale z Pornhub.com.

Przykład trzeci i z innej bajki. Pisałem już kiedyś, że jest bardzo charakterystyczne, iż większość polskich mediów, po początkowej eksplozji zainteresowania w 2013 i 2014 r., szybko przestało relacjonować sytuację na Ukrainie. Doszło do kuriozum: sąsiedzi Polski rozpoczęli wojnę między sobą, Ukraina przeżyła dezintegrację terytorium... a polskie media w pewnym momencie przestały prawie bez wyjątku o tym pisać. Konia z rzędem temu, kto na podstawie głównonurtowych informacji medialnych powie, co właściwie dzieje się obecnie na terytoriach tzw. Donieckiej i Ługańskiej Republiki Ludowej. Tych informacji musimy szukać sami.

Życzyłbym nam wszystkim, żebyśmy się z tej nierzeczywistości wyzwalali.

Żebyśmy medialnie, publicznie i politycznie mówili o rzeczach ważnych.

To nie jest przypadek. Z początkiem XXI wieku zaszła wielopoziomowa i wielowątkowa tabloidyzacja mediów (nie tylko polskich), a także ich zawężenie do spraw krajowych. Przykład samokrytyczny: Sanny Marin nie wyciągnąłem przecież spod ziemi. Akurat gdy pisałem ten tekst, jej nazwisko zaświeciło się na portalach jako „ciekawostka ze świata” – bo została najmłodszą na świecie osobą na czele rządu państwa. I tylko dlatego! Jaka jest szansa, że media napisałyby o zmianie rządu w jakiejś tam Finlandii, gdyby był to *business as usual*?

Życzyłbym nam wszystkim, żebyśmy się z tej nierzeczywistości wyzwalali. Żebyśmy medialnie, publicznie i politycznie mówili o rzeczach ważnych. Ta sprawa nie jest chyba przegrana. W ostatnich miesiącach z niszy dla sfrustrowanych zapaleńców przebił się do mainstreamu temat wykluczenia transportowego. Z kolei zagrożenie dla pieszych na polskich drogach zostało wspomniane w *exposé* premiera Morawieckiego (51 l.). Może podobnie uda się na innych polach?

Więcej zdrowego teatru

A teraz, dla przyjemnej intelektualnie sprzeczności, coś zgoła przeciwnego, bardziej abstrakcyjnego. Otóż życzyłbym nam więcej zrozumienia, że życie, tak polityczne, jak prywatne, jest trochę teatrem. To nieco banał, a nieco prowokacja, bo przecież na ogół chcemy w życiu więcej szczerości tudzież autentyzmu. Chcemy, mówiąc krótko, żeby ludzie byli szczerzy, a rzeczy były „naprawdę”. Jest to oczywiście szlachetne i słuszne chcenie. Ale to jedna strona medalu.

Wyjaśnienie drugiej zacznę od anegdoty. Opowiadał mi ją kiedyś pewien dyplomata. Państwo A weszło w mikrokonflikt dyplomatyczny z państwem B; zwyczaj przewidywał w takiej sytuacji wymianę wzajemnych not o ubolewaniu i potępieniu, co oczywiście nastąpiło. Ale fizycznie działo się to w piątek przed długim weekendem, dyplomaci obu państw mieli własne, prywatne plany na wieczór, więc nikomu nie było na rękę, żeby przedłużać procedury. Od słowa do słowa panowie wymienili się więc przygotowanymi dokumentami, uścisnęli dłonie i udali się każdy do swoich spraw. „To wszystko jest przecież taki trochę teatr” – rzucił przy tym jeden z nich.

Wiele lat później usłyszałem tę anegdotę i zapadła mi głęboko w pamięć. Bo faktycznie jest w niej głęboki sens. Nie potrzebujemy złudy jedności narodowej, „porozumienia ponad podziałami” czy naiwnej iluzji, że nie istnieją różnice interesów. Potrzebujemy zdrowej gry, w której przeciwnik pozostaje przeciwnikiem... ale dajemy mu szansę na istnienie.

W Polsce mamy zbyt dużo fałszywych wezwań do dialogu, a zarazem zbyt wiele marzeń o delegitymizacji drugiej strony. Bo oczywiście jest patologią sytuacja, w której przyjaźnie pękają z powodu polityki, a alternatywne obiegi medialne mają swoje alternatywne fakty. Lecz nie mniej patologiczny jest fetysz jedności narodowej, w której wszyscy „kochają się” jak w XII księdze „Pana Tadeusza”. Nie chodzi więc o pozór zgody, jedności, „zasypania podziałów”. Spór polityczny jest sporem realnym wtedy, gdy jest radykalny. Tu ani nie ma, ani nie powinno być miejsca na powierzchownie rozumianą „zgodę”, tak jak by jej chcieli ci, którzy naiwnie wołają, by „zakończyć wojnę polsko-polską”. Sięgnijmy po mocny przykład: nie należy oczekiwać, że 20-letnia zwolenniczka praw reprodukcyjnych w istotny sposób „dogada się” z 65-letnim posłem sympatyzującym z Fundacją Małych Stópek. Prawda nie leży pośrodku, tylko tam, gdzie leży. Ale gdziekolwiek to jest – druga strona powinna mieć przestrzeń, by opowiedzieć ją po swojemu, choćbyśmy przeciwko tej opowieści chcieli najzagorzalej protestować. Jeśli nie będzie tej przestrzeni – nie będzie społeczeństwa jako bytu politycznego.

Każdy z nas ma znajomego, z którym się trudno rozmawia, bo ów, by tak rzec, zawłaszcza przestrzeń rozmowy, bezce-

remonialnie a skutecznie. Już w pierwszych słowach „ustawia” sytuację tak, że możemy tylko potakująco milczeć albo wywrócić stolik i wyjść. Znajoma, która wyrzuca z siebie nieproszone kaskady dowodów, że jej dziecko jest najmądrzejsze w świecie. Wujek, który tak zagorzale wierzy w PiS albo antyPiS, że po prostu nie da się z nim rozmawiać o czymkolwiek. I rzecz jasna inni rodzice, którzy jeszcze nie otworzyli ust, a już widać, że osądzili z całą stanowczością, że my swoje dziecko wychowujemy źle. Z takimi ludźmi w pewnym sensie nie ma komunikacji w ogóle. Wiadomo, nie każdy będzie „czułym narratorem”, jak to ujmuje noblistka. Niektórzy jednak nie chcą jakiejkolwiek komunikacji, a jedyne, co ich zajmuje, to żeby tak ustawić pole rozmowy, byśmy mieli do wyboru tylko kapitulację albo wojnę totalną. To jest zabójcze dla relacji między dwojgiem ludzi i bardzo szkodliwe w polityce.

Lekarstwem – uważam – byłaby więc ta dyplomatyczna świadomość, że „wszystko to taki trochę teatr”. Owszem, to naturalne, że ja „gram swoje” i o swoje, nawet bezpardonowo, walczę. Robię to jednak ze świadomością, że inni będą grać w swoje gry, że będą odtwarzać swoje role, będą powtarzać te schematy, do których ich popychają ich własne interesy. Warto sobie życzyć, żeby tej świadomości było w nas trochę więcej. Że trzeba dać drugiemu powiedzieć swoje, dać mu przestrzeń na tę jego – czy jej – narrację. Nawet jeśli w ten sposób zmniejsza naszą własną skuteczność. Tym się chyba charakteryzują uczciwe relacje międzyludzkie, jak też te półmityczne „dojrzałe demokracje”, do których chcielibyśmy aspirować.

Ostatnia nadzieja bezczynnych

Po garści abstrakcji wróćmy na koniec tych życzeń do konkretu. Przewijał się wątek klimatu, podniosę go teraz otwarcie, choć przewrotnie. Otóż patrząc na dotychczasowe wysiłki ludzkości, która heroicznie nic nie robi, żeby zmiany klimatu powstrzymać, życzyłbym Polsce i światu, aby się okazało, że naukowcy jednak się mylili, względnie, że zmiana klimatu to ustawka „radykalnych ekologów” lub fejk stworzony przez Facebooka w ramach eksperymentu z postprawdą.

Żyjemy bowiem w sytuacji, której znaczna część ludzkości – również na tych łamach – gorączkowo przekonuje resztę, że klimat zmienia się naprawdę. Bo zmienia się. Problem w tym, że ciągle niewiele z tego przekonywania wynika – nie przekłada się bowiem na żadne działanie, które można by uznać za choć w przybliżeniu satysfakcjonujące. Lądujemy więc w paradoksie: przekonujemy wszystkich dookoła, że zmiana klimatu dzieje się naprawdę... ale w głębi duszy powinniśmy trzymać kciuki za to, by tak nie było. Tutaj naprawdę warto przekroczyć nasze polskie umiłowanie do moralnych zwycięstw. Bo niewielką pociechą będzie powiedzieć „mieliśmy rację” na planecie, która przestanie być dla ludzi zdatna do życia. Życzmy więc sobie spotkania się na drodze do Canossy, obsadzonej tryumfującymi denialistami, po tym jak zmiana klimatu okazała się błędem w pomiarach.

To życzenie jednak będzie trudniejsze do spełnienia niż którekolwiek z poprzednich. © PIOTR STANKIEWICZ

REKLAMA

MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY

RICHARD STOCKWELL
NIEBEZPIECZNA GRA

WYSTĘPUJĄ:
MARIA SEWERYN
MIROSŁAW ZBROJEWICZ
REŻYSERIA: GIOVANNY CASTELLANOS

31 STYCZNIA
14 LUTEGO

MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY
WARSZAWA, UL. ELEKTORALNA 12
WIĘCEJ NA WWW.MIK.WAW.PL

Producenci
Patron medialny
Współpraca redakcyjna
Partnerzy

Co kotek ma w środku

DOROTA KOZIŃSKA

W sporze o żeńskie końcówki chciałabym zająć stanowisko odrębne. Zostawić na boku mechanizmy ideologiczne, psychologiczne czy społeczne.

Kocham żeńskie końcówki. Uwielbiałam je już w dzieciństwie i miałam losowi za złe, że moje nazwisko z banalnym formantem przymiotnikowym *-ska* nie daje się uzupełnić dźwięcznym i eleganckim sufiksem *-ówna*. Kiedyś spróbowałam, ale ktoś mi wytłumaczył, że nie mówi się Urbańskówna. Wymyśliłam więc inną zabawę: ściągałam z półki „Mały słownik języka polskiego" pod redakcją Stanisława Skorupki i godzinami formowałam nazwiska panieńskie od znalezionych w nim rzeczowników. Niektóre brzmiały dość dziwacznie, ale i tak mi się podobało. Potem wzięłam się za nazwiska kobiet, o których wiedziałam, że nie wyszły za mąż. Moja pasja stopniowo przechodziła w obsesję. W końcu zainterweniował ojciec. Spytał filuternie, co by było, gdybyśmy nazywali się Jemga. Zanim zdążyłam się zorientować, że wpuszcza mnie w maliny, było już za późno. Śmiechom i żartom nie było końca.

Kiedy dałam się wreszcie udobruchać, ojciec wyjaśnił, że polszczyzna ma sposób na takie przypadki: jeszcze ładniejszy sufiks *-anka*. Owszem, dla zaawansowanych, wymagający bowiem wymiany *g* czy *h* na *ż*, *k* na *cz* albo *ch* na *sz*, ale o tym uczyli już w trzeciej klasie. Nowa zabawa miała zaskakujący skutek uboczny – dotarło do mnie, dlaczego niektóre znajome rodziców używają właśnie tego sufiksu, i zaczęłam złośliwie przerabiać ich nazwiska z użyciem formantu *-ówna*.

Słowotwórcze fascynacje

Wiele lat później natrafiłam na wpis w internetowej „Poradni językowej PWN", którego autorka „błagała" o wyjaśnienie, „czemu w odmianie nazwisk panieńskich są różnice mimo podobnych końcówek formy męskiej: czemu Lampówna od Lampe, choć Lanżanka od Lange?". Nie dostała żadnej odpowiedzi. A ja do tej pory się zastanawiam, dlaczego sama na to nie wpadła.

Gry i zabawy językiem były w naszym domu na porządku dziennym. Dostarczały nie tylko rozrywki, ale też wyrabiały słuch muzyczny i poczucie rytmu, przede wszystkim zaś pogłębiały wiedzę o skomplikowanych regułach fonetyki i gramatyki. Kiedy trochę dorosłam, ojciec zaczął dzielić się ze mną swoją pasją do historii języka i praw rządzących polszczyzną. Do zainteresowania końcówkami żeńskimi – wykraczającego już od dawna poza formanty tworzące nazwiska – dołączyła fascynacja słowotwórstwem rzeczowników odczasownikowych. Ze szczególnym upodobaniem tropiłam wyrazy zakończone przyrostkiem *-ba* (dla pojęć abstrakcyjnych) i *-no* (między innymi dla nazw narzędzi). Z tamtych czasów zostało mi pewne nieszkodliwe dziwactwo: grzecznie proszę, by redaktorzy moich tekstów i tłumaczeń nie poprawiali mi czasownika „kiełzać" na „kiełznać". Budowa rzeczownika „kiełzno" wskazuje na historyczne uzasadnienie pierwszej formy. Dla dobitnego wyjaśnienia: proszę sobie wyobrazić, że z polszczyzny przejściowo znikł czasownik, od którego powstał wyraz „groźba" (ach, rozmarzyłam się). Gdyby po jakimś czasie ktoś próbował go zrekonstruować i wymyślił formę „groźbić", też bym protestowała.

Proszę wybaczyć ten przydługi wstęp, ale w sporze o żeńskie końcówki chciałabym zająć stanowisko odrębne. Zostawić na boku mechanizmy ideologiczne, psychologiczne i społeczne (a poniekąd również kwestie estetyczne) – i przyjrzeć się, co ten kotek ma w środku. Kotek zwany polszczyzną – podobnie jak każdy żywy organizm, w tym przypadku język – ewoluuje nieubłaganie. Nowoczesne językoznawstwo w zasadzie stroni od preskryptywizmu, czyli dążności do regulowania norm i wzorców językowych. Nie jest od dobierania kotkom partnerów do rozrodu, tylko od obserwowania i opisywania, co z tego wynikło. W naszej części Europy wciąż mocno się trzyma tradycja normatywna, nakazująca oceniać język pod kątem jego poprawności – co bez wątpienia ma związek z powikłaną historią regionu, a co za tym idzie: dążnością do zunifikowania pewnych wzorców kulturowych.

Profesor Jadwiga Puzynina w 1998 r. opowiedziała się jednoznacznie za postulatem jednolitych rozstrzygnięć poprawnościowych. Uznała, że polszczyzna wymaga ochrony „wobec czynników powodujących jego degradację, takich jak: biologicznie uzasadniona inercja, tj. dążenie do najmniejszego wysiłku mówiących czy też piszących, brak doceniania kultury jako takiej, widzenie w języku wyłącznie narzędzia (byle jakiego zresztą) porozumienia, niedostrzeganie jego wartości autotelicznych i twórczej roli w kształtowaniu jednostek i społeczeństw".

Sądząc z liczby Polaków szukających pomocy w rozmaitych poradniach językowych, traktujących kolejne wydania słowników poprawnej polszczyzny w kategoriach wyroczni ostatecznej, przede wszystkim zaś odwołujących się do autorytetu powołanej przed ćwierćwieczem Rady Języka Polskiego – boimy się puścić mowę ojczystą samopas. Zapewne słusznie. W działalności gremiów kodyfikujących dostrzegam jednak od pewnego czasu niepokojące tendencje. Nie chodzi nawet o akceptowanie form, które jeszcze niedawno uchodziły za błędne lub w najlepszym razie potoczne. Chodzi o narastającą niechęć do tłumaczenia Polakom, dlaczego autorytety dopuściły ją do użycia. Na forach internetowych moderowanych przez językoznawców coraz częściej pojawiają się odpowiedzi w stylu „bo taki jest usus", „wszystko jedno, nie widzę żadnej różnicy" albo wręcz „jak panu wygodniej". Eksperci wchodzący w skład Rady co kilka lat publikują przeciwstawne stanowiska w tej samej sprawie – jakby nad wiedzę o polszczyźnie i chęć podzielenia się nią ze „zwykłymi" użytkownikami języka przedkładali święty spokój i gotowość wyjścia naprzeciw bieżącym tendencjom społecznym.

A mimo to przyznam, że najnowsze oświadczenie Rady w sprawie żeńskich form nazw zawodów i tytułów wprawiło mnie w konsternację. I znów nie mam na

DAWID LASOCIŃSKI / FORUM

Jan Michał Raspazjan, mural w Łodzi

myśli wniosków, tylko kilka fałszywych przesłanek, na jakich opiera się stanowisko ekspertów.

Owa i ówna

Po pierwsze i najważniejsze: „Na początku dwudziestego wieku zwyciężyła tendencja do regularnego tworzenia feminatywów". Nieprawda. Język polski sumiennie tworzył feminatywy od początku istnienia: wszędzie, gdzie kontekst historyczny i kulturowy domagał się takich zabiegów. O przyrostkach *-ówna* i *-anka* wspomniałam już wcześniej. Na podobnej zasadzie urabiano żeńskie formy nazwisk i nazw żon od stanowisk mężów, z użyciem sufiksów *-owa* oraz *-ina*. To przykłady feminatywów, które akurat przegrały, całkiem niedawno i pewnie z kretesem. Sufiks *-ka*, pozwalający tworzyć formę żeńską od prawie każdego rzeczownika osobowego, funkcjonuje w polszczyźnie w najlepsze od co najmniej XVI wieku – jeśli cokolwiek ograniczało jego użycie, to względy fonetyczno-morfologiczne (często lekceważone przez dzisiejszych arywistów, ale o tym niżej), przede wszystkim zaś zbyteczność ich tworzenia (dajmy na to, brak kobiet trudniących się górnictwem bądź piastujących urząd marszałka wielkiego koronnego). Przyrostek *-a* w polszczyźnie pojawiał się i znikał, generalnie jednak stracił żywotność kilkaset lat temu – odkąd zaczął się kojarzyć z nieprzystającym płci żeńskiej zgrubieniem (wyjątkiem są odpowiedniki nazw męskich o budowie przymiotnikowej). Formant *-ini/-yni* stosowano wyłącznie do urabiania żeńskich odpowiedników nazw wykonawców czynności kończących się na *-ca*. Sufiks *-ica* miewał wydźwięk pejoratywny, służył bowiem w zasadzie do tworzenia nazw samic różnych zwierząt.

Żeby się przekonać o obfitości feminatywów w dawnej polszczyźnie, wystarczy odłożyć słowniki i stanowiska Rady Języka Polskiego, a w zamian wziąć się za lekturę dawno rzuconej w kąt literatury: Prusa, Gomulickiego, Orzeszkowej, Przyborowskiego, Gąsiorowskiego, nie wspominając już o autorach wcześniejszych epok. Na początku XX wieku, a ściślej: po uzyskaniu praw wyborczych przez kobiety w 1918 r., zaczął się tyleż gwałtowny, co chaotyczny odwrót od form żeńskich, naznaczony w dodatku niekonsekwencją. Oto kilka cytatów z prasy kobiecej okresu międzywojnia, w której maskulinizacja szła czasem bok w bok z feminatywami, czasem zaś z podwajanym wykładnikiem żeńskości, co przywodzi już na myśl skojarzenia z „Paragrafem 22" Josepha Hellera: „Pierwsza profesorka na Uniwersytecie Jagiellońskim (...) została wreszcie mianowana profesorem sanskrytu"; „Konieczne jest (...), aby w sądach pracy zasiadły kobiety-sędziowie i kobiety-ławniczki"; „Kanada posiada już dwie kobiety ministrów". Kolejne próby urobienia nazwy żeńskiej od posła paliły na panewce, także ze względów stylistycznych. Nie przyjęła się ani „poślica" (historycznie samica posła, co gorsza kojarząca się z oślicą), ani „poślina" (żona posła ze śliną w tle), ani posełka (utworzona niby prawidłowo, ale w brzmieniu niepoważna, także ze względu na nieszczęsną osełkę). Stanęło na, owszem, zgrabnej, posłance, przeciwko której dzisiejsze feministki powinny gromko zaprotestować, bo to przecież typowy przykład derywatu dzierżawczego, i to jeszcze o patriarchalnym rodowodzie.

Kompleksy i wzgarda

W czasach PRL, obarczanych przez kilku członków Rady główną odpowiedzialnością za maskulinizację polszczyzny, promowano akurat tendencję odwrotną. Z tym że ówczesne kobiety – dobrze wykształcone i piastujące wysokie stanowiska – gwałtownie się jej opierały, argumentując swój protest walką o prestiż ↦

↦ i godność zawodu. Kierowniczka była w sklepie mięsnym, do doktorki z przychodni rejonowej pan Zenek chodził po zwolnienie, a profesorkę to ja miałam w liceum. Od rosyjskiego i od chemii. Ile w tym było kompleksów i wzgardy, ile zaś prawdziwego wyczucia językowego, nie mnie oceniać – fakt jednak pozostaje faktem.

Po drugie: „Większość argumentów przeciw tworzeniu nazw żeńskich jest pozbawiona podstaw". Czyżby? Ponoć jednakowe brzmienie feminatywów i innych nazw nie powinno nas razić bardziej niż zbieżność brzmień rzeczowników „pilot" w znaczeniu „osoba" i „urządzenie sterujące". Może i nie powinno, ale kiedyś raziło, czemu zawdzięczamy przedziwne słowo „skrzypaczka" w miejsce pozornie oczywistej „skrzypki". Po blisko 30 latach współpracy z Polskim Radiem nie mam najmniejszych kłopotów z wymówieniem przymiotnika „bezwzględny", z „chirurżką" też dałabym sobie radę, przypominam jednak, że zbitek spółgłoskowych nie ocenia się na podstawie liczby spółgłosek, tylko stopnia podobieństwa ich artykulacji. W „socjolożce" razi nie tyle zbieżność fonetyczna z małą, chrumkającą lochą, ile wyprowadzanie żeńskiej końcówki od obcej cząstki *-log*. Takie „hybrydowe" formanty nigdy nie miały racji bytu w polszczyźnie. Jeśli odtąd mają mieć – proszę o wyjaśnienie, dlaczego.

Po trzecie: „W polszczyźnie potrzebna jest większa, możliwie pełna symetria nazw osobowych męskich i żeńskich w zasobie słownictwa". I tu wkraczamy w naprawdę fascynującą dziedzinę. Pominę kwestię nieprzydatności (być może chwilowej) żeńskich nazw niektórych zawodów (moim ulubionym przykładem jest szambonurek). Nie będę się wdawać w dyskusję na temat feminatywów derywowanych od nazw stanowisk hierarchii kościelnej oraz stopni i stanowisk wojskowych (konia z rzędem temu, kto wymyśli w pełni „symetryczną" formę żeńską od słów „ksiądz" i „bosmanmat"). Skupię się na rodzaju gramatycznym, który być może stanowi klucz do zrozumienia, dlaczego pewnych norm językowych po prostu narzucić się nie da.

W liczbie mnogiej języka polskiego pierwiastek męski zawsze weźmie górę, a jeśli nie weźmie, zdanie straci sens albo wartość informacyjną.

Męski zawsze górą

Coraz więcej językoznawców odrzuca pogląd, że używany język wpływa bezpośrednio na sposób myślenia. Nie sposób jednak zaprzeczyć, że język odzwierciedla – kulturę, historię, tożsamość grupy, która się nim posługuje. Angielszczyzna jest językiem inkluzywnym: rodzaj gramatyczny przysługuje w nim tylko rzeczownikom żywotnym. W łacinie rozróżniamy trzy rodzaje: męski, żeński i nijaki. W językach romańskich, celtyckich i bałtyckich nie występuje rodzaj nijaki. W językach słowiańskich sprawy są strasznie zagmatwane, bo rodzaj gramatyczny skojarzony z płcią wiąże się także z gramatyczną kategorią żywotności oraz osobowości. W polszczyźnie – zależnie od przyjętego systemu klasyfikacji – wyróżnia się od pięciu do dziewięciu rodzajów gramatycznych, często rozdzielnych od stanu faktycznego.

W liczbie mnogiej języka polskiego pierwiastek męski zawsze weźmie górę, wyjaśnię od razu, nie wdając się w szczegóły. A jeśli nie weźmie, zdanie straci sens albo wartość informacyjną – jak w pewnym artykule, w którym wyczytałam, że Olga Tokarczuk jest jedną z pięciu laureatek literackiej Nagrody Nobla z Polski. Tu akurat zgodzę się ze stanowiskiem Rady Języka Polskiego, że „nie ma potrzeby używania konstrukcji typu Polki i Polacy, studenci i studentki w każdym tekście i zdaniu, ponieważ formy męskie mogą odnosić się do obu płci". Słusznie i naukowo, ale skoro Rada dąży do pełnej symetrii nazw osobowych, warto by uchylić rąbka tajemnicy, jak tę symetrię realizować w kontekście ugruntowanej i raczej niezbywalnej dominacji form męskich.

W afrykańskim języku pazande istnieje prawie sto rzeczowników, które nie mają żadnego rodzaju: określających między innymi ciała niebieskie i zjawiska meteorologiczne, przedmioty z metalu i rośliny jadalne. Rodzaj żeński w papuaskim języku agamble obejmuje żeńskie rzeczowniki osobowe oraz wszystko inne, co jest małe, okrągłe i przysadziste: na przykład żółwie, tarcze i pękate drzewa. Czy narzucone odgórnie zasady tworzenia feminatywów wpłynęłyby jakkolwiek na sposób postrzegania kobiet i ich pozycji zawodowej w społeczności Azande i wśród mieszkańców dziewięciu wiosek w Sepiku Wschodnim?

Jeszcze raz podkreślam – piszę to wszystko jako niepoprawna wielbicielka żeńskich końcówek w polszczyźnie, której się marzy, żeby nowe feminatywy powstawały zgodnie z regułami naszego języka. Zresztą nie tylko o żeńskie końcówki ta wojna. Nie chciałabym dożyć czasów, w których Rada Języka Polskiego uzna za normę zdanie: „Wzięłem kanistrer i poszłem wyłanczać laptopa", powołując się na nieodwracalne zmiany w języku i świadomości społecznej.

© DOROTA KOZIŃSKA

TP

Nagrody i nominacje

Nasz dziennikarz **RAFAŁ WOŚ** otrzymał nagrodę Grand Press 2019 w kategorii publicystyka za tekst „Homo sovieticus po latach" (zob. na **powszech.net/wos**), został też Dziennikarzem Ekonomicznym Roku 2019 w Konkursie im. Władysława Grabskiego. W konkursie Grand Press za wywiad prasowy nominowana została **KATARZYNA KUBISIOWSKA** za rozmowę z Andrzejem Barańskim „Co miesiąc walentynki" (zob. na **powszech.net/kubisiowska**).

MediaTory 2019

Studenci dziennikarstwa z 23 polskich uczelni nagrodzili **PAWŁA PIENIĄŻKA**, który otrzymał statuetkę w kategorii NawigaTOR za korespondencje z Syrii. Teksty autora publikowane w „Tygodniku" można przeczytać pod adresem **powszech.net/pieniążek**.

Naszym Autorom gratulujemy!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

DAVID TROOD / GETTY IMAGES

Strzeż się przynoszących dary!

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Może w tym roku będziecie mieli szczęście. Może co roku macie szczęście. Ale widmo wręczenia czy otrzymania kompletnie nieudanego prezentu od czasu do czasu zawisa nad każdym z nas.

Kiedy syjamski despota poweźmie urazę do jednego ze swych mniej zamożnych poddanych i zapragnie jego zguby, nie ścina głowy nieszczęśnika ani też nie konfiskuje jego własności. Przeciwnie. Składa swemu wrogowi hojny dar, wysyłając mu najpiękniejszego, najzdrowszego białego słonia, jakiego tylko uda się znaleźć. Nieszczęsny obdarowany wie od razu, że jego dni są policzone. Doskonale zdaje sobie sprawę z kosztów utrzymania żarłocznej bestii i rozumie, że słoń wkrótce przeżre jego dom i cały majątek bez jakiejkolwiek szansy ratunku. Prezentu nie sposób sprzedać czy oddać, nikt bowiem by go nie przyjął. Zresztą sama próba pozbycia się monarszego daru stanowiłaby zdradę i świętokradztwo. Skazany w ten sposób nieszczęśnik siada więc i załamuje ręce, by poddać się temu, co nieuniknione. I patrzy, jak biały słoń pożera cały jego dobytek.

Powyższy opis pochodzi z artykułu „White Elephants" opublikowanego na łamach „New York Timesa" 28 maja 1873 r. To właśnie wtedy, w drugiej połowie XIX wieku, wraz z otwarciem USA na handel z Syjamem, opowieść o zabójczym podarku staje się częścią amerykańskiego słownika. Dziś „biały słoń" to dla Amerykanina kłopotliwy prezent, z którym nie wiadomo co zrobić, ale też wielka publiczna inwestycja, przynosząca więcej strat niż korzyści (czyli, w zasadzie, taki nieproszony prezent od administracji federalnej albo stanowej). W języku polskim brak chyba podobnego określenia. A szkoda.

Krążenie darów

Dar jest symbolem więzi. Dowodem na to, że się znamy, rozumiemy, że chcemy coś między sobą zbudować. Zamalowujemy cenę, pakujemy w ozdobny papier, wpisujemy dedykację, strzeżemy świętego Prawa Niespodzianki i wręczamy z namaszczeniem. Wszystkie te zabiegi służą właśnie temu, by podarunek, choćby skromny, zwyczajny, różnił się od towaru tak jak święto różni się od codzienności.

Od czasów „Szkicu o darze" Marcela Maussa (1924), jednego z ojców założycieli nowoczesnych badań nad kulturą, naukowcy szczególnie dużo uwagi poświęcają krążeniu darów. Mauss przekonuje w swej pracy, że dzięki darom rodzi się „system świadczeń całościowych", który nie tylko zaspokaja potrzeby, pozwalając na realizowanie określonych interesów, ale też podtrzymuje więzi społeczne. Dlatego właśnie dar musi krążyć. ↦

Trudno o lepszy przykład takiego krążenia niż obyczaj *kula* badany przed laty na Wyspach Trobriandzkich przez naszego wybitnego rodaka, Bronisława Malinowskiego. Ten niezwykle skomplikowany system wymiany naszyjników i bransolet zrobionych z muszelek angażował w podróże i specyficzne transakcje całą ludność zamieszkującą stosunkowo rozległy archipelag. To dzięki zwyczajowi *kula* między wyspiarzami przepływały informacje, nawiązywały się znajomości, ustalały sojusze. Najważniejsza zasada wymiany brzmiała zaś: „raz w *kula*, na zawsze w *kula*". Duch rzeczy domaga się nieustannego krążenia. Dar, który nie zostanie przekazany dalej, odwzajemniony, ponownie wprowadzony w obieg – staje się martwy. Dzięki temu twardemu prawu bransolety i naszyjniki nieustannie wędrowały od wyspy do wyspy. A wraz z nimi wędrowały wieści i emocje.

Kiedy słucham historii o nieudanych podarkach, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że tworzą one coś w rodzaju parodii tego oryginalnego krążenia darów. Pomyślmy o niezbyt trafionej książce ofiarowanej roztargnionemu krewnemu, który po kilku miesiącach, jak gdyby nigdy nic wręcza nam dokładnie ten sam tom. W tej samej papierowej torebce. Z naszą dedykacją w środku. I jeszcze dodaje z rozbrajającym uśmiechem: „zobaczyłem w księgarni i od razu pomyślałem o tobie". Niektóre złe prezenty, jeżeli wierzyć internetowym relacjom, odbywają epickie podróże, przypominające przekazywanie sobie gorącego kartofla...

No cóż – „raz w *kula*, na zawsze w *kula*"...

Bardzo naukowa typologia nieudanych prezentów

Spróbujmy spojrzeć na sprawę systematycznie i wprowadzić nieco porządku w możliwe bogactwo nieudanych prezentów. Możemy wyróżnić dwa typy motywacji dającego, który albo chce wręczyć dobry prezent (szczera motywacja), albo też celowo planuje wręczyć podarunek zły (motywacja złośliwa). Podobnie sam obdarowany może rozpoznać prezent jako dobry lub zły. Daje nam to łącznie cztery typy darów (patrz tabela poniżej).

Dar jest symbolem więzi. Dowodem na to, że się znamy, rozumiemy. Zamalowujemy cenę, pakujemy w ozdobny papier, strzeżemy świętego Prawa Niespodzianki i wręczamy z namaszczeniem.

Mamy (1) prezenty przypadkowo nieudane, kiedy obdarowujący chciał dobrze, ale wyszło jak zwykle. Mamy też (2) prezenty-obrazy, kiedy to obdarowujący celowo wręcza prezent nietrafiony, złośliwie dobrany, niezgodny z gustem obdarowanego, by sprawić mu przykrość lub też demonstracyjnie zamanifestować swoją pogardę dla reguł (np. bunt przeciw komercjalizacji Bożego Narodzenia). Wówczas możliwe są dwa scenariusze: (2a) wybucha konflikt; (2b) obie strony uśmiechają się fałszywie, udając, że nic się nie stało, choć obdarowany doskonale wie, że obdarowujący miał złe intencje, a obdarowujący znów wie, że tamten wie i tak dalej. (3) Obdarowujący ma szlachetne intencje, a prezent jest udany – ta ewentualność nie będzie nas tu dziś zajmować. Jest wreszcie i przypadek ostatni, pod wieloma względami najbardziej fascynujący. (4) Obdarowujący pragnie wyrządzić swym darem krzywdę. Zamierza to jednak zrobić w sposób podstępny. Wręcza więc dar, który przez odbiorcę rozpoznany zostaje jako wspaniały. Obdarowany cieszy się, uśmiecha, jest wyraźnie szczęśliwy. Może ma nawet poczucie, że jego marzenie się spełniło. Ale na tym właśnie polega podstęp. Dar rozpoczyna swe mroczne działanie.

Do tej kategorii należy oczywiście koń trojański – najsłynniejszy chyba z ł y prezent w kulturze Zachodu. Można tu także zaliczyć wszelkie dary od złych wróżek i wiedźm, a także od dżinów specjalizujących się w takim spełnianiu życzeń, by ostateczny rezultat przyniósł proszącemu jedynie cierpienie. Wiele białych słoni – wbrew pozorom – także pasuje do tego pola w tabeli. Zwykle bowiem obdarowany zamiast od razu zmartwić się kosztami utrzymania słonia, myśli sobie: „O, jaki duży!". A tymczasem drogie prezenty zwykle niosą za sobą wysokie koszty.

Prezent pułapka

Antropologia pokazuje, że to właśnie d o b r e prezenty mogą okazać się z ł e w sposób szczególnie wyrafinowany. Jeżeli przyjmiemy tezę Marcela Maussa o darze, który (w przeciwieństwie do towaru) rozpoczyna zawsze trwałą relację opartą na niekończącym się łańcuchu przysług i odwzajemnień, stanie się jasne, że hojność może okazać się potężnym orężem.

Wiele transakcji w Maroku, gdzie przed laty prowadziłem badania terenowe nad strategiami negocjacyjnymi sprzedawców minerałów i skamieniałości, rozpoczyna się właśnie od daru. W przypadku dużych transakcji, otwierających możliwość długotrwałej i owocnej współpracy, dar może mieć charakter wielodniowej wystawnej gościny. Służy wówczas zbudowaniu zaufania, lecz także stwarza odpowiednie warunki do późniejszej prezentacji towaru, którego wartość można właściwie ocenić i docenić wyłącznie w spokoju. Inaczej przedstawia się sprawa w przypadku szybkich transakcji dokonywanych z turystami, gdzie otwierający spotkanie dar ma nas wprowadzić w zakłopotanie hojnością handlarza albo wręcz w ogóle okazuje się nie być prezentem („to prezent, ale dopłać mi jeszcze 30 dirhamów"). W ten sposób dar przeciera drogę towarowi. Hojność wywołuje poczucie długu, który spłacamy już w twardej walucie.

Znacznie bardziej interesująca wydaje mi się jednak odwrotna strategia, którą określa się często mianem efektu Franklina. Cóż bowiem, gdybyśmy zbu-

Typologia prezentów

DAJĄCY	OBDAROWANY	TYP PREZENTU
to będzie dobry prezent	rety, ale koszmar	prezent nietrafiony
to będzie zły prezent	to jest zły prezent	obraza
to będzie dobry prezent	ale świetny prezent!	prezent trafiony
to będzie zły prezent (*diaboliczny śmiech*)	ale świetny prezent!	koń trojański

ULET IFANSASTI / GETTY IMAGES

Papuaski festiwal Baliem, Indonezja, 2010 r.

dowali relację, opierając się na odwrotnym mechanizmie? Gdybyśmy zamiast wręczać dar, poprosili naszego partnera o przysługę i zostali jego dłużnikami. Brzmi bezsensownie? Oto, jak ten podstęp opisywał sam Benjamin Franklin, który pewnego razu zapragnął zjednać sobie względy dotychczasowego politycznego wroga: „Wiedząc, że ma on w swojej bibliotece pewną rzadką a interesującą książkę, wystosowałem doń list, w którym wyraziłem pragnienie przejrzenia książki oraz prośbę, aby zechciał łaskawie pożyczyć mi ją na kilka dni. Przysłał mi ją natychmiast, ja zaś zwróciłem po niespełna tygodniu z nowym listem, w którym wypowiedziałem moją gorącą wdzięczność. Kiedy niebawem spotkaliśmy się w Izbie, przemówił do mnie (czego nigdy dotąd nie robił) i wdał się w nader uprzejmą rozmowę. Odtąd też okazywał zawsze gotowość dopomagania mi przy każdej sposobności i wkrótce bardzo zaprzyjaźniliśmy się, a przyjaźń ta trwała aż do jego śmierci". Lubimy ludzi, którzy wyświadczyli nam przysługi. Ale wygląda na to, że jeszcze większym sentymentem darzymy tych, którym to my uczyniliśmy dobro.

Co ciekawe, marokańscy kupcy i tę strategię opanowali do perfekcji. Wyjątkowo pomysłowo stosował ją jeden z handlarzy, który zaczepiał turystów, opowiadając historię o córce, która chodzi do szkoły i bardzo potrzebuje długopisu. Podarowany przez życzliwego rozmówcę długopis stawał się natychmiast okazją do rewanżu – sprzedawca zapraszał dobroczyńcę do swego sklepu i proponował mu coś w zamian. A jednak każdy wskazany przedmiot okazywał się wart długopisu oraz pewnej sumy dirhamów. Rzeczywista wartość daru nie miała tu zatem żadnego znaczenia. Zapewne nie istniała żadna córeczka, nadto długopisy wcale nie stanowią w Maroku towaru niedostępnego. Wymuszenie prezentu było zaledwie kolejnym sposobem wciągnięcia turysty w interakcję – wywołania nierównowagi inwestycji, tym razem z deficytem po stronie sprzedającego. Wrażenie, że to on jest nam coś winien, zachęcało do dalszego uczestniczenia w transakcji.

Pokonam cię mą hojnością!

Co by się jednak stało, gdyby obydwaj uczestnicy relacji przyjęli opisaną wyżej logikę pokonywania przeciwnika prezentami? Oczywiście spletliby się wówczas w straszliwym pojedynku na dary, w którym jedynym sposobem na zwycięstwo jest przytłoczenie przeciwnika ogromem swej hojności.

Antropologia zna i lubi takie historie. Na przykład *potlacz* uprawiany przez plemiona zamieszkujące północno-zachodnie wybrzeże Ameryki Północnej to nic innego jak właśnie taki pojedynek na hojność. „Wszystkie te dobra są potrzebne – pisała o tym obyczaju Ruth Benedict – które służą do zawstydzenia rywali. Każdy człowiek, stosownie do środków, nieustannie współzawodniczył z innymi, by nie dać się wyprzedzić w rozdziale majątku. Chłopiec, który właśnie otrzymał coś na własność po raz pierwszy, wybierał innego chłopca, któremu dawał podarunek. Wybrany nie mógł mu odmówić nie przyznając się do klęski na samym wstępie i zmuszony był zrewanżować się za dar innym, o równej wartości. Kiedy nadchodził czas rewanżu, a pierwszy chłopiec nie podwoił swego daru, okrywał się hańbą i był zdegradowany w oczach innych, natomiast prestiż rywala odpowiednio wzrastał. Tak rozpoczęte zawody ciągnęły się przez całe życie". Niekiedy osiągając, dodajmy, epickie wymiary i angażując całą lokalną społeczność.

Nieco podobnie w swych założeniach przedstawia się popularna wśród niektórych ludów Papui ceremonia *moka*, także będąca formą pojedynku na dary. Głównym przedmiotem wymiany w trakcie moki są świnie. Komu wróg podaruje jedną świnię, musi się na nim zemścić, wręczając mu wkrótce parę zwierząt. Kto by otrzymał parę zwierząt – zrewanżować się musi trzema albo i czterema. Im bardziej przebijemy adwersarza w hojności, tym bardziej wzrasta nasz status jako *big mana* – człowieka ważnego, poważanego, któremu można ufać.

Psychologowie społeczni przekonująco wyjaśniają narodziny i funkcjonowanie tego rodzaju instytucji społecznych teorią rywalizacji na altruizm (*competitive altruism*). Badania pokazują, że osoby hojne są faktycznie postrzegane jako bardziej wartościowe dla społeczeństwa i chętniej obdarzane prestiżem. Co więcej, tego rodzaju altruizm może się w gruncie rzeczy okazać zamaskowanym egoizmem, jeżeli tylko wszystkie strony uznają za obowiązującą zasadę wzajemności. ↦

Z punktu widzenia antropologii znacznie istotniejszym czynnikiem okazuje się jednak twarda ekonomia. *Moka* jest tutaj wymarzonym wręcz przykładem. Otóż hodowla świń w lasach Papui-Nowej Gwinei to niełatwe zadanie. Utrzymanie każdego zwierzęcia wymaga znacznej pracy, przede wszystkim przy wykopywaniu korzeni pochrzynu. Sprawia to, że powyżej pewnej wielkości stada hodowla staje się niemożliwa. Jak obejść tę trudność i zgromadzić większy majątek w systemie zasadniczo pozbawionym pieniędzy i złożonych struktur własności? Tu właśnie z pomocą przychodzi *moka*.

Rywalizacja na dary okazuje się rozsądnym systemem gromadzenia majątku. W danym momencie w chlewiku mam wprawdzie tylko trzy świnie, ale wrogowie nie śpią. Ponieważ obraziłem ich swą hojnością, w każdej chwili spodziewać się mogę ataku i wręczenia pięciu, dziecięciu, a może nawet pięćdziesięciu świń. Które oczywiście od razu będę musiał zamienić na dług honorowy, dokonując kolejnych wymian. Sprytne, prawda? A takie proste. Jak gdyby ktoś podniósł do rangi systemu giełdowego pomysł z anegdoty o białym słoniu.

Mroczna prawda o białym słoniu

Syjamski zwyczaj, który dał początek amerykańskiemu idiomowi, nigdy nie istniał. Badacze tamtejszej kultury zgodnie potwierdzają, że opowieść o obdarowywaniu słoniami nie ma nie tylko pokrycia w faktach, ale też sensu. Słoń (nawet biały) wcale nie był kosztownym zbytkiem, za jaki uznawali go Amerykanie, lecz praktycznym zwierzęciem roboczym, a nawet bojowym.

Skąd więc wziął się nagle biały słoń w języku angielskim i na łamach przytaczanego tu artykułu z „New York Timesa"? Otóż jest to jedna z wielu rasistowskich opowieści tak charakterystycznych dla folkloru kolonialnego. Znajdziemy tu nie tylko egzotyczne zwierzę, lecz także „wschodniego despotę" i jego poddanych reagujących na nieszczęścia „z charakterystycznym dla Orientu fatalizmem", a przede wszystkim sugestię, że na Dalekim Wschodzie obowiązują inne zasady, w szczególności zaś: dziwaczna ekonomia niemająca nic wspólnego z naszym zdrowym rozsądkiem.

Nieprzypadkowy jest także czas pojawienia się białego słonia w amerykańskim folklorze. Otóż stało się to dokładnie wtedy, kiedy USA zabiegało o ustanowienie relacji handlowych z Syjamem – wówczas jedynym państwem w regionie niepodporządkowanym kolonialnemu dyktatowi. Kariera opowieści o białym słoniu w amerykańskiej wyobraźni może więc zostać odczytana jako fascynująca paralela z tym, co w tym samym czasie robili amerykańscy i europejscy kupcy i dyplomaci zabiegający o ustanowienie „partnerskich" relacji handlowych.

Tak naprawdę to ludzie Zachodu wręczali swym przeciwnikom kłopotliwego białego słonia. Otwarcie portów, zniesienie ceł, wpuszczenie handlarzy... Ekonomiczna inwazja zwykle rozpoczynała się właśnie od darów, o czym kilka stuleci wcześniej boleśnie przekonali się rdzenni mieszkańcy kontynentu amerykańskiego. Osadnicy i kolonizatorzy z początku dość niechętnie nawiązywali z tubylczymi plemionami transakcje handlowe. Woleli rozdawać „hojne" dary, w zamian oczekując ziemi, plonów i bogactw naturalnych. A wraz z osadnikami przybywały whisky, proch i ospa. Zaprawdę, strzeżcie się przynoszących dary!

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

REKLAMA

Kraków

RADOSNYCH ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA I WSPANIAŁEGO NOWEGO ROKU 2020!

życzą

Jacek Majchrowski
Prezydent Miasta Krakowa

Dominik Jaśkowiec
Przewodniczący Rady Miasta Krakowa

ANNA

Dziewit-Meller:
Sto dni do matury

To był ciekawy piątek trzynastego. Najpierw zobaczyłam esemesy od znajomych z UK, pełne naprawdę brzydkich wyrazów, którzy pisali, co chcieliby zrobić Borisowi Johnsonowi, a potem – ponieważ zafascynowana angielskim obłędem nie mogłam przestać scrollować telefonu – nieodgadniony algorytm wyrzucił mi, pośród treści pełnych lamentu nad Brytanią, utwór rapowy młodego człowieka w bordowym sweterku, skrywającego się pod pseudonimem Mata. I tak właśnie na dobre przestałam martwić się brexitem, koszula bliższa ciału, albo bordowy sweterek. Wielkiej Brytanii i tak nie da się już uratować, a nasze dzieci może jeszcze tak.

Utwór „Patointeligencja" w ciągu doby od wrzucenia do sieci miał milion odsłon. Wiele z nich musieli natrzaskać 40-latkowie, bo kiedy weszłam na Facebooka, zobaczyłam, jak koleżanki i koledzy z roczników 70. i 80. na przemian załamują ręce nad tym, co właśnie zobaczyli w linkowanym ochoczo utworze, pisząc, że jednak szok, uderzają się we własne i cudze piersi, pisząc, że się boją być rodzicami, albo mówią: ej, za naszych czasów też tak było, tylko w innych dekoracjach. A potem się kłócą ze sobą, dyskutując zażarcie nie tylko o tym, czy można odnaleźć swoje doświadczenia sprzed lat w tym, co proponuje Mata, ale także o tym, jaki procent młodzieży ma problem ze zbyt dużą ilością pieniędzy, tak że nawet „dilerka dla sportu, a nie żeby przetrwać". Bo za naszych czasów to jednak nie dla sportu i w wielu miejscach innych niż opiewane w utworze domy klasy średniej, nadal nie dla sportu.

Na teledysku grupka chłopaków stoi na tle budynku jednego z najlepszych warszawskich liceów. Mury Batorego wyrastają za plecami Maty, który rapuje o narkotykach, przygodnym a brutalnym seksie na wycieczkach szkolnych, jak z planu chamskiego pornola, o imprezach, o samobójstwach, o xanaksie podbieranym matce, o rodzicach z klasy średniej pragnących zapewne dać dzieciom wszystko, a dających wyraźnie nie to, co trzeba. Chłopcy wyglądają wypisz wymaluj jak dzieciaki niektórych znajomych, możliwe nawet, że niektórzy właśnie nimi są. A to się rodzice zdziwią!

Problemy przebodźcowanego i najpewniej zbyt „zaopiekowanego" pokolenia dzieciaków z tzw. dobrych domów, którym rodzice – sami niemający w młodości zbyt wiele – dorobiwszy się, postanowili dać wszystko, wykrzykuje rozpaczliwym głosem Mata w białej koszuli, pod „bawełnianym sweterkiem" (w którym „wciągana jest kreska"). I zdaje się tym krzykiem pisać jakiś manifest. Wnioskując po reakcjach – wyszło mu nieźle, w coś najwyraźniej trafił boleśnie, tak rozumiem to, co się wydarzyło, gdy został odczytany w piątkowy poranek przez rodziców, którzy zamarli z nosami w komórkach nad porannym latte, w SUV-ach jadących do pracy w Mordorze na Domaniewskiej itp., itd.

„My to patointeligencja, katolickie przedszkola, strzeżone osiedla, kurator angielski i gegra" – powiada Mata i nagle robi się wszystkim cholernie smutno, że tyle wysiłku, tyle kredytu we franku albo i złotym, żeby każde z dzieci miało ten swój własny pokój, co nam go brakowało, tyle żył wyprutych w robocie, tyle godzin spędzonych w aucie podwożącym do szkoły i na lekcje dodatkowe, tyle węglowego śladu po wspólnych dorocznych wakacjach w Tajlandii, tyle tyle tyle, a wychodzi na to, że jak zawsze jest to samo. Myśleliśmy sobie może, że jak im dużo damy, to już nie będzie takich nocy jak ta, gdy dawno dawno temu było sto dni do matury i Chmielu z klasy mojego brata skoczył z dachu wieżowca. Myśleliśmy pewnie, że da się uniknąć takich rzeczy, jak ta, gdy Mariusz z mojej klasy przed maturą trafił do więzienia za handel narkotykami w szkole, myśleliśmy może, że „łosoś i jazzowa kolęda" uchronią ich i nas przed wielką pustką. A tymczasem „zacząłem robić te rapy, bo już miałem, kurwa, tak dość tego ciepła i piękna", krzyczy Mata, i co mu na to odpowiedzieć?

Zajrzałam na wszelki wypadek do dwóch książek wydanych przed laty przez dwóch absolwentów tego samego prestiżowego liceum Batorego, czyli do „Heroiny" Tomasza Piątka oraz „Masali" Maksa Cegielskiego, którzy opisywali swoje młodzieńcze przygody z narkotykami i tym wszystkim, czego tak boimy się dziś dla swoich dzieci.

Możliwe, że podstawową różnicą jest to, że dziś świat żyje w poczuciu, jakby wszystko dało się kupić, także bliskość i miłość własnych dzieci. Lub – jak ujęła to moja przyjaciółka – zastąpić kasą relacje. Bo ten kawałek Maty jest chyba przede wszystkim o rodzicach, nie o dzieciach, i dlatego robi takie wrażenie.

Jeśli zatem jesteście rodzicami nastolatków, przed wigilią, łososiem i jazzową kolędą koniecznie zobaczcie, co też tam sobie rapuje Mata, może się przyda przy opłatku. Wesołych Świąt! ©

POŻEGNANIE

Msza św. za spokój dusz

ś.† p.

Henryka Niewodniczańskiego

w 51. rocznicę śmierci

ś.† p.

żony Ireny z Prawocheńskich Niewodniczańskiej

w 29. rocznicę śmierci oraz

ś.† p.

syna Tomasza Niewodniczańskiego

w 10. rocznicę śmierci

będzie odprawiona 25 grudnia o godz. 7.30 w Krakowie w kolegiacie św. Anny.

JACEK TARAN

Georg Mitschke podczas prac konserwatorskich w klasztorze na Górze św. Anny

W IMIĘ OJCA

Gdy wyjeżdżał, myślał, że to podróż bez powrotu.
Teraz wraca na Górę św. Anny od ponad 20 lat, by dokończyć dzieło ojca.

MARCIN CHODUŃ

Zakonnik kroczy po klasztornym korytarzu i puka do drzwi celi nieopodal schodów; potem podchodzi do kolejnych drzwi i znów puka. Nagle chwali się z nieco łobuzerskim uśmiechem wcale niezłą niemczyzną: – *Wo ist Herr Mitschke?* – I znów powtarza po polsku, chociaż teraz już bardziej do siebie, jakby wsłuchiwał się we własny głos: – Gdzie jest pan Mitschke?

Może na dole? Dobrze, idziemy zatem w dół. Wąskie schody, kolejne drzwi, klasztorna kuchnia. Nie, tu go też nie ma. – O, tam wreszcie jest jakieś życie – zakonnik wskazuje na niewielkie drzwi ściśnięte ciasno grubymi, wiekowymi framugami. Puka i znów pyta, czy poszukiwany jest w środku: – *Herr Mitschke, sind Sie da?*

Obszerny pokój, trochę warsztat rzemieślnika, trochę pracownia artysty. Pod bielonymi ścianami olbrzymie kartony ze szkicami, ramy obrazów, figurki świętych, pędzle, papiery, fragmenty mebli, świeczniki, rzeźby – jakby zniesiono tu wszelkie możliwe szpargały z klasztornego strychu. (Nieco później takie też pojawi się wyjaśnienie: że tu jest jak w domu – gdy coś zawadza, to na strych i po kłopocie. No i że przez kilkaset lat istnienia klasztoru na Górze św. Anny trochę tego się nazbierało).

Na środku pomieszczenia – podstawa dużego ołtarza.

Pod oknem dwóch mężczyzn. Pan Antoni, który od lat towarzyszy w pracy panu Mitschkemu. Obok – sam Georg Mitschke.

Już lepiej jedźmy do domu

Jasne oczy, zaczesane do góry blond włosy, uścisk dłoni mocny jak u dwudziestolatka, dziarski krok – tak, wiele można o nim powiedzieć, ale na pewno nie to, że Georg Mitschke wygląda na swoje pra-

wie dziewięćdziesiąt lat. Gdy zaczyna snuć opowieść, co jakiś czas rozbłyskują mu oczy i uśmiecha się nieśmiałym, dziecięcym niedowierzaniem: czy w kilka godzin można opowiedzieć całe życie?

– *Mein Leben?* Interesuje pana moje życie? Ciekawi pana, jak to było z moim ojcem? Z tym kościołem tutaj?

Dobrze, opowie wszystko.

Es war also so, więc było tak. Urodziłem się w 1930 r. w Głuchołazach, *in Ziegenhals*. Mieszkaliśmy z rodzicami w mieszkaniu na pierwszym piętrze. W tym samym budynku – pamiętam to dobrze – sąsiad Żyd miał na dziedzińcu skład węgla, którym handlował; udało mu się przetrwać wojnę, bo miał żonę Niemkę.

Mieszkaliśmy tam do końca wojny: ja, siostra i rodzice. Dwaj moi bracia zostali wysłani na front, jeden z nich zginął. W 1945 r. na Śląsk przyszli Rosjanie. Pamiętam, pewnej niedzieli na wiosnę proboszcz na niedzielnym kazaniu powiedział, że dowództwo wojskowe wydało nakaz: wszyscy mieszkańcy mają natychmiast wyjechać z miasta.

Ojciec wcale nie chciał wyjeżdżać. Nic nawet nie spakował. Matka i siostra były bardziej przewidujące – przygotowały jakieś rzeczy: trochę jedzenia, ubrania. Wyruszyliśmy od razu: matka z siostrą ciągnęły małe wózki, Handwägele; ja jechałem na rowerze. Ojca wpakowaliśmy na wóz drabiniasty, *wissen Sie*, bo ojciec nie mógł chodzić. Powód? Ołowica, *Bleikrankheit*. Niegdyś choroba zawodowa konserwatorów.

Szliśmy w kierunku czeskiej granicy, nach Sudetenland. Gdy dotarliśmy do pierwszej wioski już za granicą, Niklasdorf, Mikulovice, wówczas tamtejszy proboszcz dał nam coś do jedzenia. W Niklasdorf wsiedliśmy do pociągu w kierunku Niemiec. Ale moja matka nie chciała tak naprawdę dalej jechać. Gdy dojechaliśmy do miasta Liebau, Libavá, wtedy ojciec nagle powiedział: „Tu wysiadamy i zostajemy".

Okazało się, że ojciec pracował tu kiedyś w kościele! Poszliśmy do proboszcza. Był wtedy u niego jednak inny ksiądz, Czech, i ksiądz proboszcz bał się nas przyjąć na plebanię. Nie było rady: musieliśmy jechać dalej. Ale ministranci wzięli nasze wózki i zaprowadzili nas do karczmy przy dworcu. I dzięki tym ministrantom dostaliśmy tam dwa pokoje i zostaliśmy dłużej.

Wkrótce jednak w tamte okolice także dotarła armia radziecka – zbliżyła się do Altvatergebirge, pasma górskiego Hrubý Jeseník, i za Mährisch Neustadt, czyli Uničov, uformowała szeroki łuk. Wtedy mój ojciec powiedział: „Jak mamy tu dostać się w ręce Rosjan, to lepiej już jedźmy do domu".

Powroty do klasztoru

Mój ojciec, Josef Mitschke? Artysta-malarz i dekorator kościołów – to od początku było jego marzenie.

W 1919 r. otworzył w Głuchołazach własną firmę: Kunstmaler, Restaurator, Werkstatt für Kirchenkunst (Artysta malarz, restaurator, warsztat sztuki sakralnej).

W 1940 r. generalny wikariusz diecezji wrocławskiej Josef Martin Nathan przekazał mu nadzór nad wszystkimi pracami restauratorskimi w kościołach diecezjalnych.

W latach 40. wprowadził moją siostrę i mnie do zawodu.

W 1957 r. podjął się najważniejszego dzieła swojego życia: barokizacji kościoła na Górze św. Anny.

Powiedzmy sobie szczerze: klasztor franciszkanów i sanktuarium św. Anny na Górze św. Anny nie miały wcale łatwej historii. Pierwszy kościół pod wezwaniem św. Anny powstał w tym miejscu w 1485 r. – wówczas najprawdopodobniej została do niego sprowadzona z klasztoru koło Lyonu drewniana figurka św. Anny Samotrzeciej, w której głowie ukryta jest podobno relikwia świętej.

W 1656 r. na Górę św. Anny zostali sprowadzeni franciszkanie reformowani z Krakowa i Lwowa. Wkrótce powstał pierwszy, drewniany klasztor. Pod kolejny, murowany, kamień węgielny położono w 1733 r.

W 1810 r. władze pruskie wydają dekret sekularyzacyjny, rozwiązujący klasztory w całym kraju. Franciszkanie z Góry św. Anny muszą opuścić swoją siedzibę. Powracają do niej w 1852 r., gdy rząd pruski oddaje kościół i klasztor arcybiskupowi wrocławskiemu. Ale też nie na długo – po zjednoczeniu Niemiec w 1871 r. zakonnicy muszą wyjechać po raz drugi. Do klasztoru powracają ostatecznie w 1887 r. – gdy rząd pruski odwołuje ustawy znoszące zakony.

W 1941 r. naziści oznajmiają franciszkanom, że w ciągu 48 godzin muszą opuścić Górę św. Anny. Wracają do siebie dopiero po przejściu frontu w 1945 r.

Portrety Stalina

Na ja, no tak. Z Liebau dotarliśmy do Lipowej, *Lindewiese*. Tam przenocowaliśmy w starej szkole. 9 maja przyszli Rosjanie. Baliśmy się. Pamiętam, że z siostrą chowaliśmy w piwnicy ziemniaki. Ale nic złego się nie wydarzyło.

Ale jak teraz wrócić do domu? Ojciec nie mógł przecież chodzić. Lipowa jest oddalona od Głuchołaz jakieś 20 kilometrów. Pojechaliśmy tam z siostrą na rowerach. Dom, w którym mieszkaliśmy, miał zniszczony dach i okna.

Na miejscu spotkaliśmy naszego sąsiada, Żyda. W czasie wojny nasza matka dawała mu jedzenie, dbała o niego. Na nasz widok powiedział od razu: „To ja przyjadę i was przywiozę". Tak też się kilka dni później stało. Zamieszkaliśmy w naszym dawnym mieszkaniu. Załataliśmy dach, uszczelniliśmy okna. Ale co dalej?

Na szczęście radziecki komendant wojskowy dowiedział się, że ojciec jest malarzem. Zlecił mu nową pracę: malowanie portretów Stalina i radzieckich oficerów. Dzięki temu na naszym budynku został przytwierdzony szyld, że nasze mieszkanie jest chronione. Nikt nie mógł nas z niego wyrzucić.

Wkrótce do Głuchołaz przyszło też polskie wojsko. Proboszcz garnizonu postanowił z miejscowego niewielkiego ewangelickiego kościoła zrobić kościół katolicki i zaangażował do tego ojca. I nas: siostrę i mnie. Tam właśnie nauczyłem się od ojca trochę rzemiosła. Pracowaliśmy w tym kościele do 1947 r. Gdy skończyliśmy, proboszcz wysłał naszego ojca do swojego przyjaciela, proboszcza w *Lubschau bei Stahlhammer*, Lubszy koło Kalet.

Gdy ojciec wyjechał, ja z moją ciotką, siostrą matki, zaczęliśmy pracę w kościele w sąsiedniej miejscowości, Bodzanowie, *Langendorf:* ornamenty, roboty malarskie. Było ciężko: brakowało klejów malarskich i farb. Ale radziliśmy sobie, jak mogliśmy. Klej robiliśmy z mąki.

Jutro wysiedlenie

Na ja, wcześnie zacząłem pracować. Jako Niemiec nie mogłem po wojnie chodzić do szkoły. Dopiero w latach 50. w naszych okolicach ci, którzy po wojnie pozostali w Polsce, mogli podjąć naukę ↦

↦ w szkole – ale tylko w Wałbrzychu, *Waldenburg*. Ale jak ja tam niby miałbym się uczyć, przecież nie mogliśmy opuszczać naszego miasta.

Nie mieliśmy wtedy zresztą żadnych dokumentów. Jedynie zaświadczenie od władz wojskowych o pobycie czasowym – zgodnie z nim mogliśmy przebywać w Polsce tylko do momentu tzw. późnego wysiedlenia. W latach 50. dostałem dowód. Było w nim jedynie imię i nazwisko, bez obywatelstwa. Dzięki niemu mogłem jednak podróżować po kraju. Jeździłem głównie do Krakowa, gdzie w latach 1956-60 pobierałem naukę w warsztacie profesora Zygmunta Króla przy ulicy Zwierzynieckiej.

Z Krakowa mam tylko miłe wspomnienia. Zwłaszcza jedno: w barze mlecznym na ulicy Zwierzynieckiej zawsze jadłem pyszny obiad.

Gdy skończyliśmy pracę w Bodzanowie, *in Langendorf*, znajomy proboszcz z *Altewalde*, Starego Lasu, który mieszkał już wtedy w Nysie, zabrał nas do siebie. Ale jak! Jego brat, oficer, przyjechał po nas wojskowym samochodem – żaden urzędnik w Głuchołazach nic już nie mógł zrobić. Mogliśmy wyjechać.

W Nysie zamieszkaliśmy na poddaszu budynku administracji parafialnej. Mieliśmy odrestaurować spaloną nyską katedrę. Ale skąd wziąć pieniądze? Na szczęście proboszcz, jezuita, był dobrym dyplomatą. Rozumiał się z władzami miejskimi. Ponieważ katedra jest znaną świątynią, dostał bez problemu od miasta pomoc na odbudowę dachu. Po skończeniu remontu wykonywaliśmy liczne prace w kościołach w parafiach diecezji wrocławskiej. W ilu? Trudno tak wszystkie zliczyć w pamięci.

Na ja, pracowaliśmy, ale ciągle nie byliśmy ani Polakami, ani Niemcami. Z każdej parafii, w której znajdowaliśmy zatrudnienie, musieliśmy zawsze na sobotę i niedzielę wracać do Nysy. Co tydzień przyjeżdżało do nas UB na kontrole. Co kontrolowali? *Na ja, weiss der Kuckuck*, jeden Bóg wie!

Baliśmy się. Baliśmy się cały czas. Ciągle pojawiały się plotki: jutro znowu się zacznie wysiedlenie. Ta niepewność była najgorsza. Właśnie taka plotka pojawiła się pewnego dnia w 1956 r. Matka dostała wtedy wylewu. Do końca życia – zmarła w 1973 r. – nie mogła już chodzić i ledwo ruszała prawą ręką.

Podczas pracy w Wysokiej ojciec poznał opata z klasztoru na Górze św. Anny. Spodobała się opatowi robota ojca. W 1957 r. dostał ojciec od franciszkanów zlecenie barokizacji tutejszego kościoła.

Zarejestrowany jako artysta

Od powrotu franciszkanów z drugiego wygnania w 1887 r. w kościele i klasztorze niewiele robiono. Potem była pierwsza wojna światowa, druga. Czy można było wtedy prowadzić prace restauratorskie?

W czasie pracy na Górze św. Anny mieszkaliśmy całą rodziną w tutejszym Domu Pielgrzyma. Oficjalnie mieszkaliśmy jednak nadal u proboszcza w Nysie. Jeździliśmy tam regularnie. Było ciężko z jedzeniem. Na szczęście nasi polscy przyjaciele zawsze dla nas coś zostawiali.

Opat na Górze św. Anny dostał pozwolenie na odnowienie kościoła od biskupa, ale nie wystąpił o akceptację do władz. Dlatego zakon musiał zapłacić karę. Ja też musiałem zapłacić karę, bo nie miałem dokumentów zawodowych. Wprawdzie profesor Król załatwił mi w Ministerstwie Kultury świadectwo, które pozwalało mi malować obrazy olejne. Ale cóż miałbym począć z obrazami olejnymi w kościele? Dostałem numer, pod którym byłem zarejestrowany jako artysta, ale niczego to nie zmieniło.

To był jeden z moich osobistych powodów wyjazdu z Polski. Wyjechaliśmy w 1965 r. Ściągnął nas przez Czerwony Krzyż mój brat, który po wojnie trafił w okolice Brunszwiku. Na początku było nam ciężko. Gdy przyjechaliśmy, ludzie witali nas najczęściej słowami: „O, to są te leniuchy, którym się nie chciało pracować w Polsce”.

Nie mogliśmy znaleźć mieszkania. Zamieszkaliśmy więc u rodziny, w mieście Unna. Z pracą też było krucho. Napisaliśmy do wszystkich wikariuszy w całych Niemczech prośby o pracę, ale dostaliśmy jedynie odmowne odpowiedzi. Ostatecznie pojechaliśmy do Münster, gdzie znalazłem pracę w Krajowym Urzędzie Ochrony Pomników w warsztacie. Ale kryzys gospodarczy, który wtedy się już zaczynał w Niemczech, spowodował, że niektóre urzędy musiały zamknąć swoje warsztaty.

POŻEGNANIE

Zawiadamiamy, że 5 grudnia 2019 roku, w wieku 94 lat, odeszła do wieczności

Ś.† P.

Maria Młynarska
z domu Chrobak

doktor medycyny

Żyła troską o ludzi i pasją naukową w dziedzinie fizjologii.

Pogrzeb odbędzie się 23 grudnia 2019 r. o godz. 10.00
na cmentarzu Salwatorskim w Krakowie.

Matyldo, kochamy Cię i dziękujemy!

Mąż, Dzieci, Wnuki i Rodzina

MAREK MARUSZAK / FORUM

Góra św. Anny, wieś i klasztor Franciszkanów

Znów nie miałem pracy. Aż dzięki znajomemu znalazłem zatrudnienie w średniej szkole ogólnokształcącej, *Realschule*.. Spodobało mi się – postanowiłem pójść na studia pedagogiczne. Po studiach pracowałem w Münster w szkole katolickiej przez 20 lat jako nauczyciel wychowania plastycznego.

W 1992 r. przyjechałem po raz pierwszy znowu do Polski. To był prawdziwy cud, *ein Wunder*, kto by pomyślał, że coś takiego będzie możliwe? Gdy wyjeżdżaliśmy z Polski, myśleliśmy, że to na zawsze. Gwardian zakonu ucieszył się na mój widok i pozwolił mi dokończyć prace w kościele.

Od tej chwili przyjeżdżam regularnie na Górę św. Anny. Miesiąc mieszkam w Polsce, miesiąc w Niemczech.

Ciągle nie byliśmy ani Polakami, ani Niemcami.

Z każdej parafii, w której znajdowaliśmy zatrudnienie, musieliśmy zawsze na sobotę i niedzielę wracać do Nysy. Co tydzień przyjeżdżało do nas UB na kontrole.

Czy znajdzie się taki malarz

– No dobrze, chodźmy teraz zobaczyć kościół, *die Kirche* – mówi nagle i wstaje znad stołu w swoim warsztacie.

Maszeruje przede mną po schodach prawie jak żołnierz. Aha, jeszcze musi w kuchni powiedzieć, że dziś przyjdzie później na obiad. W kościele półmrok. To on pójdzie zapalić światło, kościół rozbłyska złotą łuną. – *Ich zeige jetzt alles*, wszystko pokażę.

Opowiada dalej.

W kościele pracowaliśmy z ojcem, siostrą i ciocią. Tutejszy kościół nie jest symetryczny, dlatego ojciec tak zaplanował ołtarz i prezbiterium, żeby nadać całości harmonię i symetrię. Robiliśmy wszystko: prace sztukatorskie, ornamenty, marmoryzacja drewna, roboty malarskie. No i freski.

Spogląda w górę.

Duże freski w środkowej części sklepienia wykonał mój ojciec: „Prezentacja Maryi w świątyni", „Narodzenie Najświętszej Maryi Panny", „Śmierć Jezusa", „Anna przy Złotej Bramie" . No i malowidło w prezbiterium: „Śmierć św. Anny", na którym Annie w chwili śmierci zostaje przekazane dzieciątko Jezus, co ma symbolizować początek Nowego Testamentu.

Wskazuje ręką na przestrzeń ponad organami. – To jest mój fresk „Chór aniołów". – Potem kieruje dłoń na boczne przestrzenie sklepienia. – Te freski są też moim dziełem: „Zaślubiny św. Józefa", „Modlitwa św. Anny", „Narodziny Chrystusa", „Sakrament Ołtarza", „Przybycie franciszkanów". Polichromie nad bocznymi ołtarzami też są moje: „Adam i Ewa" i „Abraham i Izaak".

Chodząc po kościele, mówi znów ze śmiechem: – Mam w głowie jeszcze kilka obrazów: „Anna, matka Samuela", „Sara, żona Tobiasza" i „Anna prorokini".

Pod chórem powstanie jeszcze obraz przedstawiający papieża, biskupów i wiernych, a także matkę Annę i Maryję z dzieciątkiem. Szkic do tego obrazu ma już gotowy, *die Skizze ist fertig*. Trzeba tylko znaleźć malarza, który to namaluje. – Mnie już brakuje sił. Wie pan, to jest właśnie problem. Bo żeby takie freski namalować, potrzeba wiele modlitwy i długiego namysłu. Postacie na nich mają przecież żyć i przywodzić do wiary. Czy dzisiaj taki malarz się jeszcze znajdzie?

Testament

Czemu właściwie to robi?

– Mój ojciec umarł dwa lata po wyjeździe z Polski – w 1967 roku. Nigdy nie wspominał o tym sanktuarium, ale było widać, że ono głęboko zostało mu w pamięci. Wszystko w nim zaplanował: architekturę, ornamenty, sztukaterię. To był jego ostatni kościół. To jego testament.

© MARCIN CHODUŃ

Logika pytań

PROF. ANDRZEJ WIŚNIEWSKI, LOGIK, LAUREAT NAGRODY FNP:

Zainteresowała mnie kwestia zależności logicznych między problemami filozoficznymi. Które są ważniejsze, które mniej ważne, które zależą od rozwiązań innych problemów. To z kolei wymagało podszkolenia się w logice. I zaczęło mnie to coraz bardziej wciągać.

MARCIN BÓJKO: Panie Profesorze, nie ukrywam, że czuję pewną tremę przeprowadzając wywiad z osobą, która sporą część kariery naukowej poświęciła badaniu logiki pytań. Zastanawia mnie pewna sprzeczność. Jak można mówić o logice pytań, skoro pytanie samo w sobie nie może być ani prawdziwe, ani fałszywe, tak jak jest w przypadku zdań?

PROF. ANDRZEJ WIŚNIEWSKI: Pytania nie są prawdziwe lub fałszywe, ale mogą być trafne lub nietrafne. Pytanie trafne to takie, które posiada przynajmniej jedną prawdziwą odpowiedź bezpośrednią. Bezpośrednia odpowiedź to taka możliwa odpowiedź – niekoniecznie prawdziwa! – która dostarcza dokładnie tych informacji, o które w pytaniu chodzi. Natomiast pytanie nietrafne to takie, które nie ma prawdziwej odpowiedzi tego rodzaju, to znaczy wszystkie odpowiedzi bezpośrednie na to pytanie są fałszywe.

Poproszę o przykłady.

Rozważania logiczne nie dotyczą bezpośrednio języka naturalnego, trzeba przedtem formalnie opisać pytania i ich odpowiedzi bezpośrednie, dopiero wtedy można coś analizować. Ale weźmy coś, co jest dość jasne do analizy: która liczba naturalna jest mniejsza niż zero? Co pan myśli o tym pytaniu?

Powiedziałbym, że to nielogiczne pytanie, bo nie ma liczb naturalnych mniejszych od zera.

Odpowiedź bezpośrednia wskazuje liczbę naturalną i stwierdza, że jest ona mniejsza od zera. Jest wiele takich odpowiedzi. Ponieważ każda taka odpowiedź jest fałszywa, to pytanie jest nietrafne. Można na nie odpowiedzieć jedynie, że takiej liczby nie ma, a więc dostarczyć odpowiedź korekcyjną, która jest prawdziwa.

Weźmy pod uwagę inne pytanie: jakie miasto w zachodniej Polsce jest miastem uniwersyteckim?

Tu jest kilka poprawnych odpowiedzi: Poznań, Szczecin, Wrocław...

No tak, ale pytanie może mieć więcej niż jedną prawdziwą odpowiedź bezpośrednią. Ważne jest, aby miało co najmniej jedną taką odpowiedź. To pytanie jest więc trafne.

Logika klasyczna dostarcza schematów wnioskowań prowadzących od prawd do prawd. Schematów – bo nie odwołujemy się do treści przesłanek czy wniosków, lecz do ich formy. Można się zastanawiać, czy istnieją jakieś schematy wnioskowań prowadzących od zdań prawdziwych do pytań trafnych. Okazuje się, że tak. Można też znaleźć schematy wnioskowań prowadzących od pytań trafnych i prawdziwych zdań do kolejnych pytań trafnych. Sama transmisja trafności i prawdziwości w trafność to jednak za mało; pytanie, do którego dochodzimy, powinno być też w pewnym sensie użyteczne poznawczo względem pytania wyjściowego. Można to uściślić i w efekcie otrzymać schematy przechodzenia od pytań trafnych do pytań nie tylko trafnych, ale i użytecznych. Z kolei w przypadku wnioskowań prowadzących od zdań oznajmujących do pytań można znaleźć schematy gwarantujące nie tylko transmisję prawdziwości przesłanek w trafność pytania-wniosku, ale i informatywność takiego pytania: każda odpowiedź bezpośrednia niesie informację, która nie jest zawarta w przesłankach. Znalezienie prawdziwej odpowiedzi będzie więc zyskiem poznawczym.

Inferencyjna logika pytań dostarcza takich schematów. To są podstawowe cegiełki, których można dalej używać.

Czy Pańskie prace można wykorzystać do automatyzacji zadawania pytań, eksploracji wiedzy oraz nauczenia maszyn rozumienia pytań i odpowiedzi?

Pojęcie rozumienia jest tu dosyć ryzykowne. Ale było to wykorzystywane, chociaż nie na poziomie rozwiązań komercyjnych. Tak zwane scenariusze erotetyczne (nazwa pochodzi od greckiego *erotema*, czyli pytanie) przykładano do pewnych sytuacji poznawczych. Można było opisać pewne, nie powiem algorytmy, ale sposoby rozwiązywania pewnego typu problemów. Modelowano formalnie przebiegi dialogów, a ponadto zastanawiano się nad tym, jak można formalnie opisać kooperatywne rozwiązywanie problemów. Chodzi w nim o to, że informacja prowadząca do rozwiązania jest rozproszona w wielu źródłach, nie jest w całości dostępna w żadnym z nich, a więc żeby dojść do rozwiązania, trzeba spowodować, aby te cząstkowe informacje się „spotkały". To można modelować za pomocą scenariuszy erotetycznych.

Albo takie kooperatywne odpowiadanie. Polega ono na tym, że zwracam się z pytaniem do bazy danych, a ta baza dostarcza odpowiedzi, która jest nie tylko poprawna, ale i podana w postaci użytecznej dla mnie, a ponadto niewprowadzającej mnie w błąd. To jest szczególnie ważne w przypadku odpowiedzi negatywnych. Mówiąc ogólnie, efekt kooperatywności uzyskujemy w ten sposób, iż podana odpowiedź jest uzupełniona o wyjaśnienie, w oparciu o jakie fakty i reguły została ona udzielona.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Mamy również kooperatywne stawianie pytań. Np. system może odpowiedzieć pytaniem na zapytanie użytkownika, a odpowiedź użytkownika ułatwi systemowi znalezienie rozwiązania satysfakcjonującego tego użytkownika. Modelując te zjawiska, także używamy scenariuszy erotetycznych. To są rzeczy opisane na poziomie formalnym i są to pomysły architektur. Jest taka książka, nagrodzona zresztą, „Logic of Questions in the Wild", jednego z moich współpracowników, profesora Pawła Łupkowskiego, która o tym wszystkim mówi.

Druga sprawa to pewne nowe metody dowodzenia twierdzeń. Tutaj polecam książkę „From Questions to Proofs" autorstwa profesor Doroty Leszczyńskiej-Jasion.

Skąd się u Pana wzięła fascynacja badaniem logiki pytań?

Zaczęło się oczywiście od filozofii, którą studiowałem, i zainteresowała mnie kwestia zależności logicznych między problemami filozoficznymi. Które problemy są ważniejsze, które mniej ważne, które zależą od rozwiązań innych problemów. To z kolei wymagało podszkolenia się w logice. I zaczęło mnie coraz bardziej wciągać. A były lata 80., gdy panował taki paradygmat, że w zasadzie pytania poddają się analizie logicznej, można ich strukturę opisać, można opisać związki między pytaniem a odpowiedzią. Można opisać związki zawierania się pytań w pytaniach. Można scharakteryzować założenia pytań. Natomiast rozumowania, w których pytania pełnią istotną rolę, to coś, czego nie da się ściśle opisać. To już kwestia psychologii, heurystyki itd. A z drugiej strony był taki otwarty problem: co to znaczy, że pytanie powstaje? Były znane tylko cząstkowe rozwiązania. Zacząłem o tym wszystkim myśleć, próbując rozwiązać zagadkę, jak powstają pytania, a później, jak miałem to pierwsze rozwiązanie, zacząłem zastanawiać się nad rozumowaniami, wnioskowaniami, i tak poszło.

Efekt jest taki, że jak 30 lat temu ktoś mówił o wnioskowaniach prowadzących do pytań, albo mających przesłanki będące pytaniami, było to bardzo podejrzane. A niedawno, gdy byłem w Brukseli, tak testowo zapytałem kolegę (oczywiście nie-Polaka), czy istnieją takie wnioskowania poddające się analizie logicznej. Odpowiedział: „przecież to oczywiste, że istnieją".

MAGDALENA WIŚNIEWSKA-KRASIŃSKA / MATERIAŁY PRASOWE

PROF. ANDRZEJ WIŚNIEWSKI jest logikiem, filozofem i kognitywistą, pracuje na Wydziale Psychologii i Kognitywistyki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W 2019 r. otrzymał Nagrodę Fundacji na rzecz Nauki Polskiej w obszarze nauk humanistycznych i społecznych za opracowanie koncepcji inferencyjnej logiki pytań. Rozwiązania zaproponowane przez prof. Wiśniewskiego mogą znaleźć zastosowanie m.in. w uczeniu maszynowym, rozwijaniu sztucznej inteligencji, ulepszaniu internetowych wyszukiwarek czy skutecznej analizie baz danych.

Czyli obudziła się w Panu przekora naukowa – słyszał Pan, że się nie da, to postanowił Pan sprawdzić, czy faktycznie tak jest?

Czasem warto nie wiedzieć, że się nie da... Niewątpliwie był to ciekawy i wtedy nowy problem. Współcześnie mamy również inne podejścia do tego zagadnienia, ale gdy patrzymy na daty moich publikacji, to nie muszę się wstydzić.

Czy możemy w tym kontekście mówić o międzynarodowym sukcesie?

Weźmy zewnętrzne kryterium: czy wyniki są omawiane, przedstawiane w miarę obszernie w różnych handbookach czy encyklopediach? W tym momencie jest się czym pochwalić. Mamy „Routledge Encyclopedia of Philosophy", mamy też „Handbook of Philosophical Logic", „Handbook of Epistemology", „Handbook of Logic and Language", „Handbook of Contemporary Semantic Theory", „Encyclopaedia of Proof Systems" itd. Jest więc trochę publikacji, w których te rozwiązania i analizy są przedstawiane, omawiane, komentowane. Myślę, że jest to jakaś oznaka, iż rzecz nie jest czysto lokalna.

© Rozmawiał MARCIN BÓJKO

Opowieść wigilijna

PAWEŁ SOŁTYS

Dziczka. Taka była, wyrosła na uboczu, poza spojrzeniami, w których jest miłość i czułość, jakby przypadkiem. Nie obumarła z niewyjaśnionych przyczyn, a przecież powinna, ale ludzie czasem nie robią tego, co powinni, gdy braknie słońca ogrzewają się ogarkami papierosów i pogardą – byle czym. Chłopaki się jej trochę bali, więcej obrzydliwych żartów leciało w jej stronę, więcej o niej mówili niż o innych – z pozornym lekceważeniem, które ważyło tyle co uznanie, przynajmniej w tej dzielnicy. A ona stała, szczupła i napięta, nawet papierosa trzymała w zaciśniętej pięści, stała pod ścianą i dmuchała sobie w grzywkę, uśmiechając się w te ich plugawe odzywki, kombinowała. I każdy z nich wiedział, że niegłupio. Czy się bała? Wszyscy się tam baliśmy, strach był jak kiosk na rogu i piwnica pasera naprzeciw szkoły, na stałe.

RADZIŁA SOBIE jednak dobrze, uważnie dobierała obrońców, a i sama nie była zupełnie bezbronna. Zupełnie nie. Kiedyś wracaliśmy z imprezy, trochę nas wyrzucili, trochę się biliśmy, ale bez przekonania, no w każdym razie już wracaliśmy, piwo w puszkach i przechwałki, jak zwykle. Kaban był pijany, wielki i pijany, zresztą chyba też na zejściu z fety, zataczał się. Ale tak sprytnie, że coraz bliżej niej. Zaciskające się, coraz mniejsze elipsy, taką miał taktykę. Zostali nieco z tyłu, jakby straciła czujność, a może i ona miała taktykę, kto to wie? Kaban wymyślił chyba w tym swoim wielkim łysym łbie, że za starą piekarnią ją po prostu przewróci, tam były chaszcze, a to lato, wszystko na wysokość człowieka – zielone. No ale. Krzyczał, czy raczej wył jak dzika świnia właśnie, ksywy nie kłamią, choć pewnie też bym wył tak samo z żarem w oku. Pstryknęła, wiedziała, że gdy ją podejdzie na zasięg rąk, nic nie zrobi. Niby ryzyko, a na zimno – jedyny sposób. I trafiła. Już potem na to jedno oko ledwo co widział, może i dobrze, co tam u nas było do oglądania.
A może nie mam racji, bo chwilę potem, po osiemdziesiątym dziewiątym, to i u nas się pojawiło wesołe miasteczko, tyle że nawet na karuzeli jeździły krzywe lustra i to często na strzelnicę. Siedem lat wesołych nieszczęść.

JA JUŻ BYŁEM po technikum, ojciec załatwił mi niezłą robotę, płacili i nikt się raczej nie przypieprzał. I im więcej się rozglądałem po powrocie z pracy, tym mniej mi się chciało siedzieć na podwórku. Ona też raczej od wielkiego dzwonu, bo ten jej szedł w górę, jakby mu Matka Boska non stop dawała nóżkę. Jeździła z nim co chwila nową bryką, a każda następna miała fajniejszy znaczek na masce, trudno z takiej bryki wysiąść znowu na ławki. I po co? Czasem jednak wracała, coś tam przywoziła temu swojemu wujkowi, u którego się wychowała, bo i nie był taki najgorszy. Na pewno lepszy niż jego siostra i jej gach, od których ją w końcu zabrał, lata temu, miał kawałek serca pod marnym tatuażem. I kiedy go odwiedzała, wtedy czasem stawała jak dawniej pod murem, a my rozlewaliśmy, co przyniosła. Sporo z naszych już wtedy dla kogoś latało, patrzyli na nią z jeszcze większym niż wcześniej respektem. Gadało się, że nie robi za materac, tylko sama jest w robocie, bo dobrze liczy i ma instynkt. Dla mnie to pod skórą miała sam instynkt i może trochę kości.

– Dobrze ci?

– Tak, da się żyć. A ty podobno pracujesz?

– Tak, normalna robota, rozglądam się za mieszkaniem do wynajęcia, ale nie tutaj, tu za dużo kozaków, każdy chce coś udowodnić, a mnie nudzi chodzenie z nożem w żebrach albo leżenie w ziemi.

– Wiesz, nie musisz się tutaj bujać, pomogłabym.

– Dzięki, ale ja nie jestem do tej roboty. Co to jakiś, kurwa, prikaz był, że wszyscy u nas muszą?

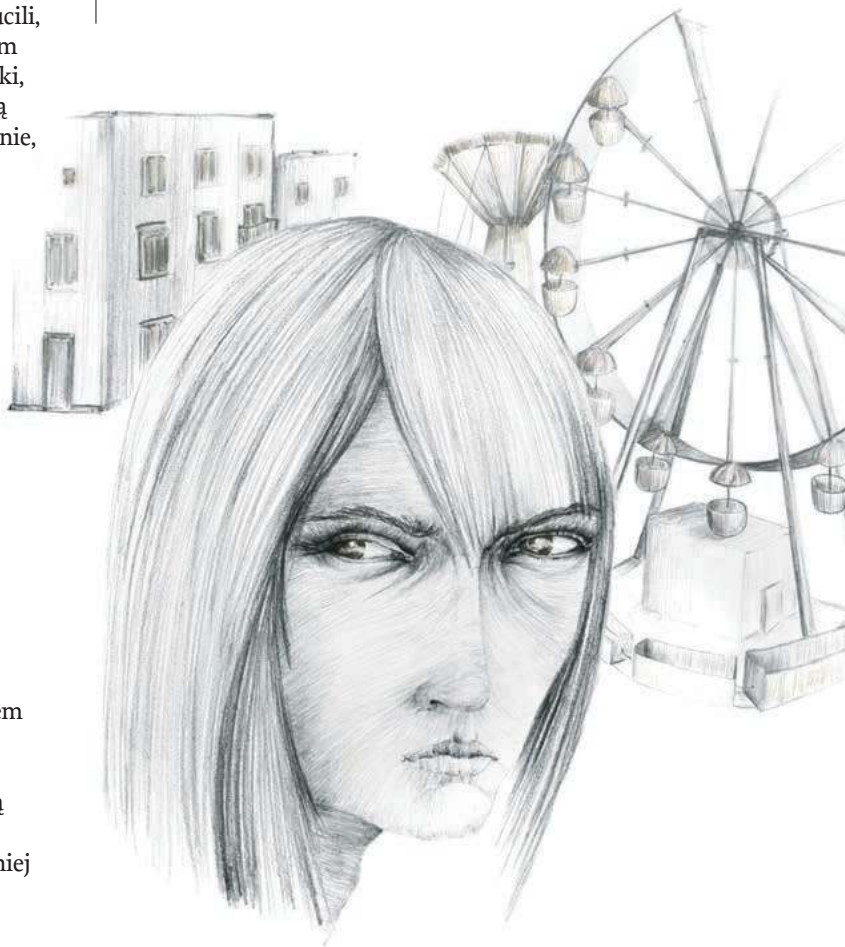

ZUZANNA SYNORADZKA-WRÓBEL

– Nie było.

Ale wyglądało, jakby był.

No i się wyniosłem, za rzekę, na spokojniejsze. Dwa lata szedł w górę ten jej, dochodziły mnie słuchy. Bałem się pomyśleć, czym teraz jeździ, pewnie czymś ze złota i strachu, tankowanym chivaz regalem z colą. Szedł w górę, ale musiała Matka Boska mieć akurat robotę gdzieś indziej, bo przestał w którąś lutową noc. Czy był żywy, jak mu tę superfurę oblali benzyną i pstryknęli petem – różnie mówili. Myślę, że był. Dochrapał się w końcu takiego stanowiska, że kajdanki masz na łapach i kierownicy, a krzyk odbija się od wzmocnionych przyciemnianych szyb – prezes do spraw umierania.

ROK PO POGRZEBIE tamtego cwaniagi spotkałem ją w centrum, w knajpie za drogie pieniądze, udającej Chicago albo Los Angeles. Przypadek, koledze urodziło się dziecko i zaprosił, a ona siedziała z jakimiś facetami. Elegancka, w ciemnej sukience, w kolczykach tak wielkich, że mogłaby przez nie włożyć i wyjąć sto baksów. Zauważyła mnie, ale nie mogła albo nie chciała odejść od tamtych ważniaków. Mrugnęła tylko znad kieliszka, a właściwie przez kieliszek, mrugnęła do mnie okiem na pół twarzy. Faceci przy jej stoliku rozmawiali głównie po rusku, zresztą było głośno, moi też z każdą szklanką whisky śmiali się jak na zawodach w rechocie. Chudy i dziobaty koleś w garniturze wartym miesiąc mojej pracy co pewien czas kładł jej dłoń na kolanie. Nie miałem ani odwagi, ani powodu, by podejść. O ile słyszałem – rosyjski nie był jego pierwszym językiem, ale łańcuch miał, nikt się w tamtych czasach nie dziwił. A nawet jeśli, to po cichu, w domu, oglądając kabaret w telewizji, łańcuchy pachniały kłopotami, na które nie ma lekarstwa.

PIŁEM Z KOLEGAMI OSTROŻNIE, śmiałem się po marnych pointach, wymieniałem modele samochodów, gdy tego oczekiwano – taka branża, rozmiary biustów i dziwactwa partnerek – taka płeć, gdy niespodziewanie poczułem ukłucie między łopatkami. Użądlenie nieśmiałej osy albo dźgnięcie końcówką cyrkla – jak w szkole. Spojrzałem kątem oka, to musiał być jej czerwony paznokieć, wchodziła właśnie do toalety. Wstałem.

Przedsionek był koedukacyjny, tam myła ręce, spoglądając w lustro. I tak rozmawialiśmy, patrząc w swoje odbicia.

– Żonaty?

– Nie...

– Na wigilię do rodziców jedziesz do nas, za rzekę?

– Jeszcze nie wiem, pewnie tak.

– Przyjdź do mnie, zrobię śledzie i barszcz.

– Zrobisz czy ci niewolnice zrobią?

– Zrobię.

– Zapraszasz do ciebie czy do was? Bo ten, co ci rękę na kolanie kładzie, to może wolałby dwa tygodnie później? Tak ruskiego udaje.

– Wirus? Nie mieszka ze mną, przyjdź do samotnej dziewczyny.

– Z ciebie taka samotna dziewczyna jak ze mnie Małysz. Przyjadę. A ten Wirus to nie wpadnie niespodziewanie po miłość i przy okazji przestrzelić mi kolana?

– Nie wpadnie, mamę ma w Bezledach.

– Gdzie?

– W Bezledach. Nie byłeś? Najpiękniejsza miejscowość w powiecie bartoszyckim, musisz kiedyś pozwiedzać.

Z TYMI BEZLEDAMI to się nie złożyło, ale do niej na Poznańską jakoś dotarłem. W garniaku, pod krawatem, z kwiatami i winem. Z tej Poznańskiej to się śmialiśmy już na wejściu, bo to wiadomo, jaka to ulica była, ale tego dnia bez dziewczyn, nawet dziwki nie pracują w Wigilię. Chaty może nie kupiła sama, ale na pewno sama urządzała. Na tego Wirusa, czy jak mu tam było, to za mało złota, stiuków i podrabianych szabel. Ascetycznie – takie modne słowo nie schodziło wtedy z ust eleganckich pań w telewizji i ona tak samo – mała czarna, czarne szpilki, makijaż udający, że go nie ma, na szyi perełki odbijające błysk małych lśniących zębów. Znowu się zdziwiłem, że taka jest drobna, sprężysta – ale drobniutka, można by ją spakować do bagażnika w maluchu. Przy opłatku byliśmy spięci, nie do ceremonii oboje. Ale potem poszło: śledzie, barszcz, po jednym, ryba faszerowana, kapusta z grzybami, po drugim, coś, co nie wiem co, ale chyba jakieś małże, po trzecim, kawałek ciasta, po czwartym. I gadaliśmy. O starych czasach, o dzielnicy, o żywych i zmarłych, z uśmiechem, z szyderstwem nawet, a czasem na tym tonie pozornie nijakim – jak przyjaciele mogą, bez udawania mądrzejszych i efektowniejszych niż są. Jak starzy przyjaciele albo jak kochankowie.

Z bliska te oczy miała jeszcze większe, co chwila je przymykała, by po paru sekundach znowu spojrzeć, upewnić się może, że ja to ja, a nie któryś z tamtej knajpy. I gdy się podnosiły te powieki, to jakby dwa słońca brązowe wschodziły, i znów, i znów, aż w końcu wstało to prawdziwe grudniowe.

– Zadzwoń. Może być jeszcze przed Wielkanocą.

– Zadzwonię.

I dzwoniłem potem, ale do innych. Do mniej uwikłanych w miasto, do takich, za którymi nie stoi to wszystko, od czego przecież uciekłem, do takich, które mieszkają w kawalerkach albo jeszcze z rodzicami w blokach, a nie na stu dwudziestu metrach sprzed wojny, cztery metry do góry, choćbyś podskoczył, nie dotkniesz sufitu. Ona też nie, nie była z tych, co dzwonią, ale może stała chociaż czasem tak jak ja ze słuchawką przy uchu parę minut, nie wystukując żadnego numeru. Raz w tygodniu, potem raz w miesiącu, później już rzadziej. Myślę sobie, że czasem staliśmy tak, te kilka kilometrów od siebie, równocześnie. To niemal jakbyśmy rozmawiali, ja często słyszałem jej lekko szorstki, dziki głos, miałem go przy sobie, nie musiałem płacić za połączenie.

DWA LATA PÓŹNIEJ też ją odwiedziłem w Wigilię, ale rano. Magdzie powiedziałem, że jeszcze ostatnie prezenty muszę dla starych i brata, a sam na to Bródno. Postawił się ten jej ↦

wujek, albo i matkę sumienie ruszyło, choć wątpię, nawet jakby ruszyło, to i sumienie z pustego nie naleje. Więc najpewniej któryś z chłopaków, podobno mieli nawet oddzielny fundusz na takie okazje. Stałem i słyszałem jej głos, cichy śmiech, a to liście szorowały po alejkach, kolejne święta bez śniegu. Znowu miałem kwiaty w rękach, bez sensu, martwym one potrzebne jak... no, niepotrzebne chyba. Zresztą kto to wie, położyłem kwiaty pośrodku lastriko, zapaliłem znicz zapalarką do gazu, taką z długą lufą – bo to wygodniej niż zapałkami czy zapalniczką, ale od razu mnie wzdrygnęło – czy słyszy się ten wystrzał ostatni? Czy strach jest taki, że wszystko na głucho? Czy przewija się ten film z życia jak na filmach właśnie pokazują? I ile klatek w takim filmie zajmuje frajer od jednej Wigilii, od jednej młodości, od jednego razu.

ZUZANNA SYNORADZKA-WRÓBEL

TU JUŻ SIĘ ZBIERAJĄ, Wojtek podekscytowany jak tylko trzylatek potrafi, Ola pomaga Magdzie w kuchni, rodzice moi już są, coś tam patrzą w telewizji, pewnie skoki. Mama Magdy z siostrą dzwoniły, że jadą. A ja w garażu, zapomniałem czegoś, mam tu schowane, choć nie jestem z tych, co chowają. Jeden kieliszek, bluźnierczo, jeszcze przed opłatkiem, na raz. Z garażu nie widać pierwszej ani żadnej innej gwiazdy. Nie ma tu zasięgu ani wi-fi, jest przez ten jeden łyk, przez gorycz wódki w gardle, dziewięćdziesiąty szósty rok, na sekundę wschodzą dwa brązowe słońca, dziczka drży. ©

PAWEŁ SOŁTYS

Razem z aniołami

MAREK BIEŃCZYK

Kloszardzi, żebracy, mieszkańcy otchłani wystawiają na pokaz nasze istnienie, każą się pytać, kim jesteśmy.

Tak mogłaby się zaczynać typowa opowieść wigilijna, tyle że tę scenę zobaczyłem wiosną. Na jakiejś pustej uliczce prowadzącej żmudnie pod górę, w pobliżu parku El Retiro. Z tyłu, na parkowych uliczkach pozostały sprężyste kroki biegaczy lub speed walkerów, i miękkie kroki spacerowiczów chłonących ciepło pierwszego po chłodach wieczora. Widać było, że to od stóp, od sposobu ich stawiania, zaczyna się poczucie szczęścia. Ale tutaj chodzeniu towarzyszył wysiłek, mozolne przesuwanie nóg.

To one najpierw przyciągnęły uwagę. Masywne, bez zaznaczonych łydek, kolumnowe. Powiada się o takich, że są jak kloce. Nogi starszych, tęgich najczęściej kobiet; często nogi ludzi Południa, Śródziemnomorza; nogi otyłej starości. Kobieta źle wyglądała i była bardzo nędznie ubrana. Na granicy kloszardztwa, w dziurawym swetrze, w podartych pończochach, nieumyta, przez chwilę obawiałem się, że zacznie prosić o jałmużnę. Człapała metr za metrem, z wielkim wysiłkiem, jakby wbrew sobie, co chwila przystawając.

Po chwili usłyszałem, że mówi. Ale do kogo? Do siebie czy ogólnie do świata, czyli do powszechnego niezidentyfikowanego odbiorcy, jak to się zdarza szaleńcom, których nędza wykluczyła z istnienia przy kimś i postawiła na wielkiej scenie przed anonimową, nieskończenie liczną publicznością. Dostrzegłem, że mówiła jednak przez komórkę. Mówiła i łkała; nie wiem, o czym opowiadała, lecz co jakiś czas, niczym głośniejszy, mocno akcentowany refren, magiczne powtórzenie, rozlegały się te słowa: „razem z aniołami".

Razem z aniołami – lecz kto tak wspólnie z nimi? Ona sama, ktoś inny, kto właśnie umarł i kogo może opłakiwała, albo ona i jej niewidzialny rozmówca? Czy jednak na pewno po drugiej stronie był rozmówca? To nie było oczywiste, gdyż nie słuchała, a tylko mówiła. Więc mimo wszystko zwracała się przez elektroniczne medium wprost do świata, który powiadamiała o jakiejś nadchodzącej lub odchodzącej anielskiej drużynie?

Parę godzin wcześniej i kilkanaście przecznic dalej widziałem inną scenę; od dłuższego czasu męczę opowieścią o niej słuchaczy, nie wiedząc dokładnie, o co mi chodzi. Na chodniku, wprost na gołym bruku, jakiś nędzarz wyłożył na sprzedaż dwie pary podrobionych adidasów, żądał za każdą dwa euro, może trzy. Ktoś się pochylił

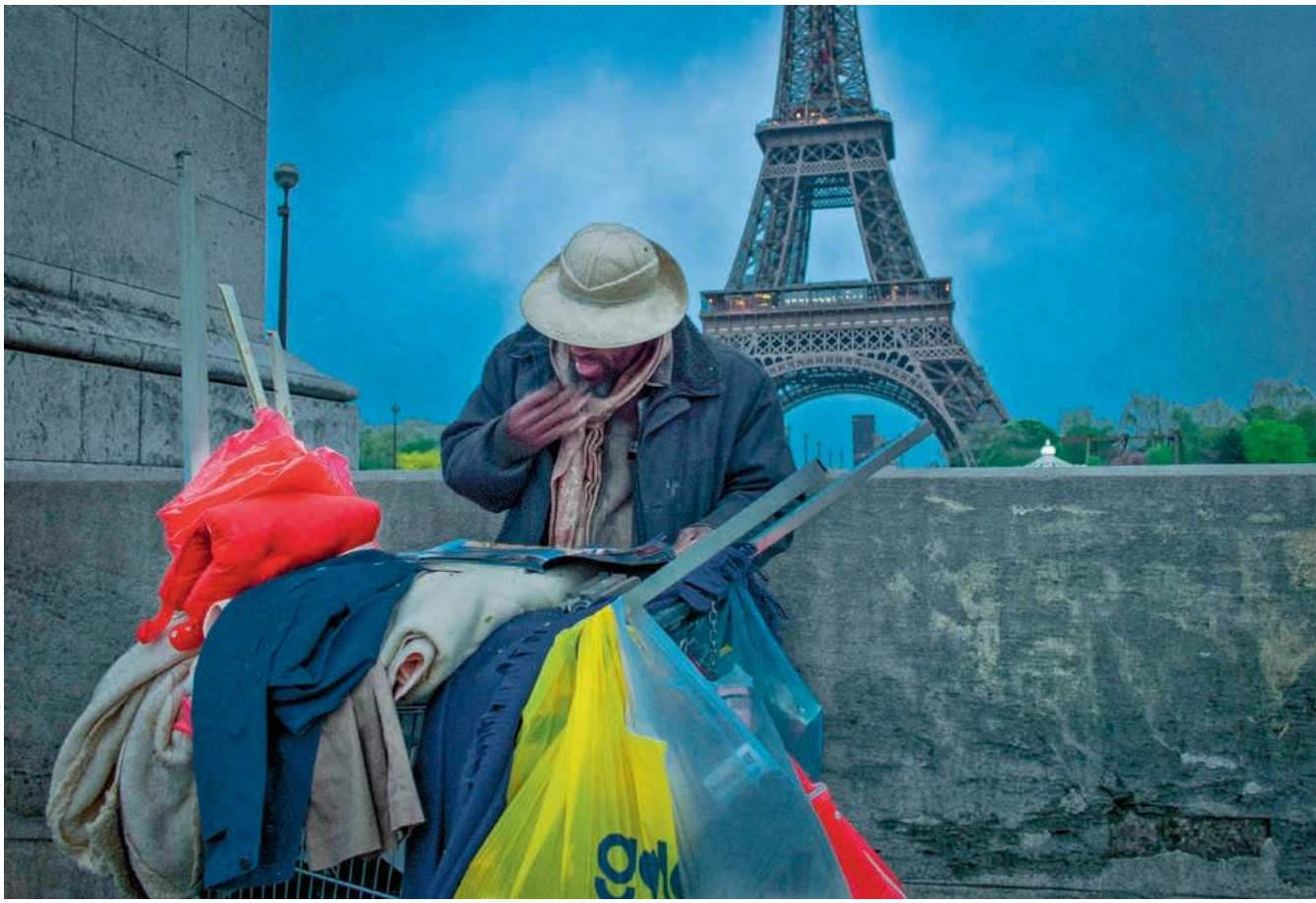

SYLVAIN LESER / LE DESK / EAST NEWS

Paryż, nabrzeże Sekwany, kwiecień 2011 r.

i wówczas sprzedawca, chcąc pokazać jakość towaru – „dobre buty" – zaczął je w szczególny sposób macać. W tym dotyku było coś intrygującego; więcej – porażającego. Rodzaj specjalistycznego, profesjonalnego gestu, którym dociera się od razu i bezpośrednio do samej czystej materii, by pokazać jej prawdziwy, tu akurat ponoć nieskazitelny, stan.

W tym przypadku materii buta, lecz od razu ten but stawał się – tak bardzo dotyk był pewny, rutynowy, brutalny, lekarski – powszechnym przedstawicielstwem cielesności tego, co tutaj jest niezbicie i naocznie. Przez chwilę odnosiło się wrażenie, że nędzarz, jak by tu rzec, zanurza dłonie w bruzdy ziemi, w gęstwinę bytu, i że nikt inny by tego lepiej nie uczynił. I że dotknąć bytu, tak prawdziwie, namacalnie, można tylko w ten sposób, miętosząc go ruchem stanowczym, niedelikatnym, bez ceregieli, lecz zarazem jakoś uważnym i interesownym.

No a wczoraj ten kompletny kloszard (kloszard stał się poprawnie politycznym określeniem na menela) żebrzący pod Pałacem Staszica o papierosa. I życzący, po podanym już ogniu, „miłości i zdrowia". Tak od razu, z grubej rury, nie dobrego dnia, nie miłego popołudnia, lecz wprost tego, co w życiu najważniejsze – niech kto spróbuje zaprzeczyć.

Więc może jest to jednak opowieść wigilijna, gdyż kogo, jak nie ich, powinno zaprosić się do stołu, dla kogo, jak nie dla nich, dla kobiety „razem z aniołami", mężczyzny „dobre buty", mężczyzny „miłość i zdrowie", wystawić dodatkowy talerz? A jeśli nie do stołu, to zaprosić chociaż do grudniowego tekstu?

Dotkliwość

Kondycja żebracza, nędzarska to dla piszących kopalnia skojarzeń i alegorii. Myślę, że osoby, o których mówimy, nie widzą siebie tak, jak o nich mówimy. To dwie różne rzeczy. Bardzo ładnie wyjaśnił to Proust w „Poszukiwaniu straconego czasu", pisząc, że żebrak nie cierpi dlatego, że jest żebrakiem. To przechodzień cierpi za żebraka; a żebrak jako żebrak jest z nędzą za pan brat. Podobnie dzieje się ze sławą. „Kiedy się w niej tkwi, człowiek nie zdaje już sobie z niej sprawy" – to słowa Carly Bruni, żony Nicolasa Sarkozy'ego, wypowiedziane za jego prezydentury w jednym z wywiadów.

Same gafy: powoływać się filozoficznie na przykład żebraków, by rozprawiać o własnym odczuciu sławy, mówić, że z biedą są oni „za pan brat", wmieszać w to Prousta, w którego powieści, co gorsza, żadnego podobnego wywodu po prostu nie ma.

Jeśli już się powoływać na kogoś, to na Jeana Paula Sartre'a (lecz czy żonie Sarkozy'ego wypada?), na jego stare egzystencjalne analizy, dziś już ograne, pokazujące, że budujemy czy organizujemy siebie przez oczy innych, spojrzeniami spadającymi na nas z zewnątrz. Jest w tym oczywiście sporo racji; również aktywna żebranina polega jakże często na tym, że żebrak przyjmuje pozy, które są ↦

w wyobrażeniu przechodniów zachowaniami naturalnymi, należącymi do istoty żebraczej czy nędzarskiej kondycji.

Ale kondycja ta dla patrzącego z zewnątrz pozostaje całkowicie nieprzejrzysta. Stąd różne przebieranki, próby – literackie, reporterskie, socjologiczne – przejścia na drugą stronę, zobaczenia „jak to naprawdę jest", chwilowego przywdziania „ich", żebraków, nędzarzy, bezdomnych, tożsamości. I stąd, na małą skalę tego tekstu, zaczarowanie, zahipnotyzowanie czy zaczadzanie tamtymi aniołami i butami z madryckiej ulicy; nieodparta potrzeba mówienia o nich. Czyli zapewne przerzucania na ich stronę własnych fantazmatów.

Było jednak w obu tych scenach coś dla widza przemożnie magicznego i zarazem niepowstrzymanie smętnego; nazwijmy to pięknem dotkliwym. Nie na romantyczną modłę pięknem ciemnym, czarnym, przez co fascynującym, lecz doznaniem bolesnym, otchłannym, otwierającym świat, jak nóż otwiera skórę. Wysoko i nisko, z aniołami i z butami, lecz w końcu podobnie: powierzchnia rzeczy się rozwierała, bliżej było do nieba i ziemi. Nieba melancholijnego, widzianego przez łzy, i ziemi smutnej, tak zwykłej, ograniczonej, głupio cielesnej i konkretnej, ujawnianej w geście szorstkim i dokładnym, jak gest medyka macającego wątrobę.

Czwarty świat

„Dziady uczyniły ulicę od głównych drzwi aż hen na drogę, a każden na swój sposób się wydzierał, a krzyczał, a modlił w głos i dopraszał wspomożenia, a jak niektórzy to i na skrzypkach pogrywali, i pieśnie wyciągali jękliwymi głosami, a drugie na piszczałkach libo i harmonikach, że wrzask się rozległ, aż w uszach wierciło..." – tak ich opisywał Reymont w „Chłopach".

Każdy z nas ich widywał; w dzieciństwie ich sylwetki przemierzające podwórka budziły strach czy niepokój, nawet jeśli zakryte ochronnym, obronnym rechotem zgrai, z którą biegaliśmy: ujawniały, że istnieje druga, niewypowiedziana, straszna strona, gdzieś tu blisko, za rogiem, za trzepakiem, za śmietnikiem. Dziady, kloszardzi, menele, żebracy zawsze tu byli. Nie wyróżniam ich kategorii w tej chwili, za tytułem powieści Jacka Londona nazywam wszystkich „mieszkańcami otchłani" („The People of the Abyss") czy, jak mówią elegancko Francuzi: „czwartym światem". Zawsze tu byli. Tyle jest świadectw w Piśmie Świętym, jeszcze więcej u Greków; badacze średniowiecza w figurze żebraka znaleźli jeden z najważniejszych kluczy do analiz ówczesnego społeczeństwa, pisząc o nich grube tomy; pisarze, jak Hugo, oparli na nich wielkie powieści.

Więc tamten dzielnicowy dziad z czasów dzieciństwa. W długim chałacie, z mycką na głowie, budził respekt. Pojawiał się w różnych miejscach, niekiedy niósł pod pachą jakieś szpargały, niekiedy ciągnął wózek z makulaturą. Przemawiał; dziwnie, niezrozumiale, zawodząc na początku długie „aaa". Dziad, mówiło się o nim; może tajniak albo filozof – dogadywało. Naśladowaliśmy teatralnie jego przemówienia, niewiele pamiętam. Coś takiego, tylko inaczej: „Aaa, ja, dziad, jestem początkiem wszystkiego, wiem, w której piwnicy najlepiej spędzić tu zimę i w którym barze mlecznym dają najlepsze resztki. Bo to ja jestem dzielnicy big-bangiem, źródłem jej rzeki, piaskiem pod budowlami. Ciałem, na którym stawia swoje domy, warzywniaki i delikatesy. Zabierzcie mnie stąd, a wszystko się rozkruszy i będzie wielkie żałowanie. Wiem, gdzie bruk wystaje spod starego asfaltu, gdzie łamie się resory, na rogu której ulicy baba sprzedaje najbielsze konwalie, przy której rurze w ziemi śnieg szybciej topnieje, gdzie na parterze ktoś mówi do kogoś: »Ty stara wiedźmo, zaraz cię zabiję«. Widzę wszystko z góry, latam z czarną wroną i każdą grudkę czuję od dołu wraz z siostrą dżdżownicą. Taka jest tutaj na dzielnicy trójca święta".

Nasz dziad mieścił się w toposie Diogenesa z Synopy, mędrca-żebraka, tego, kto zwracał się o jałmużnę do pomników i statui, by przyzwyczaić się do odmowy. Tego, kto miał nazywać siebie Psem, chodzić boso i nie być właścicielem żadnej rzeczy. Tego, kto (jak pisze jego biograf i imiennik Diogenes Laertios): „gdy raz zobaczył dzieciątko, które piło wodę z ręki, wyrzucił z torby kubek, mówiąc: »Dziecko prześcignęło mnie w sztuce ograniczania potrzeb życiowych«". Lecz tego przede wszystkim, kto z obrzeży miasta, z marginesów życia rzucał ludziom w twarz bon moty, maksymy i myśli, które wytrącały ich z rutyny, zaburzały poczucie równowagi i słuszności własnych działań, dawały nieprzyjemnie odczuć, że to

BANKSY.CO.UK

Graffiti Banksy'ego w Birmingham, 9 grudnia 2019 r. (kadr z filmu)

oni istnieją na nieistotnych peryferiach, on zaś w samym środku, w samej prawdzie życia.

Takich braci w toposie, zapisanych w dziejach kultury, jest legion. Jeśli nie filozofów wykluczonych czy wykluczających się ze społeczności jak Diogenes, jeśli nie poetów z otchłani społecznych jak Villon, to banitów i nędzarzy, tych, którzy nie mają nic, lecz z tego ogołocenia czerpią życiową mądrość, rozbijającą kokony przyzwyczajeń i aspirującą do powszechności. Mieszkańców otchłani, nędzarzy czy, jak przełożono tytuł powieści Viktora Hugo, „nędzników", heroicznych antybohaterów, zakał społeczeństwa. Jak wieczny uciekinier, skazany za kradzież kawałka chleba Jean Valjean, o którym jeszcze dzisiaj pisze się we Francji płomienne teksty i manifesty, uznające „nędznika" za brata, za nowego człowieka, który odrodzi ludzkość. Podobnie jak o innym „nędzniku", Bartlebym ze słynnego opowiadania Melville'a, pisał Gilles Deleuze, nazywając go wprost „nowym Chrystusem".

Wracam do ulicznych nędzarzy, tylu się ich zapamiętało. Człowiek widywany przez dwadzieścia lat w tym samym miejscu, na tej samej paryskiej ulicy, tak samo ubrany, z tym samym brudnym kubkiem na datki w dłoni, z jakimiś papierami pod pachą i z jednym nieodmiennie zdaniem w ustach: „Czy lubi pan poezję?". Ta staruszka od dawna krążąca przy metrze „Politechnika", drobna, z buzią aniołka i tak uroczym uśmiechem, że nie sposób się powstrzymać, by nie mówić do niej „babciu". Nigdy nie wiedziałem, dając im jałmużnę, czy mnie poznają. Skoro czyniłem to po raz dziesiąty, dwudziesty, rok w rok, to chyba powinni? Łudziłem się, chciałem być kimś w ich oczach, podmiotem rozpoznanym i utożsamionym, tym-kto-wspaniałomyślnie-daje-jałmużnę. Nic z tego, to ja ich identyfikowałem, a sam pozostawałem nikim w otaczającej ich masie ludzkiej.

Wiadomo, że wobec ludzi otchłani stajemy przed podwójnym szantażem wstydu: wstyd nie dawać (czyli wstyd wobec siebie) i wstyd dawać (czyli wstyd wobec tych obok, co nie dają). Lecz przede wszystkim wstyd przed wejściem na scenę. Kloszardzi, żebracy, mieszkańcy otchłani wystawiają na pokaz nasze istnienie, każą się pytać, kim jesteśmy, na tym polega ich diogenesowskie działanie. Czasem wystawiają dosłownie. Trudno mi zapomnieć (a przecież o tym, co widziałem na wystawach, zapomniałem) tamtego kloszarda w Nowym Jorku. Potrąciłem go na chodniku – być może nadstawił się z premedytacją – i z ręki wypadły mu frytki. „*My dinner!* – zawołał teatralnie – straciłem moją kolację". Zażądał rekompensaty, dałem mu dolara. „Ludzie! – pomyślałem przez chwilę, że był aktorem, tak donośnie i wyraźnie niczym lektor angielskiego mówił. – Ludzie, spójrzcie, ten człowiek zmarnował mi kolację i teraz, *can you believe it*, ma czelność wykpić się jednym dolarem! Jeden dolar! Jeden dolar za moją kolację! *One stupid dollar*". Stałem przez chwilę sam w kole gapiów, sam na scenie miasta, wyszydzony, wyzuty z tego wszystkiego, czym byłem dotychczas.

Miłości i zdrowia

Oczywiście Diogenes tkwi przede wszystkim w naszej głowie, jest projekcją, którą przez chwilę inaczej porządkujemy świat, perwersyjną tęsknotą za niedościgłą mądrością przeniesioną na bardzo konkretny, outsiderski sposób życia. Diogenes mieszka po trochu w każdym z nas, to inna, eksperymentalna postać nas samych.

Przeglądam książkę profesora Patricka Declercka, filozofa, etnologa, psychoanalityka, zatytułowaną „Rozbitkowie. Rzecz o paryskich kloszardach" (przeł. A. Głowacki, J. Kaczmarek) owoc piętnastoletnich badań środowiska kloszardów; profesor wielokrotnie przebierał się za kloszarda, by skuteczniej prowadzić swoje naukowe inwestygacje. Wyznaje on: „Pierwszym zdziwieniem było to, że nie natknąłem się na żadną zwartą populację kloszardów. Zamiast niej zbiór jednostek niebywale zniszczonych, oddających się krzykowi lub milczeniu. Tkwiących w poruszeniu, rodzaju rozwibrowania, bądź w mutyzmie w psychiatrycznym sensie słowa, albo w milczeniu jeszcze bardziej niepokojącym, symbolicznym, to znaczy w wypowiedzeniu pustym, które pozornie jest echem języka i tworzy sens, a w istocie skrywa pustkę i nicość. Stopniowo zacząłem zdawać sobie sprawę, że moje wstępne koncepcje, z którymi tu przyszedłem, miały się nijak do tego, co napotkałem, że mit wolnościowego kloszarda, filozofa czy psychologa zrywającego z fałszywą świadomością nie dawał się do niczego zastosować. Obok bezwzględnej anomii odkrywałem niedocenianą kwestię cierpienia psychicznego i somatycznego". ↦

Więc należałoby, choćby z szacunku dla faktyczności, zawiesić diogenesowskie odniesienia, nieustannie mówić o cierpieniu i bólu, o głodzie i bezdomności. Nie bardzo umiałbym, więc mogę tylko zwrócić uwagę, że obszar otchłani, czyli syndrom desocjalizacji, obejmuje jeszcze inne kwestie. Nie tak dotkliwe, lecz znamienne dla życia na marginesie. Choćby to, że wykluczając siebie lub będąc wykluczonymi ze społeczeństw, mieszkańcy otchłani wypadają również poza żywy język. Wykluczenie dotyka mowy codziennej, tej, która wciąż się zmienia, faluje, przekształca, współtworzy aktualność, żyje jak organizm, infekując się składniowymi i semantycznymi „wirusami”

Wracam do ulicznych nędzarzy, tylu się ich zapamiętało. Człowiek widywany przez dwadzieścia lat w tym samym miejscu, na tej samej paryskiej ulicy, tak samo ubrany, z tym samym brudnym kubkiem na datki w dłoni, i z jednym nieodmiennie zdaniem w ustach: „**Czy lubi pan poezję?**”

(jak to określiła Dorota Masłowska). Czyli wyrażeniami, które nagle pojawiają się w ciele języka, zarażają jego użytkowników tak, że przez jakiś czas, póki zarazek działa, mówimy nimi w sposób naturalny i masowo. To małe manie, niekiedy niepoprawne językowo, niekiedy śmieszne lub irytujące, lecz świadczące, że jakaś siła rozpiera język, pcha go, nie pozwala zastygać w wiecznym teraz. Bo też żywa mowa to nic innego jak ucieleśnienie czasu biegnącego, ognistej energii w trwaniu.

„Miłości i zdrowia!” usłyszane tamtego dnia były – nieco ironicznym zapewne – cytatem ze zbioru prawd uniwersalnych, zbioru zastygłych wyrażeń. Coś się dostało, więc dziękuje się głęboko, czapkując do ziemi wyrażeniem odwiecznym, jak najbardziej poprawnym, sztywnym, raz na zawsze ustalonym. I czymś, co się powtarza za każdym razem, gdy się coś dostaje. Elias Canetti pisał o żebrakach jako „świętych powtórzenia”. Lecz powtarzają się nie tylko gesty proszące czy ujawniające ciało jako obiekt dla zlitowania się; powtarzają się też raz na zawsze utarte formuły językowe. Wypowiedzenia, mówiąc za Declerckiem, puste, które pozornie są echem języka i tworzą sens, a w istocie skrywają pustkę i nicość, lekcję martwego języka.

Trudno więc sobie wyobrazić, by z tych samych ust padły wyrażenia-wirusy w tej właśnie chwili cyrkulujące po polszczyźnie, typu „zapraszam” (słyszane wszędzie, w sklepach, przychodniach, urzędach, w radiu) czy całkiem nowe „ooo-czywiście” (z akcentem na pierwszą sylabę – zarazek, który rozpowszechniają kelnerzy; „ooo-czywiście” jest odpowiedzią na prośbę o przyniesienie wody, chleba lub jakąkolwiek inną prośbę) albo starsze już, szalejące w dyskusjach polityków i publicystów oraz doradców bankowych, „powiem tak:”. Gdyby kloszard w podziękowaniu za papierosa i ogień rzekł „powiem tak: miłości i zdrowia”, jechalibyśmy na tym samym wózku języka i obcość, a wraz z nią różnica nagle by się zmniejszyła.

Oczy przeklęte

Powiem tak: dla spojrzeń na nich nie ma usprawiedliwienia i jest usprawiedliwienie. Biograf Diogenesa przytacza te słowa Platona na widok filozofa stojącego w ulewie i użalających się nad nim świadków: „Jeżeli chcecie się nad nim litować, odejdźcie”. Można to rozumieć dwojako. Patrząc i żałując go, będziecie w gruncie rzeczy uznawać jego pychę zbytecznego wystawiania się na deszcz. Ale też: nie patrząc, będziecie mieli prawo do współczucia, gdyż trzeba litować się nad kimś, kto tak strasznie i samotnie moknie, przez nikogo niewidziany i niepocieszany.

Platon dostrzega perwersyjność w postawie Diogenesa, ukrytą dumę. No ale to Diogenes; nie było przecież pychy tam, gdzie ktoś płakał do aniołów albo wystawiał na chodniku zdobycz do sprzedania. Była tylko nędza i cierpienie, i był – dla drugiej strony – poruszający obraz do oglądania, otwierający świat na przestrzał. „No, macie teraz, wy moje oczy przeklęte, napaście się tym pięknym widokiem”.

To straszne słowa Leontiosa (w „Państwie” Platona), który zobaczył ciała przy domu kata: „Więc równocześnie i zobaczyć je chciał, i brzydził się, i odwracał, i tak jak długo walczył z sobą i zasłaniał się, aż go żądza przemogła i wytrzeszczywszy oczy przybiegł do tych trupów i powiada: »No, macie teraz, wy moje oczy przeklęte, napaście się tym pięknym widokiem«”.

Mądra pruderia spuszczonych powiek i bezwstyd napiętych źrenic, pole widzenia jest polem etyki. Jakże zapomnieć o naszych oczach przeklętych? Tak szeroko otwartych; wystarczy przecież zasiąść przed telewizorem czy przed ekranem komputera. Lecz przypominają się również teraz, gdy znowu czytam słynny esej Virginii Woolf „Śmierć ćmy” („Ta ćma była niczym, prawie niczym, tylko życiem”). Nawet widzę jak na dłoni te jej oczy na pociągłej twarzy, oczy tak duże, krągłe i mocne, że twarz musiała się rozrosnąć, wydłużyć, aby być czymś więcej niż tylko spojrzeniem.

Więc oczy zafascynowane, wpatrzone w lot ćmy, „małą grudkę życia”, i chwilę później w jej powolne zamieranie. Nie ma dla nich usprawiedliwienia i jest usprawiedliwienie, napisany tekst. Zawsze tak było. Tekst z pewnością urzekający, lecz wolałbym powiedzieć: tekst nagły. Tekst nagły: kiedy wzrok – chciałbym pożyczyć oczom Woolf widok z aniołami i butami – spostrzega nagle w zwartym ciągu dni i nocy ów piękny i bolesny błysk, na który są one nanizane.

© MAREK BIEŃCZYK

▪ Cytaty z Diogenesa Laertiosa w przekładzie Ireny Krońskiej, z Platona w przekładzie Władysława Witwickiego, z Virginii Woolf w przekładzie Magdaleny Heydel.

REKLAMA

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

WYSTAWA CZASOWA

ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa

GDYNIA TEL AWIW

13.09.2019 – 03.02.2020

polin.pl

Z POWROTEM

Tych, przed którymi uciekali, muszą prosić o zgodę na wejście do własnego domu. Potem – zapłacić za nich rachunki. Czasem nawet z wszystkich ośmiu lat wojny.

TEKST MARCIN ŻYŁA, ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA Z JORDANII

Pod koniec listopada Hasan poszedł do ambasady Syrii przy ulicy Księcia Haszima al-Husajna w Ammanie, stolicy Jordanii. Dali mu formularz. Imię, nazwisko, życiorys, poglądy polityczne. Zapytali: „Czy chwyciłeś kiedyś za broń przeciw Syryjskiej Armii Arabskiej? Masz na rękach krew?". Zaprzeczył, zostawił odcisk kciuka. Kazali wrócić za dwa tygodnie.

W 2012 r., razem z żoną Faridą, synami i córką, Hasan uciekł przed wojną do Jordanii. W Damaszku, skąd pochodzą, zostawili jeszcze troje dorosłych już dzieci. Teraz chcą wrócić.

– Kończą się nam pieniądze, oprócz zapomogi od ONZ nie mamy dochodu – mówi Hasan. – A co dom, to dom! Mówią, że Syria zostanie odbudowana. To szansa dla naszych dzieci.

KATEGORIA „U" Jeśli ambasada pozwoli, dostaną siedem dni na przekroczenie granicy. Dołączą wtedy do 82 tys. uchodźców, którzy w tym roku wrócili do Syrii. Tu, choć wojna się nie skończyła (opozycja kontroluje prowincję Idlib, w kurdyjskiej Rożawie własne porządki zaprowadza Turcja), na przeważającej części terytorium panuje spokój. Głównym wygranym jest prezydent Baszar al-Asad – i to jego służby wyznaczają warunki powrotu.

Hasan: – W Syrii nie do końca rządzi prawo.

Farida: – Martwimy się tym. Ale decyzję już podjęliśmy.

Mohammad, jeden z synów: – To normalne, że biorą nas do wojska. Ja się nie martwię. Studenci nie idą do armii.

Mężczyźni w wieku od 18 do 42 lat muszą odsłużyć w syryjskim wojsku półtora roku. Ale byli uchodźcy to kategoria poborowych, do której prawo stosuje się uznaniowo; brata Mohammada, który wrócił z Jordanii wcześniej, trzymają w koszarach dłużej. Innych – bywa, że nawet cztery lata.

Nic dziwnego, że w Syrii z powrotem osiedlają się nieliczni. W sąsiednich krajach – Turcji, Iraku, Jordanii i Libanie – zarejestrowano 5,6 mln uchodźców (Izrael odmówił ich przyjmowania). Według badań ONZ z lipca, do domów w Darze, Homs, Aleppo czy Damaszku chce wrócić trzy czwarte z nich – lecz zaledwie 6 proc. deklaruje, że zamierza to zrobić w ciągu najbliższego roku. Większość czeka, a najwięcej niezdecydowanych jest w Jordanii. ↦

Powyżej:
Wzgórza nad Morzem Martwym, listopad 2019 r. Pilnowane przez Ahmeda, uchodźcę z Syrii, owce Beduinów kręcą się bez celu. Prawie nic tu nie rośnie. Wodę trzeba cysterną dowozić z doliny.

Po lewej:
W nieoficjalnym obozie uchodźców przy farmie Hamodeh w północnej Jordanii, przy granicy z Syrią, listopad 2019 r.

Po prawej:
Na równinę przy Morzu Martwym, najniżej położonym suchym miejscu planety, gdzie warzywa można hodować w zimie, Fatima przyjechała z mężem Haszidem. Nie chcą żyć w obozie – ani wracać do Syrii. Listopad 2019 r.

↦ Za przemawia chęć ujrzenia bliskich czy obietnica pracy, przeciw – niepewność. Czy naprawdę jest bezpiecznie? A co, jeśli reżim będzie chciał się mścić?

– Najgorzej jest z ludźmi rozpolitykowanymi – ocenia Hasan. – Ci zwykli wróciliby do domów i odbudowywali kraj. Przed wojną sunnici, alawici, druzowie i chrześcijanie żyli tu razem. A teraz – coraz więcej wpływów Iranu, szyickie milicje na ulicach...

GRANICA SPÓŁKA Z O.O. Szeroki, szutrowy parking, pamiętający czasy, gdy do odprawy stał na nim sznur tirów. Dwa sklepy, też większe niż obecne potrzeby. Absurdalna kładka dla pieszych – nad pustą dziś drogą, przejście znikąd donikąd.

Tak wygląda Dżaber, jedno z dwóch głównych jordańsko-syryjskich przejść granicznych, godzinę jazdy z Ammanu i półtorej z Damaszku. Latem 2018 r., gdy po drugiej stronie trwała ofensywa wspieranej przez Rosję armii Asada, było zamknięte i opasane zasiekami. Kilometr stąd, w wojskowym szpitalu polowym, opatrywano ofiary bomb.

Przejście działa ponownie od roku. Ruch mały, ale przybywa aut na syryjskich numerach.

Tarek, taksówkarz z Dary, wraca z Jordanii po wizycie u chorej matki. Jeździ tu regularnie, celnicy nie są uciążliwi. – Czasem coś im dam – śmieje się, strzepując za szybę popiół z papierosa. – Dotąd przewiozłem z powrotem jedną rodzinę. Wracając na stałe, ludzie najczęściej biorą jeden kurs, od drzwi do drzwi – mówi.

Teraz Dżaber to miejsce, gdzie przestaje się być uchodźcą. Po przejechaniu przez granicę, Syryjczycy nie korzystają już z międzynarodowej ochrony, muszą radzić sobie sami. Już od chwili, gdy w terminalu po drugiej stronie zaczyna się pierwsze przesłuchanie. Jeśli nazwisko nie wzbudzi podejrzeń (na listach do aresztowania może ich być nawet milion), jest dobrze. Można negocjować.

Bo to, że trzeba zapłacić, jest w tych tygodniach niemal pewne. Gdy kończy się wojna, kończą się też okazje do grabieży. Służby szukają nowych źródeł dochodu. „Aresztowania służą zarówno gromadzeniu informacji, karaniu obywateli uznawanych za nielojalnych, jak i wymuszaniu opłat za uwolnienie bliskich", czytamy w lipcowym raporcie fundacji European Institute of Peace. Dokument wymienia konkurujące ze sobą służby wojskowe, do których „należą" przejścia graniczne. Bo takie przejście czy posterunki to przedsiębiorstwa – mają przynosić pieniądze i wpływy.

NASZ OBCY DOM Hasan mówi, że uczucia można mieć tylko do tego, co istnieje. A ich dom został przecież zniszczony. Nie, nie tak. Fizycznie stoi, sąsiedzi piszą na WhatsAppie: wszystkie trzy piętra w niezłym stanie. Nieopodal głównej bramy miasta, pięć minut od placu Mardżeh. Wielu chciałoby taki!

Powyżej:
Jordańsko-syryjskie przejście graniczne w Dżaber na drodze z Ammanu do Damaszku, listopad 2019 r. Na razie ruch jest niewielki, ale coraz częściej przyjeżdżają samochody na syryjskich numerach.

U góry po prawej:
W namiocie rodziny Ahmeda, pasterza ze wzgórz, listopad 2019 r. Tylko raz w roku, podczas pobytu w miasteczku po wschodniej stronie gór, rodzice mogą zaszczepić swoje dzieci.

Na sąsiedniej stronie:
Wydane przez Biuro Wysokiego Komisarza ds. Uchodźców (UNHCR) potwierdzenie rejestracji w rejestrze ONZ daje dostęp do opieki i comiesięcznej zapomogi. Dla kilkudziesięciu milionów ludzi na świecie to najważniejszy dokument, czasem gwarancja przetrwania. Amman, listopad 2019 r.

Lecz u niego w głowie – tylko ruiny. Żadnych wspomnień. Zero emocji. Syria jakby bez ludzi, bo wszystko, co miał, przestało być, gdy na samym początku wojny stracił syna.

– Zastrzelili go żołnierze. Brata i czterech kuzynów też. Z rodziny straciłem dziewięć osób – wylicza Hasan. Mówi, że reżim ubezpiecza się nawet na wypadek, gdyby kiedyś oskarżono go o zbrodnie. – Gdy mój syn zmarł w szpitalu, kazali podpisać, że zginął od kul opozycji. Inaczej nie wydaliby ciała. Podpisaliśmy, oczywiście – mówi.

Na chwilę zapada cisza. Łzy przychodzą nagle, choć mówił o tym tyle razy. Tak, Hasan jest pewien, że kiedy po siedmiu latach pierwszy raz wejdzie do własnego domu, nie poczuje nic.

Ciszę przerywa Farida: – Po naszym wyjeździe zamieszkali tam ludzie reżimu. Pewnie zniszczyli, zabrali dużo rzeczy. Gdy wejdziemy, będzie trzeba posprzątać, odnowić wnętrza.

Potem usiądą z sąsiadami. Usłyszą, kto zginął, kto ciągle w wojsku. Przed wojną wystarczyło uchylić bramę i od razu wbiegały dzieci, z ulicy pozdrawiali znajomi. To wspomnienie wyrywa Hasana z nostalgii („W okolicy mieszkały wspaniałe rodziny. Była kawiarnia, spotykaliśmy się wszyscy. Damaszek był rajem!”).

Najtrudniejsze będą urzędy. – Wiemy od znajomych, co i gdzie załatwić. Szkoła pójdzie łatwo, bo zaczekamy z wyjazdem, aż w Jordanii nasze dzieci skończą semestr. Potem muszę dostać oficjalne pozwolenie na pobyt. Gorzej będzie z zaległymi rachunkami – mówi Hasan, od razu wyjaśniając: – To nic, że mieszkali tam inni. Jeśli chcemy odzyskać dom, musimy zapłacić za prąd i wodę.

W WIETRZE I W PYLE Tylko dwa kilometry szerokości ma zielona nizina w depresji Morza Martwego, najniżej położone suche miejsce na planecie. Jest koniec listopada i wciąż dwadzieścia stopni, dużo ↦

cieplej niż w Ammanie – to rejon, gdzie przez cały rok można uprawiać warzywa. Na kilka zimowych miesięcy do pracy zjeżdżają z obozów i obozowisk, ze stolicy i innych miast, syryjscy uchodźcy. Dla wielu z nich – zwłaszcza tych poza rejestrem ONZ – to jedyna możliwość utrzymania.

Dziś kilkunastu z nich kopie w polu cebuli. Dalej, obok osłoniętej przed ostrym słońcem ciemnozieloną siatką plantacji bananów, mieszka dwudziestoparoletni Haszid. Trzeba jechać dalej, rozmawiamy krótko; on to wyczuwa i w największym skrócie opowiada o swoim życiu: – Urodziłem się w Dajr az-Zaur, na wschodzie Syrii. Gdy przyszło Państwo Islamskie, uciekłem. Trafiłem do obozu Rukban, na środku pustyni. Stamtąd też uciekłem. W Jordanii mieszkałem w obozie, poznałem żonę, z którą mam córeczkę. Trzeci raz szukałem nowego miejsca. Tutaj, we własnym namiocie, jest nam dobrze.

Niedaleko zaczynają się wzgórza, z których widać już rzekę Jordan i położone za nią, po izraelskiej stronie, palestyńskie Jerycho. Na szczycie wzgórza, nieopodal szosy, stada dwustu owiec pilnuje Ahmed. On też nie chce wracać do Syrii. Od Beduinów, właścicieli tych terenów, wydzierżawił zwierzęta.

Ze starej, zielono-pomarańczowej cysterny Ahmed rozlewa do przeciętych opon samochodowych wodę dla owiec. Te kręcą się bez celu, nic wokół nie rośnie, tylko upał i powietrze z tlenem różnią pole Ahmeda od powierzchni Księżyca. Wszędzie głazy, ich namiot opleciony linami, do których, dla ochrony przed wschodnim wiatrem, przywiązał worki z kamieniami. I te dzieci – z oczami pełnymi much.

Ciąg zdarzeń jest krótki: pył dostaje się do oczu, oczy łzawią, do wilgoci znad owiec przylatują muchy. Dzieci Ahmeda, z muchami w oczach, wyglądają na chore. Na szczęście najmłodsze, dwuletniego chłopca, już zaszczepili – gdy latem, kryjąc się przed spiekotą, powędrowali ze stadem na wschód, bliżej wsi.

BEZ PRAW Do pokoju Hasana i Faridy wbiega ośmioletnia Hamza. Psoci, śmieje się, nie wstydzi się obcych – jakby wciąż była w szkole, gdzie czuje się najlepiej. Na kolanach kładzie zeszyt ćwiczeń z matematyki. Jest dumą i rodziny, i nauczycieli.

Wbiega, gdy rodzice opowiadają, czego boją się najbardziej, gdy już zdobędą glejty, ułożą się z władzami, ożywią dom w Damaszku. – Sąsiedzi piszą, że panuje korupcja, trzeba płacić za wszystko, przy każdej okazji – mówi Hasan.

Dziś Syria to tysiące posterunków – policji, armii, tajnych służb. Nawet po wojnie długo potrwa czas zawieszonych praw, kiedy rządzić będą mundurowi. Mogą zawsze zatrzymać, aresztować. Zasada jest jedna: jeśli możesz, płać.

Hasan jest coraz bardziej wzburzony: – Jedną z córek zatrzymali nam na rok! Wychowywała w domu dzieci, ale dla władz była podejrzana. Gdy skończyła jej się ważność dokumentów, poszła po nowe. W urzędzie ją zatrzymali. Siedziała rok. Trzy tysiące dolarów kosztowało nas, żeby ją stamtąd wydobyć.

Farida szepcze: – Chciałabym, żeby było tak bezpiecznie jak przed wojną.

Hasan krzyczy: – A wiesz, jak żołnierze zachowują się na ulicy, jak traktują ludzi?! Nawet szeregowy może zebrać od ludzi na ulicy dokumenty, rzucić je na ulicę i krzyknąć: „Zbierajcie je teraz, szukajcie jak psy, bo psami właśnie jesteście!".

Hamza patrzy na tatę. Nie pamięta Syrii, miała rok, gdy wyjechali. To, co dla rodziców jest powrotem, dla niej będzie emigracją, pożegnaniem z prawie wszystkim, co do tej pory poznała. Więc – a jak! – też krzyknie: „Nie chcę wracać!" – wciąż się jednak śmiejąc.

■■■

Amman, Dżaber, Morze Martwe, koniec 2019 roku – dla Syryjczyków czas tak samo trudny, jak tamte dni po ucieczce, gdy układali sobie życie w Jordanii. Może i trudniejszy: wojna prawie skończona, organizacje humanitarne przenoszą się powoli do Jemenu. Obóz uchodźców Zaatari, niegdyś symbol syryjskiej niedoli, opuściła już jedna czwarta mieszkańców.

Coraz więcej będzie ich wracać do domów. Jeszcze więcej – myśleć o powrocie. Bo przecież czasem, nawet jeśli mówią inaczej, wiedzą, że planowanie powrotu jest tylko ułudą. Chodzi o to kojące odczucie, że w życiu jest coś zaplanowanego, że do czegoś w końcu można odliczać czas.

To naprawdę dużo – po siedmiu latach mieć cel i tak mocno wierzyć, że zależy tylko od ciebie. ©℗ MARCIN ŻYŁA

Imiona niektórych bohaterów zostały zmienione.

■ Materiał powstał dzięki Polskiej Misji Medycznej. Jej pomoc dla syryjskich uchodźców w Jordanii można wesprzeć:
– przelewem: Bank Pekao S.A., nr konta **62 1240 2294 1111 0000 3718 5444** (z dopiskiem „Jordania");
– przez stronę internetową: **www.pmm.org.pl;**
– śledząc media społecznościowe: **www.facebook.com/PolskaMisjaMedyczna.**
Projekty „Wsparcie uchodźców syryjskich w obozie Zaatari oraz Jordańczyków w prowincji Al-Mafrak i Irbid w zakresie pomocy społecznej i schronienia" oraz „Opieka medyczna dla kobiet i dzieci mieszkających w słabo rozwiniętych obszarach prowincji Zarka i Al-Mafrak w Jordanii" są współfinansowane w ramach polskiej współpracy rozwojowej Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP.

Obok:
Nieoficjalny obóz uchodźców przy farmie Hamodeh, listopad 2019 r. Dziesięcioletnią Nermin rodzice boją się puszczać do szkoły samą. Lekarze podejrzewają, że choruje na epilepsję.

Głód ma twarz Jaganki

TEKST I ZDJĘCIA DAMIAN NOWICKI
Z ZIEMI OGNISTEJ (CHILE)

Cristina Calderón powtarza, że gorzka herbata może zastąpić obiad, a kromka chleba uratować życie. Sama czuje się jak eksponat: jest ostatnią Indianką z plemienia Jagan, a rząd przyznał jej tytuł Żywego Ludzkiego Skarbu.

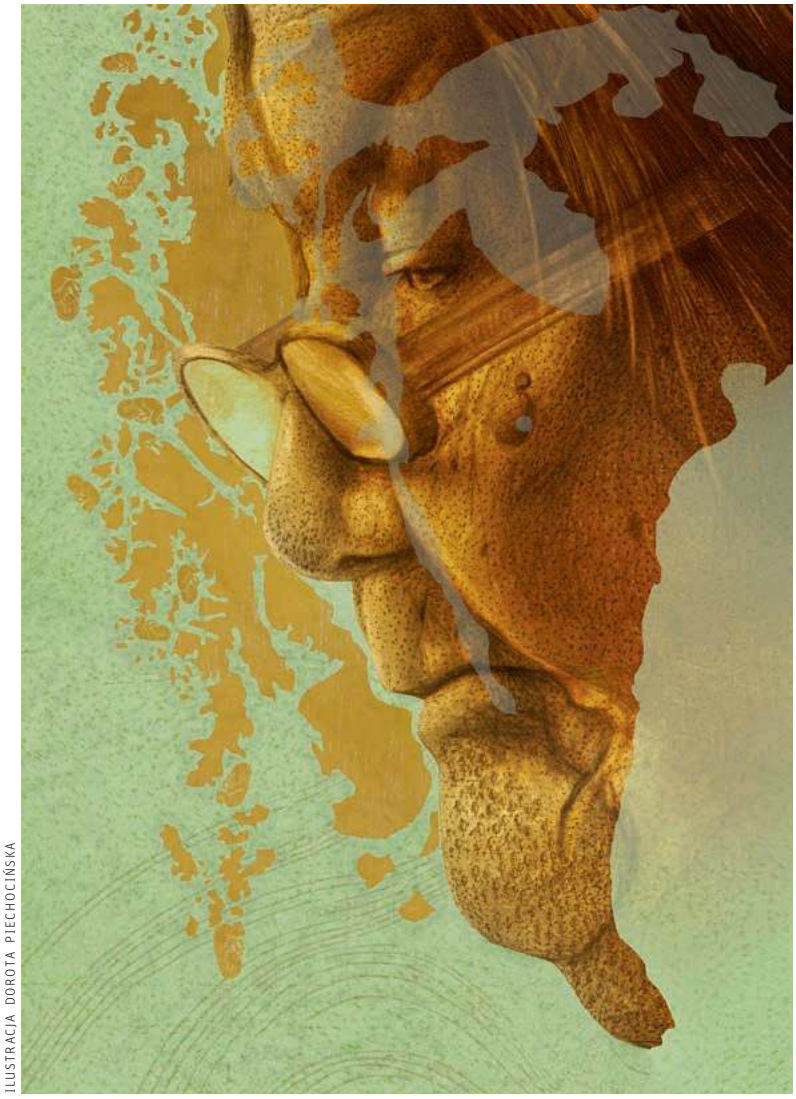

ILUSTRACJA DOROTA PIECHOCIŃSKA

Cristina Calderón

We wsi Ukika, na południowym końcu kontynentu amerykańskiego, stoi mały drewniany dom. Tylko on jest tu pomalowany na biało. Okna zasłonięte sztywnymi koronkowymi firankami, drzwi uchylone. Przed gankiem brudne szare subaru legacy. Sądząc po zwiotczałych oponach, auto dawno nie było używane, a do oddalonego o kilometr Puerto Williams – najniżej wysuniętego na południe miasta świata – Cristina chodzi pieszo. Gdy gość przekracza próg, słyszy chilijskie disco i czuje intensywny zapach placków ziemniaczanych.

Cristina Calderón ma 91 lat i jest ostatnią czystej krwi Jaganką. Jeszcze sto lat temu plemię liczyło ok. 500 Indian, dziś została ona. Wraz z tymi, w których żyłach płynie jeszcze choć trochę jagańskiej krwi, stworzyła wspólnotę, która dba o historię i obyczaje przodków. Cristina jest też ostatnią osobą na świecie, która płynnie mówi w języku jagańskim. Uprzedzenia wobec tubylców i presja hiszpańskiego zabiły dziedzictwo językowe jej narodu. Jej śmierć będzie końcem jagańskiego – jak też ogromnej części ich kultury.

Firanki szczelnie chronią przed słońcem, światło wpada jedynie przez uchylone drzwi. Powietrze w pokoju jest ciężkie i pachnie jak w smażalni frytek. Cristina siedzi w ulubionym fotelu przykrytym różnokolorowym pledem. Sądząc po leżących obok drutach, sama go zrobiła, w przerwie od tkania wełnianych skarpet, które sprzedaje na lokalnym targu. Nie należy do szczupłych, na sobie ma rozciągnięty jasnoniebieski sweter, który kontrastuje z jej brązową cerą. Spojrzenie ma jakby nieobecne. Prawą ręką trzyma laskę, która co rusz odchyla się od pionu. Wygląda to tak, jakby Cristina sama siebie upewniała, że w każdej chwili może wstać i wyjść.

Olej na patelni głośno strzela. Syn podaje matce talerz i znika w kuchni. Nie czekając na pytanie, Cristina mówi, a raczej wyrzuca z siebie jedno zdanie: że ubóstwo jest wtedy, gdy człowiek się cieszy ze znalezionej kromki chleba, bo nie musi tego dnia myśleć o jedzeniu.

Nomadowie mórz

Ziemia Ognista to koniec zamieszkałego świata – dalej na południe jest Antarktyda. Pierwsi Jaganie zasiedlili ten region ponad 10 tys. lat temu. Byli łowcami i zbieraczami, przemieszczali się w kajakach z kory drzew. Nomadowie mórz, bo tak są nazywani, chodzili praktycznie nago, a ciała smarowali grubą warstwą tłuszczu lwów morskich. Rozpalali małe ogniska, nawet w kajakach. Po zmroku wydawało się, że ogień płynie po wodzie.

Na przełomie wieków XIX i XX na Ziemi Ognistej wybuchła gorączka złota, fale imigrantów z Argentyny i Chile przybyły szukać szczęścia. Tymczasem wielu Jaganów wciąż wiodło koczowniczy tryb życia, który niewiele różnił się od tego ich przodków sprzed tysięcy lat. Wierzyli w jednego boga, ale nie chrześcijańskiego – oddawali cześć Watauinéiwie, wszechmocnemu i sprawiedliwemu ojcu całego stworzenia.

Wraz z poszukiwaczami, a wcześniej odkrywcami, na Ziemię Ognistą przybyli anglikanie, którzy uczyli tubylców angielskiego, rolnictwa i chrześcijaństwa. Początkowo dobrowolnie, z czasem pod przymusem – Jaganie się podporządkowali. ↦

↦ Zaczęli nosić ubrania, przejęli osiadły tryb życia. Cudzym pomysłem, ale własnymi rękoma zabijali kulturę i tradycję.

Uszy gałęzi

Był środek burzliwej nocy, 24 maja 1928 r. Wieś Róbalo, jak inne osady rozsiane po archipelagu, pogrążona była w ciemności. Cristina urodziła się na długo przedtem, zanim prąd i bieżąca woda stały się powszechnym dobrem na Ziemi Ognistej. Drewniana chata była długa, jednopoziomowa i wielorodzinna. Deszcz dudnił o blachy, które służyły za dach.

Podobno gdy Juan Calderón zobaczył w świetle lampy naftowej, jaką jego córka Cristina ma różowiutką skórę, nie chciał jej. Ten róż nie pasuje do ciężkiego życia Jaganów – miał powiedzieć. Zmarł na zapalenie migdałków, gdy miała kilka lat. Dzieckiem i owdowiałą matką, Carmen Harban, zajęli się babcia Julia i dziadek Halnpens. W tamtych czasach jagańskie rodziny tułały się wokół rancz, na których mogły otrzymać pracę. Pracowali głównie przy wydobyciu złota oraz przetwórstwie drewna i ryb. Pod opieką bliższych i dalszych krewnych Cristina często zmieniała miejsce zamieszkania.

Jednym z pierwszych wspomnień różowego dziecka był głód. I to przez jego pryzmat Cristina zapamiętała dzieciństwo. Dobre dni były, gdy po smażonej rybie z ziemniakami razem z dziećmi bawiła się nad brzegiem. Gdy trafiała na wąskie i kamieniste plaże, śpiewała i tańczyła, zanurzona w wodzie po kostki. Takich momentów było jednak mało. Najbardziej pamięta więc dni, gdy wieczorem przy ognisku piła gorzką herbatę. Piła wolno, bo nie było nic do jedzenia. Gdy czuła, że z głodu kręci się jej w głowie, szukała jadalnych grzybów nadrzewnych, które nazwała „uszami gałęzi" (ze względu na owalny kształt i pomarańczowo-biały kolor). W chwilach największego głodu szła żebrać do pobliskiej wioski.

Zanim skończyła sześć lat, do jej obowiązków należało rozpalanie ogniska i obieranie ziemniaków – jeśli były. Gdy podrosła, zaczęła z dorosłymi szukać jedzenia. Przemieszczali się łodziami lub pieszo. Każdego dnia docierali do portu, by sprzedać upolowaną zwierzynę, zjeść kolację i rozbić legowisko na noc.

Ziemia Ognista liczy 73 tys. km² i składa się z dwóch części: argentyńskiej na północy i chilijskiej na południu. Po stronie Argentyny leży największa wyspa Isla Grande de Tierra del Fuego, od której wywodzi się nazwa archipelagu. Po drugiej stronie kanału Beagle, który jest naturalną granicą, leży zespół 17 chilijskich wysp. Tak naprawdę jest ich więcej, ale na mapie widnieją te większe – jak piegi na końcu Ameryki Południowej.

We wsi Ukika znajduje się tylko kilkanaście domów. Przy głównej drodze stoi instalacja artystyczna zrobiona przez miejscowe dzieci, która symbolizuje ich bliską relację z wodą.

Dość

Od grudnia do lutego – na południowej półkuli to najcieplejsze miesiące – odbywało się zbieranie jaj. Cristina z rodziną przypływali na wyspy w poszukiwaniu gniazd mew, gołębi i kaczek. Jaja gotowali i jedli, popijając herbatą. Gdy wypatrzyli pisklęta, babcia Julia zakradała się, łapała je i bez mrugnięcia okiem uderzała nimi o kamień. „Nie zabijaj zwierzęcia, którego nie masz zamiaru zjeść. Tylko wtedy zabijanie jest dozwolone. Pamiętaj, że Watauinéiwa widzi wszystko, co robisz" – tak dziadek tłumaczył Cristinie. Dotyczyło to głównie lam z gatunku gwanako andyjskie; polowano na nie w maju, gdy zwierzęta nabrały tłuszczu na zimę.

Jaganie żyli blisko natury. Wierzyli, że zostali stworzeni jako jej fragment i muszą żyć w zgodzie z jej harmonią. Dziadek nauczył kilkuletnią Cristinę, jak zabić zwierzę i przyrządzić je na ognisku. Babcia zaś pokazała, jak bez narzędzi pleść kosze z trzciny. Cristina robi je do dziś.

W parze z głodem szła śmierć. Była częstym gościem w życiu Jagan – także małej Cristiny. Jednego roku zmarli dziadek i mama. Niespełna 10-letnia, już osierocona, trafiła pod opiekę ciotki. Wkrótce straciła też starszego brata Johny'ego: zginął, próbując pomóc tonącemu marynarzowi. Wypadek brata tak na nią wpłynął, że coś sobie przyrzekła i pewnego dnia zwierzyła się z tego przyrzeczenia kuzynowi: że nie chce być Jaganką, że ma dość wszystkiego, co jagańskie, i nigdy nie zostanie żoną innego Indianina. Ale się nie spełniło.

Matka

Do dziewiątego roku życia mówiła wyłącznie po jagańsku. To ciotka uczyła ją słów z innych języków, np. angielskiego. Cristina dowiedziała się, że jagańskie „*kunta sumuta*" to po angielsku „*hello*", a „*haikun*" to „*I love you*".

Tymczasem coraz mniej ludzi mówiło po jagańsku. Sprawiała to wysoka śmiertelność, a także dyskryminacja – matki przestawały przekazywać język dzieciom. Jagański został wyparty przez hiszpański. Cristina nauczyła się hiszpańskiego podczas zabaw z koleżanką.

Zgodnie ze zwyczajem dzieci były pod opieką starszych do osiągnięcia samodzielności. U chłopców był to mniej więcej 12. rok życia, u dziewczynek czas pierwszej menstruacji. Wtedy chłopcy zaczynali pracować fizycznie, a dziewczynki miały zostać matkami.

Ona po raz pierwszy została matką w wieku 17 lat. Łącznie doczekała się dziewięciorga dzieci, oraz 14 wnuków i licznych prawnuków. Miała trzech partnerów, przeżyła wszystkich.

Filipe

Związki Cristiny odzwierciedlały sytuacje życiowe Jagan na przestrzeni XX w. Decyzje podejmowała najpierw z przymusu, potem z rozsądku, z czasem dopiero z wyboru.

Gdy miała 15 lat, ciotka, u której mieszkała, zagroziła jej, że jak nie przyjmie oświadczyn mężczyzny, którego wytypuje, to wyrzuci ją z domu. Dlatego jej pierwszym partnerem był Filipe Garay, 50-letni handlarz mięsem. Miał już żonę, ale się rozstali – choć bez rozwodu. Cristina nie mogła oficjalnie za niego wyjść, ale zamieszkała z Garayem. Urodziła dwóch pierwszych synów, Miguela i Juana. Z włosami zaczesanymi za uszy i w sukience w kratkę wyglądała jak ich starsza siostra.

Razem wyjechali na ranczo w osadzie Eugenia, gdzie przez pięć lat pracowali przy hodowli zwierząt i okazjonalnie przy cięciu drewna. Cykl życia i śmierci znów się odezwał, gdy w odstępie miesiąca Filipe zmarł, a na świat przyszedł ich kolejny syn Eugenio. Gdy Cristina rejestrowała noworodka w urzędzie, dowiedziała się, że Filipe nic jej nie zostawił. Znalazła się z dziećmi bez niczego.

W drodze powrotnej z urzędu na ranczo poczuła głód. Siedziała na ziemi, z dwójką małych dzieci i noworodkiem na ręku. Kilkudniowa głodówka zaczynała być widoczna. Jej wargi były suche, w okolicach powiek pojawiały się obrzęki. Trwała bez ruchu, nieobecna i jakby zamrożona, z apatycznym spojrzeniem. Żeglarz, który ją zobaczył, zlitował się i dał im butelkę mleka i trochę chleba.

Gdy wrócili do osady Eugenia, przez pewien czas pomagał jej wujek, ale zdarzały się noce, gdy synowie Cristiny nie mogli zasnąć z głodu – jedyne, co mieli w ustach minionego dnia, to ciepłe mleko od krowy.

Lucho

Z czasem na ranczu pojawił się nowy pasterz, Lucho. 23-letnia Cristina spodobała mu się tak bardzo, że trójka dzieci nie była dla niego przeszkodą.

Choć Lucho wydawał się dobry i troskliwy, Cristina dowiedziała się, że bił swoją byłą żonę. Obiecała sobie, że na nią nigdy nie podniesie ręki. Gdy po kilku miesiącach Lucho ją uderzył, uciekła do rodzinnego Róbalo. Zatrzymała się z synami w domu siostrzenicy. Niedługo później Lucho odnalazł ich i zaczął namawiać do powrotu.

Cristina całe życie była uparta, więc zarzekała się, że nie wróci. Nie mogła sobie jednak pozwolić na bycie samotną matką trójki dzieci. Lucho był kapryśny i agresywny, ale potrafił okazać troskę.

Tradycyjne narzędzia służące do polowań na lwy morskie – od połowy XX w. nikt już ich nie wytwarza.

Poniżej: rukki, czyli koszyki z trzciny. Cristina jest jedną z nielicznych na świecie osób, które potrafią je upleść tak jak przodkowie Jaganów tysiące lat temu, czyli bez użycia narzędzi.

Po dwóch dniach przekonywania zmiękła. Aby zacząć od nowa, wszyscy razem przenieśli się na rancho w Haberton, po drugiej stronie kanału. Lucho pasł owce, a Cristina sprzedawała ubrania, które tkała z pozyskanej wełny. Z czasem urodziło się dwóch kolejnych synów, Daniel i Mauricio.

Pięć sukienek

Życie na granicy ubóstwa i głodu oraz wieczna tułaczka między ranczami zbierały żniwo. 30-letnia Cristina zaczęła podupadać na zdrowiu.

Do Puerto Williams przybyła tylko z najmłodszymi dziećmi i zatrzymała się w opuszczonym domu swej babci. Lucho z 12-letnim już Miguelem mieli do nich dołączyć, ale zostali pracować na farmie i nie wiedzieli, kiedy będą mogli przybyć. Po raz kolejny Cristina była bez środków do życia.

Puerto Williams było wojskową bazą, razem z żołnierzami żyły tu ich rodziny. Kobiety odwiedziły Cristinę. Gdy otworzyła im drzwi, jej usta znowu były suche, skóra ziemista, a włosy przerzedzone. Widząc samotną matkę z piątką dzieci, kobiety postanowiły pomagać jej do czasu, aż Lucho wróci. Prawie każdego dnia otrzymywała od nich siatki z jedzeniem, a okazjonalnie ubrania dla dzieci.

W końcu Lucho się zjawił, a wtedy dowódca mariny zarządził, aby wszyscy opuścili Puerto Williams, które przecież było bazą. Lecz Cristina ani myślała przenosić się w inne miejsce. Tylko tu jej synowie mogli chodzić do jedynej w okolicy szkoły. Wywalczyła pozwolenie na pobyt w oddalonej o kilometr wiosce Ukika.

Każdego dnia dzieci chodziły po drewno do lasu oraz z wiadrami do pobliskiej rzeki. Do początku lat 60. pranie robiło się w rzece, co nie było większym problemem: Cristina miała bowiem tylko dwie sukienki, które dostała od Lucha, i trzy, które sama uszyła. W wieku 32 lat dorobiła się więc pięciu sukienek, dwóch partnerów i siedmiorga dzieci. Lucho nie nacieszył się jednak długo ojcostwem, zmarł kilka lat później. I znów została sama.

Tymczasem do połowy XX w. Jaganowie całkowicie zaprzestali polowań, a wraz z tym wytwarzania tradycyjnych narzędzi i kajaków. Z czasem chilijscy urzędnicy narzucili im ograniczenie: każdy mieszkaniec potrzebował pozwolenia, by się przemieszczać. A że większość mężczyzn pracowała na ranczach poza osadą, w praktyce zakaz oznaczał wygnanie. Gdy w liście do komendanta chilijskiej marynarki członkowie wspólnoty poprosili („na prośbę naszej ziemi i jako dzieci tego kraju") o możliwość powrotu, spotkali się z odmową, bo ziemia została już sprzedana.

Teodosio

W 1967 r. Cristina poznała trzeciego partnera, Teodosia Gonzáleza. Od razu się sobie spodobali, więc nie zwlekała z decyzją. Pierwszy raz w życiu dokonała samodzielnego wyboru. Potem wyruszyli w kilkumiesięczną podróż za pracą. Mając prawie 40 lat, urodziła kolejnego syna i jedyną córkę Lidię. Gdy oboje podrośli, wysłała ich do szkoły, a razem z Teodosiem udali się na wyspę Picton, gdzie znajdował się ośrodek Frei. ↦

Dom Cristiny Calderón stanął w 1960 r. jako pierwszy, dając początek jedynej osadzie Jaganów. I jako jedyny we wsi jest nietradycyjnie biały.

↦ Był to ważny ośrodek oferujący pracę dla rdzennej ludności Ziemi Ognistej. Przez kilka lat był dla Cristiny oazą stabilności. Gdy przestały na świat przychodzić kolejne dzieci, pierwszy raz zaznała spokoju. Jednak zmiany administracyjne wprowadziły chaos, ośrodek upadł. Potomkowie Jagan, odseparowani od rybołówstwa przez ponad dwa pokolenia, zaangażowali się w rzemiosło lub okazjonalną pracę w budownictwie, usługach domowych, a później w turystyce i gastronomii.

W 1975 r., po blisko dekadzie, Cristina i Teodosio się rozstali (uważała go za dobrego człowieka i okazjonalnie widywała aż do jego śmierci w 2009 r.).

Postanowiła wrócić do Ukiki. Nie wiedziała, że wraca na stałe. Była pierwszym i ostatnim zarazem osadnikiem jedynej na świecie jagańskiej wsi.

Była zmęczona. Miała niespełna 50 lat, ale życie w ubóstwie zostawiło blizny. Odkąd w Ukice pojawiły się sklepy, Cristina przy każdej okazji kupowała jedzenie – nawet gdy go nie potrzebowała. Pogarszające się zdrowie ograniczyło jej mobilność, ale nie zmieniło wieloletniego nawyku: gdy jej syn idzie na zakupy, zawsze przypomina mu o ziemniakach.

Mamihlapinatapai

Przez pewien czas Cristina uczyła języka Jaganów w lokalnym przedszkolu, ale przestała ze względu na zdrowie. Coraz mniej było też tych, z którymi mogła w tym języku rozmawiać.

W 1994 r. Księga Rekordów Guinnessa wymieniła najbardziej zwięzłe słowo na świecie: „*mamihlapinatapai*" z języka Jaganów.

Oznacza „spojrzenie dzielone przez dwie osoby, z których każda pragnie, aby druga zainicjowała coś, czego obie strony pragną, ale które nie chcą rozpocząć". „*Mamihlapinatapai*" wpisało się w narrację marketingową i zagościło na romantyczno-motywacyjnych plakatach, koszulkach i magnesach na lodówki na całym globie. Jego popularność sprawiła, że o języku jagańskim dowiedziała się reszta świata, ale było to za mało, by go uratować. Jedno popularne słowo nie oznacza, że język żyje.

Jagański jest izolatem – nie ma językowych „krewnych". Gdy izolat znika, nie ma powiązanych z nim języków, które zachowałyby elementy wspólne.

Mimo wielu inicjatyw ocalenia jagańskiego – jak wydanie kompletnego słownika i tworzenie internetowych archiwów – jagański wydaje się skazany na zagładę. Owszem, młodsze pokolenia mogą uczyć się słów i zwrotów, ale nikt już nie myśli, nikt już nie śni w tym języku. A ponieważ jagańska kultura była oralna, przekazywana werbalnie z pokolenia na pokolenia, gdy Cristina umrze, większość tradycji, języka i kultury Jaganów umrze wraz z nią.

Świadek

Cristina nosi cienkie okulary w bordowych oprawkach. Twarz ma pokrytą bruzdami. Jej niegdyś kruczoczarne włosy dziś przybrały kolor matowej stali. Zmienił się też wyraz twarzy: jest spokojniejsza, choć trochę zagubiona.

Na półce stoją zdjęcia w ramkach, ale tylko kilka wygląda na portrety rodzinne. Większość to zdjęcia uroczystości z Indianką w roli głównej. UNESCO i Narodowa Rada Kultury i Sztuki uznały Cristinę za Żywy Ludzki Skarb oraz za jedną z 50 kobiet tworzących historię Chile.

Było to uhonorowanie jej ponad 40-letniej pracy jako depozytariuszki języka i tradycji Jaganów. Cristina pomagała bowiem np. przy tworzeniu replik kajaków, którymi Jaganie pływali przez tysiące lat, i narzędzi do polowania na lwy morskie. Działała też przy akcji sprowadzenia do kraju ciał Jaganów, wywiezionych do Europy jako trofea lub wybryki natury.

W parze z wyróżnieniami szła strata. Gdy w 2003 r. zmarła jej siostra, a dwa lata później szwagierka, Cristina stała się ostatnim świadkiem nieistniejącego już świata.

Oraz, być może, najbardziej samotną osobą na świecie, skoro nikt już nie mówił jagańskim tak jak ona.

Abuela

Nigdy nie planowała, aby zostać najpopularniejszą Indianką w Chile.

Za sprawą traumatycznych wspomnień z dzieciństwa nigdy nie uczyła swoich dzieci jagańskiego. Dziś przyznaje, że popełniła błąd. Dlatego z wnuczką zaczęły pracować nad stworzeniem nowoczesnego słownika. Ale pogarszające się zdrowie ogranicza jej możliwości.

W Ukice nazywają ją po prostu *abuela* – babcia. Jej życie stało się większe niż ona sama, gdy została babcią całego narodu.

Z kuchni wyłania się syn z patelnią. Bierze od matki talerz, nakłada jej gotowane warzywa i placki ziemniaczane. Cristina bez słowa podwija rękawy rozciągniętego niebieskiego swetra i zjada wyłącznie placki. Gdy kończy, odkłada talerz i splata dłonie na brzuchu. Jej palce jeszcze długo świecą od tłuszczu.

Dziś jej ulubionym daniem są zwykłe frytki oraz karmelowe cukierki, chilijski odpowiednik rozpuszczalnych gum Mamba.

© DAMIAN NOWICKI

Susząca się kukurydza na skraju rolniczej wioski Odar, która znajduje przy drodze do Manang.

Gdy turysta jest bogiem

TEKST I ZDJĘCIA ULA IDZIKOWSKA Z NEPALU

Nepalski rząd ma nadzieję, że turystyka rozwiąże problemy kraju, który wciąż podnosi się po trzęsieniu ziemi sprzed kilku lat. Jednak chaotyczny rozwój turystyki też powoduje problemy.

Słyszeliście o projekcie „Visit Nepal 2020"? Zbudują lepsze drogi i powiększą lotniska. I wi-fi ma być szybsze! – Raj, młody fizjoterapeuta pracujący w stołecznym Katmandu, zbiega ze wzgórza na treku Mardi Himal.

Zasapany, opiera się na kiju do trekkingu. To jego pierwsza wyprawa w Himalaje i na pewno nie ostatnia. Ale na dzisiaj to koniec. Po trzech dniach w górach Raja czeka jeszcze wiele godzin w autobusie. Pokonanie pierwszego etapu podróży, 30 km do turystycznego miasta Pokhara, trwa dwie godziny. – Jak widać, drogi trzeba jeszcze trochę podreperować... – Raj kurczowo trzyma się siedzenia, a autobus podskakuje na dziurawej drodze.

Kampania „Odwiedź Nepal 2020" ruszyła w 2015 r., po potężnym trzęsieniu ziemi. Kraj dopiero podnosił się po kataklizmie, wiele zabytków leżało w gruzach, liczba turystów spadła o jedną trzecią. Ale zła passa dla turystyki nie trwała długo. Już w 2018 r. przybył ich ponad milion – dwa razy więcej niż przed katastrofą. W 2020 r. rząd liczy na dwa miliony, mimo opłakanego stanu dróg i niedostatecznej infrastruktury.

Oferta dla turystów jest za to bogata. Prócz trekkingu i wspinaczki w najwyższych górach świata są w niej rozrywki mniej wymagające: safari, przelot helikopterem nad górami, wyjazd do „autentycznej wsi" (z noclegiem w lepiance) czy pielgrzymka do miejsca narodzin Buddy.

Rząd Nepalu od dawna stymuluje rozwój turystyki. Nic dziwnego, to jeden z najbardziej dochodowych i rozwijających się sektorów globalnej gospodarki – tak wynika z danych Światowej Rady ds. Podróży i Turystyki z 2018 r. Branża tworzy miejsca pracy, zmniejsza ubóstwo. Mogłaby także podnieść standard życia w Nepalu. Jednak masowy napływ turystów oznacza też problemy.

Pokłon tobie, turysto

Najbardziej widoczne są śmieci. Szacuje się, że w samych tylko Himalajach turyści i wspinacze zostawiają rocznie 22 tony śmieci. Nie pomagają tabliczki „Użyj mnie!" przy dziurach wykopanych specjalnie na odpadki w drodze nad święte jezioro Tilicho. Ani budki rozsiane po całej drodze z przełęczy Thorong La do miejsca pielgrzymek Manang.

Władze bezskutecznie apelują o palenie papieru, używanie biodegradowalnych opakowań, zabieranie odpadów do miast i pobieranie wody w punktach z „bezpieczną wodą". Najwyraźniej sporo turystów woli przepłacać za wodę mineralną (i porzucić potem plastikową butelkę), niż uzdatniać kranówkę tabletkami jodowymi. Albo mają ochotę na colę, którą można kupić nawet w oddalonych rejonach, gdzie żywność dociera na mułach.

Bo turysta zwykle dostaje to, czego sobie zażyczy. Dla Nepalczyków jest niemal bogiem. Przypominają o tym hasła wypisane na murach, wraz z malowanym wizerunkiem Buddy, który błogosławi przyjezdnych pozdrowieniem „Namaste" (Pokłon tobie).

Aby sprostać oczekiwaniom, powstają wciąż wygodniejsze hotele i pensjonaty. Prywatne łazienki z muszlami ↦

klozetowymi wypierają ubikacje kucane, a prysznice z ciepłą wodą i wi-fi (jeszcze wolnym i niestabilnym) stają się górskim standardem. Także na szlakach praca wre. Odgłos spawania i heblowania słychać do zmroku. Do odległych miejsc materiał budowlany dostarczają tragarze. Na ich plecach piętrzą się konstrukcje z blachy i drewna.

Good service

Sześć lat temu, gdy 25-letni tragarz Sujan zaczynał pracę w branży turystycznej, infrastruktura pozostawiała wiele do życzenia. Za ładowanie elektroniki i ciepłą wodę trzeba było słono płacić, o internecie nie było mowy.

Teraz 95 proc. populacji ma dostęp do prądu, a wrzątek leje się strumieniami dzięki butlom gazowym. Ceny zakwaterowania pozostały przy tym symboliczne. Właściciele pensjonatów zarabiają głównie na posiłkach przyrządzanych dla turystów.

– Na początku miejscowi nie byli zbyt przyjaźnie nastawieni do obcokrajowców, często zdarzały się grabieże – mówi Sujan łamanym angielskim. – Ale lokalne samorządy wytłumaczyły, jak należy się obchodzić z turystami i jak zorganizować pensjonaty. Teraz wiemy, jak zapewnić *good service* – dodaje z powagą i dumą, jakby wykładał historię Nepalu.

Napływ turystów faktycznie znacznie poprawił los Nepalczyków mieszkających w górach. Wcześniej byli niemal odcięci od świata i utrzymywali się głównie z nierentownego rolnictwa. Turystyka oznaczała nowe, alternatywne źródło dochodów.

Ale przyczyniła się też do wylesienia okolicy. Pensjonaty musiały gdzieś stanąć. Zwiększyło się zapotrzebowanie na opał – w niektórych wsiach wciąż pali się drewnem. Spotyka się to z krytyką władz, które odradzają korzystanie z usług Nepalczyków karczujących lasy. Duszący dym z palenisk jest nie tylko nieprzyjemny, ale także szkodliwy. A jakość powietrza w całym Nepalu jest opłakana. Stężenie drobnych pyłów PM2,5 – najgroźniejszych dla zdrowia, według Raportu o Stanie Powietrza z 2019 r. jest tu największe na świecie.

Nie poprawi sytuacji powiększanie lotnisk w okolicy Lumbini na południu kraju i Pokhary. Podobnie jak promocja krótkich lotów między Pokharą czy Jomsom a Katmandu. Chętnych jest sporo, lot trwa 30 minut – na pokonanie 200 km autobusem trzeba poświęcić z reguły cały dzień.

SERKU SHERPA:

Annapurnę trzeba przejść na piechotę. Bo co zobaczysz z tego zapchanego jeepa?

Piechotą albo jeepem

Drogi stały się narodową obsesją Nepalu, jako symbol rozwoju. Ale budowane byle jak, naruszają strukturę geologiczną, zwiększając ryzyko erozji i osuwania się ziemi.

Szutrówka, która łączy kilka wsi na Annapurnie z resztą kraju, powstała trzy lata temu. Przyniosła upragniony rozwój, bo warunki życia się poprawiły, ale jednocześnie okazała się przekleństwem mieszkańców – teraz wielu turystów, zamiast zatrzymywać się w pensjonatach, rzuca tylko na nie okiem z pędzącego jeepa. Trek zaczynają dużo dalej, po co nadkładać kilometrów.

Serku Sherpa, przewodnik z 13-letnim doświadczeniem, z politowaniem kręci głową, gdy widzi kolejny pełny turystów samochód wzniecający tabuny kurzu. – Kiedy dotrą do Manangu, gdzie kończy się droga, będą już mieli chorobę wysokościową. Wtedy czym prędzej będą chcieli zjeżdżać na dół, a kierowcy jeepów napełnią sobie kieszenie pieniędzmi – stwierdza rozbawiony. Serku uważa, że Annapurnę trzeba przejść na piechotę. – Bo co zobaczysz z tego zapchanego jeepa? – pyta.

Rozwój infrastruktury drogowej jest ważny. Z tym urodzona i wychowana w Nepalu geograf Monika Schaffner w pełni się zgadza. – Ale ma jeden poważny minus: zakłóca obcowanie z przyrodą – uważa.

Dlatego trekerzy, którzy do Nepalu przyjeżdżają ze względu na opiewane przez marketing „naturalne piękno", unikają drogi na Annapurnie jak ognia. Uciekają na alternatywne ścieżki, byle z dala od kurzu i jazgotu klaksonów. Chcą zobaczyć miejsca nienaruszone przez drogi. – Niestety, wiele miejsc na Annapurnie i w Górnym Mustangu zostało zniszczonych właśnie przez budowę dróg. Nie sposób ich odtworzyć – uważa Schaffner.

Mniej znaczyłoby więcej

Dwa miliony turystów w 2020 r.? To nierealistyczne założenie, jak uważa Schaffner. Poza tym stawianie na ilość, zamiast na jakość turystów nie jest według niej dobrym rozwiązaniem. – Lepiej podnieść ceny usług i generować ten sam zysk przy mniejszej liczbie turystów. To mniejsze obciążenie dla środowiska. Chodzi o nieznaczną podwyżkę, np. z dolara na dwa – szacuje geografka.

Ale na to się nie zanosi. Nepalczycy często sami zaniżają ceny, by przetrwać walkę z konkurencją. – Gdy właściciel pensjonatu oferuje noclegi za darmo, jego sąsiad musi zrobić to samo. Oczywiście wciąż pozostaje zarobek z posiłków, ale sprzątanie, pranie i wybudowanie pensjonatu przecież sporo kosztuje – mówi Schaffner.

W ostatnich latach Nepal zyskał renomę taniego kraju, który przyciąga turystów niskobudżetowych. Kampania „Visit Nepal 2020" ma przekonać ich do wydawania więcej pieniędzy. Na razie przez ostatnie lata zyski z turystyki wprawdzie wzrosły, bo kraj odwiedziło więcej osób, ale indywidualni turyści wydali mniej niż w ubiegłych latach.

Schaffner: – Ludzie wiedzą, że w Nepalu można się targować. Negocjowanie cen jest częścią naszej kultury. Ale nagminne ich zaniżanie uruchamia błędne koło: sprzedający pamiątki i właściciele pensjonatów oferują coraz tańsze usługi, a turyści nie zamierzają płacić więcej, niż jest to konieczne.

Dzięki poszerzonym szlakom górskim miejscowa ludność z Annapurny może przemieszczać się na motocyklach i psuć humor turystom, którzy Nepal odwiedzają głównie ze względu na naturalne piękno Himalajów.

Deepak Raj Joshi, dyrektor Nepalskiej Rady Turystyki, przyznaje, że kraj stał się celem wycieczek niskobudżetowych. Przyczynę widzi głównie „we wpływie platform, jak Airbnb i innych internetowych platform handlowych oferujących niskobudżetowe zakwaterowanie".

Sześć dolarów za dzień

Turyści szukają nie tylko tanich noclegów, negocjują też ceny w agencjach turystycznych, a one oferują zniżki, by wyprzedzić konkurencję. W epicentrum branży turystycznej, dzielnicy Thamel w Katmandu, roi się bowiem od agencji, wolnych strzelców nagabujących turystów i sklepów z podróbkami sprzętu do trekkingu.

Dlatego agent Basu poluje na klientów już na lotnisku. Usadawia się z przodu taksówki, prowadzi niezobowiązującą rozmowę, by na końcu podróży dojść do sedna: „Co za zbieg okoliczności, że chcecie iść na trek. Tak się składa, że pracuję w biurze podróży. Wpadnijcie, to przygotuję dla was korzystną ofertę!".

Cenami można żonglować, bo w Nepalu praca jest tania. Agencja Basu zatrudnia także Sujana – jest „tragarzem na telefon" i zarabia sześć dolarów za dzień na treku. Turyści płacą agencji za niego 24 dolary, bo dochodzi opłata za zakwaterowanie tragarza (które jednak, okazuje się, jest darmowe), wyżywienie, ubezpieczenie i marża dla agencji.

W sezonie Sujan pracuje na okrągło. Bierze wszystkie zlecenia: w Nepalu, Bhutanie i Tybecie. Po kilku miesiącach w górach wraca do rodzinnej wsi, by pomagać w zbieraniu plonów. Możliwe, że po tym sezonie awansuje na przewodnika. Pod warunkiem, że recenzje na portalu z opiniami turystów TripAdvisor będą pochlebne.

Dla Sujana te internetowe rekomendacje są jak najwyższe odznaczenia wojskowe: – Wszyscy właściciele agencji je sprawdzają!

To, co nieuchronne

W turystyce zatrudnionych jest obecnie tylko milion z 20 mln Nepalczyków w wieku produkcyjnym. Wielu wciąż decyduje się na ciężką i niepewną pracę za granicą – w państwach Zatoki Perskiej, Malezji i Korei Południowej. W ostatniej dekadzie za pracą wyjechało 3,5 mln Nepalczyków.

Nepalska turystyka rozwija się powoli, podobnie jak cała gospodarka. Udział turystyki w PKB rośnie wprawdzie z roku na rok, ale na rozkwit trzeba jeszcze poczekać.

Podobnie jak na lepsze drogi. Albo na lotnisko w Lumbini na południu kraju, które od 2013 r. jest adaptowane do ruchu międzynarodowego. Świeżo oddany terminal okazał się za mały, budowa nowego ruszy w 2020 r.

Mieszkańcy gór, którzy decydują się na porzucenie swoich pól i pracę w pensjonacie, rezygnują z dotychczasowego stylu życia. Tak powoli zanikają miejscowe tradycje. Autentyczne wsie stają się zbieraniną pstrokatych pensjonatów, z pól znikają jaki, a uprawę kukurydzy wypierają *jardins organiques* (organiczne ogrody).

Być może te zmiany są nieuchronne. Kontakt z turystami i połączenia drogowe powodują, że mieszkańcy otwierają się na świat. – Odchodzi się też od buddyjskiej oświaty. Rodzice posyłają dzieci do świeckich szkół – opowiada Sherku. – Wolą, żeby dzieci mówiły po nepalsku i angielsku niż w lokalnym języku.

No bo jak dogadają się z turystami?

© ULA IDZIKOWSKA

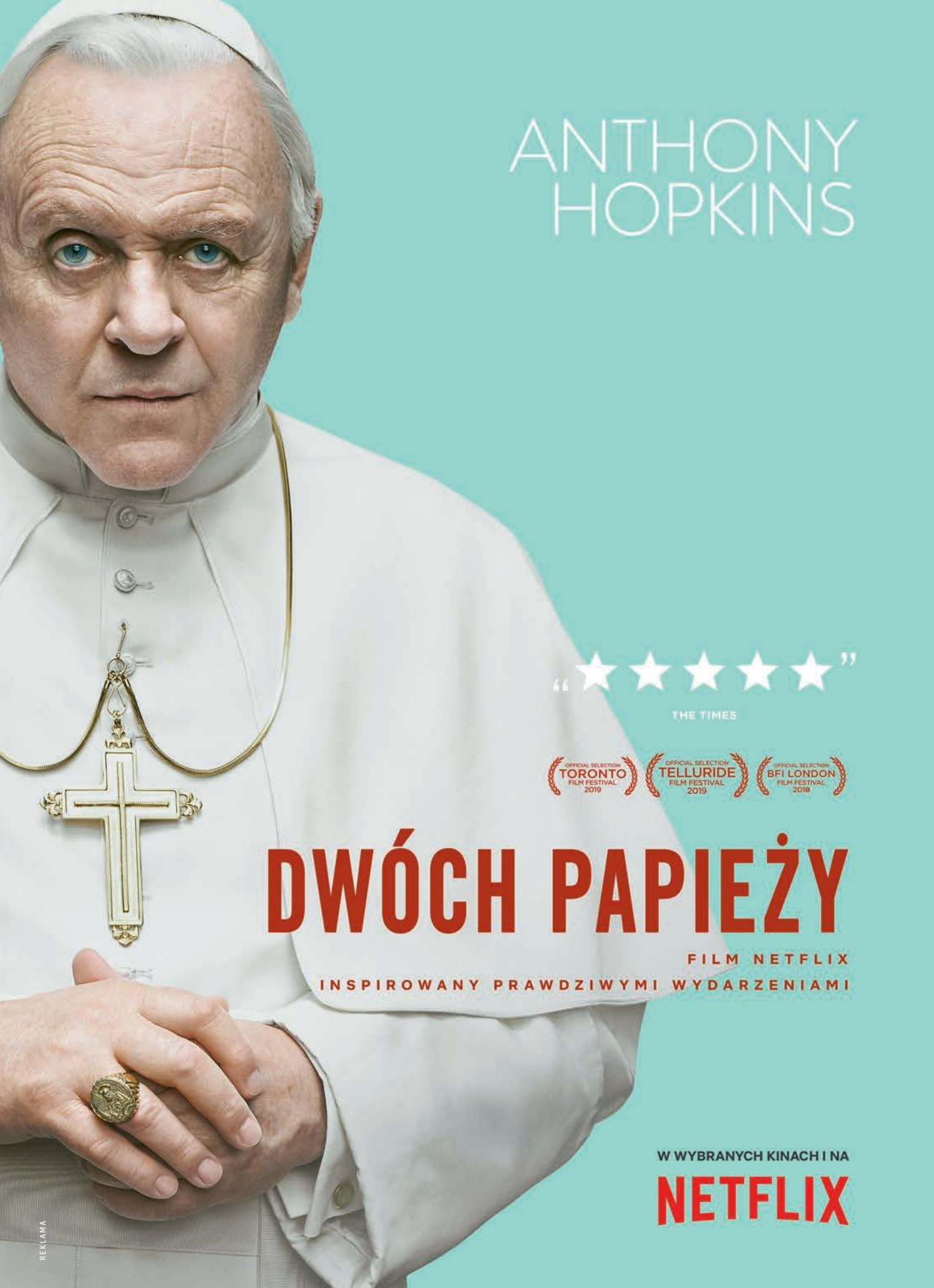
ANTHONY HOPKINS
"★★★★★"
THE TIMES
OFFICIAL SELECTION TORONTO FILM FESTIVAL 2019
OFFICIAL SELECTION TELLURIDE FILM FESTIVAL 2019
OFFICIAL SELECTION BFI LONDON FILM FESTIVAL 2019
DWÓCH PAPIEŻY
FILM NETFLIX
INSPIROWANY PRAWDZIWYMI WYDARZENIAMI
W WYBRANYCH KINACH I NA
NETFLIX
REKLAMA

JONATHAN PRYCE

JESTEŚMY ODERWANI OD TEGO ŚWIATA. NIE JESTEŚMY Z NIM ZŁĄCZENI.

OPINIE

NATURA NIE JEST TANIA

JASON W. MOORE, HISTORYK GOSPODARCZY I SOCJOLOG:

Wrogiem planety nie jest „rozwój" ani „wzrost". Problemem jest bardzo konkretny „rozwój kapitalistyczny" i bardzo konkretny „wzrost kapitalistyczny".

RAFAŁ WOŚ: Powiada Pan, że to nie człowiek zniszczył naszą planetę.

JASON W. MOORE: Dokładnie tak. Stawianie realnego problemu kryzysu klimatycznego w kategoriach ludzie kontra natura jest nieprawdziwe, a na dodatek szkodliwe. Nie należę jednak do tych, którzy twierdzą, że kryzysu klimatycznego nie ma. Przeciwnie. Uważam, że jest. I to poważny.

Ale...

Ale trudno nie zauważyć, że dzisiejsza wzmożona debata na temat środowiska naturalnego opiera się na złudnym ekologizmie [po angielsku *environmentalism* – red.].

Czyli?

Czyli na przekonaniu, że natura istniała sobie spokojnie, ale przyszedł zły człowiek i zaczął niszczyć. Ekologiści wskazują zazwyczaj na rewolucję przemysłową – czyli na XVIII i XIX wiek – jako na moment, w którym działanie tego zewnętrznego aktora, człowieka, zaczęło być groźne. Głównie z powodu oszałamiającego postępu technologicznego, za którego początek zwykło się uważać rok 1784 i budowę przemysłowej maszyny parowej przez Jamesa Watta. Popularnym wykwitem myślenia ekologistów jest pojęcie antropocenu.

Tę nazwę spopularyzował noblista z chemii Paul J. Crutzen. Holender zaproponował, by antropocenem nazwać nowy geologiczny czas w dziejach Ziemi, który charakteryzuje się dominującym wpływem ludzi na ekosystem.

Problem w tym, że ekologiści posługując się tym pojęciem mają tendencję do ignorowania systemu, w którym się to wszystko odbywa. Oni patrzą na zmiany w ekosystemie i mówią: „winny jest człowiek i jego nieprzerwane dążenie do wzrostu, więc trzeba wyhamować wzrost. A może i postęp". Takie myślenie sprawia, że ekologizm co chwila wpada we własne sidła.

Stąd częste narzekania, że ekolodzy bardziej kochają naturę niż człowieka.

To nie zaczęło się teraz. To myślenie jakby wyjęte z bestsellerowej książki biologa Paula R. Ehrlicha „The Population Bomb" z roku 1968. Ehrlich w alarmistycznym tonie dowodził wówczas, że jeśli nie zostanie stworzony ogólnoświatowy system kontroli narodzin, to Ziemię czeka zagłada. Albo słynny raport Klubu Rzymskiego „Granice wzrostu" z roku 1972. Znowu ten sam schemat: to człowiek – poprzez samo swoje istnienie – jest zagrożeniem dla planety. I ani słowa o tym, że to człowiek organizuje system ekonomiczny na tej planecie. Jeśli ekologiści nie wyjdą z tego myślenia, będzie źle. Przez to cały zestaw ich – nierzadko słusznych – postulatów ma i będzie miał ograniczone możliwości przekonywania nieprzekonanych.

Jak z tego wyjść?

Wyjść można tak, że przestajemy mówić o antropocenie. A zamiast niego pora nazwać epokę, w której żyjemy, kapitałocenem. Właśnie w ten sposób znajdziemy prawdziwego sprawcę kryzysu klimatycznego, zanieczyszczenia środowiska czy wyczerpania się zasobów naturalnych. Tym winowajcą nie będzie już dość ogólna kategoria „człowieka", lecz dużo bardziej konkretny system ekonomiczny zwany „kapitalizmem".

A co to zmieni?

MARIO TAMA / GETTY IMAGES

Transport nielegalnie wycinanych drzew na terytorium Indian Guajajara, Amazonia, Brazylia, czerwiec 2012 r.

Bardzo wiele. Zrozumiemy wtedy, że problemem nie jest „człowiek" jako taki. A więc naszym wrogiem nie powinien być „rozwój" albo nawet każdy „wzrost". Problemem jest bardzo konkretny „rozwój kapitalistyczny" i bardzo konkretny „wzrost kapitalistyczny".

Kapitalistyczny, czyli jaki?

To znaczy taki, który jest oparty na taniości. Produkcja kapitalistyczna to taka produkcja, która tę swoją niesamowitą dynamikę osiąga poprzez ciągły dopływ tanich – a najlepiej zmierzających do darmowości – półproduktów. Podstawowym składnikiem, od którego wszystko się w kapitalizmie zaczyna, jest tania natura. Taniość występuje tu w dwóch znaczeniach.

Jakich?

Jedno znaczenie to cena. Zwróćmy uwagę, że podmioty działające wedle kapitalistycznej – niektórzy mówią „rynkowej" – logiki większość swoich wysiłków koncentrują na poszukiwaniu tanich półproduktów. Tania ma być też praca. A jak jej nie ma w jednym miejscu, to się przenosimy do innego. Tanie mają być surowce, żywność czy energia. Wszystko dlatego, że tania musi być sama produkcja. Kiedy więc na przykład dowolny regulator próbuje nałożyć na producenta jakieś ograniczenia – podatki albo kary za zanieczyszczanie okolicy – to producenci próbują je obchodzić, zignorować albo lobbują za zmianą. Wszystko dlatego, że musi być tanio. Akumulacja kapitału tak się właśnie odbywa.

A drugie znaczenie taniości?

W kapitalizmie taniość to nie tylko cena. To także sposób traktowania. Gdy coś jest „tanie", to w kapitalizmie znaczy, że jest od razu mniej wartościowe i nie musimy traktować tego czegoś z należnym respektem. Klasycznym przykładem jest praca opiekuńcza lub domowa, świadczona zazwyczaj przez kobiety. Ponieważ jest zazwyczaj darmowa, to nie cieszy się powszechnym uznaniem, na jaki zasługuje. To właśnie ów mechanizm, który umożliwia dalszą eksploatację. Bo przecież jeśli coś nie ma wartości, nie trzeba tego szanować. A więc można wykorzystywać tę taniość do woli. W ten sposób kapitalizm zabezpiecza swoje interesy na przyszłość.

Czy ja dobrze rozumiem, że Pan mówi: w kapitalizmie natura i ludzie – a przynajmniej większa część ludzi ↦

↦ **– jadą na tym samym wózku? Czyli to nie jest – jak by chcieli ekolodzy – relacja ofiary i kata.**

Dokładnie. Człowiek jest częścią natury. A właściwie czegoś, co nazywam Siecią Życia (ang. *Web of Life*). Przeciwstawianie człowieka naturze prowadzi nas do fałszywych wniosków. To kardynalny błąd współczesnego ekologizmu.

Ale przecież koniec końców to człowiek truje i niszczy. Weźmy smog. To wszak efekt działania naszego własnego gatunku. A nie rezultat tajnego sprzysiężenia kartelu pingwinów ani wybuchów wulkanu na Islandii.

Podtrzymuję swoje zdanie. Ale żeby dobrze zrozumieć, o czym mówię, musimy cofnąć się do początków kapitalizmu.

Czyli do maszyny parowej Watta?

Właśnie nie. To częsty błąd uważać, że kapitalizm zaczął się wraz z wybuchem rewolucji przemysłowej i pojawieniem się czegoś, co wygląda jak współczesna fabryka, bo ma kominy i dymi. To naiwne postrzeganie sprawy. W rzeczywistości niszcząca logika „taniości", o której wspomniałem wcześniej i która jest prawdziwym paliwem kapitalizmu, ruszyła dużo wcześniej.

Kiedy?

Historycy gospodarki mówią – za zmarłym niedawno Immanuelem Wallersteinem – o tzw. długim XVI wieku. „Długim", bo rozpiętym pomiędzy wyprawą Kolumba (1492) i początkiem kolonizacji tzw. Nowego Świata a końcem wojny trzydziestoletniej (1648). Pomiędzy tymi wydarzeniami ukształtował się ład, który znamy do dziś. Swojego ekonomicznego impetu nabierze dopiero dwa wieki później. Ale grunt pod logikę taniości został położony właśnie wtedy.

Dlaczego wtedy?

To wtedy odbyła się decydująca walka. W tej wojnie chodziło o to, czy cała Sieć Życia, a więc tak natura, jak i ludzie, zostaną zaprzęgnięci do systemu, którego celem jest ciągła pogoń za zyskiem. Ta wojna nie miała jednej bitwy. Był to rozdrobniony proces historyczny, objawiający się z różną intensywnością i mający przeróżne twarze. W obu Amerykach będzie to kolonizacja lub ludobójstwo autochtonów. A następnie założenie na tych ziemiach plantacji cukru oraz bawełny. Aby te plantacje mogły się rozwijać, zostanie zorganizowana bezprecedensowa operacja zasilania amerykańskich kolonii w niewolniczą siłę roboczą z Afryki. Znów po to, żeby było jeszcze taniej. Pomyli się jednak ten, kto powie, że to Europa – jako całość – wyzyskuje resztę. Bo również w samej Europie układ sił i struktury władzy zmieniają się najintensywniej właśnie w czasie długiego XVI wieku.

Opiszmy ten proces.

To nie przypadek, że to wówczas dochodzi do całej masy ludowych wystąpień. Często niezwykle krwawych. W Anglii mamy powstanie Roberta Ketta (1549), którego przyczyną było ogradzanie gruntów gminnych – dotąd wspólnie użytkowanych – przez największych właścicieli ziemskich. Z podobnych przyczyn buntuje się nieco wcześniej chłopstwo niemieckie (tzw. wojny chłopskie 1524-26). A ich przywódca teolog Thomas Münzer mówi o potrzebie zwalczania straszliwej logiki nowych czasów, w myśl której „każda istota, każda ryba w wodzie, każdy ptak na niebie i każda roślina w ziemi muszą stać się własnością i zostać zapędzone do pracy na rzecz możnych".

Dotyczy to również przemocy płciowej i patriarchatu, który się właśnie wtedy mocno zaostrzył. To wówczas kobiety stały się „śmieciami Europy". Kolejnym rezerwuarem taniej lub wręcz darmowej siły roboczej. Autorka tego terminu to historyczka Silvia Federici. Twierdzi nawet, że to nie przypadkiem właśnie wówczas nastąpił w Europie wysyp tzw. polowań na czarownice. Jej zdaniem było to nic innego jak próba pacyfikacji kobiet – tradycyjnie parających się zielarstwem czy ziołolecznictwem – podburzających lud (a zwłaszcza inne kobiety) do buntu przeciwko zawłaszczaniu lasów oraz rzek przez możnych. Aby je skompromitować, władza stworzyła więc figurę niebezpiecznej i wstecznej wiedźmy. To zresztą jest zapowiedź kolejnego zjawiska: że kapitalizm często będzie próbował „sprzedawać" korzystne dla siebie rozwiązania jako nieuchronny postęp czy walkę z zabobonem.

Podsumowując: w czasie długiego XVI wieku następuje po pierwsze akumulacja zasobów taniej pracy poprzez powrót niewolnictwa lub zwiększenie stopy wyzysku (np. pańszczyzny w szlacheckiej Polsce). A po drugie, akumulacja taniej natury drogą jej zawłaszczenia.

Kilka konkretnych przykładów. W roku 1700 do największych możnowładców w Anglii należało już ok. dwie trzecie ziemi uprawnej. A ludzie popadali w faktyczne niewolnictwo oparte na dzierżawie ziemi pod uprawę. Albo, nie mogąc się utrzymać z roli, migrowali do miast, gdzie wkrótce stali się zasobami taniej i łatwo zastępowalnej pracy dla przemysłu. Ale nawet w przypadku tak tanich – czy nawet wręcz darmowych – pracowników istnieje pewna granica, poniżej której zejść się nie da. Jest to granica fizycznego przetrwania. Człowiek musi na przykład jeść.

Warunkiem utrzymania taniego kosztu niewolniczej pracy staje się więc tani koszt wyżywienia robotnika. W efekcie trzeba produkować coraz więcej żywności. Taniej żywności. Tu zaczyna się uderzenie kapitalizmu w naturę, która musi poddać się jego woli i potanieć. Długofalowy koszt nikogo nie obchodził. Aby to zobaczyć, przenieśmy się na Maderę. A potem do Polski.

Chętnie.

Nie wszyscy wiedzą zapewne, że to Madera była w XV wieku światowym sercem produkcji cukru. Czyli tego surowca, który zapewniał tani dopływ kalorii dla zapracowanych robotniczych ciał. Portugalscy żeglarze odkryli archipelag w roku 1418, a już pół wieku później plantacje działały tu na całego. Interes szedł świetnie, więc wycinanie lasów pod dalszą uprawę postępowało w dramatycznym tempie. Do 1510 roku wycięto już połowę tamtejszych lasów. W efekcie zaburzeń ekosystemu w ciągu kilkudziesięciu lat produkcja zamiast rosnąć, drastycznie spadła. W następnych stuleciach zaprzestano jej na Maderze niemal zupełnie.

Czy to zastopowało kapitalizm? Oczywiście, że nie. Plantacje cukru zaczęto zakładać w innych, jeszcze niezużytych miejscach. Wedle tej samej zasady: byle więcej, byle szybciej, a gdy natura się buntuje, to płyniemy dalej. Najpierw na Wyspę św. Tomasza w Zatoce Gwinejskiej, a po kompletnym wycięciu tamtejszych lasów w XVI wieku do Brazylii. Tam w ciągu zaledwie jednego roku 1650 portugalscy konkwistadorzy karczują 12 tys. hektarów lasów pod plantacje. Brazylia to ogromny kraj, więc przed „zemstą natury" udało się uciekać przez dłuższy czas.

Ukryte koszty kapitalizmu dały jednak o sobie znać w innych miejscach systemu. Brazylia to ten kraj w Ameryce Południowej, gdzie napływ niewolników z Afryki był największy. Z czasem przeistoczył się w problem społeczny, będący mieszanką rasizmu i nierówności, z którym tamtejsze społeczeństwo zmaga się do dziś.

Ale przecież bardzo podobny schemat można pokazać na przykładzie pańskiego kraju.

Polska była w trakcie długiego XVI wieku głównym dostarczycielem innego kluczowego surowca, czyli zboża. „Spichlerz Europy" – mówią u nas na lekcjach historii.

Bądźmy precyzyjni. Wasze zboże nie było cenione z powodu swych unikalnych właściwości. Byliście spichlerzem, bo wasza szlachta była gotowa na dostarczanie właśnie zboża taniego w bardzo dużych ilościach.

Słynny holenderski historyk społeczny Slicher van Bath nazwał nawet I RP czymś w rodzaju „nieformalnej gospodarczej kolonii" Niderlandów, czyli największej ówcześnie potęgi gospodarczej świata.

Fakt, momentami Polska eksportowała tam aż jedną trzecią całej swej produkcji zboża. Odbywało się to kosztem przyjęcia przez polską szlachtę niezwykle intensywnej i łupiącej środowisko polityki rolnej. Głównie poprzez odejście od systemu płodozmianu, w którym część ziemi okresowo „odpoczywa", by odzyskać żyzność. Dzięki temu latyfundyści mogli słać jeszcze więcej zboża na rynki zachodnie. Ale już po mniej więcej stu latach takiej rabunkowej polityki pojawiły się negatywne konsekwencje w postaci spadającej wydajności gospodarstw. Ta zaś prócz innych przyczyn doprowadziła do spadku plonów.

Próbowano się przed nią ratować mieszanką posunięć polityczno-militarnych: trwały konflikty z sąsiadami na Kresach i dalsza komasacja gruntów oraz zwiększanie pańszczyzny.

Nie tylko. Była jeszcze masowa wycinka lasów. Szacuje się, że pomiędzy 1500 a 1650 rokiem w samym tylko dorzeczu Wisły wycięto ok. miliona hektarów lasów. To z kolei efekt boomu na potaż.

Nie ma co liczyć, że świat da się uratować sprzedając stare auto z silnikiem spalinowym i kupując takie z napędem elektrycznym – i wszystko będzie tym samym załatwione.

Wyjaśniam, że chodzi o zanieczyszczoną postać węglanu potasu produkowaną z popiołu pochodzącego ze spalania drewna.

Potaż znajdował szerokie zastosowanie praktyczne: od produkcji mydła i bielenia tkanin po rolę nawozu.

W XVI i XVII wieku potaż był dla wielu gospodarek ważnym towarem eksportowym. Jednocześnie ta „potażowa gorączka" zwiększała społeczne napięcia, bo prowadziła do zawłaszczania lasów przez bogatych. Co rodziło wspomniane już wcześniej niepokoje społeczne i powstania chłopskie. To kolejny przykład, jak kapitalizm niszczył zarówno człowieka, jak i naturę. A im więcej niszczył, tym mocniej musiał... niszczyć dalej. Bo wszystko jest tu ze wszystkim jakoś powiązane.

Dużo czasu spędziliśmy w długim wieku XVI, ale rozumiem, że dalej mamy już ten sam schemat. Tylko zmieniają się dekoracje.

Tak. Na przykład wraz z rosnącą produktywnością gospodarek w czasie rewolucji przemysłowej zwiększa się zapotrzebowanie na energię. Energia musi być oczywiście tania, bo tania ma być produkcja. Następuje więc rabunkowa polityka surowcowa. Gdy wyczerpuje się jakaś technologia lub jakieś zasoby, kapitalizm przeskakuje na inne. I tak dalej. Logika jest wciąż taka sama. Co sprawia, że nowe technologie nie są rozwiązaniem problemu.

W tym sensie nie ma co liczyć, że świat da się uratować, na przykład sprzedając stare auto z silnikiem spalinowym i kupując samochód o napędzie elektrycznym – i wszystko będzie tym samym załatwione.

Na koniec musimy poruszyć kwestię alternatywy. Można powiedzieć: gadaj zdrów o kapitałocenie, przecież w socjalizmie to było jeszcze gorzej. Bo na przykład forsowano industrializację krajów zapóźnionych, nie za bardzo licząc się z kosztami dla środowiska. I w tym sensie socjalizm zasadniczo nie różnił się od kapitalizmu. Co Pan na to?

Doświadczenie minionych 500 lat uczy, że kapitalizm, mając do wyboru zniszczenie Sieci Życia i rezygnację z zysku, zawsze wybierze to pierwsze. Nie chodzi o decyzje jednostek, lecz o logikę działania systemu. To się nie zmieni. Będzie raczej tak, że każda kolejna katastrofa naturalna będzie dla kapitalizmu okazją do... nowego wzbogacenia. Na przykład przy odbudowie zniszczeń po powodzi albo huraganie. Tu jest wielka rola dla państwa. Gracza odpowiednio dużego, by zrobić autentyczną systemową różnicę. Z drugiej strony wydaje się, że kapitalizm ma coraz mniejsze pole manewru.

Co to znaczy?

Przez ostatnie 500 lat był mistrzem w niepłaceniu rachunków. Uciekał przed kosztami swego funkcjonowania na różne sposoby. Poprzez poszukiwanie nowych rezerwuarów taniej pracy. Poprzez patriarchat, będący źródłem darmowej pracy kobiet. Poprzez dewastację klimatu. Ale teraz na wielu polach nie ma już dokąd uciekać i czego kolonizować. Wydaje się, że nadchodzi moment, by wymusić zmianę logiki taniości. Choć nie potrafię podać precyzyjnej daty, kiedy to się wydarzy.

©℗ Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

YOUTUBE / JASONWMOORE.COM

JASON W. MOORE *(ur. 1971) jest historykiem gospodarczym, geografem i socjologiem. Pracuje na Uniwersytecie w Binghampton w stanie Nowy Jork. Autor takich książek jak „A History of the World in Seven Cheap Things" („Siedem tanich rzeczy. Krótka historia świata" 2017; trwają prace nad polskim tłumaczeniem) oraz „Capitalocene or Anthropocene" („Kapitałocen czy antropocen", 2016).*

SZWEDKA, KTÓRA ŚNIŁA PO POLSKU

Przeżyła epokę cesarzy, kilka wojen i czas dyktatorów: Alicja Ankarcrona-Badeni-Habsburg-Altenburg to wiek XX w miniaturze.

WALDEMAR ŁAZUGA

Wychowywała się w pałacowych apartamentach. Obracała w najlepszym towarzystwie. Bywała na królewskim dworze. Władała kilkoma językami. Świetnie jeździła konno. Od dziecka słyszała o sobie, że jest piękna, mądra, wrażliwa i porusza się z niezwykłą gracją. Rozpieszczana adoracjami. Najpiękniejszy kwiat Skandynawii...

Urodziła się 130 lat temu – 18 grudnia 1889 r. niedaleko Sztokholmu. Nosiła pięknie brzmiące nazwisko Ankarcrona (będące połączeniem słów: kotwica i korona), szczyciła herbem z dwiema złotymi koronami. Jej ojciec Oskar był pierwszym łowczym królewskiego dworu (i synem królewskiego nadłowczego), matka i babka pochodziły ze starych rodzin szwedzkich. Złote wesele jej dziadków zaszczycił własną osobą król Szwecji i Norwegii Oskar II Bernadotte. Dziadek był zresztą nie tylko łowczym dworskim, ale też dzierżawcą majątków królewskich. I twardym protestantem, gotowym w obronie swej wiary kruszyć kopie.

Protestancką twardość Ankarcronów – i ich niechęć do katolicyzmu – tłumaczono represjami, jakich rodzina doznała w Czechach podczas wojny trzydziestoletniej (1618–1648). Stamtąd bowiem się wywodzili. Stamtąd też po zwycięstwie obozu katolickiego wyemigrowali, pielęgnując uraz do arcykatolickich Habsburgów.

Nazywali się wtedy Christoffer i po rozmaitych perypetiach wylądowali na południu Szwecji, zajęli się mydlarstwem (wyrobem i handlem). Szlachectwo i nazwisko zawdzięczali antenatowi o imieniu Teodor, marynarzowi, który wywiózł króla Karola XII z oblężonego portu w Stralsundzie. Mianowano go potem admirałem floty i królewskim skarbnikiem, ale w tradycji rodzinnej pozostał „piratem", któremu życie zawdzięczał największy wojownik Szwecji.

Miłość po raz pierwszy

Nieistotne, czy Alicja poznała Ludwika hrabiego Badeniego na balu amarantowym w Sztokholmie w 1911 r., czy podczas zawodów konnych (podobno zaczęło się od rozmowy po francusku, w której Badeni „wypytywał ciekawie", jak się galopuje po lodzie). W każdym razie Alicja zrobiła na nim potężne wrażenie, on na niej również.

Rodzina Badenich była potęgą. Ojciec Ludwika, Kazimierz, był premierem rządu austriackiego i namiestnikiem Galicji; jego brat Stanisław marszałkiem krajowym. Obaj trzęśli galicyjską polityką, okupując wysokie miejsca na c.k. latyfundialnych listach. Czarujący wobec kobiet, romansowi, koneserzy wódek, sprytni „jak czterech Żydów razem wziętych", mieli służbę „wybornie wytresowaną", bo za lada przewinienie prali po pysku. Mówiono o ich „dynastycznej żyłce". Przeszłość należała do Potockich, Lubomirskich, Sanguszków. Przyszłość – do takich „awansowych" rodzin jak oni.

W 1911 r., gdy się poznali, Ludwik był radcą c.k. poselstwa w Sztokholmie. Brylował w towarzystwie, epatował gestem. Alicja była nim oczarowana, ale jej dziadek go nienawidził. „Hrabio Badeni, hrabio Badeni / Czym byłby Sztokholm bez ciebie?" – śpiewano podobno taki kuplet. Żeby zdobyć Alicję, urządzał festyny i bale, wycieczki ukwieconym statkiem po archipelagu; na kwiaty wydawał majątek. Alicja, o kilkanaście lat młodsza, żeby wyjść za „południowca", przeszła na katolicyzm, a nawet uprosiła ojca, by wesele odbyło się na zamku królewskim. Było o nim głośno głównie z powodu nieobecności dziadka panny młodej. Oraz nadmiaru gości z Galicji. „Tylu katolików, tylu katolików" – biadolono na królewskim dworze.

Wspomnień Alicji, wydanych w Szwecji w 1973 r., nigdy nie przełożono na polski. Otwiera je opis balów i rautów, a także pochód arystokratycznych tytułów zastępujących charakterystyki postaci. Szwedzka *belle époque*. Alicja wyznaje, że w „tamtych czasach dziewczęta w moim wieku były niedojrzałe i niedoświadczone. Zauroczyła mnie południowoeuropejska ekstrawagancja hrabiego Badeniego". O swym kilkuletnim zaled-

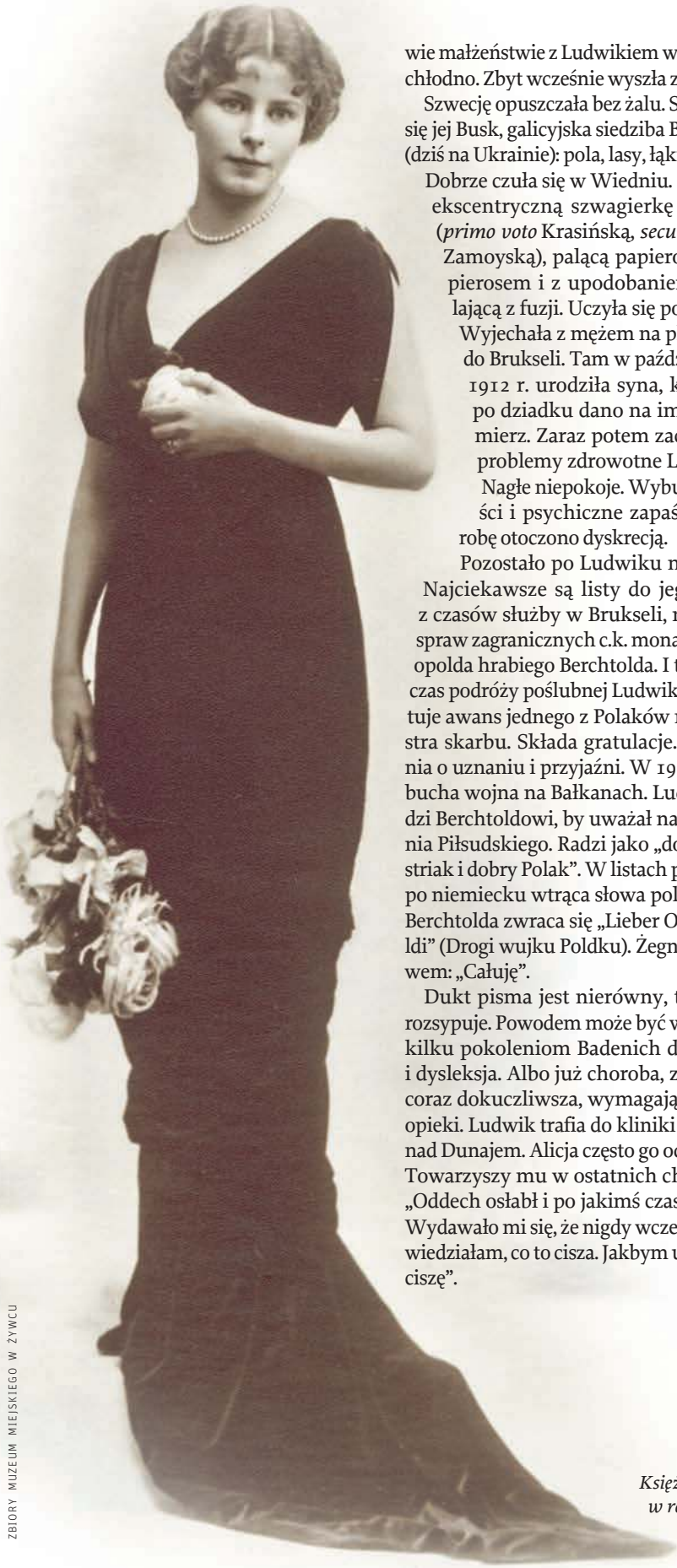

ZBIORY MUZEUM MIEJSKIEGO W ŻYWCU

Księżna Alicja w roku 1912.

wie małżeństwie z Ludwikiem wyraża się chłodno. Zbyt wcześnie wyszła za mąż?

Szwecję opuszczała bez żalu. Spodobał się jej Busk, galicyjska siedziba Badenich (dziś na Ukrainie): pola, lasy, łąki i konie. Dobrze czuła się w Wiedniu. Polubiła ekscentryczną szwagierkę Wandę (*primo voto* Krasińską, *secundo voto* Zamoyską), palącą papieros za papierosem i z upodobaniem strzelającą z fuzji. Uczyła się polskiego. Wyjechała z mężem na placówkę do Brukseli. Tam w październiku 1912 r. urodziła syna, któremu po dziadku dano na imię Kazimierz. Zaraz potem zaczęły się problemy zdrowotne Ludwika. Nagłe niepokoje. Wybuchy złości i psychiczne zapaści. Chorobę otoczono dyskrecją.

Pozostało po Ludwiku niewiele. Najciekawsze są listy do jego szefa z czasów służby w Brukseli, ministra spraw zagranicznych c.k. monarchii Leopolda hrabiego Berchtolda. I tak, podczas podróży poślubnej Ludwik komentuje awans jednego z Polaków na ministra skarbu. Składa gratulacje. Zapewnia o uznaniu i przyjaźni. W 1912 r. wybucha wojna na Bałkanach. Ludwik radzi Berchtoldowi, by uważał na knowania Piłsudskiego. Radzi jako „dobry Austriak i dobry Polak". W listach pisanych po niemiecku wtrąca słowa polskie. Do Berchtolda zwraca się „Lieber Onkel Poldi" (Drogi wujku Poldku). Żegna się słowem: „Całuję".

Dukt pisma jest nierówny, tekst się rozsypuje. Powodem może być właściwa kilku pokoleniom Badenich dysgrafia i dysleksja. Albo już choroba, z czasem coraz dokuczliwsza, wymagająca stałej opieki. Ludwik trafia do kliniki w Tulm nad Dunajem. Alicja często go odwiedza. Towarzyszy mu w ostatnich chwilach: „Oddech osłabł i po jakimś czasie ustał. Wydawało mi się, że nigdy wcześniej nie wiedziałam, co to cisza. Jakbym usłyszała ciszę".

Jest listopad 1916 r., trwa wojna. Jej syn ma cztery lata. Ona nie ma jeszcze trzydziestu.

Miłość po raz drugi

Kiedy poznała Karola Olbrachta Habsburga: przed czy już po śmierci Ludwika? Kiedy odbyła się słynna herbata u hrabiny Fanny Byland?

Nowa miłość była nagła, naznaczona rozłąką, niełatwa ze względu na rodzinę męża i kilkuletniego syna. Habsburg już następnego dnia po tamtej herbatce obsypał ją kwiatami. W hotelowym pokoju obok bawił się mały Kazio. Zapytała uprzejmie, czy arcyksiążę zechce go poznać. Myśli miał zajęte czym innym. Kaziem nie był zainteresowany.

Potem były listy z frontu, gdzie Karol dowodził dywizjonem, a później pułkiem haubic, aby jesienią 1917 r. awansować na pułkownika i dowódcę brygady piechoty.

Olbracht dobrze znał Galicję i mówił po polsku. Urodzili się tego samego dnia (tylko ona dwa lata później), lubili konie i morze (choć ona raczej północne, on południowe). Oddalało ich od siebie rygorystyczne wychowanie po jego, a protestanckie nawyki po jej stronie. Oddalała też nierówność urodzenia (przypomina się historia Zofii hr. Chotek, dla której następca tronu arcyksiążę Franciszek Ferdynand popełnił – jak wtedy mawiano – mezalians).

Alicja miała o czym myśleć. Poznała Katarzynę Schratt, długoletnią przyjaciółkę cesarza Franciszka Józefa. Znała habsburskie miłostki. Nieraz powtarzała, że warunkiem dobrego małżeństwa jest właściwy dobór socjologiczny. Teraz sama stawała się jego ofiarą. W 1917 r. wysyła Karolowi zmysłowe zdjęcie i podpisuje je pieszczotliwie „Kitty".

Tymczasem na horyzoncie pojawia się inny mężczyzna. Ofiarowuje jej zaręczynową biżuterię. Chyba dopiero wtedy Habsburg przestraszył się nie na żarty. Wcześniej zapewniał wprawdzie, że albo ta, albo żadna, ale brzmiało to mało wiążąco. Teraz napisał długi list. Biżuterię zwróciła.

Niemal w tym samym czasie rozstaje się z biżuterią, która pozostała jej jako prezent od Ludwika. Środki przeznacza na remont pałacu w Busku i cele społeczne (dziwi się, że jej teść dbał o to tak mało). Galicja jest zniszczona wojną, front przechodził przez nią kilka razy. Busk tonie w błocie, straszy biedą, ma malaryczny ↦

↦ klimat, wyglądem przypomina „azjatyckie obozowisko". Alicja lubi jednak pałac, park przecięty rzeką Bug, ukraiński krajobraz i wszystkie jego aromaty. Z przejażdżek konnych wraca nieraz późną nocą. W Busku – zapewniał jej syn – matka czuła się absolutnie wolna.

Do Żywca, siedziby Habsburgów, wyrusza z początkiem 1920 r. Na miejscu je obiad w gronie rodziny i gości. Są zaręczyny i nowy garnitur biżuterii od Karola Olbrachta. Ojciec narzeczonego, arcyksiążę Karol Stefan, był nią zachwycony: „Jest wyjątkowo miła – ocenia wybrankę syna – mówi doskonale po polsku, co ważniejsze czuje po polsku i wychowuje w tym duchu swego syna Kazimierza. Mam nadzieję, że młoda para będzie bardzo szczęśliwa".

Ważna była podstawa ideowa tego mariażu. Pałac w Żywcu zdobiły portrety wszystkich Habsburżanek, które zostały żonami królów Polski. A także płótna Malczewskiego, Fałata i całej plejady polskich malarzy. Alicja zaś mogła pochwalić się świetną znajomością „Trylogii" i tym, że w polszczyźnie Sienkiewicza rozkochała syna.

Miłość po raz trzeci

Ślub ma skromny charakter, kraj jest wyniszczony I wojną światową i wojną z bolszewikami. Dwóch żywieckich Habsburgów brało w niej udział.

Karol Olbracht stanął przed ołtarzem w polskim mundurze pułkownika – jeszcze w 1918 r. zgłosił się do Wojska Polskiego. Alicja wystąpiła w skromnym, choć sprowadzonym z Wiednia szarym kostiumie.

Arcyksiążę Karol Stefan znów mówił o niej z zachwytem: „Doskonała, świetna przez swoją odwagę i miłość obowiązków (...) Witaj Alicjo w tym kraju, choć daleko Twoja ojczyzna. Kochaj to miejsce za naszym przykładem".

I pokochała to miejsce i kraj. Choć Żywca musiała się dopiero nauczyć. Buskiem rządziła udzielnie. Tu o guwernantce czy pokojówce decydowała teściowa. Tam w salonach mogła przebierać. W Żywcu otrzymała apartament z łazienką, a z kranów płynęło nie piwo na zmianę z szampanem, lecz lodowata woda. Tam przestrzeni było w nadmiarze, tu (jak mówiła) był wielorodzinny „kołchoz". W tym kołchozie w niewielkich odstępach urodziła czworo dzieci: Karola Stefana, Marię Krystynę, Renatę Marię i Olbrachta Maksymiliana. Z pierworodnym Kaziem była ich piątka. Miały oczywiście guwernantki, ale o wychowanie dbała sama (rzadkość, jak na ówczesne standardy). Ostatecznie dzieci wyrosły na poliglotycznych Polaków: „zapiekłych" (jak Maria Krystyna) i „101-procentowych" (jak mówił o sobie Kazimierz). Matką chrzestną „zapiekłej" Krystyny została królowa Hiszpanii.

ZBIORY MUZEUM MIEJSKIEGO W ŻYWCU X 2

Księżna Alicja z pierworodnym synem Kazimierzem, rok 1912.

Gdy urodziła Karola Stefana, otrzymała od teścia diadem i kolię, które Napoleon Bonaparte po urodzeniu syna podarował żonie, Marii Luizie Habsburg. Ocaliła tę biżuterię przed Niemcami, ale nie ustrzegła przed sprzedażą, co skończyło się tym, że przerobiono ją na surowiec. Podziwiać ją można na kilku międzywojennych fotografiach, jak zdobią panią Habsburg – „po mężu" i na mocy konstytucji marcowej 1921 r., która zniosła tytuły arystokratyczne. Jako morganatyczna małżonka arcyksięcia była nie księżną Habsburg, lecz księżną Altenburg, który to tytuł formalnie otrzymała dopiero po II wojnie światowej, kiedy już nic prawie nie posiadała.

Teść zmarł w kwietniu 1933 r., miesiąc później odeszła teściowa. Żywiec opuściło wtedy kilku członków dalszej rodziny i niemal z dnia na dzień pałac stał się domem rodzinnym Karola Olbrachta, który – wskutek przejęcia dóbr żywieckich wraz z browarem – stał się jednym z najbogatszych ludzi w Polsce.

Alicja zabrała się teraz za przemeblowanie pokojów, za ogród i działalność filantropijną. Przeżywała najszczęśliwsze lata swego życia. Sporo podróżowała, odwiedziła cesarzową Zytę w Szwajcarii, wielkiego mistrza krzyżackiego w Wiedniu, rodzinę w Szwecji, sprowadzała konie z najsłynniejszych stajni i zaglądała do Krakowa, gdzie studiował pierworodny. Cieszyło ją życie rodzinne.

Szeregowa „Alicja"

2 września 1939 r. Karol Olbracht, pułkownik rezerwy Wojska Polskiego, zakłada mundur. 3 września do Żywca docierają cofające się oddziały polskie. Kilka godzin później zjawia się gestapo.

W sposobie, w jaki Alicja opisuje ostatni wieczór w żywieckim zamku, prof. Sven Malmgren z Göteborga dostrzegł wątek rozstania z sagi o Njalu, jednej z najbardziej znanych sag islandzkich. „Siedzieliśmy sami we dwoje – pisze Alicja – w olbrzymiej sali, gdzie ze ścian spoglądały na nas stare habsburskie portrety rodzinne. Widzę to wszystko. Światło migotało w srebrnych kandelabrach. Widoczny przez francuskie okna park wydawał mi się piękniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Rozstanie, w powietrzu wyczuwało się nadchodzące rozstanie".

Synowie przebywali wtedy w Szwecji, córki w Busku. Karol Olbracht i Alicja minęli się po drodze. Potem jego Niemcy aresztowali i osadzili w Cieszynie, a jej we własnym pałacu wydzielili dwa skromne pomieszczenia. Dobra żywieckie obłożono sekwestrem. Srebrna zastawa – prezent ślubny, który cesarz Franciszek Józef podarował arcyksięciu Karolowi Stefanowi i Marii Teresie – wylądowała na Wawelu u Hansa Franka (generalny gubernator podbitej Polski widział się w roli jej króla). W pałacu trwał szaber. Alicję i jej córki poddawano presji. Maria Krystyna potrafiła się odszczeknąć.

Nie wszyscy spośród służby dochowali wierności, niektórzy w Żywcu podpisali volkslistę. Alicja szybko nawiązała kontakt z wysłannikami podziemia, Związku Walki Zbrojnej.

Żeby pomóc mężowi, poruszyła niebo i ziemię. Książęta pszczyńscy zawiedli. Thunowie wprawdzie nie odmówili pomocy, ale okazała się niewystarczająca. W ruch poszły pieniądze. Mogła odtąd

jeździć do Cieszyna. Któregoś razu podrzuciła do celi tekst radiowego przemówienia Churchilla. Miał bitego i upokarzanego męża podtrzymać na duchu.

Była już wtedy zaprzysiężona, należała do ZWZ (później Armii Krajowej), miała pseudonim „Alicja" i stopień szeregowca. Zajmowała się nasłuchem radiowym prowadzonym w żywieckich piwnicach, tłumaczyła wiadomości, odnotowywała zbrodnie popełniane na Polakach i dostarczała materiały do podziemnej prasy. „Lubiła niebezpieczeństwo" – opowiadała córka. Opanowana, chłodna i odważna, nienawidziła – jak sama mówiła – „ostrożności i tchórzostwa". Matkę i córkę Niemcy określali mianem „*Stockpolin*" (zażartej Polki). Obie były z tego określenia bardzo dumne.

Spotkanie w Berlinie

W szwedzkiej książce, na którą się tu powołuję, o swojej roli w konspiracji pisze Alicja skromnie. Miała świadomość, że jest obserwowana i że jej konsekwentny opór najbardziej irytuje Niemców. Niezłomna Szwedka o nazwisku Habsburg powtarzająca uparcie, że jest Polką, burzyła nacjonalistyczną wykładnię narodu. Rzucała jej wyzwanie. Kpiła z „aryjskości". Była, zdaniem Niemców, „bezczelna".

Toteż w środku lata 1940 r. postanowiono ją „odosobnić", umieszczając wraz z córkami w Wiśle. Ponieważ Wisłę i Żywiec włączono do Rzeszy, mogła – walcząc wciąż o męża – wsiąść do pociągu i wysiąść w Berlinie. O jego losie powiadomiła europejskie dwory i króla Szwecji Gustawa V, który jej rodzinę znał osobiście. Ostatecznie Karola Olbrachta przeniesiono do sanatorium koło Berlina, a potem pozwolono wrócić do Wisły. Ponieważ konspirowała nadal, jej nieobecność w domu tłumaczono wyjazdami po sprawunki, do modystki lub fryzjera, uważając, żeby zbytnio z tym nie przesadzać.

W Berlinie tymczasem doszło do najbardziej chyba tajemniczego spotkania Alicji z ambasadorem królestwa Szwecji, Arvidem Richertem – spotkania, o którym w pamiętnikach nie ma wzmianki. Według rodzinnych relacji wręczyła ambasadorowi listę zbrodni, jakich na ludności cywilnej w Polsce dopuszczali się Niemcy, Richert zaś raport ów podarł na jej oczach i całą sprawę zataił.

Trudno przyjąć, że wymyślono tę historię. Richert miał opinię germanofila. I niejedno na sumieniu. Już po wojnie wyszło na jaw, że jedną z jego bliskich współpracownic była agentka gestapo. Zdaniem Marii Krystyny książkę ocenzurowała Elsa Björkman-Goldschmidt, ceniona skandynawska pisarka, niemal rówieśniczka Alicji. Dlaczego miałaby to zrobić? Tajemnica tkwi prawdopodobnie w jej życiorysie. Może zagrało to, że ↦

Ślub córki Renaty w Sztokholmie, rok 1957. Obok nowożeńców stoi biskup Knut Ansgar Nelson. Od lewej stoją: ambasador Hiszpanii, książę Dato, Maria Krystyna Habsburg, Marie-Louise Habsburg, księżna Dato oraz żona ambasadora Hiszpanii. Od prawej stoją Karol Stefan Habsburg i Alicja Habsburg.

↦ w 1973 r., gdy wydano książkę, Richert jeszcze żył. Nie był chyba dla Elsy osobą całkiem obcą. A może – pisze Malmgren – „chciała oszczędzić wstydu leciwemu człowiekowi". W grę mogła też wchodzić polityka historyczna Sztokholmu – kwestia relacji między neutralną Szwecją a III Rzeszą była więcej niż delikatna.

Podróż w jedną stronę

Usunięcie z Żywca, osadzenie w Wiśle i uwolnienie męża nie zakończyło wojennych perypetii Habsburgów. Alicja manifestowała niechęć do Niemców, a Karol Olbracht w oczach Polaków wyrastał na męczennika. Ostatecznie w październiku 1942 r. oboje wraz z córką i nianią postanowiono wywieźć z Wisły i umieścić w obozie pracy przymusowej w Turyngii pod nadzorem SS. Ponieważ przebywali tam już Polacy, zabroniono im kontaktów, co od razu zignorowali. Rozmawiali po polsku, Alicja zaś oświadczyła, że dla Niemców pracować na roli nie będzie. Nie przestawała być „bezczelna". Trwało trochę, aż uznano, że jest „niezdolna do pracy fizycznej", i dano spokój.

Pozostało z tamtych czasów wspomnienie poniewierki i... rozbawienia, że niektórzy rodacy z Kongresówki podejrzewali, iż ci Habsburgowie, z racji nazwiska, to jacyś ważni Żydzi. I coś jeszcze: Altenburg, nominalne księstwo Alicji, leży w Turyngii...

Potem Jałta i Poczdam podzieliły Europę, Polska znalazła się w sowieckiej strefie wpływów. Habsburgowie wrócili do kraju, wszczęli starania o odzyskanie przynajmniej części własności. Zamieszkali w krakowskich hotelach, a gdy pieniędzy zabrakło – u znajomych. Pojałtańskiej Polski nie poznawali. Dla Niemców niedawno Polacy, dla nowych władz byli teraz Niemcami i na względy liczyć nie mogli.

Schorowany Karol Olbracht wyjechał do Szwecji. Kazimierz Badeni przyjął święcenia kapłańskie (i zakonne imię Joachim), Renata została słuchaczką Państwowej Szkoły Handlowej, a Maria Krystyna studentką medycyny na UJ. Komplikowały się relacje Alicji z dziećmi. Nie była zadowolona ze święceń syna, niepokoiła się o córki, powierzając pieczę nad nimi Franciszkowi Ksaweremu hr. Pusłowskiemu, który z nowymi władzami umiał się ułożyć.

Ponieważ „obywatel Karol Olbracht dobrze przed wojną traktował swoich robotników", Habsburżankom nie robiono trudności w ich edukacji. Szybko zadomowiły się w krakowskim „mondzie". Krystyna przemyśliwała o ślubach zakonnych. Renata, urodą konkurująca z matką, brylowała w towarzystwie, gdy na firmamencie pojawił się postawny młody socjalista w czerwonym krawacie. Nazywał się Józef Cyrankiewicz. Podobno hr. Pusłowski zwietrzył z tej strony pewne niebezpieczeństwo...

Niezłomna Szwedka o nazwisku Habsburg powtarzająca uparcie, że jest Polką, burzyła nacjonalistyczną wykładnię narodu. Kpiła z „aryjskości". Była, zdaniem Niemców, „bezczelna".

W marcu 1951 r. w Szwecji zmarł Karol Olbracht. Pogrzeb odwlekano. Żona i dzieci na paszporty czekali miesiącami. Zwrócono się więc o pomoc do Cyrankiewicza, którego błyskotliwa kariera zaprowadziła na fotel premiera. W Warszawie do Urzędu Rady Ministrów pobiegła Renata i po kilku godzinach zjawił się żołnierz z kompletem dokumentów.

Mogli wyjechać, choć mieli świadomość, że jest to podróż w jedną stronę. Przetrząśnięto ich bagaże. Do samolotu wsiadali „w ponurym nastroju". Na lotnisku żegnał ich dominikanin, ojciec Kazimierz (Joachim) Badeni w białym habicie.

Ławeczka w Żywcu

Alicja wracała do kraju szwedzkich przodków z dwiema córkami. Renata miała łatwość adaptacji. Krystyna – dla odmiany – pewną trudność. Krystyna charakteryzowała Szwecję w czterech słowach: „ciemno, zimno, mokro, ponuro". Obie języka matki prawie nie znały.

Zamieszkały w Sztokholmie. Krystyna języka uczyła się gruntowniej, Renata – szybciej. W końcu obie opanowały go tak dobrze, że ze znalezieniem pracy nie miały problemów. Krystyna została asystentką znanych lekarzy, Renata objęła posadę w antykwariacie, by wkrótce – ku zaskoczeniu siostry – rzucić się do nauki hiszpańskiego. Powodem był „południowiec", sekretarz ambasady hiszpańskiej w Sztokholmie, Ernesto de Zulueta, później ambasador Hiszpanii w USA. Wyglądało na to, że córka powtarza historię matki. Małżeństwo na szczęście było udane, a Renata czuła się spełniona.

Krystyna tymczasem wylądowała w Szwajcarii, choć powodem przenosin nie była romantyczna historia, lecz gruźlica. Ostatecznie osiadła w Davos albo – jak lubiła mówić – Davosie, gdzie zastanawiała się m.in., czy historyk niemiecki potrafi głębiej zrozumieć historię polskich Habsburgów i czy burżuje od Heinekena pchający się do Żywca nie popsują dobrego arcyksiążęcego piwa... W 1993 r. otrzymała paszport z orłem w koronie. W 2012 r. zmarła w Żywcu.

Na ślubnym zdjęciu Renaty z 1957 r. widzimy Alicję w stroju dyskretnie zaznaczającym żałobę po mężu. Wygląda pięknie. Pięknie wyglądała po 70., a nawet 80. roku życia i jeszcze wtedy – opowiadał Kazimierz Badeni – ludzie oglądali się za nią na ulicy. W 1957 r. odwiedził ją generał Bór-Komorowski, były komendant AK. W 1963 r. na jego wniosek odebrała Honorową Odznakę za działalność w AK nr 3056. Od 1946 r. miała też Krzyż Walecznych za konspirację, przyznany jej przez władze PRL (w staraniach o zwrot majątku nic to nie dało).

W latach 60. pisała pamiętniki. Nie przestawała fascynować. Szwedka – odnotował jeden z dziennikarzy – która „myślała, mówiła i śniła po polsku". Wytworna, piękna i utytułowana, należała przed II wojną światową do europejskiej elity elit. Podczas wojny pokazała charakter i niezwykły hart ducha. Po wojnie zamieszkała w małym mieszkanku bez kuchni, w niezbyt wytwornej dzielnicy Sztokholmu. Niegdyś nosiła napoleońską biżuterię, teraz na elektrycznej maszynce w sypialni pichciła skromne posiłki.

Umarła w pensjonacie 26 listopada 1985 r. Spoczywa na cmentarzu w Sztokholmie.

W Żywcu ma ławeczkę.

© WALDEMAR ŁAZUGA

PROF. WALDEMAR ŁAZUGA *jest historykiem, wykłada na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Specjalizuje się w dziejach XIX i XX w. Autor książek, m.in. „Michał Bobrzyński: myśl historyczna a działalność polityczna", „Znany nieznany prezydent Poznania. Rzecz o Jarogniewie Drwęskim", „Kalkulować... – Polacy na szczytach c.k. monarchii".*

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TERAZ ALBO NIGDY

KSIĄŻKA JUŻ W SPRZEDAŻY

CHCEMY LEPSZEJ POLSKI, LEPSZEGO KOŚCIOŁA? SAMO SIĘ, PROSZĘ PAŃSTWA, NIE ZROBI.

Gdybym miał się pokusić o samoocenę, powiedziałbym pewnie, że jestem genetyczną krzyżówką realisty z optymistą. Gołym okiem widzę, że jest źle. To nie znaczy jednak, że jest beznadziejnie. A skąd! Co zrobić, żeby było dobrze? Co najmniej tyle czasu, ile poświęcamy na walkę ze złem, poświęcić na wspieranie dobra. Ile pomyj wylewamy na złych polityków, tyle miodu wylać na polityków (czy kandydatów) dobrych. Ile psioczenia na niemądrych hierarchów, tyle lajków (na różne sposoby wyrażanych) dla tych, którzy robią rzeczy dobre. Ile energii wydanej na krytykowanie wstrętnych mediów, tyle wspierania tych uczciwych i mądrych.

Teraz albo nigdy to wybór najciekawszych i ciągle aktualnych tekstów Szymona Hołowni publikowanych na łamach „Tygodnika Powszechnego" w latach 2017–2019. Autor podejmuje w nich najważniejsze tematy dotyczące społeczeństwa, Kościoła, świata.

60 znak

TYGODNIK POWSZECHNY

www.eppgroup.eu

Grupa EPL

Szanowni Państwo,

nazywam się Danuta Hübner.

Od 15 lat pracuję dla Polski w Europie, najpierw jako pierwsza polska komisarz, a od 2009 roku jako posłanka do Parlamentu Europejskiego.

Rozmawiam codziennie z wieloma z Państwa.

Z naszych rozmów wiem, że wszyscy odczuwamy, iż dzisiejszy świat stawia przed nami, Europejkami i Europejczykami, nowe i trudne wyzwania. Jednocześnie te spotkania z Państwem utwierdzają mnie w przekonaniu, że żadna siła, choćby bardzo chciała, nie jest nas w stanie oderwać od Europy i od tych wartości, które, będąc europejskimi, są jednocześnie jak najbardziej polskie. Myślę tu o pragnieniu wolności, nastawieniu na współpracę i wspólnym kształtowaniu przyszłości Europy dla dobra wszystkich Europejek i Europejczyków.

Jesteśmy w okresie wielkich transformacji politycznych i społecznych, migracji jako trwałego elementu rzeczywistości, ucyfrowienia gospodarki na bazie 5G, a już wkrótce być może 6G, rysującego się „pojedynku" pomiędzy ludzką i sztuczną inteligencją oraz szukania sposobów jej wykorzystania, presji demograficznej i jej wpływu na rynek pracy, finanse publiczne oraz politykę migracyjną.

Jednym z najważniejszych wyzwań, mającym charakter egzystencjalny, bo dotyczącym przetrwania naszego gatunku na Ziemi, jest kryzys klimatyczny. Jest on trudnym testem dla naszego poczucia odpowiedzialności za planetę, na której przyszło nam żyć, a także dla naszego poczucia odpowiedzialności za przetrwanie ludzkiej wspólnoty. Nie istnieje planeta B, na którą możemy się przenieść. Nikt nie przejmie od nas zadania utrzymania solidarności z przyszłymi pokoleniami. Musimy ją pokazać my, tu i teraz.

Świat radzi sobie z tymi rozlicznymi wyzwaniami na różne sposoby. Niektórzy sięgają po kreatywną adaptację do zachodzących zmian. Inni je kontestują. Nierzadko wyraża się to poprzez ucieczkę w wyimaginowaną, archaiczną wersję przeszłości, która tak naprawdę nigdy nie istniała i do której nie ma powrotu, jest tylko bezpowrotnie tracony czas. Symbolem tej pierwszej odpowiedzi jest na pewno Unia Europejska.

Myślę, że Unia Europejska ma niejako zapisane w swoim genotypie politycznym, iż zawsze się mobilizuje i odradza w odpowiedzi na różne przesilenia czy kryzysy. Samo jej powstanie, na gruzach upadłego porządku Europy przedwojennej, i umiejętność włączenia pokonanych Niemiec w demokratyczną wspólnotę, zamiast poddania się psychologii rewanżu (tak widocznej np. w traktacie wersalskim) jest dowodem na to, że Unia od swych początków nie kierowała się tradycyjną logiką państw narodowych, ale nowym podejściem, opartym na współpracy i patrzeniu w przyszłość, a nie oddawaniu się w niewolę demonom przeszłości.

Zmuszona do działania przez wzbierającą falę zmultyplikowanych kryzysów, Europa musiała się na nowo wymyślić, stawiając czoło bezprecedensowo trudnym kwestiom. Ta zdolność szybkiej adaptacji w odpowiedzi na pojawiające się wyzwania i stała otwartość na zmiany to cecha konstytutywna Unii. Może być bardzo przydatna w tym rozregulowanym świecie.

Unia musi skuteczniej niż dotychczas wziąć swoje przeznaczenie we własne ręce. W końcu stanowimy razem największy rynek, inwestujemy w obronność więcej niż jakakolwiek światowa potęga z wyjątkiem Stanów Zjednoczonych, przeznaczamy też największe wydatki na pomoc rozwojową.

Europa ma wszystkie atuty, by zapewnić sobie godne miejsce przy globalnym stole z pełnym poczuciem odpowiedzialności. Mamy, niestety, niezwykle bogate doświadczenie konfliktów, wojen, czarnych okresów w naszej historii, które to doświadczenie legło u podstaw konstrukcji integracji europejskiej. Mamy zdolność skupienia wokół wspólnych celów ponad pięciuset milionów ludzi.

Ale dla mnie Europa to nie tylko ograniczony region geograficzny. Jeśli byśmy w tak zawężony sposób patrzyli na Europę, to byśmy zobaczyli mało optymistyczny widok naszego kontynentu jako małego dodatku do Azji. Europa to coś więcej, to idea, to przekonanie, że razem znaczy lepiej. Ale też mądrzej.

I zakończę cytatem z mądrego człowieka. Ten mądry człowiek powiedział: „Korzenie naszych narodów, korzenie Europy zostały skonsolidowane w trakcie jej historii, ucząc się włączania w nieustannie nowych syntezach najróżniejszych kultur, niemających między sobą wyraźnego powiązania. Tożsamość europejska jest i zawsze była tożsamością dynamiczną i wielokulturową". To powiedział nie prezydent Macron ani Angela Merkel, po których spodziewalibyśmy się takich słów, ale papież Franciszek, Argentyńczyk z uro-

www.eppgroup.eu

Grupa EPL

dzenia, Europejczyk z wyboru Kolegium Kardynalskiego, ale też wyboru swojego, własnego.

Dlatego zwracam się do wszystkich Państwa, którym leży na sercu dobro Polski, świata i przyszłych pokoleń. Weźmy przyszłość Europy w nasze ręce! Nie oddawajmy jej tym, którzy chcą ją zniszczyć!

Jako Polki i Polacy jesteśmy częścią rozgałęzionej rodziny europejskiej. Pamiętajmy przy wigilijnym stole o naszych europejskich kuzynach, z Północy i Południa, ze Wschodu i z Zachodu. Niech połączy nas myśl o Europie jako wspólnym dobru. Pamiętajmy też o tych, którzy chcą do naszej europejskiej rodziny dołączyć: uchodźczyniach i uchodźcach. Niech to jedno puste miejsce przy stole zawsze czeka.

Europa potrzebuje nowej, obywatelskiej nadziei.

Powiedzmy:

#JestemObywatelkąEuropy

#JestemObywatelemEuropy

#BądźmyEuropąRazem

Życzę Państwu wszelkiej radości w Nowym Roku.

20/20 to określenie perfekcyjnego widzenia. Patrzmy na świat z odwagą!

#20/20Czas Europy

Prof. dr hab. Danuta Hübner

www.platforma.org

Szanowni Państwo,

jako europosłowie Platformy Obywatelskiej współtworzymy największą i najbardziej wpływową frakcję w Parlamencie Europejskim – Grupę Europejskiej Partii Ludowej (EPL).

Stanowimy drugą co do wielkości delegację w tej Grupie. To z kolei przekłada się na naszą siłę w Grupie i w Parlamencie Europejskim, gdzie zajmujemy szereg kluczowych funkcji.

Jest wśród nas wiceprzewodnicząca Parlamentu Europejskiego, wiceprzewodniczący Grupy i stały negocjator PE ds. wieloletniego budżetu UE, przewodniczący i wiceprzewodniczący komisji i delegacji parlamentarnych czy koordynatorzy i wicekoordynatorzy prac legislacyjnych Grupy EPL.

Mamy również decydujący głos w sprawie pozycji Parlamentu na temat brexitu.

Reprezentujemy Państwa interes w Europie. Demokracja i pokój w Europie wymagają codziennych wysiłków i nie należy ich uważać za pewnik. Dlatego głośno broniliśmy i nadal będziemy bronić na forum europejskim polskiej praworządności, niezależności władzy sądowniczej i mediów.

Przyszłość Polski to przyszłość Europy, a Europa to jej obywatele. W świecie, w którym żadne państwo członkowskie indywidualnie nie jest wystarczająco silne, aby ponieść konsekwencje decyzji, które będą miały wpływ na jego własną przyszłość, Europę należy wzmocnić i bronić jej wartości.

Dlatego będziemy działać na rzecz sprawiedliwej, konkurencyjnej, otwartej, tolerancyjnej i bezpiecznej Europy, silnej zarówno wewnętrznie, jak i na arenie międzynarodowej, w oparciu o wspólne wartości demokratyczne i chrześcijańskie.

grupaepl grupaepl eppgroup epp_group_official eppgrouptv eppgroup.eu/pl/poland

KONINKLIJKE BIBLIOTHEEK

RYC. 1 i 2 *Miniatury ilustrujące grudzień i styczeń, Psałterz Fécamp (ok. 1185 r.)*

NIEGDYSIEJSZE ŚNIEGI

W późnośredniowiecznym i nowożytnym malarstwie im później, tym zimniej. W sztuce też widać ślady zmian klimatycznych.

MAGDALENA ŁANUSZKA

Czasem można odnieść wrażenie, że w średniowieczu wszystko już było. Na pozór mało realistyczne średniowieczne rzeźby, obrazy i miniatury okazują się kryć detale dość wiernie pokazujące codzienne życie – często bliższe naszemu doświadczeniu, niż można by sądzić. Przyjrzyjmy się więc tym razem, jak rzecz się ma z zimą.

Choć dopiero w późnym średniowieczu (XIV-XV wiekach) artyści na większą skalę rozwinęli przedstawienia przyrody w pejzażach w tle obrazów i miniatur, to jednak samo ukazywanie pór roku, a raczej kolejnych miesięcy, ma znacznie starszą tradycję. A zatem zaskakuje odkrycie, że w sztuce europejskiej przez większą część wieków średnich próżno szukać... śniegu!

Czas stanowił ważny aspekt średniowiecznej wizji wszechświata – cykl roku zamykał się w dwunastu przedstawieniach zwanych „pracami miesięcy". Znajdziemy je w średniowiecznej rzeźbie – zwłaszcza w dekoracjach romańskich kościołów, w witrażach, i oczywiście w malarstwie, szczególnie w miniaturach zdobiących rękopisy. Owe „prace miesięcy" – obok znaków zodiaku – znakomicie nadawały się do dekoracji kalendarzy. Nie chodzi tutaj rzecz jasna o kalendarze ścienne, przeznaczone na konkretny rok, ale o kalendarze liturgiczne – czyli ogólne spisy świąt i wspomnień na każdy miesiąc.

Modlitewniki dla osób świeckich – psałterze i psałterze-godzinki w pełnym średniowieczu, oraz godzinki w późnym średniowieczu – otwierał właśnie kalendarz. Dekorowane rękopisy, szczególnie te przeznaczone dla przedstawicieli elit, zawierały miniatury także w części kalendarzowej. Dzięki temu dysponujemy zestawami przedstawień owych „prac

miesięcy" z przestrzeni kilkuset lat. Podążały one za ustalonym schematem: niektóre miesiące rzeczywiście ilustrowano wizerunkami sezonowych prac (takich jak żniwa, winobranie albo siew), inne zaś ukazywano raczej poprzez formy odpoczynku niż pracy (spacer w ogrodzie, uczta, grzanie się przy ogniu). Zimowe miesiące także miały swoje ustalone schematy dekoracji.

Bardzo rzadko przy tym możemy zobaczyć w tych obrazach po prostu prawdziwą zimę. Jak zatem ilustrowano grudzień, styczeń i luty?

Świnie, obżarstwo i grzanie nóg

Grudzień był miesiącem świniobicia – czego ślad czytelny jest jeszcze w niektórych słowiańskich nazwach tego miesiąca (czeski *prosinec*, chorwacki *prosinac*). Najczęściej miniatury dekorujące grudzień ukazywały właśnie zarzynanie świń; czasami zdarzało się także przedstawienie karmienia tych zwierząt żołędziami, choć najczęściej taka ilustracja przypadała na poprzedzający grudzień listopad. W średniowiecznych scenach świniobicia nie zobaczymy jednak zazwyczaj śniegu ani sopli lodu (zob. ryc. 1).

Styczeń to zawsze przedstawienie uczty: to czas zabaw świąteczno-karnawałowych oraz wyjadania zapasów zgromadzonych na zimę. Tradycje zimowych uczt i zabaw mają oczywiście korzenie przedchrześcijańskie: w starożytnej Grecji na przełomie grudnia i stycznia świętowano Dionizje Wiejskie, podczas których pierwszy raz otwierano i pito młode wino z ostatnich zbiorów. W starożytnym Rzymie natomiast w grudniu świętowano Saturnalia, prowadzące do Święta Narodzin Niezwyciężonego Słońca, czyli przesilenia zimowego, które w kalendarzu juliańskim przypadało na 25 grudnia. Średniowieczne wyobrażenia stycznia też raczej nie zawierają mrozu ani śniegu – jest to bowiem uczta, która odbywa się we wnętrzu komnaty.

Co ciekawe jednak, w wielu przedstawieniach stycznia – choć pochodzą one z kalendarzy liturgicznych chrześcijańskich modlitewników – zobaczymy pogańskie bóstwo o dwóch twarzach. To Janus, rzymski bóg początków: *Ianua* po łacinie oznacza drzwi, bramę, wejście; imię tego bóstwa zapewne odnosiło się do nowego otwarcia czy też wejścia w nowy rok. Od tego boga wywodzi się łacińska nazwa stycznia: *Ianuarius* (i oczywiście jej warianty w wielu współczesnych językach europejskich). Starożytny Janus miał dwie twarze: jedną patrzył w przeszłość, drugą zaś w przyszłość. W wielu średniowiecznych przedstawieniach żarłoczny Janus wykorzystuje obie twarze do tego, żeby pić i jeść za dwóch (zob. ryc. 2).

Czasami zdarzało się nawet, że średniowieczny Janus miał nie dwie, lecz trzy twarze – co odnosiło się zapewne bardziej do Trójcy Świętej niż do starożytnego bóstwa. Pojawiały się też czasem przedstawienia Janusa, który wygląda, jakby miał dwie i pół twarzy – jakby artysta nie mógł się zdecydować, co właściwie chciał ukazać (zob. ryc. 3).

Luty tradycyjnie ilustrowano człowiekiem grzejącym się przy ogniu. Warto zauważyć, że może to być zakorzenione w najdawniejszych przedchrześcijańskich tradycjach. Tak się bowiem składa, że w wielu przypadkach owa grzejąca się przy ogniu postać to starzec; a jednocześnie wiemy, że w ten sam sposób – jako postać siedzącą przy kominku – ukazywano w sztuce średniowiecznej po prostu personifikację starości (zob. ryc. 4).

BRITISH LIBRARY

RYC. 3 *Styczeń z Godzinek Bedford, ok. 1410–1430 r.*

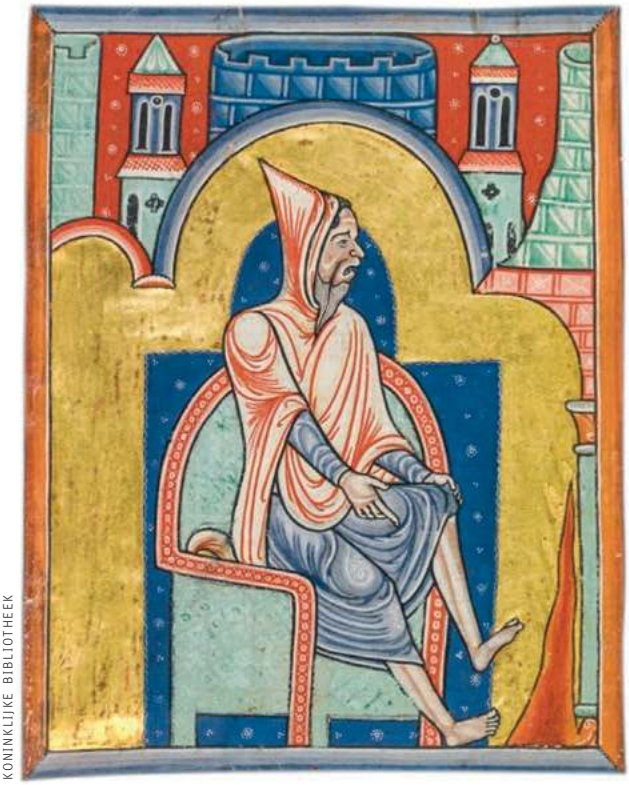

KONINKLIJKE BIBLIOTHEEK

RYC. 4 *Luty z Psałterza Fécamp (ok. 1185 r.)*

Ale dlaczego luty miałby być ukazywany jako starzec? Być może kryją się w tym dalekie echa pradawnych tradycji... tych samych, które sprawiły, że w wielu europejskich językach grudzień wciąż określany jest mianem „dziesiątego" (łac. *December*). Otóż rzecz w tym, że do II wieku p.n.e. Rzymianie świętowali nowy rok w marcu – podobnie jak Słowianie. Ma to swoją logikę przyrodniczą: wiosenne budzenie się natury jakoś bardziej sprzyja świętowaniu początku nowego roku niż sam środek mroźnej zimy. W takim układzie luty jest ostatnim miesiącem starego roku – starcem wygrzewającym się przy ogniu u schyłku swych dni. ↦

DOMENA PUBLICZNA / WIKIMEDIA.ORG

RYC. 5 *Ambrogio Lorenzetti, Alegoria zimy, ok. 1338–1340 r.*

DOMENA PUBLICZNA / WIKIMEDIA.ORG

RYC. 6 *Mistrz Wacław (?), Styczeń, ok. 1400 r.*

↦ Postać tę często ukazywano, jak zdejmuje buty lub po prostu suszy gołe nogi. Być może w domyśle chodzi o przemoczenie ich na śniegu. A jednak, o dziwo, śnieg pojawia się w sztuce europejskiej dopiero u schyłku średniowiecza.

Mróz, śnieżki i majtki

Najstarszym znanym mi przedstawieniem śniegu w średniowiecznym malarstwie jest fresk Ambrogia Lorenzettiego w Palazzo Publico w Sienie – to „Alegoria Zimy", datowana na lata 1338-40. Postać otoczona płatkami padającego śniegu trzyma w dłoni śnieżną kulę (ryc. 5). Co ciekawe, to właśnie bitwa na śnieżki jest jednym z najczęstszych motywów w pierwszych przedstawieniach śnieżnej zimy. Pojawia się np. wśród fresków na zamku Buonconsiglio w Trydencie (przypisywane Mistrzowi Wacławowi, ok. 1400 r.), a także w rękopisie „Tacuinum Sanitatis" z początków XV wieku. „Tacuinum Sanitatis" to był średniowieczny podręcznik dotyczący zdrowego stylu życia, oparty na arabskim dziele Ibn Butlana z Bagdadu „Taqwin al-Sihha" („Tabele zdrowia"), powstałym w połowie XI wieku, przetłumaczonym na łacinę w wieku XIII. Śnieg i lód figurują tu jako czynniki mogące powodować kaszel i paraliż – by tych przykrych efektów uniknąć, należy „pić z umiarem" (w innym miejscu tego dzieła na zimę zalecane są czerwone wina, szczególnie te ciężkie i dojrzałe, określone jako szkodzące dzieciom). Miniatura dotycząca śniegu ukazuje właśnie bitwę na śnieżki – co ciekawe, podobnie jak w przypadku trydenckiego fresku, jest to zabawa ludzi dorosłych (ryc. 6 i 7).

Zimowy pejzaż mamy także w ilustracji lutego we wspaniałej miniaturze z kalendarza z Bardzo Bogatych Godzinek Księcia de Berry (Bracia Limbourg, przed 1416 r.). Widzimy tam przykryte śniegiem gospodarstwo, w tle ośnieżone wzgórza oraz dachy zabudowań pobliskiej wioski. Chałupa na pierwszym planie wygląda jak teatralna scenografia: brak jednej ściany pozwala widzom śledzić wnętrze. Tam zaś domownicy grzeją się przy kominku – i to właśnie jest zasadnicza ilustracja lutego (ryc. 8).

Bracia Herman, Paul i Johan de Limbourg (Lymborch), malarze pracujący od 1408 r. dla księcia Jeana de Berry, wyjątkowo precyzyjnie oddawali szczegóły malowanych przez siebie scen. W tym przypadku nie tylko szczegóły wyposażenia gospodarstwa i zagrody, ale także, no cóż, szczegóły anatomiczne gospodarzy. Okazuje się przy okazji, że po domu, nawet zimą, chadzano bez bielizny. Trzeba było jednak włożyć ciepłe majtki przed wyjściem – w tle widzimy postać mężczyzny, który wybrał się po opał na skraj lasu: gdy rąbie drewno, rozwiana szata prezentuje nam wyraźnie bieliznę typową dla XV stulecia.

W malarstwie późnośredniowiecznym i nowożytnym im później, tym śniegu więcej; znakomitym przykładem może być kalendarz w Wielkich Godzinkach Anny Bretońskiej (księżnej Bretanii i królowej Francji) iluminowanych przez Jeana Bourdichon między 1503 a 1508 r. Tym razem już w ilustracjach dekorujących wszystkie trzy zimowe miesiące – grudzień, styczeń i luty – zobaczyć możemy zaśnieżone pola i dachy (ryc. 9).

Dlaczego jednak śnieg pojawia się w malarstwie europejskim dopiero od XIV wieku? Z jednej strony to właśnie

w tym czasie coraz więcej „realistycznych" szczegółów wkrada się do sztuki – z drugiej jednakże błędem byłoby stwierdzenie, że artyści wcześniejszych stuleci nie oddawali realiów otaczającej ich rzeczywistości. Być może zatem za nagłym pojawieniem się śniegu w sztuce europejskiej stoi co innego?

Na przykład załamanie klimatyczne, które nastąpiło około roku 1300.

Pustynie lodowate

Tzw. późnośredniowieczna mała epoka lodowa jest zagadnieniem wciąż badanym; naukowcy w interdyscyplinarnych zespołach poszukują odpowiedzi na pytanie, na ile zmiany klimatu – niewątpliwie wpływające na gospodarkę – miały wpływ na wydarzenia polityczne i historię Starego Kontynentu.

Najogólniej rzecz biorąc, do wczesnego ochłodzenia klimatu doszło na przełomie antyku i średniowiecza (w tym czasie upadł starożytny Rzym i nastąpiły wędrówki ludów). Potem zaś przyszło ocieplenie, zwane średniowiecznym optimum klimatycznym. Okres ten przypadł na lata ok. 800–1300, czyli na czas największego rozwoju średniowiecznej zachodniej Europy: od czasów Karola Wielkiego po schyłek XIII wieku. Później zaś nastąpiło kolejne ochłodzenie: owa mała epoka lodowa, trwająca aż do połowy XIX stulecia. Niektórzy badacze [oraz Olga Tokarczuk w swoim wykładzie noblowskim – red.] określenie to stosowali jedynie do czasów nowożytnych, od schyłku XVI wieku. Ale badania przeprowadzone przez zespół naukowców powiązanych m.in. z amerykańskim Narodowym Centrum Badań Atmosfery w Boulder w Kolorado (opublikowane w 2012 r. w „Geophysical Research Letters", vol. 39) dowodzą, że zmiany klimatyczne w Europie nastąpiły wcześniej, a mała epoka lodowa mogła zostać wywołana w ostatniej ćwierci XIII stulecia przez kumulację erupcji wulkanów.

Skutki klimatyczne co prawda najbardziej odczuwalne były od ok. 1570 r. – wyjątkowo sroga i długa była na przykład nasza zima w roku 1574, kiedy to Henryk Walezy przez pięć miesięcy przebywał w Polsce. W rezultacie Polska stała się w oczach mieszkańców Europy Zachodniej krajem wiecznych mrozów; ów negatywny obraz wykreował m.in. Philippe Desportes, długoletni sekretarz i poeta nadworny Henryka Walezego. W swoich wierszach, wydawanych od 1575 r., kilkakrotnie zamieszczał aluzje do Polski, określając kraj jako „zimny, ciężki, nieuśmierzony", pisząc o „zimnej Scytii" i „pustyniach lodowatych" . Najsłynniejsza jednak jest jego satyra „Adieu à la Pologne", ze zbioru „Diverses Amours" (1576). Już pierwsze wersy nie pozostawiają wątpliwości: „Żegnaj Polsko, żegnajcie puste równiny, zawsze pokryte śniegiem albo lodem" (przeł. B. Marczuk-Szwed).

Opinia o Polsce wyszła zresztą poza Francję; w „Komedii omyłek" Szekspira pojawia się „polska zima" w sensie przysłowiowym („łój z nich wyciśnięty wystarczyłby na polską zimę", przeł. L. Ulrich), a w „Hamlecie" – „Rozkazy, aby rozgromić Polaków, ciągnących na nas saniami przez lody" (przeł. S. Barańczak). Ale w poszukiwaniu zimy w drugiej połowie XVI wieku nie trzeba było opuszczać Europy Zachodniej. Oto bowiem chociażby z obrazów Pietera Bruegla Starszego wynika, że zimy w XVI-wiecznych Niderlandach także nie należały do lekkich. Mnóstwo śniegu i zamarznięte jeziora znajdziemy w „Myśliwych na śniegu" (1565, ryc. 10), „Zimowym pejzażu z łyżwiarzami i pułapką na ptaki" (1565), „Rzezi niewiniątek" (1566) czy ↦

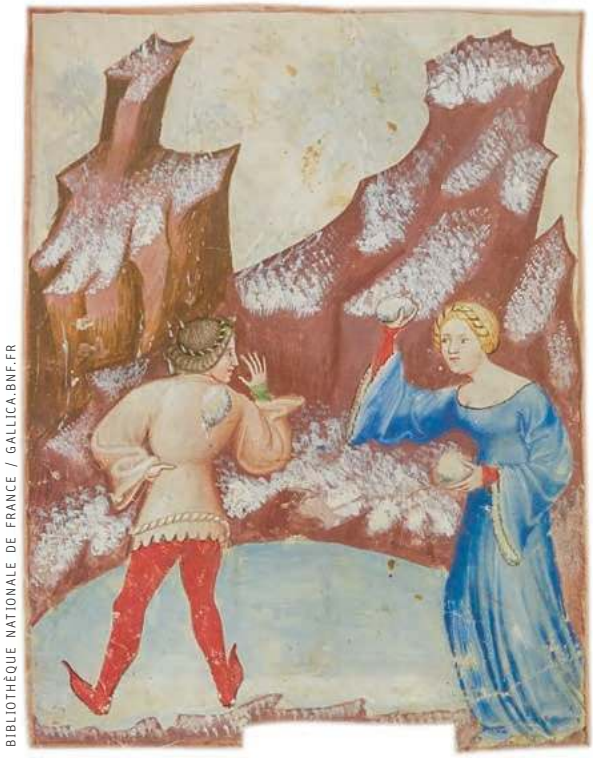

BIBLIOTHÈQUE NATIONALE DE FRANCE / GALLICA.BNF.FR

RYC. 7 *Miniatura z „Tacuinum Sanitatis", pocz. XV w.*

R.M.N. / MUSÉE CONDÉ W CHANTILLY / WIKIMEDIA.ORG

RYC. 8 *Luty z Bardzo Bogatych Godzinek..., 1412–1416 r.*

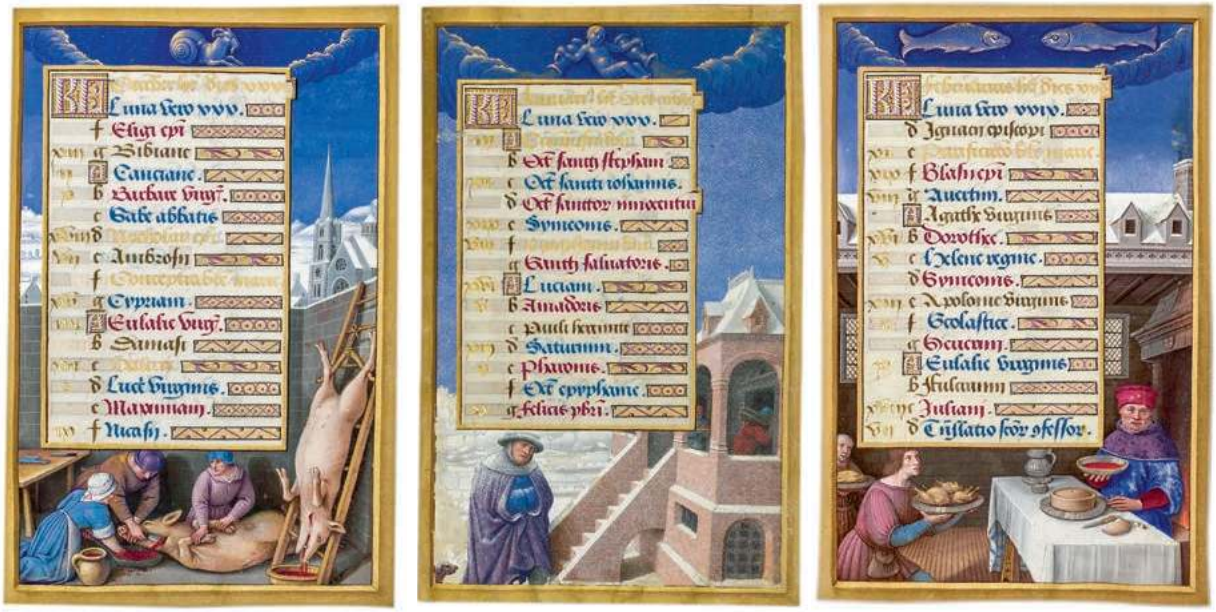

BIBLIOTHÈQUE NATIONALE DE FRANCE / GALLICA.BNF.FR

RYC. 9 *Jean Bourdichon, Grudzień, styczeń i luty z Wielkich Godzinek Anny Bretońskiej, 1503–1508 r.*

↦ „Spisie ludności w Betlejem" (1566). Poza znaną nam już z malarstwa średniowiecznego bitwą na śnieżki, Bruegel ukazywał także jazdę na sankach i łyżwach oraz gry takie jak bandy (zbliżone do hokeja) i curling.

Wszystko już było w średniowieczu... ale być może nie wszystko przetrwa nasze działania w czasach współczesnych. Trudno nie zadać sobie pytania: czy w obliczu aktualnych zmian klimatycznych, tym razem bez wątpienia spowodowanych przez człowieka, kolejne pokolenia dzieci XXI wieku nie będą znały tych zimowych zabaw jedynie ze starych obrazów? © MAGDALENA ŁANUSZKA

Autorka jest doktorem historii sztuki, mediewistką, zajmuje się dydaktyką i popularyzacją. Prowadzi blog o poszukiwaniu ciekawostek w sztuce: www.posztukiwania.pl, stale współpracuje z „Tygodnikiem".

DOMENA PUBLICZNA / KUNSTHISTORISCHES MUSEUM W WIEDNIU / WIKIMEDIA.ORG

RYC. 10 *Pieter Bruegel Starszy, Myśliwi na śniegu, 1565 r.*

WOJCIECH

Bonowicz:
Dziennikarze i zbójnicy

„Kiedy widzę głupotę w Krakowie – uznaję to za normalne, ale kiedy widzę głupotę na Podhalu – to jest to dla mnie anormalne. I to mnie bardzo mierzi!".

To nie są moje słowa. To są słowa ks. Józefa Tischnera, wiele lat temu wypowiedziane w wywiadzie udzielonym „Tygodnikowi Podhalańskiemu". Słowa dość, powiedzmy, zastanawiające, no bo jak to – w Krakowie nie mierzi, a wśród górali mierzi? Żeby je dobrze zrozumieć, trzeba sobie przypomnieć, jak wyglądała pedagogika wedle Tischnera. Mianowicie: tych najbliższych, najważniejszych krytykowało się przez... chwalenie. Tischner stawiał przed oczyma pewien ideał – czy to górala, czy członka Solidarności, czy jakiś inny – i z tym ideałem nas, słuchaczy i czytelników, zostawiał. Ale zostawiał w taki sposób, że wiadomo było, o co chodzi: trzeba się do tego ideału przymierzyć. Ideał nie był po to, aby wbijać w dumę, tylko przeciwnie: po to, żeby się człowiek zastanowił, gdzie właściwie jest. Czy to, do czego dąży, mieści się w obrębie ideału? Czy ten ideał jeszcze go określa, czy może znalazł sobie inny, mniej „idealny", a bardziej praktyczny, na miarę interesów, jakie ma do załatwienia na tym świecie?

Układałem kilka miesięcy temu antologię podhalańskich tekstów Tischnera; ukazała się niedawno pod tytułem „Mądrość człowieka gór". Jest tam m.in. sławne w naszym środowisku kazanie, wygłoszone w kościółku w Łopusznej do redaktorów „Tygodnika Powszechnego". Był styczeń 1994 r., a redaktorzy potrzebowali na chwilę oderwać się od bieżącej pracy i spojrzeć na siebie z dystansu. Któż zresztą tego nie potrzebuje? Mówią, że w tym celu Kościół wymyślił rekolekcje, a specjaliści od zarządzania wymyślili wyjazdy integracyjne. W każdym razie wtedy, w Łopusznej, usiłowano połączyć jedno z drugim. Spróbujmy to sobie wyobrazić: stary, drewniany kościółek nad Dunajcem, z pięknym, średniowiecznym tryptykiem w ołtarzu, wypełnia się dziennikarkami i dziennikarzami „Tygodnika". Czyli ludźmi z zasady niespokojnymi, co to siedzą tylko wtedy, kiedy piszą lub czytają. Dziennikarze także potrzebują jakiegoś ideału. Jaki ideał podsuwa im Tischner?

Kazanie, zatytułowane „Idzie o honor", jest z pozoru żartobliwe. Tischner czyta i komentuje fragmenty prozy Tetmajera. Tłumaczy, że zaprosił przyjaciół z „Tygodnika" do Łopusznej, aby zainteresować ich losem kościółka, który wymaga remontu. „Wy nóm nazganiocie trochę dutków, a my Wóm przysporzymy honoru", mówi. Między tymi żartami snuje się jednak pytanie: kim właściwie ma być dziennikarz w świecie wolności? Tischner podsuwa analogię: dziennikarz dzisiejszy jest jak zbójnik. A zbójnik, owszem, rabuje, ale ma też pewne zasady. Nie porywa się na słabszego, przeciwnie – powinien stanąć w jego obronie. Jest lojalny wobec swoich „towarzisów", nie opuści ich ani nie ukrzywdzi przy podziale tego, co zdobyte. Zbójnikowi chodzi o zysk, ale też o to, żeby w pogoni za zyskiem nie przestać być człowiekiem. Wreszcie – zbójnik ma swoją dumę, zna swą wartość. Najlepiej widać to wtedy, gdy przychodzi do żalu za grzechy. Zbójnik spowiada się uczciwie: „Zabić to jek zabił, ale bez potrzeby nie...". Dziennikarka czy dziennikarz też niejednemu dopieką, niejednego nawet pogrążą, ale przecież nie dla własnej satysfakcji.

Tak powinno być, taki jest ideał. Teraz trzeba by się do niego przymierzyć. Czy zawsze po stronie słabszego? Czy zawsze lojalnie wobec „towarzisów"? Czy w pogoni za takim czy innym zyskiem, czy raczej za prawdą?

Każde zebranie redakcyjne jest jak narada przed wyruszeniem „na zbój", zawsze jednak ze świadomością, że nie chodzi o łupy dla samych łupów. W każdym razie tak to zabrzmiało w drewnianym kościółku ćwierć wieku temu. Przy okazji: ciekawym, jak też kościelny Mieciu grzeje w tym roku w Łopusznej? Wiadomo, jaka jest zasada: nic tak nie ogrzeje kościoła, jak sami wierni. No ale czasem przydałoby się nieco podkręcić...

Wesołych Świąt wszystkim życzę! I ciepłych! I zdrowych!

©

TP

W NASTĘPNYM, NOWOROCZNYM NUMERZE „TYGODNIKA" ZNAJDĄ PAŃSTWO

specjalny dodatek literacki

przygotowywany wspólnie z Wrocławiem, miastem literatury Unesco, a w nim: wywiad z prezydentem Jackiem Sutrykiem o budowaniu przyjaznej dla literatury przestrzeni miejskiej, fragmenty mowy noblowskiej Olgi Tokarczuk oraz relację ze sztokholmskiej ceremonii wręczenia Nagrody.

Zapraszamy do lektury!

WSPÓŁWYDAWCA: FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY: Wrocław miasto spotkań

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

„Jerzy Turowicz. Książka do pisania. 75 lat Tygodnika Powszechnego”

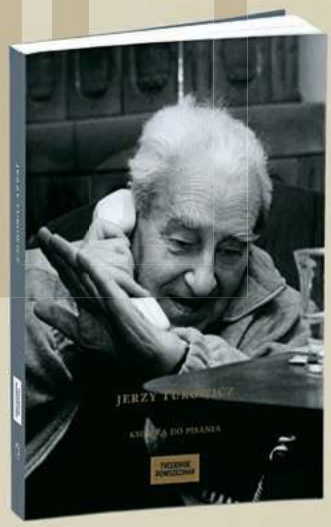

Jak ją otrzymać?

1. **JUŻ TERAZ** zamów lub przedłuż dowolną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego” – roczną, półroczną lub kwartalną. **Musisz zdążyć przed 31 grudnia 2019 r.**
2. Możesz to zrobić przez stronę **powszech.net/prenumeruj** lub poprzez wpłatę na konto czy opłacenie w Dziale Prenumeraty „TP” – cennik i zasady szczegółowe opisane są poniżej.
3. Na przełomie stycznia i lutego 2020 r. otrzymasz „Książkę do pisania” – bez dodatkowych kosztów przesyłki.

Książka jest dostępna wyłącznie w dystrybucji „Tygodnika Powszechnego” – jest to limitowana oferta tylko dla obecnych i nowych Prenumeratorek i Prenumeratorów.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

NOWY CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

+
PREZENT!

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” NA 2020 ROK W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

+
PREZENT!

* CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ – ważny od 1 grudnia 2019
** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

W marcu 2020 roku świętujemy 75-lecie „Tygodnika Powszechnego”

Zaprenumeruj „Tygodnik Powszechny” i otrzymaj jubileuszowy prezent

„Jerzy Turowicz. Książka do pisania. 75 lat Tygodnika Powszechnego” – ilustrowany notes z archiwalnymi fotografiami i fragmentami tekstów wieloletniego redaktora naczelnego pisma.

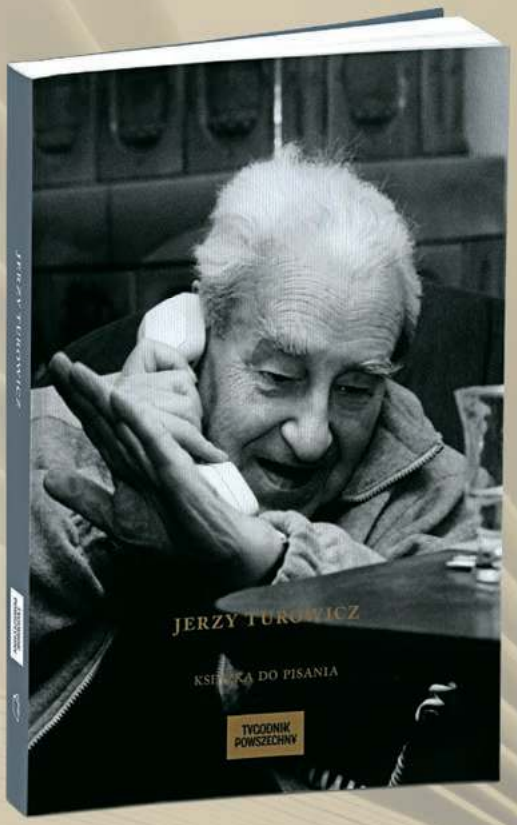

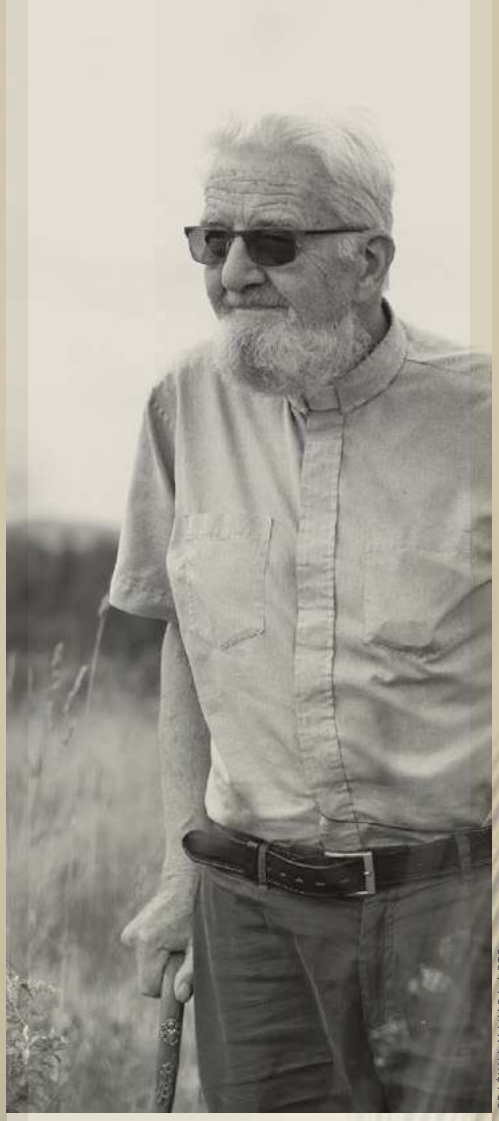

GRAŻYNA MAKARA / FTP

Nie musisz się spieszyć. „Książkę do pisania” możesz pisać przez całe życie. Spiesz się jednak, kiedy będziesz wiedzieć, że coś jest warte zapisania. Zapisz natychmiast. Pamięć jest niewierna i zawodna. (...) Weź pióro i na pierwszej stronie zapisz, co pomyślałeś. O dalszy ciąg się nie martw. Dalszy ciąg nastąpi.

ks. Adam Boniecki, fragment wstępu

WYDAWCA:

TYGODNIK POWSZECHNY

AUSTERIA

PARTNER WYDANIA:

FUNDACJA JERZEGO TUROWICZA

BÓG W BRZUCHU

ALEKSANDRA KONIECZNA, AKTORKA:

W mojej sypialni wisi ikona świętych bliźniaków: Kosmy i Damiana. Przed zaśnięciem złapałam się na tym, że puszczam do niej oko i mówię: „żeby mi było bez koszmarów!".

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Święta, które szczególnie Pani zapadły w pamięć?

ALEKSANDRA KONIECZNA: Śmierć z przejedzenia. Mieliśmy z bratem po kilkanaście lat. Upadliśmy po wigilii na kanapę. Otworzyliśmy okno. Miałam wrażenie, że umieram. Śmierć z przejedzenia. Ładnie. Co o mnie pomyślą? Było to całkiem serio. Strach, że nie wezmę następnego wdechu. Czyli początek mistyki. Wczesnej.

To się dzieje w Pani rodzinnym Prudniku?

Tak, Prudnik. Dwanaście dań musowo, jak apostołów. Oczywiście wegańska dieta do pasterki. I pasterka dla wytrwałych. Albo w kościele pw. św. Michała w Prudniku, albo na klasztorku ojców franciszków, za miasteczkiem. Tę wolałam, bo w lesie, na świeżym powietrzu, i aura historyczna, bo tam więziono kardynała Wyszyńskiego przed Komańczą w Bieszczadach. Ale dużo napitych. To mnie rozwalało.

Babcia i dziadek jeszcze, ubrana choinka kiedyś prawdziwa, z czasem sztuczna, fuj. Prezenty pod choinką, dopiero po jedzeniu, także dla kotów, psów, bo było ich sporo. I obłędna kutia babci Róży. Danie ze wschodu, bo chociaż Prudnik, ale my przyszliśmy ze Wschodu. Więc ta kutia obłędna. Namaczana kilka dni pszenica i mak, dużo miodu, bakalii, mandarynek. Słodka, a zarazem kwaskowata. Mam w ustach ten smak „na pstryk".

Jak to było z tym Wschodem?

Moja rodzina mieszkała w powiecie Buczacz nad Bugiem. W 1947 r. spotkali się w Prudniku, ziemie odzyskane, przed wojną Neustadt. Babcia była Polką, jej mąż Ukraińcem. Zakochali się i poślubili na Wschodzie. W Prudniku przyszło im żyć po wojnie. Niełatwe życie, zwłaszcza dla niego. Polacy na Wschodzie wiele wycierpieli od Niemców, ale prawdziwą orgię przemocy zrobili Ukraińcy. Więc, jak dziadek tu przybył i padło po wódce „ukraińskie nasienie", dom potrafił się zatrząść.

Babcia bardzo dobrze gotowała. Jej zakwasy buraczane i przez to smak barszczu obłędnie wspaniały. Zakwasy z mąk: pszenicznej, żytniej i przez to białe barszcze i zalewajki, niemające sobie równych.

Pamięta Pani siebie z tamtego czasu?

Dziewczynką byłam grzeczną, pilną, „piątkową". Ale też maskotką. Moja młodsza siostra zapytała kiedyś przy dużym rodzinnym przyjęciu: „Robimy tak jak zawsze?". „Czyli jak?" – zapytałam. „Że ty rozśmieszasz, a ja zmywam". Stawałam na piecu, zakładałam na głowę białe rajtuzy, że niby warkocze, machałam nimi w prawo, lewo, i śpiewałam głośno: „Cebula staniała, za cóz ja se bende warkoce sprawiała / Za cóz ja se bende warkoce sprawiała!!!".

Śmiali się?

Śmiali. Lubiłam to bardzo. Rozbrajałam wszystkie napięte sytuacje.

Poczułam wtedy, że mam coś, co działa, zawraca bieg rozmów: „Popatrz, popatrz na nią!". Czułam się sprytna i skuteczna.

Wpływowa?

Tak. Ale kiedy zaczęłam dojrzewać, przestałam być grzeczna. Nocami czytałam poezję Leśmiana, Norwida, Brandstaettera... Do szkoły nie wstawałam, mamę wzywali. Chciałam sprawiać innym kłopot. Snułam się po okolicznych lasach, wyobrażając sobie siebie jako podmiot liryczny czytanych wierszy. Z gałęzi krzyż sobie zbiłam, z białego kordonka uplotłam warkocz, taką kompozycję. Krzyż-warkocz nad łóżkiem sobie powiesiłam.

O!

Mieliśmy działkę, ogródki działkowe. Zaczęli je nocą pilnować, bo były kradzieże. Wiedziałam o tym i wymykałam się z domu kraść na ogródkach. Latarka, kalosze, wiadro przy łóżku. Już to widziałam: wiadro pełne truskawek sąsiada, łapią mnie, przed oblicze rodziców zaprowadzają. Nieludzki wstyd, rozkosz ↦

ŁUKASZ DEJNAROWICZ / FORUM

ALEKSANDRA KONIECZNA (ur. 1965) była aktorką teatrów w Warszawie: Współczesnego, Dramatycznego, Rozmaitości. W 2004 r. debiutowała jako reżyserka. Ostatnio zagrała m.in. Zofię Beksińską w „Ostatniej rodzinie", Igę Cembrzyńską w „Jak pies z kotem" i Kościelną w „Bożym Ciele".

↦ wstydu. Nigdy się nie udało. Nie złapali mnie.

Może i dobrze.

Pierwszy film w DKF w Prudniku. „Odwet" Tomasza Zygadły. Ogromne wrażenie. Po nim nie chciałam dorośleć. A potem, już w liceum, śp. prof. Andrzej Pajor rozbudzał w nas miłość do literatury i teatru. Nie było konsterny, gdy Miłosz dostał Nobla. W innych klasach poruta, popłoch polonistów, co uczniom powiedzieć? Jaki Miłosz? A myśmy Miłosza znali. Profesor Pajor sam przynosił jego książki na lekcje. I zabierał nas do Krakowa, do Starego Teatru. Obejrzałam Wajdy „Noc listopadową" z Janem Nowickim i Teresą Budzisz-Krzyżanowską, Jerzego Jarockiego „Ślub" z Jerzym Radziwiłowiczem i Jerzym Trelą. Obłęd! Oni ukształtowali mój gust teatralny.

A kluczowe zdarzenia w Pani życiu?

Śmierć mojej prababci Julii Tchorowskiej z domu Kasjan. Prababcia mnie wychowywała. Oprócz mamy, oczywiście. Ale prababcia była w domu. Miała dla mnie bardzo dużo czasu, czułość i dotyk. Pamiętam zapach jej skóry. Lekko słodkawy. W tym roku, w lipcu, gdyby żyła, miałaby 130 lat. Wiedziałam, że jeśli kiedyś będę miała córkę, dostanie imię Jula, po prababci właśnie. I tak jest. Na dwóch przeciwległych ścianach mego salonu wiszą „dwie Jule". Prababcia i córka. Duże, pięknie oprawione.

A córka?

Los odmieniony. Odkąd jest na świecie, odtąd potrzebna jestem komuś na zawsze. Czytałam gdzieś, że to się nazywa macierzyństwo egzystencjalne. Tak może być w moim przypadku. I jeszcze przejście na prawosławie. Wskutek objawienia. Brzmi efektownie, wiem. Ale taka prawda i proszę nie pytać o szczegóły. Proszę uwierzyć lub nie.

Proszę opowiedzieć więcej o tym prawosławiu.

Najpierw opowiem, co się zdarzyło w 1991 r. Wtedy pojęłam, że każda rola przychodzi po coś, w odpowiednim czasie, a na pewno nie jest przypadkiem.

Jestem świeżo upieczoną aktorką, gram matkę Marcela Prousta w „Ach, Combray..." w reżyserii Waldemara Matuszewskiego w Dramatycznym. To adaptacja ostatniego tomu z „Czasu odnalezionego". Marcel grany przez Jarka Gajewskiego, z łoża śmierci widzi swoją przeszłość, a w niej młodą matkę, Żydówkę. Jest tam piękna scena, jak do kościoła w Combray pod Paryżem wchodzi cała rodzina i ta matka, mimo że Żydówka, żegna się po katolicku. Na próbie generalnej dyrektor Maciej Prus wywołał mnie ze sceny i mówi: „Pani Olu, może to jest pani drogie, ale po co nam taka prowokacja?". Ja: „Jaka?". On: „Przecież pani kreśli prawosławny krzyż, a ona była Żydówką w katolickiej rodzinie". Ja: „Kreślę prawosławny krzyż?...".

Dzwonię do mamy. Mówię: „Przeżegnaj się". Ona: „Zwariowałaś?" Ja: „Mamo, przeżegnaj się i powiedz mi, w którą stronę krzyż się odwiesza". Ona: „W lewo". Ja: „A czemu ja to robię w prawo? Przez to mam teraz kłopoty w teatrze". Ona: „Może jak myśmy cię z babcią uczyły, to jak odbicie w lustrze nas potraktowałaś?".

Ciekawe, jak było naprawdę.

Może prawosławie upomniało się o mnie z jakichś innych powodów?

Jak je praktykuję? W Warszawie chodzę do cerkwi Marii Magdaleny. Ale dbam o to, by w katolickie Boże Narodzenie w moim domu była choinka, prezenty i zasiedli przy jednym stole ludzie sobie bliscy. Ale 7 stycznia sama idę do cerkwi. Przybywa w moim mieszkaniu obrazków świętych Kościoła prawosławnego. Moja córka, która jest agnostyczką, wracając z greckiej wyspy Angistri, powiedziała do znajomego: „Muszę mamie na prezent kupić święty obrazek". „A ile twoja mama ma lat? Czy to stara baba?" – zapytał znajomy. (*śmiech*)

Którego świętego lubi Pani najbardziej?

Paisjusza – to ważna głowa Kościoła prawosławnego, człowiek XVIII wieku. Mimo problemów zdrowotnych oddawał się ascezie, postom, całonocnym czuwaniom, a za dnia przyjmował ludzi przychodzących do niego po rady – pocieszał ich i wspierał w walce z problemami. Po jego śmierci, wśród jego rzeczy znaleziono karteczkę, na której było napisane, że on, mnich Paisjusz, przyjrzał się swojemu życiu i zobaczył, iż złamał wszystkie przykazania Boże, dopuścił się wszystkich grzechów i prosi o wybaczenie i modlitwę, by Chrystus zmiłował się nad nim. A ja sama trafiłam kiedyś na modlitwę kontemplacyjną mnichów i odmawiam ją od wielu lat. Nazywa się hezychazm, czyli z greckiego spokój.

Katolicyzm nie był dla Pani wystarczający?

Nie był. W mojej rodzinie katolicyzm był taki jak w większości Polski – rytualny, wydmuszkowy: w życiu codziennym w rozjeździe z tym, co jest w Biblii. Proszę spojrzeć, jaka różnica jest w samej architekturze: kościoły katolickie są strzeliste, jakby Bóg był poza zasięgiem człowieka – wysoko, ponad wieżami. A cerkwie mają kopuły, które Boga wewnątrz utrzymują. Prawosławni wierzą, że Boga mają w brzuchu.

Pani ma Boga w brzuchu?

Mam. Bywają momenty trudne i czuję gniew. Ale Bóg nie przechodzi wtedy do innego brzucha. Nie muszę być grzeczna, żeby mieć Boga w brzuchu.

W mojej sypialni wisi ikona świętych bliźniaków: Kosmy i Damiana. Przed zaśnięciem złapałam się na tym, że puszczam do niej oko i mówię: „żeby mi było bez koszmarów!". (*śmiech*)

Pani powiedziała, że każda rola przychodzi w odpowiednim czasie. Czy to samo dotyczy Kościelnej – granej przez Panią katoliczki – z „Bożego Ciała" Jana Komasy?

Znam sporo takich kobiet jak Kościelna. I to nie chodzi wyłącznie o wiarę. Sama miałam moment w życiu, kiedy byłam na najlepszej drodze do stania się Kościelną.

Kiedy?

Miałam ortodoksyjny stosunek do kłamstwa, taki czarno-biały. Biel uznawałam za normę, czerń przekreślała wszystko, rozwalała mnie psychicznie, niszczyła zaufanie. Upadała konstrukcja, choćby to była wielopiętrowa wieża w Pizie, choćbym znała kogoś wiele lat i dotąd miała wspaniałe relacje. Byłam ekstremalna, nie miałam w sobie wyrozumiałości dla błędu. Dla ludzi musiało być to męczące. Bo człowiek często jest słaby, zmęczony, wstydzi się, traci uważność i wtedy popełnia błędy. Wyzwaniem dla mnie było to, by odpuścić ludziom. Ale najpierw musiałam odpuścić sobie.

Jak?

Prosty przykład: moje spóźnianie się. Wystarczały sekundy, by narastało we

mnie napięcie nie do zniesienia, związane z tym, że po drugiej stronie osoba poczuje się przeze mnie zlekceważona. W każdym razie obniżyłam wymagania wobec siebie i z automatu do innych. To proces, który zachodził we mnie przez ostatnie lata – z trzeciego levelu wygórowanych oczekiwań zeszłam na pierwszy. Chyba teraz ludziom żyje się ze mną lepiej.

A rola Igi Cembrzyńskiej w „Jak pies z kotem", opowieści o rodzinie Kondratiuków? Reżyserem był Janusz Kondratiuk, który ten film nakręcił po śmierci brata Andrzeja.

Janusz doprowadził swój film do ostatecznej montażowej formy i zapadł w śpiączkę. Zmarł w październiku tego roku.

Filmowa Iga, żona Andrzeja, to kobieta, która nie radzi sobie z najprostszymi życiowymi sprawami, w tym z opieką nad ukochanym.

Ona też utemperowała we mnie ortodoksa, który myśli, że miłość to jest odpowiedzialność, a odpowiedzialność to jest miłość. Jeśli nie ma odpowiedzialności przy miłości, to nie można tego uczucia uznać za miłość.

Bo jeśli ja kocham, to wykupuję recepty, a nie dokupuję wina, by się napić, a potem ułożyć piękną piosenkę z miłości dla miłości, wierząc, że w ten sposób uzdrowi się ukochanego mężczyznę. Natomiast nie mam żadnych wątpliwości, że Andrzeja i Igę łączył prawdziwie silny, miłosny związek. Nie ubrdałabym sobie jakiejś innej definicji typu, że to było współuzależnienie czy inny rodzaj toksycznej więzi. Ludzie lubią popsychologizować, wydaje im się, że mają ku temu narzędzia, włożą sobie do szuflady czyjeś życie, ponazywają i mają z głowy, czują się z tym tak bardzo mądrze. Dzięki filmowej Idze już nie myślę, że odpowiedzialność jest obligatoryjną częścią miłości.

Czyli?

Czyli, że ja nadal będę wykupować recepty (*śmiech*). Ale też wiem, że ci, którzy ich nie wykupują, potrafią być ludźmi mocno kochającymi. Kiedyś wpadła mi w ręce książka o codziennej medytacji dla kobiet, gdzie autorka pisze, że były dwie Marie przy Jezusie – Maria Magdalena i Matka Boska. I Matka Boska zawsze wszystko załatwiała na czas, „wykupywała recepty", była niezawodna, solidna, do końca pod krzyżem klęczała. A Maria Magdalena kręciła się koło Jezusa i, jak wracał zmęczony, to miała czas, by z nim posiedzieć, by z nim porozmawiać, by dotknąć jego głowy, by posmarować bolejące miejsca. Każda z tych Maryj inaczej niosła wsparcie. Polecenie autorki książki brzmi: wybierz świadomie, którą Marią chcesz być.

To jest coś, co mi zaczęło uświadamiać razem z rolą Igi Cembrzyńskiej, że warto czasem być Marią Magdaleną.

Przeszłam na prawosławie wskutek objawienia. Brzmi efektownie, wiem. Ale taka prawda i proszę nie pytać o szczegóły. Proszę uwierzyć lub nie.

A w „Ostatniej rodzinie" rola Zofii Beksińskiej, żony Zdzisława, matki Tomasza?

I mnie, i reżyserowi – Jankowi Matuszyńskiemu – zależało, by pokazać, że ona świadomie podjęła decyzję poddania się tym dwóm mężczyznom jej życia. Z tego powodu dostała bardzo wiele zła, ale też przyszło sporo profitów. Maria Turlejska, z którą się przyjaźnił Beksiński, w korespondencji z nim gdzieś pisała słowa kierowane do niej: „Zosiu, jesteś świetną żoną, Zdzisiu lepszej nie mógł sobie wyobrazić". I ona odpisała w kilku słowach: „Bardzo mi jest miło, tylko, że uważam, że taka wielka osobowość jak Zdzisiek powinna mieć przy sobie drugą osobowość. A ja jestem nikim, może najwyżej kulą u nogi, może mam tylko taki walor jako żona, że się nie skarżę, nie mam pretensji, jak pamiętają o mnie, to dobrze, jak nie pamiętają, to też dobrze i jakoś życie leci".

Skóra cierpnie.

A ja właśnie sobie sądzę, że to była wielka jej siła. Jak to przeczytałam, to zrozumiałam, że Zosia jest stoikiem – wierna filozofii dziś niemodnej wśród kobiet i mężczyzn pełnych oczekiwań, roszczeń, pretensji, że się należy także wieczna młodość.

Wieczna młodość zawsze kusi.

To labiryntowe zapętlenie: ma początek, a nie ma końca poprawianie swojego wyglądu w gabinetach medycyny estetycznej. I co to da? Aktorka, która poprawia się za bardzo, traci pracę. Gdy dane mi było dostać się do kina polskiego, to zaczęłam grać role kobiet starszych ode mnie – i tak jest do dzisiaj. Jak ja bym się odmłodniła, to bym straciła robotę.

Pani zdaje się pyta, jak się czuję w swoim wieku? Tak, starzeję się. Im więcej pracuję, tym muszę więcej wypoczywać. Od czasu klimakterium wszystko słabnie, organy muszą się dłużej regenerować. Już nie jestem Olą, tylko Aleksandrą... (*śmiech*) Jak Aleksandra przesadzi ze zbyt długą jazdą autem albo z pracą dzień po dniu, to zaczyna boleć ją kręgosłup, gorzej śpi, pękają jej paznokcie i częściej płacze.

A jak Aleksandra radzi sobie z przemijaniem?

Wszystko odbywa się dokładnie o ustalonym czasie. Późno zaistniałam w polskim kinie. Na Festiwalu w Gdyni, za sprawą „Ostatniej rodziny", byłam po raz pierwszy w wieku 50 lat – i tak miało być. Odebrałam tam nagrodę za pierwszoplanową rolę kobiecą Zofii, potwierdzoną Orłem. Potem posypały się kolejne propozycje. Zaczęłam jesienią tego roku uczyć w Szkole Filmowej w Łodzi. To dla mnie bardzo ważne. Zaczęłam „oddawać" to, co umiem.

I piszę pierwszą książkę w życiu. Tytuł: „Anyżowe dropsy", premiera wiosną przyszłego roku. Rok z życia kobiety, którą jestem. O czym? O otwieraniu i zamykaniu oczu. W sensie dosłownym i metaforycznym. Oczy zamknięte – nieświadomość, zabawa. Oczy otwarte – świadomość, ciężar. Tak najprościej ujmując. Myślę sobie, że w ogóle dobrze, że to wszystko przyszło. Przecież kto komu gdzie i kiedy dał gwarancję na sukces, na bogactwo, na zdrowie?

Czy ktoś Pani powiedział, że będzie noszona na rękach? Mnie nikt (*śmiech*).

A jeśli sukces przychodzi, to wspaniale. Cieszę się nim jak mała Ola (*śmiech*). Bogactwo i trudy mojego dotychczasowego życia spływają teraz w moje role. Czy to nie jest piękne?

© Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

Próba dzwonów

JACEK PODSIADŁO

Zaczęło się od ciszy
dzwoniącej w głowie Paulina z Noli,
który po śmierci synka,
z bogatego ubogi,
zaniechał spraw świata
i poezji, przynajmniej na pewien czas.
Ciszy takiej, że pewnego dnia
Paulin usłyszał polne kwiatki,
kampanule, które wtedy
jeszcze nie mogły się tak nazywać.
I święty, który na razie
nie był świętym, pomyślał
o stworzeniu wielkiej, sztucznej kampanuli.
Dzwon wziął się z podobieństwa do kwiatu.
Przetrwało to w spiżu nazw:
kwiat i dzwon w różnych językach
dzielą się kielichem, jak kumple,
szyją i głową, jak współskazańcy,
koroną jak władcy i wieńcem jak żeńcy
albo nowożeńcy. Tyle że u kwiatów
większość tego się zdrabnia.

Więc dzwony są to kwiaty na łodygach wież.
Czczono je i chrzczono tak jak ludzkie dzieci.
Zbyszek. Ludwik. Mychajło. Rafał.
Zuzanna. Osanna. Dominicalis. Laurencja.
Od czasów Strykowskiego poeci patrzą na nie
jak na kolegów. Mając osiem lat, Maciej się utopił,
lecz wskutek gromkiego ich dźwięku na własnym pogrzebie
jego „trup oziębły wziął rumianość na się”.
A jeszcze kilka lat później zaliczył dzwona z dzwonem
tak „rozmachanym”, że urwał się z wieży.
Trafiony w głowę, przyszły rymopis mowę
miał od tej pory „przepryskliwą i prędką”,
„kwapliwą i trudną” jak Stanisław Barańczak.
Żeby dzwon miał duszę,
zawsze potrzebny jest ktoś,
kto by przelał na niego
swoją Miłość, najlepiej
niepotrzebną nikomu.
Ludwisarz dźwięcznej próżni.
Dzwon taki poznajemy
po głosie: łamiącym się i stłumionym
jak przemowa dziecka nad martwym zwierzęciem.

MAURITIUS IMAGES GMBH / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

Kiedy powołanie człowieka przerasta go,
człowiek robi się pusty w środku, ale mówi hardo.
Czy nieszczęście dzwonu nie zaczęło się od tego,
że w jakimś stopniu przerósł swoją formę?
Wielkość! Rozmiar! Siła! Huk!
Facts and figures, jeszcze raz!
Jak pisze stary Chateaubriand,
nie na tym się jednak zasadza
najważniejsza cecha dźwięku dzwonów.
Żeby ją uchwycić, popatrzcie wpierw, coście wyprawiali
ze swymi świątyniami. Pierwsza z brzegu wiocha
na Białorusi, pierwsze lepsze zdanie z przewodnika:
„Cerkiew obronna pierwotnie prawosławna, później unicka,
zamknięta po 1839 r., po 1863 r. ponownie zamieniona
na prawosławną, zamknięta po I Wojnie Światowej,
zamieniona na kościół katolicki w 1928 r., zamknięta
po II Wojnie Światowej, zwrócona katolikom w 1991 r.
i w tym samym roku odebrana katolikom i przekazana
prawosławnym". To o cerkwi obronnej, a jakichże gwałtów
musieliście się dopuszczać na świątyniach bezbronnych?
Zajrzyjcie do katakumb. Porachujcie kości
męczennic, lniane szaty bez ciał i dopiero
postąpcie z powrotem do światła.
Teraz popatrzcie w górę.
Chorzy się snują po niebie jak chmury po korytarzach.
Czy nie wydaje wam się, że dzwony chcą być dalekie
od tych kalekich uniesień zasadzonych
na przywiązaniu do ziemi?

Zazdrośnie bił w nie piorun.
Zmuszano je, żeby głosiły wojnę.
Drewniane dzwonnice płonęły
i dzwony topiły się w ogniu lub padały na ziemię
jak śmiertelnie ranni, bez jęku, co najwyżej
ze stęknięciem, westchnieniem.
Kradziono je, rekwirowano. Wożono po świecie jako łup.
Ratując przed rabunkiem, ukrywano je
w stogach siana, w studniach, w stawach,
w grobowcach, najczęściej zakopywano
a po dziesiątkach lat szukano ich w złych miejscach.
To łgarstwo, co pisał Mickiewicz, że „zstępowały z wieżyc"
i ochotniczo „gromadziły się do arsenałów",
aby śpiew swój przetopić w śmiertelną czkawkę armat.
Przelewano je. To znaczy tworzono je świętokradczo
każąc im wychylać kielich z samych siebie.
Były w tym i symonia, i kanibalizm, i kazirodztwo.

Południowy Tyrol, Włochy

Wywyższano ich poniżenie. Żądano czystego tonu,
jakby brud świata ich nie dotyczył, jakby nie były
kalane, obryzgiwane błotem, najczęściej zaś zwyczajnie
obsrane przez ptaki, Boży drobiazg, który
i fruwa, i śpiewa naprawdę,
bez sznura i giserskich sztuczek.
Dziś istnieje dysonans między dzwonami a światem.
Rozdźwięk. Jakieś pęknięcie.
Oddzielono je od człowieka i od nieba też.
Zanim silnik i radio zagrabiły powietrze,
dzwony podnosiły miasta z błota i pyłu,
wynosiły nas w kosmos uklejony z nisz.
Harmonia sfer, ta cisza w setkach odmian
umilkła, lecz dzwony wciąż są odpowiedzią na nią.
Lubię, gdy się rozlegną, po prostu stanąć i słuchać.
Lubię, gdy dwa naraz biją, jak gdyby się biły
i zjawia się ten trzeci, który je pogodzi
jak w bajce o trzech braciach,
z których najgrubszy jest niewidzialny.
Ton Tartiniego, złudzenie złudzenia.

Dzwon to figura do opisania
na trójkącie o złotych proporcjach.
W Chinach dawał wzór tonu
gwarantującego zgodność świata
ze swoją własną harmonią.
Dla muzyka jest to idiofon naczyniowy.
Dla fizyka: podwojone wahadło.
Dla chemika to stop, przesycony roztwór
cyny w miedzi. We Francji
dzwony dały kształt i nazwę kloszowi.
U nas spodniom hipisów, dżinsowym karykaturom
ubioru. Ładnie wyglądają dzwonnicy
na starych miniaturach. Kukiełki
pragnące mieć udział we fruwaniu.
Kiedy katolik szarpie się ze sznurem,
wygląda, jakby wciągał na maszt ciężki żagiel.
A prawosławni dzwonią tak,
jak gdyby powozili końmi.
Dzwon bez człowieka to kaleka.
Komu bije dzwon, wyjaśnił już John Donne.
Bije on także sobie.
Jak pisze stary Hugo, nad dawnymi miastami
unosiły się dźwięki, nad miastami nowoczesnymi
unosi się dym.

...jak pamiętasz, Paulin przybył do Noli skądinąd, a konkretnie to z mniej więcej środkowej Francji, która nie była wtedy jeszcze sobą
– z listu Magdy.

©

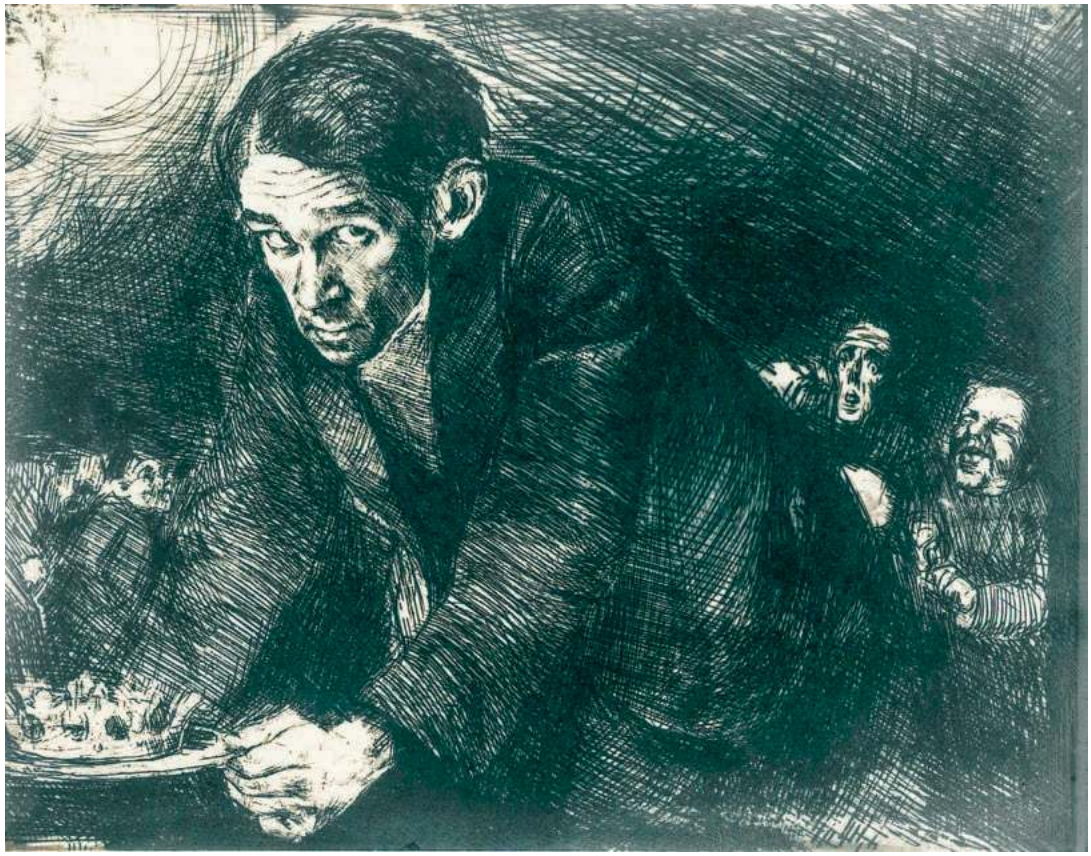

DOMENA PUBLICZNA / WIKIMEDIA.ORG

Bruno Schulz, Autoportret, 1920–1922

Żelazny kapitał ducha

ELIZA KĄCKA

Oto najlepsza proza, jaką napisano po polsku. W olśniewającej głębi, w zawrotnym biegu słów, w zakroju wyobraźni nic się z nią równać nie może.

Z biografii Gombrowicza wiadomo, że za młodu wydrwił w klasie nauczyciela-poetę, recytując wers z jego zbiorku: „Księżyc leje na sosny i wysmukłe świerki". Coś w tym rodzaju mogło spotkać także nauczyciela z Cieszyna, Juliana Przybosia. Mało to w szkołach prześmiewców? Nie spotkało jednak. Przyboś wzbudzał respekt. A czy spotkać mogło nauczyciela z Drohobycza, Brunona Schulza? Ten też wygadywał dziwne rzeczy. Ale nie, nie spotkało. Bruno wzbudzał miłość.

Książę incognito

Wszystko właściwie: powierzchowność, status, osobliwa twórczość – kwalifikowały Schulza na ofiarę. Drobny, wielkogłowy, o nieładnej twarzy, sam zwykł na zapas ośmieszać się w towarzystwie, odgrywając autoironicznie szympansa. W dodatku prowincjusz, a przy tym erudyta – więc mędrek. Twórca jednoznacznie dwuznacznych rysunków, które ośmielał się pokazywać na wystawach. Na koniec: Żyd. A jednak, jak mówią zgodnie wszystkie świadectwa, w normalnych czasach nic złego Schulza nie spotkało.

W szkole, choć uczył tylko rysunku i robót ręcznych, był szanowany, uczniowie go uwielbiali. Gdy jego grafiki zaatakował obrońca cnoty, dostał energiczną odprawę. Pisarstwo przyjęto z aplauzem, poziom musieli mu przyznać nawet antysemici. Ludzie bardzo wybredni ze środowisk literackich ulegli bez większego oporu walorom tej prozy i urokowi osobistemu autora. Wśród entuzjastów twórczości swojego protegowanego Zofia Nałkowska wylicza postacie pierwszorzędne: Berenta, Miriama, Staffa, Leśmiana, Witkacego, Tuwima, Wata, Szymanowskiego, Irzykowskiego. Na osobnym miejscu dodać trzeba i Gombrowicza. Pięcioletnia (zaledwie!) kariera pisarska Schulza wyniosła go wysoko. Wszystko to świadczy o kulturze dwudziestolecia lepiej, niż skłonni jesteśmy o niej myśleć.

Idylla – więc skąd ta gorycz u niego? „Pisarz (przynajmniej w moim rodzaju) to najnędzniejsze stworzenie na ziemi. (...) Powiedziałem sobie, że nie jestem ani malarzem, ani pisarzem, nie jestem nawet porządnym nauczycielem. Wydaje mi się, że oszukałem świat jakąś błyskotliwością, że nic we mnie nie ma. (...) Patrząc na wariatów miejskich, na żebraków w łachmanach, myślałem: może wkrótce ja tak będę wyglądał. (...) Mnie brak nie tyle wiary w moje zdolności, ale czegoś ogólniejszego: zaufania do życia, bezpiecznego spoczywania w swoim losie, wiary w ostateczną przychylność

bytu. (...) Może wziąć jako przeciwwagę tego przygniatającego walca szkoły – rozpustę?" (z listów do Romany Halpernowej, 1936-37). Nie było łatwo być Brunonem Schulzem.

Mamy więc do czynienia z kimś uplecionym ze sprzeczności. „Skromny belfer, istota bezbronna i klepana po ramieniu", a w istocie, jak dostrzegł Gombrowicz, „książę incognito". Wielka życzliwość – ale w głębi łagodność „dziwnie twarda", pewna własnych kryteriów. Metafizyka podszyta groteską – albo i, lepiej, na odwrót. Pogląd na świat uderzająco własny, lecz zaszyfrowany tak, że jego tajników nie zdołał odsłonić nawet sam Witkacy. Schulz: pisarz treści sekretnych, a zarazem rysownik, który z desperacją odtajniał męczarnie i rozkosze masochizmu. Może zatem: osobowość nieuchwytna? Owszem, lecz – co już mniej oczywiste od niepochwytności, na którą się intuicyjnie zgadzamy – tyleż miękko, ile stanowczo dominująca.

Mgły mitologiczne

„Początki mojego rysowania gubią się w mgle mitologicznej" – wyznaje Schulz w pseudowywiadzie Witkacego, do którego sam wymyślił dla siebie pytania. A początki pisarskie? Na odpowiedź ośmielił się tylko Serge Fauchereau: „Tekst, który wydaje się kryć za »Xięgą bałwochwalczą«, nie został nigdy opublikowany". Mowa o cyklu około dwu tuzinów dyszących erotyzmem grafik z początku lat 20. „Padamy ofiarą – dodaje Francuz – najbardziej fantastycznych domysłów".

Mój własny „fantastyczny domysł" podsuwa, że „Xięga" stanowi efekt przeniesienia doświadczeń wojennych Schulza w scenerię rodzinnego Drohobycza. Te doświadczenia młodego artysty z lat Wielkiej Wojny były bodaj szczególne; zachowało się kilka prac odtwarzających sceny z domów uciech. Gdyż Schulz, szczęśliwie niezdolny do służby wojskowej, spędził te lata na krążeniu między Wiedniem, Karlsbadem i Budapesztem, a więc miastami obfitującymi w wiadome przybytki, zarobkując bodajże portretowaniem ich mieszkanek. O tym, rzecz jasna, nikt nie będzie spekulował. Ulokowanie tych pań – zawsze zaopatrzonych w odpychające zawodowym cynizmem oblicza – wymagało w małym miasteczku legendy, która zapewne istniała. Tej jednak nie poznamy.

Dowiadujemy się od Artura Sandauera, a ów podobno z ust samego Schulza, że „jakieś prozy" powstały już w końcu lat 20., lecz przeleżały w szufladzie na skutek „nieżyczliwej opinii pewnego – po dziś dzień funkcjonującego – znawcy". Sądzę, że wiem, kogo miał przed pół wiekiem na myśli Sandauer, lecz o tym innym razem. Czasowo zazębiałoby się to jakoś z romansem Schulza z fascynującą filozofką, poetką i prozaiczką lwowską Deborą Vogel, poznaną, jak wieść niesie, w pracowni Witkacego. Romans był głównie korespondencyjny, a listy wzbogaciło wkrótce podsyłanie sobie próbek własnego pisarstwa. Po paru latach, gdy ukazały się książki Vogel, Schulz musiał zastrzec w recenzji, że jej manekiny i sceny uliczne nie mają nic wspólnego z jego projekcjami. Jak najsłuszniej: jej kukły to figury ludzkie wydrążone z wszelkich psychicznych treści, Schulzowskie manekiny stanowią zaś owoc działań lub starań demiurga, który, prawem artysty, sili się imitować Stwórcę. Pisarze nie uzgodnili nigdy stanowisk na ten temat.

Pora na to, co nasz polonistyczny klasyk Juliusz Kleiner zwał „fikcją genezy". Czym mógł samotnik z Drohobycza zainteresować nowoczesną, wściekle inteligentną i przystojną pannę? Historiami z gatunku: opowiem ci o moim dzieciństwie, moim miasteczku, sąsiadach, mojej rodzinie i jej oryginałach. I rzeczywiście, w dziele Schulza wyróżnić można szereg stosunkowo (jak na niego) prostych opowieści. W debiutanckich „Sklepach cynamonowych" (1933) są to „Nemrod", gdzie mały piesek poznaje świat, „Pan" – perfidny obrazek, w którym zaspokajający w zapuszczonym ogrodzie grubszą potrzebę włóczęga wzięty zostaje przez dziecko za mitologiczne bóstwo, wreszcie „Pan Karol", portret kuzyna, który pod nieobecność rodziny z trudem dochodzi do siebie, wróciwszy z lupanaru.

W zbiorze „Sanatorium pod Klepsydrą" (1937), gdzie Schulz sięgnął głębiej do szuflady, mamy dalsze portrety ekscentrycznych postaci z najbliższego otoczenia pisarza, „Dodo" i „Edzio", oraz pierwszą, naiwną jeszcze przymiarkę do mitologii rodzinnej – „Mój ojciec wstępuje do strażaków". Jak często bywa przy takich okazjach, autor nie szczędzi adresatce pikantnych smaczków. Kuzyn Emil (wątek włączony do opowieści „Sierpień") próbuje dziecięcego narratora uwieść, pokazując mu pornograficzne fotografie; niezborny umysłowo kuzyn Dodo zostaje przez figlarzy zaciągnięty do burdelu, a prowadzący podejrzane interesy (handel żywym towarem?) wuj Hieronim, postraszony przez władze (może zagrożony aresztowaniem?) traci rozum i na wszelki wypadek nigdy nie opuszcza pokoju. Ładne się rzeczy dzieją w tym Drohobyczu!

Ogórki mistyczne

Potem – w końcu – nadeszła wielka fala wyobraźni. I równie wielka ambicja. Schulz wie, jak się pisze – i jak on musi pisać. Otwierają się wrota sezamu „żelaznego kapitału ducha".

„Cała reszta życia upływa nam na tym, by zinterpretować te wglądy, przełamać je w całej treści, którą zdobywamy, przeprowadzić przez całą rozpiętość intelektu, na jaką nas stać" – deklaruje Witkacemu i czytelnikom. Jakie to wglądy i treści, wyjaśnia nieco dalej: „Uważam »Sklepy« za powieść autobiograficzną. (...) Są one autobiografią albo raczej genealogią duchową, (...) gdyż ukazują rodowód duchowy aż do tej głębi, gdzie uchodzi on w mitologię, gdzie gubi się w mitologicznym majaczeniu". I jeszcze raz, innymi słowami, dla zagranicznego wydawcy: „Warto było mityczną mgłę zagęścić do spójnego, pełnego sensu świata legend, pozwolić, by dojrzewała do swego rodzaju osobistej i prywatnej mitologii, nie zatracając przy tym autentycznego podłoża". Powstają wspaniałe narracje o ptakach, manekinach, o wielkim i o martwym sezonie, ulicy Krokodyli, sklepach cynamonowych, o Księdze, genialnej epoce, komecie... A także o sanatorium pod Klepsydrą i o wiośnie. Najlepsza proza, jaką napisano po polsku. W olśniewającej głębi, w zawrotnym biegu słów, w zakroju wyobraźni nic się z nią równać nie może.

W tych dniach Schulz porównuje się do Atlasa, siłą własnej przekory dźwigającego świat na barkach. I na „wspólnika do przedsięwzięć odkrywczych" zaprasza na dobry początek Tadeusza Brezę (list z 1934 roku). Stojący za tą ambicją wielki zamiar ujawnia tylko pośrednio. Jak jednak inaczej rozumieć esej „Mityzacja rzeczywistości" (1936) z postulatem odtworzenia – za pomocą Słowa pierwotnego – zatraconego Sensu wszechrzeczy, jeśli nie dostrzeże się w nim projektu napisania wszystkiego od nowa? Schulz czuje się na siłach rozpocząć nowy etap ↦

LASKI DIFFUSION / EAST NEWS

Bruno Schulz prowadzi zajęcia z prac ręcznych w państwowym gimnazjum w Drohobyczu. 19 maja 1934 r.

↦ dziejów literatury polskiej. I ustawia swą twórczość w opozycji do tejże literatury kanonu, do jednego z (późnych) arcydzieł założycielskich, słowem: do soczewki, która skupia w sobie dawną polskość. Aż dziw, że nikt tego nie dostrzegł. A mówi o tym drugi, zlekceważony w tym względzie Schulzowski manifest pisarski – pół opowiadanie, pół esej „Republika marzeń" (1936). Oto jego pierwsze zdania, zakreślające obszar stwórczych działań.

Tam ma dokonać się wytęsknione „zstąpienie w esencjonalność": „Tu na warszawskim bruku, w te dni zgiełkliwe, płomienne i oszałamiające, przenoszę się myślą do dalekiego miasta mych marzeń, wzbijam się wzrokiem ponad ten kraj niski, rozległy i fałdzisty, jak płaszcz Boga zrzucony kolorową płachtą u progów nieba. (...) Daremnie mówić o tym profanom! Daremnie tłumaczyć, że tym długim falistym językiem ziemi, którym dyszy ten kraj w skwarze lata, (...) oddziela się ten partykularz od zespołu krainy i idzie samopas, w pojedynkę, nie wypróbowaną drogą, próbuje na własną rękę być światem. Miasto to i kraina zamknęły się w samowystarczalny mikrokosmos, zainstalowały się na własne ryzyko na samym brzegu wieczności".

Nie chce się wierzyć (nic mi o tym nie wiadomo), że nikt nie spostrzegł, że dyskretnie wprowadza się do świata Schulza przemieniony Adam Mickiewicz – tuż po hucznie obchodzonej rocznicy stulecia poematu. Że nikt nie dosłyszał w tych słowach Epilogu „Pana Tadeusza", tego tajemniczego i pomijanego przez badaczy wiersza, dopiero pięć lat po zgonie poety dołączonego przez wydawców do poematu. „O tym-że dumać na paryskim bruku, / Przynosząc z miasta uszy pełne stuku / Przeklęstw i kłamstwa..."?

Mickiewicz odpowiada: o kraju lat dziecinnych. I padają słowa, dla pokolenia Schulza pamiętne ze szkoły: „Ten kraj szczęśliwy, ubogi i ciasny! / Jak świat jest boży, tak on był nasz własny! / Jakże tam wszystko do nas należało, / Jak pomnim wszystko, co nas otaczało...". Jak odczuwane przez autora Arcypoematu sentyment i poczucie bezpowrotnej utraty nakazują mu przekształcić Nowogródczyznę w samowystarczalny kosmos na skraju doczesności i wieczności, poza geografią i dalszym ciągiem dziejów, tak autor „Sklepów cynamonowych" wyjmuje swoje miasto z biegu historii, utrwala widziany okiem dziecka jego obraz w moment wieczny.

Nic mniej. „Sklepy" i „Sanatorium", i co jeszcze powstało, a przepadło w dniach Zagłady, miały być nowym „Panem Tadeuszem" czytelników XX-wiecznych, także wiedzących, co było potem; „Panem Tadeuszem" pacyfistycznym, mieszczańskim, świeckim, a jednocześnie mistycznym. Nie tylko z racji legend o demiurgicznych uroszczeniach ojca i widomej bliskości zaświatów, ale za sprawą przemieniającej mocy słowa. Schulz świetnie zdawał sobie sprawę z tego, co twierdził później Czesław Miłosz: że zostaliśmy oto wygnani do Ziemi Ulro. Dość przeczytać esej „Wędrówki sceptyka" (1936). I zgodziłby się z Miłoszem, że pod powierzchnią opisów i wydarzeń „Pana Tadeusza" „ukrywa się wielka akceptacja". Że »Pan Tadeusz« jest poematem na wskroś metafizycznym", a „ogórki i arbuzy soplicowskiego sadu spełniają wszelkie warunki, aby otrzymać godność symbolów, czyli rzeczy, które zarówno są sobą w całej pełni, jak znaczą coś innego" („Ziemia Ulro"). Podobnie jak Schulzowskie kosze jarzyn, księgi handlowe ojca, łopuchy, targane wichrem dachy, kataryniarze i pantofelek Adeli.

Przez zamknięte powieki

To przemienienie jednak, „wybicie dna odwiecznej beczki wspomnień", jak powiada „Kometa", sprowadzenie własnego „kiedyś" w głąb uświęcającej anamnezy mitologicznego „zawsze", w środku XX wieku nie jest takie proste. Za dużo nam wyjaśniono, by wierzyć w mitologie. Schulz znajduje na to sposób. Umieszcza swoje fabuły w bardzo swoistym „teraz". Po raz pierwszy w historii o ojcu-strażaku, po raz drugi w „Edziu", po raz trzeci w „Wiośnie". „Nigdy potem nie mogłem się od matki dowiedzieć, ile rzeczywistego było w tym, co widziałem owej nocy przez zamknięte powieki, zmorzony ciężkim snem" – relacjonuje dziecięcy narrator tryumfalną przemianę ojca. „Adela śpi głęboko, jej usta są rozchylone, twarz wydłużona i nieobecna, ale jej spuszczone powieki są przezroczyste i na ich cienkim pergaminie pisze noc swój cyrograf", czyli opowieść, jak paralityk Edzio podgląda ją przez okno, nagą. Dar odcyfrowania sekretów wiosny udziela się Józefowi dzięki podobnej wizji: „Z zamkniętymi oczami widziałem, jak słońce, księżyc i jedenaście gwiazd ustawiło się w paradzie na niebie, defilując przede mną". Więcej jest takich sygnałów otwarcia oczu na świat wewnętrzny, kraj oniryczny, realność marzeń. Są to zarazem sygnały ironii.

Tak, ironia, która dyskretnie podmywa już świat „Pana Tadeusza", jest tu wszechobecna. W naszych czasach – tu Schulz odwołuje się do Tomasza Manna – stanowi naturalne środowisko fikcji. Jak materia nie może egzystować bez formy, tak mitologia współczesna wydana jest na łaskę i niełaskę ironii.

Wyobraźnia i ironia są dziś, w gruncie rzeczy, nierozłączne, choćbyśmy nie przeczuwali mocy tej drugiej, nie dostrzegali, jak pisał Norwid, „cienia". To, że aplikując swoim marzeniom ironię, możemy powoływać do życia iluzje, jest właśnie niczym innym jak nowoczesną postacią mistyki. Bo czymże jest widze-

nie przez zamknięte powieki? W najlepszym przypadku tym, co kwituje się zwrotem: „Chyba mi się zdawało". Oczywiście, najlepiej widać (*nomen omen*) to na przykładzie ulicy Krokodyli, której na planie miasta odpowiadają ledwie dwie kreski. Kto się tam jednak uda i puści wodze fantazji, zobaczy – ho ho! – metropolię z nieprawdziwego zdarzenia, która, co prawda, rozłazi się trochę na krańcach i, jeśli postukać, odezwie się dźwiękiem gipsu i tektury, a przy bliższym wejrzeniu cała przejdzie w miraż – ale, bądź co bądź, mieści w sobie kuszące reklamy, przedziwne sklepy, a nawet kolej. Byle tylko nie wierzyć we własną niewiarę i niezbyt wierzyć w wiarę! – a to podstawa ironii.

Niestety, drodzy państwo – kreator współczesny skazany jest na imitację, kuglarskie sztuczki, iluzje, na śmietnik jego laboratorium. „Budujemy, jak barbarzyńcy, nasze domy z ułamków rzeźb i posągów bogów" – głosi „Mityzacja rzeczywistości".

Twórca-mitolog eksploatuje graciarnie, lamusy, kanciapy dawnych solennych opowieści, które popadły w zapomnienie, w lekceważenie, w naiwność. Z tego powstaną nasze „Iliady", jak „Don Kichot" powstał z opowieści rycerskich. Istotą nowej sztuki są takie właśnie metamorfozy, a tym nie będzie końca. Lecz zawsze nadejść musi moment, gdy konstrukty fantazji dostaną prztyczka i rozpadną się w nagie zmyślenia. „Obecna jest tam nieustannie atmosfera kulis, tylnej strony sceny, gdzie aktorzy po zrzuceniu kostiumów zaśmiewają się z patosu swoich ról" – tłumaczył Schulz Witkacemu, który wiedział to równie dobrze jak on.

I to właśnie nazywa nasz bohater bankructwem realności. W sztuce, rzecz jasna. Minęły czasy, kiedy w treść przedstawienia można było bez reszty uwierzyć. Gdy czytelnicy powieści słali wydawcy datki na mszę św. za duszę śp. Podbipięty. Ale jednej dziedziny wniosek ten nie dotyczy, przynajmniej dla Schulza. Nie obejmuje języka, obrazowania, stylu i wszystkich arkanów literackiego rzemiosła. Im bardziej iluzoryczna realność, tym bardziej niezawodny ma być styl. W ostatecznym rachunku do niego sprowadza się siła formotwórcza sztuki słowa, jej tylko właściwa esencja. Tu śmiech aktorów milknie.

W eseju Erwina Axera „O nietrwałości aktorstwa" czytamy: „Parę lub paręnaście stron, które zostają, decyduje zazwyczaj o wielkości pisarza. Prawda, te stronice, kilkaset zdań, w których najpiękniej zmieściła się esencja czyjegoś dzieła, pozostałyby niezauważone, gdyby nie kilka tysięcy stron służących za tło". W przypadku Brunona Schulza to się nie sprawdza.

Po pierwsze: z trudem doliczyć się można tysiąca stron, które po nim zostały. Wszystkich stron – z uwzględnieniem notatek prasowych i listów. Było tego dużo, dużo więcej, lecz tylko tyle przetrwało.

Po drugie: tak w jego prozie, jak w najbardziej nawet prywatnych listach nie ma zdania, które byłoby przypadkowe, byle jakie, które mogłoby innym posłużyć tylko za tło. A każde zdanie Schulza przestudiowano już, zważono, obejrzano pod światło. I każde stanowi świadectwo doskonałości. Jego teoria sztuki rozbija się o tę magię, magię własną, wsobną tajemnicę.

© ELIZA KĄCKA

REKLAMA

Idź i patrz

DARIUSZ KOSIŃSKI

Caravaggio i Bernini, dwie wielkie „marki" sztuki, spotkały się na jednej wystawie w Kunsthistorisches Museum w Wiedniu. Zaiskrzyło! Stawką w grze jest życie, śmierć i zbawienie.

ENRICO FONTOLAN / MATERIAŁY PRASOWE

Caravaggio „Narcyz", 1599 r.

Każda epoka ma swoich „geniuszy przeszłości" – ulubionych artystów, do których szczególnie chętnie wraca, których szczególnie wielbi, których prace uznaje za arcydzieła, nawet jeśli nie tak dawno jeszcze za arcydzieła uznawane nie były. Dziś trudno sobie wyobrazić, że „uniwersalny i ponadczasowy" Szekspir niewiele ponad dwa wieki temu uważany był za barbarzyńcę nieznającego podstawowych zasad sztuki. Oczywiście grają tu zawsze rolę osobiste gusta i kulturowe mody, ale też właśnie dlatego fakt, iż jakiś artysta zostaje szczególnie wyróżniony, przyciągając uwagę ludzi danej epoki, jest tak interesującym symptomem. Gdy patrzę na śliczne obrazy Rafaela, nie tyle dziwię się, co widzieli w nich romantycy, ile usiłuję wychwycić i wysłowić niejasne wrażenie, że to ich uwielbienie mówi mi o nich coś, co inaczej zrozumieć będzie trudno.

Jeśli przyjdzie po latach zrozumieć komuś niewypowiedzianą prawdę o naszej epoce, warto, by się zastanowił, co sprawiło, że tak powszechnym zainteresowaniem cieszą się obecnie dzieła późnego włoskiego renesansu, ze szczególnym uwzględnieniem może najbardziej popularnego „dawnego mistrza" – Caravaggia.

Anioł i laur

Trudno zaprzeczyć, że Michelangelo Merisi da Caravaggio (1571–1610) to postać będąca gotowym materiałem na opowieść o szaleństwie i geniuszu, artyście przeklętym i tragicznym. W jego biografii jest tyle tajemnic, miejsc niejasnych i niepewnych, że wcześniej czy później jakiś nowy Dan Brown zarobi miliony na jego domniemanym „kodzie". Ale jego legenda jest raczej dodatkiem do obrazów, które same w sobie przykuwają uwagę i pracują w widzu.

We mnie obrazy Caravaggia pracują w sposób, jaki obrazy innych wywołują tylko okazjonalnie, nawet wówczas, gdy doświadczam ich mocno. To się chyba zaczęło od „Wieczerzy w Emaus" z National Gallery, przed którą stanąłem po raz pierwszy, doznając nie zachwytu, lecz uderzenia rozpoczynającego coś w rodzaju podróży w głąb. Nie chodzi o rzemiosło, mistrzostwo techniki, o coś, co potrafią w swoim języku opowiedzieć znakomicie historycy sztuki. Caravaggio jest mistrzem malarstwa – jasne. Ale jego siła bierze się stąd, że jest mistrzem obrazu. To nie to samo, choć chyba nie można być drugim, nie będąc pierwszym.

O mistrzostwie obrazu można mówić, gdy pojawia się i zaczyna być odczuwalna siła, której nazwanie nie jest możliwe, bo gdyby było – obraz byłby niepotrzebny. Mistrzowski obraz nie wyraża i nie znaczy, nie przedstawia nawet. On jest i swoją obecnością rozpoczyna proces sprawiający, że bycie wobec niego to doświadczenie nieporównywalne z niczym. Takimi doświadczeniami są dla mnie niemal zawsze spotkania z obrazami Caravaggia.

Z Giovannim Lorenzem Berninim (1598–1680) mam jeszcze inną historię. Długo mnie nie przekonywał. Pewnie dlatego, że oglądałem tylko fotografie jego rzeźb, a te wydawały się jakieś płaskie i nieciekawe. Dopiero kiedy mogłem zacząć oglądać je na żywo (zwrot może wydawać się dziwaczny w odniesieniu do marmurów, ale właśnie on wskazuje na proces, który jest tu kluczowy), docierała do mnie ich siła. Jednak wciąż było w tym więcej podziwu niż rzeczywistego przeżycia. Nawet „Ekstaza świętej Teresy" widziana po raz pierwszy jakoś nie zadziałała. I dopiero wizyta w Galerii Borghese przekonała mnie do Berniniego cał-

GIUSTI / MATERIAŁY PRASOWE

MATERIAŁY PRASOWE

Caravaggio „Chłopiec ugryziony przez jaszczurkę", 1594 r.
Poniżej: Bernini „Głowa Meduzy", 1638-1640 r.

kowicie. Zobaczyłem z bliska i w ruchu, że „Apollo i Dafne" to nie jest rzeźba, ale dramat w kamieniu, o dynamice tym bardziej niezwykłej, że spojonej z niewiarygodną subtelnością przemiany ciała w laur. Chwila zastygła w marmurze, która nie przestała być chwilą.

Gra spojrzeń

Wiedeńska wystawa w Kunsthistorisches ma z pewnością ważny aspekt edukacyjny i już sama chęć, by dowiedzieć się więcej o włoskiej sztuce przełomu renesansu i baroku, jest wystarczającym powodem do polecenia Czytelnikom podjęcia wyprawy wiedeńskiej. Poszczególne części ekspozycji opatrzono włoskimi terminami artystyczno-filozoficznymi, które w epoce organizowały praktykę i myśl tych, którzy o sztuce pisali. Spoglądanie na zgromadzone dzieła z ich perspektywy oraz czytanie fachowych objaśnień jest z pewnością dobrym sposobem na podążanie za narracją wystawy. Jednak jej dramaturgia polega na czymś innym.

Zauważyć to można już na samym początku ekspozycji, którą otwiera słynny „Narcyz" Caravaggia, zapatrzony w swoje odbicie, zupełnie poddany śmiertelnie groźnej sile spojrzenia. Obok niego umieszczono równie słynną „Głowę Meduzy", którą spojrzenie w siebie zabiło, a którą Bernini wyrzeźbił jako chłopca. Zaraz za nią znajduje się kolejny dobrze znany obraz Carvaggia: „Chłopiec ugryziony przez jaszczurkę" – wizerunek młodości odkrywającej nagle niebezpieczeństwo, ukryte podstępnie w przymilnie pięknej kompozycji kwiatowej. Od razu więc dostajemy swoisty „tutorial" uczący zasad kompozycyjnych wystawy, w której dzieła dwóch wielkich inscenizatorów obrazów i figur spotykają się ze sobą, wzajemnie wzmacniając własne oddziaływanie. Narcyz zostaje dopełniony w Meduzie, a obaj mają kontrapunkt w trzecim chłopcu, tworząc trzyaktowy dramat poznania umieszczonego w cieniu śmiertelnego zagrożenia, jakie się z nim wiąże.

Po drugiej stronie sali inni chłopcy jeszcze bardziej komplikują grę obrazów i sił, które budzą. Dokładnie naprzeciwko Meduzy wisi „Dawid z głową Goliata" Caravaggia – pewny siebie, choć zarazem nieco smutny młodzieniec, który jest przewrotną ikoną całej wystawy. To młodość, która zdaje się już wiedzieć, że to, czego pragniemy i o co walczymy, gdy zostaje zdobyte, okazuje się źródłem smutku i żalu. Nie można wręcz nie przyznać racji tym, którzy twierdzą, że Dawid trzyma głowę samego siebie – starego. Tak się pisze wprawdzie o innej wersji tego tematu, wiszącej w Galleria Borghese, gdzie głowa Goliata to autoportret Caravaggia. Ale i wersja wiedeńska rodzi takie skojarzenie, być może dlatego, że na wskazanej wyżej zasadzie dramaturgicznej wydobywa je wiszący obok obraz Valentina de Boulogne, na którym niezwykle piękny Dawid patrzy na nas intensywnie, niemal tuląc głowę Goliata. Jego spojrzenie jest bardzo poważne, jakby właśnie coś zrozumiał i pytał, czy my też rozumiemy...

Dramat obrazów

Dramaturgia relacyjnego dopowiadania, wzajemnego wzmacniania, wydobywania przez zestawienie sprawia, że wystawy wiedeńskiej nie da się oglądać jako serii autonomicznych i podziwianych ↦

odrębnie dzieł sztuki. To zresztą w wielkich muzeach rzadko możliwe, bo obrazy wchodzą na siebie, odrywają wzrok jedne od drugich, wykorzystując nasze przyzwyczajenie do pospiesznego przeglądania. W Kunsthistorisches jest inaczej, bo pojawienie się w polu widzenia kilku zestawionych ze sobą obrazów jest tak zaplanowane, by uruchomić grę ambiwalencji i sprzeczności. Wiedeńska ekspozycja zabiera nas w podróż po świecie wyobraźni nieuzgadniającej sprzeczności i wcale nie dążącej do rozwiązania konfliktów, ale uznającej je za samo sedno ludzkiej kondycji.

MATERIAŁY PRASOWE

Caravaggio „Dawid z głową Goliata", 1601 r.

Nic tego nie pokazuje tak dobrze jak zgromadzone na wystawie obrazy ekstaz, łączące duchowość i zmysłowość, świętość i erotyczną rozkosz ciał. Moce rządzące naszym życiem są tu splątane w nieustającej miłosnej walce, którą pozornie zakończyliśmy, rozdzielając je i odsyłając do ściśle odseparowanych sfer. Ludzie epoki Caravaggia i Berniniego nie tylko znali ich niebezpieczne, a zarazem fascynujące związki, ale wręcz wchodzili w nie z precyzją i dyscypliną, które są warunkami ekstazy. Dramatyzm ich obrazów i rzeźb nie ma nic z owego nadmiaru, spektakularnej przesady, którą stereotypowo kojarzymy z barokiem. Wprost przeciwnie: jest – zwłaszcza w przypadku obrazów Caravaggia – niezwykle skondensowany. Maluje tylko to, co istotne, w kształtach, kolorach i kompozycjach tak esencjonalnych, że już niczego nie da się od nich odjąć. Ale w tych obrazach równie esencjonalny i napięty do ostatnich granic jest dramatyzm „wytwarzający siły, ażeby je zwalczać ciągle, lecz nie zwyciężyć nigdy" – jak pisał wielki przeciwnik dramatyczności w malarstwie, Władysław Strzemiński.

MUSEO NACIONAL THYSSEN- BORNEMISZA

Bernini, „Święty Sebastian", 1616 r.

Być może właśnie ta nierozstrzygnięta walka sprawia, że oglądanie obrazów Caravaggia, rzeźb Berniniego oraz dzieł innych artystów obecnych na wystawie wiedeńskiej wiąże się nie z przyjemnością estetyczną, ale z byciem wciąganym przez sieci napięć wyznaczane przez spojrzenia i gesty, niekiedy wprost skomponowane bardzo „teatralnie". Jest w tych dziełach dążenie do uchwycenia momentu szczególnej zmiany, tej decydującej o wszystkim chwili, którą tak często rozpoznajemy dopiero, gdy minie, pytając ze zdumieniem, czemu serce w nas nie pałało.

Żadnej wersji „Wieczerzy w Emaus" Caravaggia, ani tej z National Gallery, ani tej spokojniejszej, wiszącej dziś w Mediolanie, na wystawie w Kunsthistorisches nie ma. Wielka szkoda, bo to właśnie ta scena wydaje mi się dla właściwego mu dramatyzmu najważniejsza: gdy Bóg się objawia i w tym samym momencie znika. Między chwilą, gdy Go poznali, a tym, gdy zniknął im z oczu, nie ma przerwy, ale właśnie w tym braku lokuje się mi-

MATERIAŁY PRASOWE

Caravaggio „Cierniem koronowanie", 1607 r.

strzostwo Caravaggia i Berniniego – artystów wiecznego teraz.

Kto patrzy, kto widzi

Najbardziej przekonującymi na to dowodami są na wystawie dwa arcydzieła Caravaggia ze stałej kolekcji wiedeńskiego Muzeum: „Cierniem koronowanie" i „Madonna różańcowa". Na pierwszym męczony Chrystus jest tak doskonale zamknięty w zgodzie na swoją misję, że staje się nietykalny. Ani brutalna siła oprawców, ani pozorne współczucie widza w XVI-wiecznym stroju nie mogą Go dotknąć. Nawet nasz wzrok Go nie dotyka. Chrystus wymyka się władzy spojrzenia, co w przypadku obrazu jest paradoksem wyjątkowym i szczególnie znaczącym, bo zmusza do zadania pytania, kim jest ten, kogo widzę, i kim ja, który patrzę.

Z kolei „Madonna różańcowa" to wręcz cały wizualny traktat o pośrednictwie, widzeniu i wierze. Na jej polecenie św. Dominik ukazuje różaniec klęczącym u jego stóp błagalnikom i jest jasne, że i on, i stojący po drugiej stronie św. Piotr z Werony są dla nich i dla nas pośrednikami. To na nas patrzy Piotr, wskazujący zarazem na Madonnę, na nas też spogląda anonimowy sponsor obrazu, który chce się schować pod habit Dominika. Obaj pokazują nam ludzką drogę: przez pośrednictwo świętych, przez modlitwę.

Wiedeńska ekspozycja zabiera nas w podróż po świecie wyobraźni nieuzgadniającej sprzeczności i wcale nie dążącej do rozwiązania konfliktów, ale uznającej je za samo sedno ludzkiej kondycji.

Ale patrzy na nas ktoś jeszcze. Patrzy zdziwionym i ciekawym wzrokiem, jakim dzieci patrzą na nieznane sobie twarze. To Jezus. On nie potrzebuje pośrednictwa. I nie potrzebujemy go my. Wystarczy unieść wzrok.

Caravaggio nie ukrywa okrucieństwa i nędzy. Nie wymazuje naszych grzechów, nie tuszuje zbrodni. Ale na koniec ukazuje nas odartych z ozdób, proszących u kresu drogi o litość i zrozumienie, jak dwoje starców przed „Madonną pielgrzymów" w bazylice Sant'Agostino w Rzymie (której w Wiedniu oczywiście nie ma, ale którą zawsze mam przed oczyma) i jak grupę modlących się tutaj o różaniec. Nasz los zdaje się ujawniać nie tyle w błagalnych gestach, ile w widocznych na obu obrazach brudnych stopach, które przeszły tak wiele, że godne są, by być w centrum i na pierwszym planie. Jeśli coś, to te stopy wymodlą nędzarzom boskie współczucie.

Ostatni obraz głównej części wystawy to jeszcze jeden wizerunek św. Franciszka namalowany przez Caravaggia, tym razem nie w ekstazie, lecz w medytacji. Święty wynurza się z mroku, a jego twarz widoczna jest dzięki światłu bijącemu od czytanej Ewangelii. Jest spokojny, zatopiony w medytacji. Nie ma jednak wątpliwości, że jest też widzącym. Nagle uderza mnie, że jego postawa, układ przechylonego ciała i cała kompozycja obrazu są podobne do „Narcyza". Wracam na początek, by to sprawdzić, i dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że te dwa obrazy – pierwszy i ostatni – tworzą ramę dramatu, przez który właśnie przeszedłem. Nigdzie nie jest to skomentowane, czy nawet zasygnalizowane, ale nie wydaje się możliwe, by był to przypadek, że od patrzącego w siebie, czyli w śmierć, dochodzimy do widzącego życie.

Wychodząc (oczywiście przez sklep z pamiątkami; może ktoś kupi T-shirt z Narcyzem?), nie mogę wyjść z podziwu dla inteligencji i subtelności kuratorów wystawy: Gudrun Swobody, Stefana Weppelmanna i Fritsa Scholtena. O wyjątkowości i wartości tego, co stworzyli, nie decyduje ogromne i oczywiste znawstwo barokowej sztuki, ale wielki talent dramaturgiczny, umiejętność zakomponowania zawartości i przestrzeni ekspozycji w taki sposób, by przeprowadzić proces, który – aż boję się użyć tego słowa – ma wymiar duchowy. To nie o estetykę i walory artystyczne toczy się gra, ale o rzeczy absolutnie podstawowe: o życie, śmierć i zbawienie. Mam wrażenie, że w tym procesie Bernini jest partnerem, dopóki mierzymy się jeszcze z dwoma pierwszymi. Gdy zaczyna się dramat zbawienia, w całej jego ówczesnej i współczesnej problematyczności, na scenie pozostaje już tylko Caravaggio, legendarny szaleniec i grzesznik. Jeden z tych niewielu prawdziwych gwałtowników, którzy – jak napisano – zdobywają Królestwo Boże.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

CARAVAGGIO & BERNINI – *wystawa w Kunsthistorisches Museum w Wiedniu, czynna do 19 stycznia 2020 r. Potem jedzie do Amsterdamu, gdzie będzie ją można oglądać od czerwca w Rijksmuseum.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [18 XII – 3 I]

1. W oddali

Dokumentalny, reż. Martin Mareček, Czechy 2019, HBO, 19 XII, 21.40, HBO2, 20 XII, 22.50

Ojciec i syn wyruszają razem do Rosji, żeby odnaleźć matkę, która przed laty porzuciła dom, wybierając życie monastyczne. Wspólna podróż wystawia na próbę skomplikowaną relację łączącą obu bohaterów. Jest też okazją do przyjrzenia się z czeskiej perspektywy zupełnie innej kulturze i odmiennej wizji życia duchowego.

2. Pewnego razu w Hollywood

Komedia, reż. Quentin Tarantino, USA 2019, Chili

Ta premiera była jednym z najgłośniejszych wydarzeń filmowych roku 2019. Na 50. rocznicę zabójstwa Sharon Tate i jej przyjaciół Tarantino przyrządził wybuchowy koktajl z makabry i nostalgii. Jednocześnie pozbawił Mansona i jego sektę gwiazdorskiego nimbu, zakpił zarówno z kontrkultury, jak i złotej ery Fabryki Snów, która ukształtowała twórcę „Pulp Fiction".

3. Watch Docs

Przegląd dokumentalny, vod.pl

Zakończona niedawno 19. edycja festiwalu WATCH DOCS. Prawa Człowieka w Filmie ma ogólnodostępne przedłużenie w sieci. Wśród tytułów znalazły się: „Patriota", „Tęczowa rodzina", „Władca smartfonów", „Dobre wiadomości", „Wyzwolenie", „Ewangelia Eureki" oraz „6... 5... 4... 3... Na ulicy" Roberta Kowalskiego, pokazujący polskie akcje protestacyjne ostatnich lat, te wielkie i te małe.

4. Dwóch papieży

Dramat, reż. Fernando Meirelles, Argentyna/USA/Wielka Brytania/Włochy 2019, Netflix, od 20 XII

W tydzień po wejściu do wybranych kin studyjnych platforma streamingowa pokaże wyprodukowany przez siebie film. A w nim Jonathan Pryce jako papież Franciszek i Anthony Hopkins w roli Benedykta XVI spierają się o współczesny kształt Kościoła i zmieniający się świat. Wywiad z reżyserem ukazał się w „Tygodniku" nr 49.

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Kraina miodu"

Pszczoły i ludzie

ANITA PIOTROWSKA

Miód zmienia pszeniczny ulepek w kresową kutię. W niektórych rejonach Polski macza się w nim opłatek – na znak pomyślności. Czysty miód stał się bohaterem jednego z najczęściej nagradzanych dokumentów mijającego roku.

Krainą miodem płynącą jest w filmie Tamary Kotewskiej i Ljubomira Stefanowa górzysta Macedonia zamieszkała przez turecką mniejszość etniczną. Główna bohaterka, Hatidze Muratowa, w wyludnionej wiosce kultywuje starą tradycję pszczelarską. Kiedy za pomocą podkurzacza odymia plastry zamknięte w szczelinach skalnych, dziuplach czy w kamiennych ruinach, kiedy zalepia gliną staroświeckie słomiane ule, jednocześnie śpiewa i nawołuje – jak gdyby rozmawiała ze swoimi pszczołami. Następnie dzieli się z nimi tym, co powstało z ich wspólnego, ludzko-pszczelego trudu. Rzec by można, że „Kraina miodu" to po prostu dokument opiewający zrównoważony rozwój i drobną lokalną wytwórczość, ale zamiast zaangażowanej ekoopowieści, dostajemy coś jeszcze innego: brzęczący poemat o znikającym świecie. Tyleż sielskim, co chwilami brutalnym.

Podobno aż trzy lata spędzili twórcy z Hatidze i jej sędziwą, przykutą do łóżka matką, podpatrując ich samotniczą codzienność. Pewnego dnia zostaje ona zakłócona przez najazd hałaśliwej rodziny nomadycznych pasterzy, którzy w sąsiedztwie naszych bohaterek zakotwiczają swą przyczepę kempingową oraz przywiezione ze sobą spore stadko bydła. Będą razem jakoś koegzystować, aczkolwiek film skupia się przede wszystkim na wyostrzeniu klasycznego konfliktu pomiędzy grabieżczą eksploatacją a coraz bardziej utopijną wizją harmonii z naturą. Oto bowiem Hussein, ojciec rozkrzyczanej gromadki, zaczyna dostrzegać, czym jest wydobywane przez Hatidze płynne złoto. Na bazarze w Skopje można sprzedać je po dziesięć euro za słoik, a w porze nieurodzaju nawet za

cenę dwukrotnie wyższą, i obkupić za to całą rodzinę. Tymczasem głównej bohaterce wystarczy do zakupowego szczęścia niewiele: kilka bananów, tania farba do włosów, wachlarz dla starej matki.

Pokazuje więc „Kraina miodu" zderzenie pazerności i konsumpcji z pszczelarstwem jako szlachetną pasją i stylem życia. Próbujący wzbogacić się na miodzie przybysze nie mają ani krzty tej cierpliwości i serca, które pozwoliłyby im osiągnąć pożądane efekty bez niszczenia przy okazji dotychczasowego ekosystemu. Zazdroszczą sąsiadce, że jej ule są pełne, że jej miód świetnie się sprzedaje podczas lokalnych festynów, toteż szybko zaczynają stosować drogę na skróty. A pszczoły doskonale wyczuwają ów brak czułej ręki, odmawiając współpracy i żądląc boleśnie nowych gospodarzy. Na tym tle Hatidze, kobieta przedwcześnie stwardniała, choć na swój sposób pogodna, lepiej dogadująca się ze zwierzętami i dziećmi, zaczyna przypominać bohaterkę nie tyle obserwacyjnego dokumentu, co jakiejś nieistniejącej powieści Olgi Tokarczuk.

Autorzy filmu nie próbują lać litrami miodu na nasze serca, wręcz przeciwnie – jest też tu miejsce na sporą dawkę dziegciu. Z mieszanymi uczuciami przedstawiają archaiczny wycinek współczesnej rzeczywistości gdzieś na rubieżach Europy. Okazuje się, że zanim nastąpiła inwazja barbarzyńców, świat czułej pszczelarki nie był wcale rajskim ogrodem, ale ziemią już wcześniej głęboko skażoną. Kotewska i Stefanow zaledwie muskają przeszłość, lecz to wystarczy, by zobaczyć w bohaterce cichą ofiarę lokalnych tradycji, wedle których przypisana została raz na zawsze do swej służebnej roli, bez prawa do osobistego szczęścia. I Hatidze spełnia tę rolę z wielką pokorą, również na ekranie. W hodowli pszczół znajdując inny, być może wyższy rodzaj spełnienia.

Widok dziecka, które w pojedynkę odbiera poród cielaka, czy portret kobiety uwięzionej w miejscu swego urodzenia, stanowią ciemniejszy rewers tego pastoralnego obrazka. Podstawowy kontakt ze światem zewnętrznym przynosi przedpotopowe radio tranzystorowe, uzbrojone w antenę wykonaną z blaszanej miski. Czasem niewidzialny samolot przecina niebo białą szramą. Koniec świata, jakiemu ten film świadkuje, nie przynosi jednak żadnej lepszej alternatywy. Pszczoły wkrótce wymrą, zapanuje przemysłowa hodowla, pasteryzowane mleko w plastikowych butelkach zastąpi to od krowy, a Hatidze w końcu będzie musiała przeprowadzić się do miasta. Dlatego „Kraina miodu" to nade wszystko hołd złożony jednej z ostatnich strażniczek sztuki pszczelarskiej, uchwyconej w konkretnym momencie. Dziś ta sztuka zaczyna przeżywać swój zasłużony renesans, oby tylko nie był on spóźniony w obliczu dokonującej się na naszych oczach pszczelej apokalipsy.

Poorana bruzdami fizjonomia bohaterki sfilmowana została w macedońskim dokumencie niczym rzeźba, o co nie trudno przy nikłym świetle świec i lamp naftowych, wypełniającym wieczorami ubogą górską lepiankę. Pod względem wizualnym mamy do czynienia z kinem najwyższej próby. Ale łatwo też zauważyć, że chwilami oglądamy wydarzenia nie tyle naoczne, co w jakimś stopniu odtworzone dla potrzeb filmu. Mimo że autentyczne jest tło i sami bohaterowie, zapewne musieli oni powtórzyć przed kamerą wybrane sytuacje, które – jak wierzymy – zdarzyły się trochę wcześniej.

Sceptycy zastanawiają się, czy po tych ingerencjach Hatidze pozostaje w dalszym ciągu realną postacią, czy staje się raczej żywym symbolem niszczonej przez cywilizację niewinności. Ktoś inny mógłby zapytać, jaki ma w tym filmie status rodzina Husseina: na ile odgrywają oni role aroganckich najeźdźców, a na ile są nimi naprawdę. I do jakiego stopnia są świadomi funkcji przypisanej im w scenariuszu. Nie odbiera to bynajmniej „Krainie miodu" filmowej siły. Przypomina za to, że czysty dokument, podobnie jak w stu procentach czysty miód, pozostaje dzisiaj dobrem deficytowym. Pytanie tylko, czy – w przeciwieństwie do miodu – istniał on kiedykolwiek. ©

KRAINA MIODU *(Honeyland) – reż. Tamara Kotewska, Ljubomir Stefanow. Prod. Macedonia 2019. Dystryb. Against Gravity. W kinach od 20 grudnia.*

weź, czytaj!
zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego – Wydania Specjalnego", zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@tygodnik.com.pl**, my zajmiemy się resztą.
Do kompletu 4 dowolnych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

*** Cena pojedynczego wydania w tej ofercie – 15 zł.**

W ofercie można zamówić następujące tytuły wydań specjalnych „TP": „Do Betlejem!", „Wszystko, co wiemy", „Moc czytania", „Polska Żydowska", „Smak wolności", „Zwierzenia zwierząt", „Halo, tu Ziemia".

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Podkast Powszechny

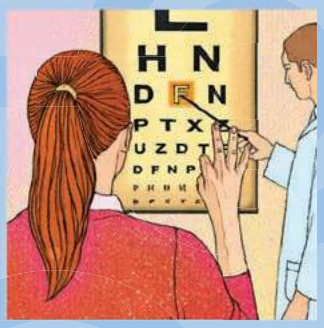

Autorski podkast „Tygodnika Powszechnego”

Już 24 grudnia – wyjątkowa opowieść wigilijna Pawła Sołtysa, czytana przez Autora!

A także: od jajka do kosmosu. Od Hańby! do „Gry o tron”. Od sztucznej inteligencji do Boga. Od psychologii do polityki. I dużo dalej.

O kryzysie klimatycznym, życiu osób głuchych, religii, prawach zwierząt, leczeniu niepłodności, mniejszościach, literaturze i futbolu kobiet. A nawet mężczyzn.

Zapraszają: Michał Kuźmiński, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Marcin Żyła.

weź, słuchaj!

powszech.net/podkast

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // BARTEK SYTA / POLSKA PRESS / EN // ŁUKASZ GIZA // GRAŻYNA MAKARA // BARTOSZ SIEDLIK DLA „TP” // FREEIMAGES.COM // PETTER ARVIDSON / EN // MAGDA WOLNY

B
14.12.2019
–01.03.
2020
W
CAŁA
POLSKA
wyprawa
do źródeł
sztuki
A
nieinstytucjonalne
przestrzenie
sztuki w Polsce
REKLAMA
Partnerzy Wystawy
ERGO HESTIA
HART hostel & art
TYGODNIK POWSZECHNY
Going.

JAN

Klata:
Temat na święta

Przede wszystkim chciałem podziękować Moim Córkom Janinie, Jadwidze i Marii za zapoznanie mnie z tym, czym żyją Polacy. Młodzi Polacy, przyszłe elity. Inteligencja. „Patointeligencja" [tytuł raperskiego klipu stworzonego przez absolwenta warszawskiego LO im. Batorego – przyp. red.] – numer jeden na karcie na czasie. Głos pokolenia – jak często używano owego wyświechtanego do rozpuku wyrażenia – obawiam się, że teraz nie bez kozery.

Dawno nie słyszałem nic tak poruszającego po polsku. Jak tu się nie wzruszyć, kiedy serduszko drga od pierwszego kadru, widoku znajomego gmachu. No i występują koledzy batoracy. W bawełnianych sweterkach na stulecie elitarnej, bardzo elitarnej szkoły. Mojej szkoły.

Zaprawdę, powiadam Państwu, warto posłuchać, co w trawie piszczy. Jest hymn, hymn nie nasz, ale naszych bliskich hymn. Nic tylko wchodzić do internetów i się zapoznać. Proszę się nie dąsać, nie szydzić, podejść otwarcie, bez dosiadania kobyły moralnego oburzenia, nie zasłaniać się, że szantaż emocjonalny bananowej młodzieży, że nie nasz problem, że przecież za naszych czasów...

Szczerze? Czuję się wywołany do tablicy, przecież moja szkoła, Mojej Córki Janiny trochę też, chodziłem na wywiadówki, na uroczystości, widzę emblematy, widzę boisko, widzę nieznajome twarze kolegów z innego pokolenia, twarze niezasłonięte, z otwartą przyłbicą w pełnym batorackim kontekście występujące. Myślenie w średnim wieku nakazuje przeskok w przeszłość, w rozważania, jak to drzewiej bywało, „za moich, mocium panie, czasów", w porównywanie *o tempora, o mores und so weiter and so on*. Odrzucam myślenie w średnim wieku, chcę myśleć teraz, co dalej. Piszę na gorąco, wszak „Patointeligencja" to numer jeden na karcie na czasie, ale obawiam się, że pieśń będzie na czasie przez długi czas jeszcze. Bo szczera.

Katolickie przedszkola, strzeżone osiedla. Łosoś, jazzowa kolęda. Jest temat na święta. Wesołych, rodzinnych świąt życzę nam wszystkim – polskim patointeligentom XXI wieku. Nasza wina, nasza wina, nasza bardzo wielka wina. ©

Lektor:
Kategoria „S"

▪ *Joanna Kulmowa, Wisława Szymborska*
TAK WYGLĄDA PRAWDZIWA POETKA, PODCIĄGNIJ SIĘ! – LISTY, *Wstęp, opracowanie i posłowie Urszula Chęcińska. Znak, Kraków 2019, ss. 386.*

Rok 2009, zakopiańska łąka, w tle świerki, dwie panie na leżakach, każda z kieliszkiem czerwonego wina. Autorem zdjęcia jest Jan Kulma. Opowieść zbliża się do końca, jeszcze życzenia świąteczne, jeszcze wiersz wysłany przez Joannę Kulmową leżącej w szpitalu Wisławie Szymborskiej. I już tylko daty śmierci: 1 lutego 2011, 17 czerwca 2018.

Historia zaczyna się ponad pół wieku wcześniej. Urzędowo, na papierze z pieczątką krakowskiego „Życia Literackiego", od „Szanowna Koleżanko". Szybko jednak relacja między redaktorką-poetką (Szymborska) a młodszą o pięć lat poetką-aktorką (Kulmowa) staje się cieplejsza, przyjacielska. Spotkania są bardzo rzadkie, ale wspólny obiad jesienią 1963 r. w krakowskim Wierzynku (ulubione rydze!) zaowocuje przejściem na „ty". Kulmowie przenoszą się w 1961 r. z Warszawy do Strumian pod Szczecinem, Joanna zarabia głównie pisaniem i tłumaczeniem librett operowych. Szymborska, choć nieustannie zapraszana, nigdy nie dotrze do ich schronienia, które zresztą okaże się nie do końca bezpieczne. Szczecińskim oddziałem Związku Literatów Polskich rządzi działacz partyjny imieniem Ireneusz (zwany pieszczotliwie Uryneuszem), za obronę Stefana Kisielewskiego i Pawła Jasienicy Kulmowa zapłaci w 1968 r. ostracyzmem w lokalnym środowisku. Korespondencja jednak kwitnie, urozmaicana wyklejankami i rysuneczkami. Kulmowa pisze częściej i obficiej, Szymborska jest powściągliwsza, za to szczerze chwali wiersze, aforyzmy i książki dla dzieci autorstwa przyjaciółki. Nie tylko zresztą o pisarstwo tu chodzi: „O ile znam się na gatunku ludzi, Ty reprezentujesz kategorię S".

W 1996 r. Kulmowie wracają do Warszawy, Joanna zostaje prezeską stołecznego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, a w następnym roku wraz z mężem zorganizuje 9 maja warszawskie spotkanie dwojga noblistów – to jakby symboliczne ukoronowanie wiernej i pięknej przyjaźni. Na koniec jeszcze cytat z listu Kulmowej po śmierci Redaktora „TP": „Widziałam Cię wczoraj w TV w filmie o Turowiczu. To bardzo smutne, że już odszedł. Po raz pierwszy zobaczyłam go na Kongresie Kultury w 81 roku – i dopytywałam się gorączkowo, kim jest ten pan o tak niezwykłej twarzy. Cały czas gapiłam się jak głupia – coś fascynującego było w tych tatarskich oczach, zwłaszcza w zestawieniu z nieśmiałym uśmiechem". ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Wina Tuska

Sto siedemdziesiąt dziewięć. Tyle nazwisk liczy lista osób występujących w świeżo opublikowanym dzienniku Donalda Tuska z lat spędzonych w Brukseli pod jakże intrygującym tytułem „Szczerze". Zdumiewająca skądinąd – nie z racji nazwisk, bo jest zrozumiałe, że ktoś taki jak szef Radu Europejskiej musiał spotykać, z większą lub mniejszą przyjemnością, postaci takie jak Xi Jinping lub Donald Trump. Cieszy też, że brzemię prowadzenia kontynentu przez rafy ostatniej pięciolatki nie odebrały mu możliwości spotkań z Olgą Tokarczuk czy biesiad z Bronisławem Majem – „o polityce i poezji". Wróćmy jednak do nazwisk. Sęk w tym, że to tylko, jak mawiają Anglosasi, *name-dropping*, czyli popis w trakcie przyjęcia, rzucone od niechcenia „myślałem, że zdążę przed powrotem zajrzeć na herbatę do Elżbiety, ale była zbyt zmęczona otwieraniem wystawy kwiatów". Ułożono z nich bowiem gołą listę, a nie indeks, wydawca uznał, że szkoda farby na numery stron. Ktoś zainteresowany tym, w jakich okolicznościach Tusk zetknął się z prezydentem Turcji, musi się natrudzić kartkowaniem, żeby trafić wreszcie na zdanie: „Pakuję prezenty dla wnuków, kiedy dzwoni Erdoğan".

Przyznam bez bicia, że taka fanaberia jak indeks była mi potrzebna w niecnym celu: chciałem sprawnie odkopać krążący po twitterowym piekiełku prześmiewców akapit, w którym Tusk chwali się, jak to siedząc na tarasie ogląda reprodukcje Kokoschki, puszcza z telefonu piątą symfonię Mahlera i pije malwazję. Kimże jestem, żeby wypominać skakanie po artystach? Kokoschka, no cóż, wypada wiedzieć, że istniał, ale rzadko się oglądało. Prawie nie wychodzę z kuchni, a tam z radia lecą proste kawałki, jednak z czasów, kiedy obcowałem z prawdziwą muzyką, pamiętam, że symfonie Mahlera słuchane bez skupienia osiadają na powierzchni mózgu jako sentymentalny podkład do niemego filmu. Moją złośliwą czujność wzbudził dopiero dźwięk nazwy wina. Malwazja bowiem nic nie znaczy, jeśli się nie dookreśli, o jaki konkretnie szczep chodzi z tej ogromnej rodziny występującej w całym basenie Morza Śródziemnego. Nasz były premier wszak lubi wino – w trakcie toskańskich wakacji w „pasterskim domu" (ale z basenem) notuje np.: „brunello w kieliszku. Poczucie szczęścia", czyżby więc niedopatrzenie w nazewnictwie to dowód pustego lansu?

Kartkowałem wytrwale, wyłuskując po drodze rzadkie wzmianki spożywcze („płaty tłuszczu z fok i przeraźliwie tłuste i lekko cuchnące kawałki skóry narwala" na Grenlandii), aż trafiłem na właściwą stronę. Tusk wspomina wizytę w Opatiji – w czasach c.k. monarchii krakowscy redaktorzy jeździli tam nad krajowe morze i zwała się wówczas Abacją. Nocuje w hotelu, który należał do brata Gustava Mahlera. Jego żona, piękna Alma, miała niekonwencjonalne podejście do monogamii, czego ofiarą padł m.in. wspomniany malarz, Tusk dostał najpewniej książkę o tych postaciach i stąd nazwiska w jego zapiskach. A winem musiała być *malvasia istrana*, faktycznie wybitny kompan na tarasie, zwiewny, kwiatowy w nosie, o ostrym kwasowym nerwie otulonym delikatną miodową słodyczą.

Przymiotnik odnoszący się do Istrii stanowi polityczną pułapkę – Chorwaci nie lubią, kiedy Włosi uprawiający tę winorośl z dobrym skutkiem po sąsiedzku go używają.

Czytają to bowiem jako rewizjonizm, powrót do irredenty, która niecałe sto lat temu sprawiła, iż Włochy sobie ten cudowny kawałek ziemi wzięły siłą razem z solidną porcją Dalmacji. Historycznie i językowo związany z Wenecją, ale to było dawno, teraz żywioł włoski zanikł i nikt już nie mówi: Abbazia, Rovigno, Pola, Fiume, Zara... To niejedyne polityczne wino w tej okolicy, krążył w Zagrzebiu pomysł, abyśmy w całej Unii przyjęli nazwę *graševina* zamiast *welschriesling* (w wydaniu węgierskim *olaszrizling*), bo wywodzi się z ich kraju. Mniejsza z tym, to nie jest popularne u nas wino, ale co zrobi Polak, kiedy na swoje ulubione primitivo będzie musiał wołać *crljenak kaštelanski*, bo zgodnie z naukowym konsensusem to jest praszczur tego szczepu? Czerniak kasztelański? Wróżę problemy.

Tusk w swej robocie musiał uważać, żeby nie nadepnąć któremuś z 28 premierów na odcisk, nawet skrobiąc ołówkiem w dzienniku, zachował się czujnie i dla dobra europejskiego projektu opuścił trefny przymiotnik. Po co mnożyć swary, już wystarczy że Polak z Niemcem się kłócili dopiero co: Kopernik czy Kopernikus? Ciężka to zaiste dola, trochę podobna do przedszkolanki, nie chciałbym tak musieć kluczyć, nawet za butelkę brunello dziennie.

Do nas z życzeniami zadzwoni przed wigilią tylko ciocia Basia, a nasz ewentualny dziennik miałby na końcu listę dwudziestu nazwisk ludzi bardzo ważnych – ale tylko dla nas. Ale czy za kilka dni nie będziemy stąpać po minowym polu świątecznych rozmów, gryźć się w język i kontrolować gesty? Bo nieważne, czy na górze drabiny (chwiejna to zresztą drabina i łatwo się z niej spada), czy na dole, dolą człowieka jest tkać relacje, czesać zdania, milczeć częściej, niż mówić. Słowa jak pociski, jak schrony i zwiadowcze drony, jak paragrafy raz po raz negocjowanego rozejmu.

Tak smakują święta, kiedy co roku ćwiczymy, niczym zgnuśniali rezerwiści, wielkie manewry społeczne. Życzę wam, żebyście mogli zawsze z nich wrócić. Do tej jednej osoby – na poduszce obok czy pośród trzasków w słuchawce – z którą słowa układa się tylko po to, żeby były piękne. Szczerze. ©℗

PNGIMG.COM

ZMYSŁY

SZALONY BIAŁY CZŁOWIEK

Gdyby wspinanie było tylko zginaniem ręki w łokciu, tobym się nie wspinał – mówi Marek Raganowicz.

BARTEK DOBROCH

MAREK RAGANOWICZ

MAREK RAGANOWICZ

Levi mówi: – Są trzy najważniejsze cechy niedźwiedzi polarnych. Są szybkie, silne i nieprzewidywalne.

Regan pyta: – Co mam zrobić, jak któryś mnie podejdzie?

– Najpierw strzelasz w powietrze. A gdy napiera, musisz strzelać do niego.

– W łeb?

– Nie, nabój może się odbić, możesz nie trafić, zranić go i rozwścieczyć. Musisz mu strzelić w serce.

– Ale Levi, niedźwiedź biegnie do mnie, a ja mam mu strzelić w serce, które on ma pod lewą łapą? Przecież to niemożliwe.

– Musisz mieć do tego umiejętności.

– Ale ja nawet w wojsku nie byłem.

– No, ja wiem.

Levi (czytaj: Liwaj) Palituq zabił w życiu ponad dwadzieścia niedźwiedzi. W Clyde River, liczącej niespełna tysiąc mieszkańców kanadyjskiej wsi na północnym wybrzeżu Ziemi Baffina, największej wyspy Archipelagu Arktycznego, Inuita obsługuje niewielki ruch turystyczny.

A Regan – Marek Raganowicz – jest jednym z nielicznych, którzy wspinają się na samą krawędź. Na najwyższe skalne urwiska świata. Opowiada o nich, gdy spacerujemy po nabrzeżu w Ullapool na zachodnim krańcu Szkocji.

Dla nich wracałby tam co roku. Gdyby było go na to stać.

I gdyby nie on. Jego oddech. Ślady łap na śniegu.

W skalnych katedrach

Marek dorastał w Szczecinie lat 60. i 70., w rodzinie bez związków z górami. Zastępowały je eska-

MARCIN TOMASZEWSKI

Na stronie 116, od lewej: Marek Raganowicz w Sam Ford Fiord i na Ship's Prow, Ziemia Baffina, 2017 r. Obok: Droga „Superbalance", Polar Sun Spire, Ziemia Baffina, 2012 r.

MAREK RAGANOWICZ: *Ziemia Baffina jest nierealna. Jesteś w przestrzeni, w której dominuje płaska powierzchnia zamarzniętych fiordów, a z niej wyrastają olbrzymie ściany. Nadal możesz się tam poczuć jak ludzie przed stu laty, tyle że masz współczesną odzież, żywność i łączność.*

pady z przyjaciółmi, tramwajem do końca trasy, i włóczęgi po Lesie Arkońskim. Bryza wolności wiała też ze stoczni. Grudzień 1970 r. – protesty, strzały milicji, zabici i ranni – zapadły mu w pamięć. Choć miał 9 lat.

Górskiego oświecenia doznał dopiero podczas wakacyjnego wyjazdu w Tatry. Objawieniem były też książki. Z „Moich gór" Waltera Bonattiego dowiedział się, że można się wspinać solowo. Gdy panował kult pracy zespołowej, indywidualizm nie mógł liczyć na aplauz.

Szczecińska młodzież w czynie społecznym jeździła w październiku do PGR-ów pomagać w kopaniu ziemniaków. Wracała zapita, zdarzały się niechciane ciąże. Dzięki podrobionemu przez brata zwolnieniu lekarskiemu uczeń Marek Raganowicz uniknął jednego z takich wyjazdów. I zrobił w Tatrach swoją pierwszą górską solówkę – filar Koziego Wierchu.

Potem przyszedł czas na zimowe wspinaczki w Kotle Kazalnicy. Wspinał się też z partnerami. Najważniejszy to Kubol – Dariusz Kubik, później dziennikarz radiowy.

Himalaizm go nie interesował. Wyjechał do Katowic na studia kulturoznawcze. Artur Hajzer, którego na nich spotkał, Rafał Chołda, Janusz Majer i inni traktowali alpejskie ściany jako szczebel na drodze w Himalaje. Marek jeździł do francuskiego Chamonix. Zdobywał północne ściany lodowych katedr skalnych, których nazwy – Les Droites, Aiguille Verte – brzmią dla wspinaczy jak Reims i Chartres w uszach miłośników gotyku.

W końcu trafił w góry najwyższe – choć nie na ośmiotysięczniki, lecz na wielkie ściany niższych szczytów. Uczestniczył w trzech wyprawach w Himalaje Garhwal. Szczytów nie zdobyto. W dodatku podczas wspinaczki na Bhagirati II latem 1988 r. zginął trafiony kamieniem Jan Nowak, Krzysztof Wielicki doznał zaś kompresyjnego złamania kręgosłupa. Odtąd Raganowicz nie będzie chciał już jeździć na wyprawy w większej ekipie. Do czasu kolejnej wyprawy upłyną 24 lata. W 2012 r. wyruszy po raz pierwszy na Ziemię Baffina.

Coś, co wstrząsa

Przyciąga go tam nagromadzenie skalnych ścian. A wśród nich te najwyższe. Północną ścianę Polar Sun Spire (Turni Polarnego Słońca), którą siedem lat temu pokonali z Marcinem Tomaszewskim, zwanym Yetim, wyznaczając na niej drogę „Superbalance", uważa – za jej pierwszym zdobywcą Markiem Synnottem – za najwyższe urwisko świata. Odrzucając ściany, których wysokość mierzona jest często od podstawy zajmowanej przez stoki lub piargi. Bo wielkościanowego wspinacza interesuje tylko bezwzględna wysokość od początku skalnego terenu.

Za najwyższe niemal pionowe urwisko oficjalnie uchodzi Great Trango Tower w pakistańskim Karakorum. Ale pomiary Synnotta, który także wspinał się na obie turnie, wskazują, że przekraczająca półtora kilometra ściana Turni Polarnego Słońca jest najwyższa.

– Ziemia Baffina jest nierealna – próbuje mi wyjaśnić przyczyny swojej fascynacji na nabrzeżu w Ullapool, pośród białych domów i kontrastującej z nimi zieleni, które od północno-wschodnich wybrzeży Kanady oddziela Ocean Atlantycki. – Jesteś w przestrzeni, w której dominuje płaska powierzchnia zamarzniętych fiordów, a z niej wyrastają olbrzymie ściany. I gdzie nie spojrzysz, one są. Nadal możesz się tam poczuć jak ludzie przed stu laty, tyle że masz współczesną odzież, żywność i łączność. Łączność, która nie daje gwarancji bezpieczeństwa. Nie ma tam bowiem służb ratowniczych.

A jego przyciąga właśnie ta dzikość. I przestrzeń tak ogromna, że bliskość ścian i szczytów jest polarną fatamorganą: – Bierzesz plecak, strzelbę, idziesz, a góra, w której kierunku ruszyłeś, w ogóle się nie przybliża.

Wspinaczka Polaków na Polar Sun Spire wzbudza u Inuitów wielki szacunek. Gdy potem Regan wraca na wyspę samotnie, Levi mówi: – Jesteś *crazy white man*.

Szalonego białego człowieka przyciąga na wyspę przygoda: – Dzieje się coś, co tobą wstrząsa. Tak jak u dziecka, które ogląda film o Zorro i myśli, że chciałoby być jak on – tłumaczy. – Tyle że koń, na którego Zorro skacze w filmie, stoi w miejscu i nigdy się nie rusza. A w życiu najczęściej jest tak, że ten koń odjeżdża, a ty skaczesz i tłuczesz się o ziemię. Następuje konfrontacja z życiem weryfikującym marzenia, ale ciąg pozostaje niezmienny. Gdyby wspinanie było tylko zginaniem ręki w łokciu, tobym się nie wspinał – mówi Marek Raganowicz.

↦

Prasowanie pieczątek

Konfrontację z życiem przyniósł rok 1989. Przemiany otworzyły nowe możliwości, odciągając wspinaczy od gór. Choć już wcześniej wyprawowy przemyt uczynił z tej grupy forpocztę polskiego wolnego rynku. Pierwszy przemytniczą dolę wybrał starszy brat Marka, Jacek, muzyk poszukujący funduszy na nową gitarę. Wszystkie drogi prowadziły do Delhi, na Pahar Ganj. Do Indii zaczął latać na trasie z Singapuru jako „przewalacz" z torbami pełnymi sprzętu elektronicznego, zyskując ksywę Muzyk. Po tragicznej wyprawie na Bhagirati II dołączył do niego także Kubol.

Regan wrócił do Polski. Zaczął sprzedawać sprowadzane z Azji kalkulatory. Przynosiło to dochody szybciej niż przemyt czy praca na wysokościach. Kontakty w Azji pozwoliły mu ominąć w łańcuchu sprzedaży berlińską hurtownię. Muzyk okazał się mistrzem przerabiania numerów seryjnych na kamerach i magnetowidach, zmywania pieczątek i adnotacji przewozowych z pokrytych uprzednio przezroczystym klejem kartek paszportów i ich prasowania. Niepowodzenie tych zabiegów zwiększało ryzyko wpadki, która groziła zarekwirowaniem towaru. Dopóki była nim elektronika, a zmieniająca się koniunktura nie skłoniła przewalaczy do przerzucenia się z „wideł" na „żółtko" – czyli złoto.

Brak wykrywaczy metalu na lotnisku w Kalkucie nie uchronił Kubola przed wpadką z niecałym kilogramem kruszcu wklejonym w podeszwy. Opis kalkuckiego więzienia Dum Dum z książki Raganowicza przypomina to tureckie z filmu Alana Parkera „Midnight Express" albo mumbajskie Artur's Road z kultowej powieści Australijczyka Gregory'ego Davida Robertsa. Niektórzy czytelnicy będą nazywać potem „Zapisanego w kręgach" polskim „Shantaram".

Wnioski o wypuszczenie Kubola za kaucją odrzucono. List do Regana zawierał więc plan więzienia i ucieczki z niego wraz z listą niezbędnego sprzętu wspinaczkowego. Więzień miał sforsować mur za pomocą przerzuconej przez niego liny oraz małpy – przyrządu samozaciskowego. A następnie opuścić Indie ze sfałszowanym paszportem. W tym prawdziwym Raganowicz miał z kolei sfałszowaną prolongatę singapurskiej wizy. Droga do Kalkuty prowadziła przez tamtejsze lotnisko Changi.

Prośba urzędnika o udanie się do biura była uprzejma. A ręce policjantów zakładających kajdanki zdecydowane i brutalne. Podejrzenie o przemyt w znanym z surowego prawa kraju budziło najczarniejsze myśli. Podsycały je opowieści spotkanych w sądzie obcokrajowców. Przygotowane w plecaku na powitanie kolegi sery bleu, camembert, brie i gruyère w areszcie szybko się kończyły. Na szczęście już po dziesięciu dniach wybawienie przyniosła decyzja o deportacji.

Przed więzieniem Dum Dum uratowała go decyzja niedoszłego uciekiniera o porzuceniu planu ucieczki i zmianie prawnika. Wyszedł za kaucją po niecałym roku. Przemytniczy biznes brata Marka zakończyła kolejna wpadka jego ludzi ze złotem. Przemiany demokratyczne otworzyły możliwości legalnych interesów w Polsce. Import koniaków i win z Francji okazał się niszą dla rodzinnego biznesu.

Zmieniające się przepisy celne wymusiły jednak zmianę handlowej działki. „Można powiedzieć, że z myśliwych zamienialiśmy się w hodowców" – będzie wspominał później. Jednak nie uchroniło to firmy przed bojem z urzędem skarbowym zakończonym upadkiem.

Podobnie jak produkującą górską odzież firmę Alpinus, założoną przez Artura Hajzera i Janusza Majera. Ale w czasie snów o potędze Regan został jej przedstawicielem handlowym w Szwajcarii i Chamonix. Sprzedawał polskie polary i goreteksy ubrany w czerwony garnitur Hugo Bossa i jedwabny krawat, jeżdżąc krwistoczerwonym camaro, jak komiwojażer z obwoźnego handlowego teatru szalonych lat 90.

Ale w tę sztukę także wpisana była katastrofa. Po kolejnym biznesowym i życiowym upadku znów wylądował pod ścianą, tym razem wyjątkowo trudną, kruchą i zacienioną. Zbudowaną z chaosu, smutku, emocjonalnego zgiełku.

Cisza nie do pojęcia

Levi pyta: – Czy jeśli w okolicy będą jacyś myśliwi, mogą zobaczyć, co z tobą?

Regan zgadza się i zostaje sam na sam ze ścianą. Z Dziobem Okrętu – Ship's Prow. Wcześniej żegna się z Yetim, z którym powrócił na Ziemię Baffina po pięciu latach. Na początku wyprawy na działanie nie pozwalają temperatury. Zamiast normalnych w zimie minus 30, przy wietrze jest minus 55. Miejscowy posterunek policji rozwiesza rządowe ostrzeżenia, żeby ludność została w domach, aż temperatury wzrosną. W marcu mróz lżeje, ale tylko Regan może pozostać tu na kolejne siedem tygodni. Gdy już tkwi w sześćsetmetrowej pionowej zerwie zimnego granitu, ciszę – tak kompletną, jakiej wcześniej nie doświadczył – przerywa bzyczenie skutera. W oddali, na białej połaci lodu, kry, wypiętrzeń, dostrzega poruszające się punkty. Zatrzymują się.

– Myślałem, że podjadą pod ścianę, krzykną pytając, jak leci. Ale popatrzyli przez lornetki i pojechali w drugą stronę. Więcej się nie pojawili. Wiedzieli, że chcę zostać sam, i mieli dla tego szacunek – opowiada, a dźwięki nadbrzeżnej ulicy, szmer samochodów, przeciągły syk ekspresu do kawy, brzdęk szklanek wypełnionych whisky, muzyka bandu grającego szkocką muzykę mieszają się z szumem morza i syreną odpływającego promu.

W namiocie rozbitym pod ścianą ma mały budzik, który tyka. Jego tik-tok, tik-tok jest nie do zniesienia. Wyciąga baterie. Uświadamia sobie, że nie jest mu potrzebny czas. Wyznacza go tylko pora pobudek i drzemek. Oraz słońce.

Mike Libecki, który wspinał się tam przed nim, medytował. Dla Regana medytacją staje się samo bycie tam.

Na Dalekiej Północy nie potrzebuje też muzyki, choć w jego życiu odgrywała ona ważną rolę. Pierwszy koncert Milesa Davisa w Polsce, Tom Waits w Chicago, Wysocki, Kaczmarski, muzyka filmowa. Sam grał kiedyś na perkusji, myślał o jazzie. Stwierdził jednak, że jego świat jest gdzie indziej: w naturze, ciszy, która wszystko w człowieku wyczyszcza. Dopiero potem natrafi na książkę „Cisza" norweskiego podróżnika i pisarza Erlinga Kagge, który opisuje podobne doświadczenia z Antarktydy.

Drugą drogę, którą pokonuje na Dziobie Okrętu, nazywa „Secret of Silence" – „Tajemnicą Ciszy". Gdy po jej ukończeniu Levi przyjeżdża z grupą kilkunastu turystów, Regan przeżywa szok kulturowy.

Inuita jest zachwycony nazwą.

Levi mówi: – Cisza jest tu absolutnie nie do zrozumienia.

MAREK RAGANOWICZ

W portaledżu pod okapem na drodze „Plastic Surgery Disaster", El Capitan, październik 2016 r.

Pomost między światami

Świat jego pracy stoi po przeciwnej stronie niż świat jego pasji. Trzeba chodzić w nausznikach, żeby nie ogłuchnąć. Czystość nieskażonej cywilizacją Dalekiej Północy stanowi dysonans wobec brudnej technologicznej scenerii platform wiertniczych. Ale pociągała go w nich izolacja, a do pracy predestynowała znajomość technik linowych nie tylko z granitowych ścian, ale też ze śląskich kominów w latach 80.

Po drodze do Szkocji i na Morze Północne było wejście Polski do Unii Europejskiej, zezwolenie Polakom przez Wielką Brytanię na pracę, przemysłowe Birmingham – „połączenie Łodzi z Katowicami" – i mycie szyb na wieżowcach. Oraz ochroniarz jednego z nich, pakistański Hindus i jego przypinane co tydzień do korkowej tablicy sentencje. „To nie droga jest trudna, lecz trudności są drogą" (Søren Kierkegaard) – zanotuje jedną z nich.

W październiku 2005, po ponad roku na Wyspach, jechał z Aberdeen do pracy w stoczni w Invergordon. Droga prowadziła na północ przez Inverness. Przez most rozpięty ponad uchodzącą tu do Morza Północnego rzeką Ness, z którego widać nisko zabudowane miasto z górującą nad nim neogotycką rekonstrukcją zamku Macbetha. Jeden rzut oka wystarczył, by pół roku później założył tam swoją bazę. Azyl i pomost pomiędzy światami.

Lata temu szkocki wspinacz, który odwiedził Tatry, napisał mu w dedykacji w albumie o ścianach swojej ojczyzny: „Ben Nevis czeka na twoje ręce, whisky czeka na twoje gardło".

Czeka też na moje. Na powitanie w jego domu na przedmieściach Inverness.

– Nie wstydzę się tego, że pracuję na platformie. Jestem robolem wśród roboli. To mi odpowiada – mówi. – Ale rozumiem też protestujących z Greenpeace. Oni nie atakują wszystkich platform, lecz te, które powstają w nieodpowiednich miejscach, np. w okolicach Ziemi Baffina. To powinno być wyrugowane. Ale na Morzu Północnym pracuję na platformach, które mają bardzo wyśrubowane standardy ekologiczne.

Mając czterdzieści parę lat, w Szkocji odrodził się jako wspinacz. Skupił się na wspinaczce hakowej. Popularnej przed 50 laty, a dziś wypartej przez tę klasyczną. Napis, który swoim zwyczajem umieścił podczas jednej z wypraw na kasku, brzmiał „*black sheep*".

– Bo jesteśmy takimi czarnymi owcami: robimy coś, co jest *passé* – tłumaczy.

Ten niemodny gatunek wspinaczki uprawia według ścisłych zasad stylu *clean*, czyli osadzając jedynie tymczasowe punkty asekuracyjne bez użycia młotka, a tym bardziej wiertarki. W sposób naturalny.

Równie ważnym jak cel i droga, jest dla niego styl. A w Szkocji liczą się także warunki. W ciągu jednego dnia przeplata się tu kilka pór roku. *Playground* stanowi połączenie trawy, lodu, skały i śniegu. Czasem jedna noga trzyma się zębami raków na oszronionej trawie, druga wbija się nimi w lód, jedna ręka szuka chwytu w skalnej rysie, a dzierżony w drugiej czekan opiera w śniegu.

Oddech króla

Niedźwiedź polarny się nie wspina. Można więc przed nim uciec na skały. Jeśli tylko się zdąży. Pierwszy niedźwiedź, który nawiedza Raganowicza na Ziemi Baffina, przychodzi w dzień. Obchodzi namiot i potyka się o linki namiotu. Odchodzi, ale w nocy wraca i kradnie worek z liną.

Regan: – Gdy już jest, naiwnie myślisz: „Cicho, nie oddychać, może on nie będzie wiedział, że tu jestem". A przecież wiadomo, że on wie. Po to tu przyszedł.

Opowieść o ataku niedźwiedzia jest jednym z największych horrorów, które słyszy Regan.

Levi mówi: – Będąc w namiocie usłyszysz jego oddech [nachyla się i zaczyna naśladować]. Pamiętaj, jak usłyszysz taki oddech, to jest to niedźwiedź.

– No wiadomo, przecież nie sąsiad myśliwy!

– Musisz być gotowy do walki.

– „Gotowy do walki" oznacza broń w ręku?

– Musisz być przygotowany do strzału w jego kierunku.

– A co się dalej dzieje?

– On cię może zaatakować lub nie zaatakować.

– Ale co zrobi, jak zaatakuje?

– Ma bardzo ostre pazury. Wystarczy, że oprze łapę o namiot i namiot jest w strzępach. Wtedy go zobaczysz. Ale może też uderzyć namiot łapą. Zroluje cię wtedy razem z karabinem i całym namiotem.

– Co zrobi, jak w niego nie wceluję?

– Jak nie zabijesz go od razu, to on na ciebie naskoczy i pierwsze, co zrobi, to cię tak rozszarpie pazurami. On wie o tym, że jest ciężki.

Na Ziemi Baffina Regan odwiedza bibliotekę. W każdej bajce dla dzieci Inuita jest malutki, a niedźwiedź jest wielkim potworem. Nazywany jest Królem Arktyki. Król robi, co chce. Nie można go oswoić.

↦

Miles Davis na ścianie

Natchnienia przed wyprawami szuka na plaży w Dores nad Loch Ness. Opowieści o nich płyną też z szumem wodospadów Foyers, nad którymi inspiracji szukali podróżnicy, angielscy poeci jezior John Keats i William Wordsworth oraz szkocki wieszcz Robert Burns: – Za swoją najpiękniejszą drogę uważam „Surgeon General" na El Capitanie. To droga Amerykanina Erika Kohla, osoby radykalnej w kwestii etyki wspinania. Wisisz na ścianie i widzisz, że na następnych pięciu metrach nie ma żadnej rzeźby, absolutnie nic. Następuje dezorientacja: „Tu się nie da przejść". Robisz następny ruch, pół metra, i dopiero widzisz możliwość kolejnego.

Do kalifornijskich Yosemitów, mekki wspinaczki wielkościanowej, wraca co roku, od kiedy w 2006 r. wspiął się drogą „Zodiac", która otrzymała nazwę od pseudonimu nieuchwytnego seryjnego mordercy. Do wspinaczki potrzebny jest tam portaledź, czyli wiszący namiot.

– Ja go nie miałem – przyznaje. – A że jestem z oldskulowej szkoły tatrzańskiej, zabrałem „gniazdo nietoperza", rodzaj hamaka ortalionowego z kapturem. „Ty jesteś Regan" – mówili później. „Skąd wiesz?" – pytałem. „Wszyscy wiedzą. Przecież to ty robiłeś »Zodiaca« z hamakiem. Myśmy tu ostatnio 30 lat temu widzieli coś takiego".

Wytyczonej z Marcinem Tomaszewskim w 2013 r. nowej drogi na północno-zachodniej ścianie Great Trango Tower, za którą dostał kilka nagród, nie uważa za najtrudniejszą. „Droga wojownika nie oznacza wcale walki, czasami wręcz przeciwnie" – napiszą po powrocie wspinacze.

Walczyć muszą trzy lata później zimą w siwej od szronu norweskiej Ścianie Trolli – najwyższym skalnym urwisku Europy. Choć to głównie walka ze sobą w katastrofalnych warunkach. Nową drogę nazywają „Katharsis".

Yeti mówi: „Regan, nigdy w życiu nie związałem się liną z nikim, kto w taki dzień jak wtedy nie powiedziałby mi, żebyśmy się wycofali i wrócili do namiotu". W ścianie spędzają 18 dni.

Regan wiąże się liną z Yetim po raz pierwszy pod ścianą Polar Sun Spire. Swoich najpoważniejszych przejść dokonuje, mając skończone 50 lat.

W 2017 r. jako pierwszy przechodzi zimą solowo drogę na Ścianie Trolli. Któregoś wieczoru na ścianie telefon, który podczas wypraw trzyma zazwyczaj wyłączony, włącza się i samoistnie puszcza „Don't Loose Your Mind" Milesa Davisa.

– Nie mam żalu do życia o upływ czasu. Jest mi to zupełnie obce. Moje ciało zadziwia mnie z wiekiem – przyznaje w drodze powrotnej do miasta. I zmienia temat: – A teraz pokażę ci najbardziej kultowe miejsce w Inverness.

Stary antykwariat Leakey's przypomina raczej świątynię lub skarbiec. Nie przypadkiem, bo 100 tysięcy książek mieści w dawnym XVIII-wiecznym gaelickim kościele. Przyroda zapełnia jedną z bocznych kaplic, poezja, przewodniki, książki podróżnicze i górskie wznoszą się na wysokich półkach w miejscu chóru. W czasie zawieszonym między zgiełkiem odwiertów a polarną ciszą Regan siada na antresoli i pisze. „Zapisany w kręgach" uznany zostaje w 2017 r. Książką Górską Roku.

MAREK RAGANOWICZ

Wie, że sam nie może stamtąd uciec. I że on może wrócić rano albo za pięć minut. Robi sobie selfie. Myśli: „Ostatnie zdjęcie. Może ktoś znajdzie aparat".

Marek Raganowicz, Ziemia Baffina, 2018 r.

On powraca

Rok później jest znów sam na Ziemi Baffina. Przez osiem tygodni nie spotyka nikogo. Powraca tylko on. Inny, duży. Obchodzi namiot, zachodząc pod wiatr, jak myśliwy. Regan budzi się około północy. Chce wyjść za potrzebą. Rozpina śpiwór i słyszy trzask. W miejscu, z którego codziennie odrzuca śnieg. Później okaże się, że on przeskoczył przez śnieżną hałdę.

Regan chwyta za strzelbę, podnosi się w śpiworze i czeka. Słyszy chrzęst śniegu. Dźwięk wędruje wokół namiotu, wiedzie za nim strzelbą. Dźwięk cichnie. Myśl, że może poszedł. Ale wtem znów się pojawia. Od strony, po której Regan miał głowę. Teraz klęczy ze strzelbą wycelowaną w przedsionek namiotu. Wie, że strzelba jest zepsuta. Cyngiel zardzewiał i nie wraca. Trzeba go pchnąć palcem. Regan ma szanse tylko na jeden strzał. Widzi parcie na namiot. On naciska pyskiem na ścianę.

Levi powie potem: – Nie znam przypadku, żeby w takiej sytuacji ktoś nie strzelił.

Regan: – Ale przecież ja go nie widziałem.

– Wszystko jedno, strzelałbym przez namiot.

– Ale ja nie strzeliłem.

Chór myśliwych: – Prawdopodobnie dlatego żyjesz.

Regan nie umie do dziś zrozumieć, jak wytrzymał ten moment. Ten nacisk.

I nagle znowu dźwięk skoku, skrzypienie i cisza. Przypomina sobie zalecenie Levi Palituqa: „Delikatnie odepnij zamek namiotu, wystaw strzelbę i strzel przez szparkę". Widzi go, naprawdę wielkie zwierzę. Strzał! On odskakuje, zatrzymuje się i patrzy. Drugi! On zaczyna odchodzić. Regan wyskakuje przed namiot. W samej bieliźnie. Minus 30. Ładuje karabin. Strzela w powietrze raz za razem. Widzi, jak on ucieka na drugą stronę fiordu.

Wie, że sam nie może stamtąd uciec. I że on może wrócić rano albo za pięć minut. Robi sobie selfie. Myśli: „Ostatnie zdjęcie. Może ktoś znajdzie aparat".

Ale on nie wraca. Regan wyciąga telefon satelitarny. Dzwoni, prosząc o ewakuację. Przez trzy dni przeczekuje jeszcze burzę śnieżną.

Potem pokazuje myśliwym zdjęcia odcisków łap na śniegu. Należą do starego niedźwiedzia. Levi mówi: – Nie mieści mi się w głowie, że cię nie zeżarł. To, że przeżyłeś, znaczy, że on dał ci szansę.

Na pożegnanie daje Reganowi w prezencie futerał strzelby z foczej skóry: – Weź to ze sobą, wracaj do domu i żyj.

© BARTEK DOBROCH

REKLAMA

MACEDOŃSKI KANDYDAT DO OSCARA®

WIELKI ZWYCIĘZCA

Millennium 16th DOCS AGAINST GRAVITY
NAGRODA BANKU MILLENNIUM
NAGRODA PREZYDENTA MIASTA GDYNI
GRAND PRIX ŚLĄSKA
BYDGOSZCZ ART DOC AWARD

3 NAGRODY W SUNDANCE

WIELKA NAGRODA JURY
NAJLEPSZE ZDJĘCIA
NAGRODA JURY 'IMPACT AND CHANGE'
sundance film festival

Best International Documentary
DOCAVIV
2019

TV3 DOCSBARCELONA BEST FILM
DOCS BARCELONA FESTIVAL
2019

Gdy ktoś złamie zasady, cenę płacą wszyscy

KRAINA MIODU

W KINACH OD 20 GRUDNIA

reżyseria LJUBOMIR STEFANOW i TAMARA KOTEWSKA zdjęcia FEJMI DAUT, SAMIR LJUMA
produkcja i montaż ATANAS GEORGIEV dźwięk RANA EID muzyka FOLTIN
produkcja PHARMACHEM – SKOPJE, APOLO MEDIA, TRICE FILMS
wsparcie SWISS AGENCY FOR DEVELOPMENT AND COOPERATION SDC, NATURE CONSERVATION PROGRAMME IN MACEDONIA – NCP, MACEDONIAN FILM AGENCY, SFFILM DOCUMENTARY FILM FUND film powstał dzięki wsparciu SFFILM INVEST program SFFILM AND CINEREACH światowy dystrybutor SUBMARINE, DECKERT DISTRIBUTION

© 2019, WWW.HONEYLAND.EARTH

www.againstgravity.pl
fb filmyAgainstGravity

PHARMACHEM FILMMAKEM · APOLO MEDIA · Kreatywna Europa MEDIA · wyborcza · GREENPEACE

STANISŁAW

Mancewicz:
O polewaniu

Jakiś czas temu sygnalizowaliśmy tu delikatnie pewną nowość, ale zdaje się delikatność nie jest już potrzebna i można rzec wprost, że tzw. salon przestał wreszcie skamleć w reakcji na każde słowo dowolnego członka PiS bądź to sympatyka tego ugrupowania.

Rzecz jasna tu i ówdzie, z dowolnego powodu, słychać drobne piski, ale nie jest to już zjawisko satysfakcjonujące chyba kogokolwiek prócz amatorów. Wydaje się, że salon wraca do tego, co w istocie umie znakomicie, czyli zaczyna zdrowo polewać i hardzieć. Jest to zaiste wynik, na który składa się kilka czynników. Najważniejszy z nich to zorientowanie, będące zawsze odwrotnością dezorientacji. Orientacja w tym przypadku polega na spostrzeżeniu, że z klimatu tzw. dobrej zmiany zostały dymiące gruzy. Polewanie jest efektem – za przeproszeniem – paradoksu. Oto zdezaktualizowanemu, ale wciąż uprawianemu monologowi o wyższości moralnej towarzyszy widok i zapach bagna. Jest to bagno bardzo musujące i głębokie, głębsze z dnia na dzień i spienione. Ktoś nam tu mądrze powie, że wynik wyborów nie jest dla salonu dobry, ale zaiste nie o wybory nam idzie, tylko o klimat przede wszystkim. Została z niego szarpanina z rzeczywistością, co jest zawsze mordercze dla spójnej fabuły. Nic tak nie szkodzi fantazjom jak próba przeniesienia ich do rzeczywistości przez ludzi potrafiących wyłącznie gadać, a mówiąc wulgarnie: chodzi nam tu o „picowanie". O pic – czyli nic.

Gdzieniegdzie oczywiście widać jakieś fatamorgany, uważa się mianowicie tu i ówdzie, że salon jednak wciąż skamle i kwiczy. Dajmy na to dlatego, że telewizja nie puściła wykładu noblowskiego laureatki. Jest to jednak, mówiąc w skrócie, chciejstwo. Salon bowiem teraz nie skamle, tylko polewa i jest to – naszym skromnym zdaniem – diagnoza dająca do myślenia, jeżeli oczywiście ktoś tę czynność lubi, a lubi niestety niewielu.

Otóż nikt w kraju naszym, będąc przy choćby umiarkowanie zdrowych zmysłach, nie wyobraża sobie, że coś takiego jak partyjna telewizja bądź radio mogłyby przez sekundę realizować jakąkolwiek misję kulturalną, skierowaną do szerzej pojętego ogółu ludzi bezpartyjnych. Jest to nauka płynąca z ostatnich czterech lat. Nauka, dodajmy, mocno utrwalona. Słowem, jeżeli ktoś się lubi uczyć – zrozumie, że doprawdy nie ma co kwiczeć, wyć, ale można polewać.

Niejako przy owej literackiej – za przeproszeniem – okazji podjęto partyjno-rządowe analizy na temat czytania bądź to nieczytania książek. Czytanie, tego nie da się niestety ukryć, jest tematem w Polsce za trudnym dla polityków, dla ich pomagierów w mediach i dla znacznej części elektoratu. O czytaniu mówi się w tych sferach w sposób tak żenujący, że skłaniający zaiste do kwiku. Każdy czytający i słuchający mówiącego o czytaniu wydelegowanego funkcjonariusza musi kwiknąć i zaskamleć. I tu także jest różnica w pojmowaniu i etiologii tych odgłosów. Nie są to kwiki oburzenia wcale, nie są to głosy lamentu nad upadkiem jakkolwiek pojętej kultury, też salonowej, ale i niesalonowej. Są to po prostu osobliwe głosy satysfakcji, że przez cztery lata nie udało się dobrej zmianie przytulić kogokolwiek mówiącego prawidłowo i z sensem. Jest to tak smutne, że można z tego tylko polewać. Dobrych Świąt. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

WIELKIE PYTANIA NA NOWO

TYGODNIK POWSZECHNY

4/2019

WARTOŚCI DZIŚ

BÓG

125 Gdyby nie istniał
KS. ADAM BONIECKI
Wierzący w sytuacji niewiary

126 Gdyby istniał
JAN WOLEŃSKI
Niewierzący w sytuacji wiary

129 Na obraz człowieka
MARCIN MAJEWSKI
O emocjach, cierpieniu i cielesności JHWH

132 Za, a nawet przeciw
ŁUKASZ LAMŻA, LECH MAZURCZYK
Zmagania rozumu z Bogiem

134 Metafizyczny remis
ARTUR SPORNIAK
Komentarz do debaty Dawkins – Heller

137 Świat jest mową Boga
CHARLES TAYLOR
Na początku było Słowo

140 Pytania dziecka i teologa
PIOTR SIKORA
O czym można mówić i o czym trzeba milczeć

143 Dobry Pasterz, Dyrektor wszechświata
JACEK PRUSAK SJ
Obraz Boga w dojrzałej religijności

Redakcja: Łukasz Kwiatek, Łukasz Lamża
Projekt graficzny: Marek Zalejski
Fotoedycja: Grażyna Makara, Edward Augustyn
Infografika: Lech Mazurczyk
Skład: Andrzej Leśniak
Okładka: Marek Zalejski / ANDREW OSTROVSKY/ ADOBE.STOCK.COM

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Projekt „Wielkie Pytania dla Polski na nowo" realizujemy dzięki wsparciu z grantu Templeton Religion Trust. Menedżerem projektu jest Grzegorz Jankowicz, Łukasz Lamża zaś jest redaktorem serii wydawnictw.

TEMPLETON RELIGION TRUST

Copernicus Center

ŁUKASZ LAMŻA

ZROZUMIEĆ WSZECHŚWIAT

REWOLUCJA NEURONAUKOWA

WARTOŚCI DZIŚ

SPOŁECZEŃSTWO I KOMUNIKACJA

Opinie wyrażone na łamach niniejszej publikacji należą wyłącznie do ich autorów i nie muszą odzwierciedlać stanowiska Templeton Religion Trust.

Mówienie o Bogu nie jest prostą sprawą. Ba, Piotr Sikora w swoim tekście wyjaśnia bardzo szczegółowo, dlaczego tak naprawdę nie jest to w zasadzie możliwe. Najmocniej wyraził to chyba cytowany przez niego teolog i mistyk Mistrz Eckhart, mówiąc: „Nie chcesz kłamać o Bogu – zamilcz". My jednak nie daliśmy się zniechęcić i postanowiliśmy pomówić o Bogu. Z każdym kolejnym tekstem przestroga Eckharta dźwięczała nam jednak coraz głośniej w uszach. Bo oto biblista Marcin Majewski, poproszony o zarysowanie, jakiego właściwie Boga opisuje Biblia, dostarczył nam całej palety odpowiedzi, z których wyłania się istota niepokojąco podobna do człowieka: emocjonalna, błądząca, niepewna swoich decyzji, a momentami mocno ucieleśniona. Jacek Prusak pokazał zaś, że mówienie o Bogu teoretyczne, teologiczne, „z zewnątrz" – w ogóle nie jest w stanie uchwycić Jego zasadniczej istoty, ta bowiem ukazuje się tylko w relacji z drugim człowiekiem.
Spróbowaliśmy też postawić naprzeciwko siebie wiarę i niewiarę. Artur Sporniak opisał dyskusje światopoglądowe, prowadzone na podstawie wyników badań empirycznych, które zdają się nie przesądzać żadnej opcji. Poprosiliśmy także wierzącego – ks. Adama Bonieckiego – aby wyobraził sobie świat bez Boga, a następnie niewierzącego – prof. Jana Woleńskiego – aby wyobraził sobie, że Bóg istnieje. Jak udało im się wywiązać z tego niełatwego zadania – niech ocenią Czytelnicy. Ale... czy to właściwie jest w ogóle możliwe? ©℗

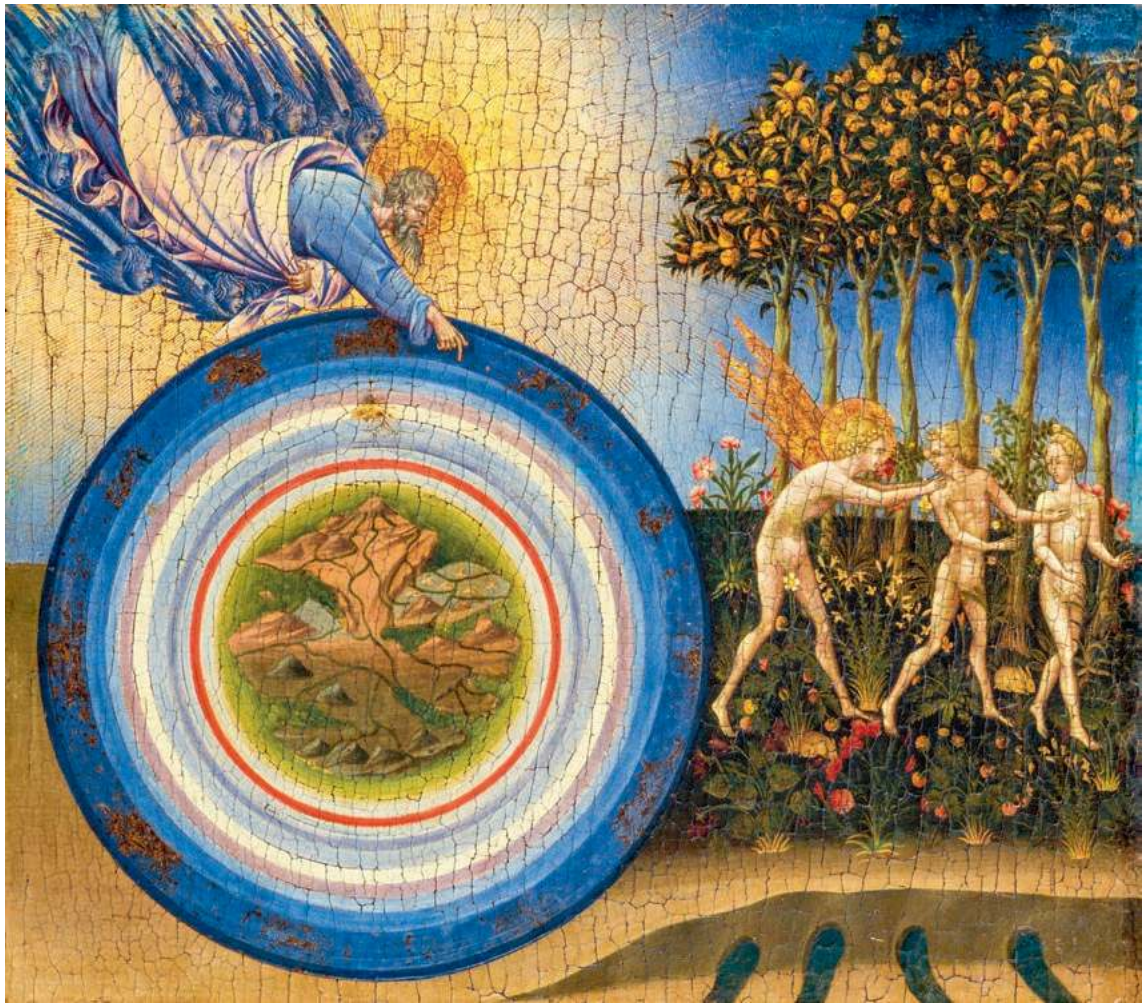

EAST NEWS

Giovanni di Paolo, „Stworzenie świata i wygnanie z raju", 1445, Metropolitan Museum of Art, Nowy Jork

Gdyby nie istniał

ADAM BONIECKI

Trudno człowiekowi wierzącemu wejść w sposób myślenia kogoś, kto uważa, że Boga nie ma. To jednak zdrowe ćwiczenie – nie tylko dla duchownego.

Pytanie „co by było, gdyby Bóg nie istniał?" jest dla człowieka wierzącego tak samo trudne, jak pytania z serii „czy da się żyć bez tlenu?", „bez słońca?", „bez wody?" – i wszystkie inne pytania dotyczące tego, co przywykliśmy traktować jako warunki naszego własnego istnienia.

Dlatego człowiek wierzący na pytanie „co by było, gdyby Bóg nie istniał" winien odpowiedzieć, że wtedy byłaby tylko nicość. Skoro w Nim widzimy stwórcę wszystkiego, „pierwszą przyczynę", to bez niego nie byłoby niczego.

Ale to pytanie, jak rozumiem, zakłada istnienie świata i istnienie nas, ludzi, takie, jakie jest obecnie. A więc wierzący (w tym przypadku ja) powinien wejść w sposób myślenia tych, którzy w takim świecie, jaki mamy, *rebus sic stantibus* (skoro sprawy przybrały taki obrót) w Jego istnienie nie wierzą. Dlatego precyzyjniej sformułowane pytanie powinno brzmieć: „co by było, gdyby teraz się okazało, że Go nie ma?".

Gdyby nie istniał, to początek wszystkiego, który nazywamy „stworzeniem świata", i który tak nazwany i tak pozostaje tajemnicą (hipotezą?), nadal by pozostał tajemnicą (hipotezą?). Przedmiotem zaś wiary i nadziei stałaby się nauka, która wreszcie i ostatecznie powie człowiekowi, skąd się wziął on i świat, w którym egzystuje.

Potrzeba transcendencji

Gdyby się okazało, że nie istnieje, to nie wiem, co byśmy zrobili z dziełami ↦

↦ różnych badaczy i myślicieli głoszących pogląd przeciwny. Nie mówię o dziełach starożytnych, np. św. Augustyna, ale autorów współczesnych, jak ks. Michał Heller, który gdzieś wspominał:

„Kiedyś miałem na ten temat dyskusję ze znanym biologiem Richardem Dawkinsem, który jest autorem bardzo głośnej książki »Bóg urojony«. Książki moim zdaniem bardzo prymitywnej. Kiedy po raz pierwszy ją przeczytałem, to powiedziałem sobie, że ja z tymi problemami, które on tak ostro stawia, uporałem się, gdy miałem 17 lat. Nasza rozmowa miała miejsce kilkanaście lat temu. Jak twierdził Dawkins, Pan Bóg nie jest nam potrzebny, bo wszystkie zjawiska biologiczne możemy wytłumaczyć za pomocą praw fizyki. A ja na to: OK, bardzo dobrze. W jaki sposób w takim razie wytłumaczysz, skąd wzięły się prawa fizyki? No i dyskusja się skończyła".

Innymi słowy, nawet gdyby się okazało, że nie istnieje, i tak znaleźliby się ludzie, którzy by nie przyjęli tego do wiadomości. Istnieje w człowieku (zgoda, nie w każdym uświadomiona) dziwna potrzeba transcendencji. Gdyby Bóg nie istniał, człowiek by go sobie wymyślił. Jak Żydzi na pustyni, kiedy nie mogąc się doczekać powrotu Mojżesza ze świętej góry, gdzie rozmawiał z Bogiem, doszli do wniosku, że Mojżesz umarł, i że Bóg umarł, i poprosili Aarona „Uczyń nam boga, który by szedł przed nami, bo nie wiemy, co się stało z Mojżeszem". Aaron „uczynił im" więc wykonanego z dostarczonego przez nich kruszcu złotego cielca. To był gest rozpaczy. Tak jak pełen rozpaczy jest opis ludzkiego losu skreślony przez Sartre'a: „Człowiek wyszedł z nicości i do nicości się przedziera wśród bezsensu i chaosu, walcząc o wolność, której nie ma".

Ratunek i rozpacz

Zastanawiam się, co by było z moralnością. Religie, nie tylko chrześcijaństwo, odwołując się do Boga – którego, jak się okazało, nie ma – konstruowały systemy moralne o pięknych lub mniej pięknych założeniach, posiadające niekiedy straszne aplikacje szczegółowe. Zawsze jednak mamy tam do czynienia z „Najwyższym Trybunałem". W systemach etycznych konstruowanych bez tego odniesienia nie ma absolutnego dobra ani absolutnego zła.

Gdyby prawdziwe było zdanie: „nie ma Boga", to ludzie (trudno powiedzieć dlaczego) z pewnością by go sobie wymyślili. Dla człowieka wierzącego w Jego istnienie ten brak oznaczałby rozpacz. Jak napisał – co prawda o Chrystusie – poeta Marek Skwarnicki:

Gdyby tam było tylko puste miejsce
Gdyby tam było tylko puste miejsce
Nie byłoby ratunku.

Gdyby tam nikt nie krzyczał
Gdyby tam nikt nie krzyczał głosem wielkim
Nie byłoby ratunku.

Gdyby tam byli tylko łotrzy
Gdyby pochylali się nad niczym
Na wonnych drzewach południa
Nie byłoby ratunku.

Gdyby tam było puste miejsce
Gdyby tam nikt nie krzyczał
Gdyby tam byli tylko łotrzy
Nie byłoby ratunku.

Wielu ludzi, także wśród tych, z którymi się spotykam na co dzień, jest żywą odpowiedzią na tę część pytania „co by było, gdyby nie istniał?", która się odnosi do zachowań ludzkich. Bo, po prostu, Bóg dla nich nie istnieje. Często są oni bardziej prawi, bardziej ofiarni od tych, którzy w istnienie Boga wierzą.

Pozostaje dziwny problem potrzeb religijnych. Leszek Kołakowski, który temat ten zgłębiał i wszechstronnie przestudiował, był przekonany o istnieniu „wiecznotrwałej potrzeby życia we wszechświecie wyposażonym w sens, dającym cel i obdarzonym celem".

Jak pisał w eseju „Dlaczego cielec? Bałwochwalstwo w obliczu śmierci Boga": „Potrzeby religijne zapewne nie są doświadczane jako takie przez każdego, wolno jednak przypuszczać, że należą one do antropologicznych inwariantów i nie dają się zastąpić przez teorie naukowe. Gdyby miały naprawdę wygasnąć, oznaczałoby to, że gatunek ludzki przestał być tym, czym jest, i coś innego zajęło jego miejsce...".

©℗ KS. ADAM BONIECKI

Gdyby istniał

JAN WOLEŃSKI

Przymioty Boga ustalone przez większość teologów nie tłumaczą tego, jaki jest świat. Wykluczają wolność, odpowiedzialność i sprawiają, że prośby do Niego o pomoc są bezsensowne.

Niniejszy tekst jest pisany z punktu widzenia ateisty, tj. kogoś, kto odrzuca zdanie „Bóg istnieje" i uznaje, że Bóg nie istnieje. Obie konstatacje nie są logicznie symetryczne. Nie wchodząc w szczegóły, ciężar uzasadnienia spoczywa na tym, kto twierdzi, że Bóg istnieje, a nie na tym, kto uważa przeciwnie. Ten drugi może odwoływać się do krytyki argumentów adwersarza, jako uzasadnienia swego stanowiska – pierwszy oczywiście też, ale teista winien podać jakieś argumenty pozytywne, np. słynne drogi Tomasza z Akwinu (zobacz str. 128). Mój ateizm nie akceptuje tezy logicznego pozytywizmu, że zdanie „Bóg istnieje" jest pozbawione sensu poznawczego. Uważam, że jest ono sensowne i podlega analizie. Z tego powodu mogę, jako ateista, rozważać taki scenariusz, w którym jest tak, że Bóg istnieje. Wszelako dla podkreślenia istotnej hipotetyczności moich rozważań tytuł (jego pełna wersja mogłaby brzmieć: „Gdyby Bóg istniał, to...") jest sformułowany w trybie łączącym (subjunktywnym), a nie orzekającym. Inaczej mówiąc, wyraża tzw. nierzeczywisty okres warunkowy, czyli taki, w którym poprzednik jest uważany (przeze mnie) za fałszywy.

Minimum dla katolika

Dalsza analiza w oczywisty sposób zależy od tego, jak Bóg jest rozumiany i jak działa w tzw. świecie przyrodzonym. Wiadomo, że wiele w tej materii zależy od konkretnej religii. Z powodów oczy-

BRUCE ROLFF / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

Bruce Rolff, „Abstrakcyjna maszyna"

wistych odwołam się do chrześcijańskiej (właściwie: katolickiej) koncepcji Boga, tak jak jest ona przedstawiona w katechizmowym Credo. Ponieważ interesują mnie kwestie ontologiczno-moralne, biorę pod uwagę następujące fragmenty: „Wierzę w jednego Boga, Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych. (...) I [Jezus Chrystus] powtórnie przyjdzie w chwale sądzić żywych i umarłych (...). Wierzę w jeden, święty, powszechny i apostolski Kościół. Wyznaję jeden chrzest na odpuszczenie grzechów. I oczekuję wskrzeszenia umarłych i życia wiecznego w przyszłym świecie".

Przyjmuję, że jest to minimum obowiązujące każdego katolika (pominięte wątki chrystologiczne nie mają specjalnego znaczenia dla dalszej dyskusji).

Przymioty Boga wyrażone w zacytowanym fragmencie to: jedyność, wszechmoc i stworzenie wszystkiego (rzeczy widzialnych i niewidzialnych). Dalej mamy obowiązek chrztu (dla odpuszczenia grzechów), zapowiedź wskrzeszenia umarłych i zapowiedź życia wiecznego w przyszłym świecie. Katolik ma też wierzyć w jeden, święty, powszechny i apostolski Kościół powszechny. Te kwestie są rozwijane przez dalsze dokumenty zawierające nauki kierowane do wyznawcy katolicyzmu, w tym wymagania natury moralnej i obrzędowej. Do tych źródeł należą Stary i Nowy Testament, ustalenia Magisterium Kościoła jako instytucji uprawnionej do ustalania kanonu prawd (w tym dogmatów) wiary oraz ich interpretacji. Zakres i treść tych dokumentów, jak również pism je komentujących, w szczególności Katechizmu Kościoła Katolickiego, jest zmienny, np. papież Franciszek dopisał do tego ostatniego zakaz kary śmierci. Niemniej jednak zakłada się, że źródła dogmatyczne (Biblia) rozwijają Credo, a komentarze je interpretują. I wreszcie mamy pisma filozofów, które w szczególności dokładniej analizują atrybuty Boga (czyli Jego istotę) i sposób Jego istnienia. Wprawdzie nie ma oficjalnej filozofii katolickiej, ale jednak ustalenia filozofów poczuwających się do tej denominacji religijnej i uznanych za jej wybitnych przedstawicieli nie mogą być ignorowane.

Rażąca niespójność

Oto kilka dodatkowych elementów uzupełniających Credo, wyprowadzonych, by tak rzec, z doktryny. Misją Kościoła jest przewodnictwo duchowe wobec wiernych i jego szczególne narzędzia, np. chrzest, spowiedź czy sakramenty. Wprawdzie Credo nie precyzuje natury wiecznego życia w przyszłym świecie, ale (pomimo sporów o istnienie piekła) przyjmuje się, że jedni będą zbawieni, a inni potępieni. Zdecyduje o tym Jezus Chrystus jako sędzia, a uczyni to w sposób absolutnie sprawiedliwy (to akurat nie wynika z zacytowanego tekstu wyznania wiary, ale jest oczywiste). Na podstawie dotychczasowych uwag można przypisać Bogu to, że jest jedyny, wszechmocny i sprawiedliwy oraz stworzył świat. Niewiele jest w katolickiej doktrynie na temat świata poza tym, że nie jest odwieczny (bo stworzony), ale nie ↦

↦ jest wykluczone, że jest wieczny – czyli zawsze będzie istnieć. Doktryna, w szczególności filozofia, oparta zarówno na źródłach uważanych za objawione, jak i na rozmaitych tradycjach myślowych, uznała (to wersja najczęstsza), że Bóg jest prosty (niezłożony), wieczny, istniejący poza czasem i przestrzenią, odwieczny, nieskończony, niezmienny, wszechwiedzący, wszechdobry, a ponadto jest bytem koniecznym silnie skontrastowanym z przygodnym światem stworzonym *ex nihilo*.

Pomijam rozmaite spory na temat natury Boga, rozważane w licznych dziełach filozoficznych i teologicznych. Postaram się wykazać, że wszechmoc, wszechwiedza i wszechdobroć Boga oraz to, że stworzył świat *ex nihilo*, są (łagodnie mówiąc) wątpliwe z punktu widzenia tego, czego doświadczamy na tym „łez padole". Oto historia, która ma to zilustrować.

Kiedyś leciałem samolotem z Nowego Jorku do Warszawy. Za mną siedziała kobieta w żałobie i modliła się prawie przez cały czas. Na jakąś godzinę przed wylądowaniem zaczęła rozmawiać ze swym sąsiadem. Spokojnym głosem powiedziała, że wiezie trumnę z ciałem swej kilkuletniej córeczki, zmarłej w USA. „Tak bardzo modliliśmy się, aby została uratowana przez Pana Boga i Matkę Bożą, ale to nic nie pomogło. Widocznie musiała umrzeć". Owa kobieta dosłownie rozumiała Credo i różne jego uzupełnienia. Nie ma znaczenia, czy uważała, że Bóg działa w świecie bezpośrednio, czy za pośrednictwem Matki Jezusa Chrystusa. Modliła się, ponieważ sądziła, że jej prośba zostanie wysłuchana, a dziecko uratowane. Stało się jednak inaczej – córeczka zmarła, a jej matka nawet nie skarżyła się i rzecz skomentowała krótko: „Widocznie musiała umrzeć".

Bóg przedobrzony

Jak rzecz przedstawia się z filozoficznego punktu widzenia przy założeniu, że słowa wyrażające atrybuty Boga są rozumiane standardowo? Bóg stworzył świat *ex nihilo*, a więc nie był zdeterminowany żadnym uprzednim stanem jakiejkolwiek realności poza swoim własnym. Jest wszechmocny, a więc mógł zadziałać inaczej. Jest wszechwiedzący, a więc wiedział o tym, co stanie się z dzieckiem, o którym była mowa, i matką, która będzie prosiła o pomoc. Ponieważ jest prosty, nie ma w Nim podziału na wiedzę i wolę, a więc jeśli coś wiedział, chciał tego, a ponadto, jako niezmienny, nie mógł zmienić biegu spraw. Czy można go nazwać wszechdobrym i sprawiedliwym, skoro dopuścił śmierć niewinnego dziecka? Twierdzę, że nie można, nawet nie przywołując miliona głównie żydowskich dzieci zabitych przez Niemców w czasie wojny czy rozmaitych innych okropności. Krótko mówiąc, przymioty Boga ustalone przez większość teologów oraz filozofów katolickich (i innych) nie tłumaczą tego, jaki jest świat, a w szczególności wykluczają wolność, odpowiedzialność i sprawiają, że prośby do Niego o pomoc są bezsensowne, ponieważ nie mogą być spełnione. Jeśli rzecz dotyczy zła, to głównym problemem jest nie tyle jego istnienie w świecie, ile jego dystrybucja. Krótko mówiąc, doktryna katolicka (nie tylko ona) „przedobrzyła" pojęcie Boga.

Czy wspomnianych trudności można uniknąć? Owszem, ale za poważną cenę. Po pierwsze, ograniczając atrybuty Boga, np. wszechwiedzę, wszechmoc czy jeszcze coś innego albo przyjmując np. panteizm lub procesualizm. To jednak sprawia, że teizm staje się jedną z wielu propozycji ontologicznych i podlega normalnej ocenie epistemicznej. W szczególności nie można go bronić tym, że jego prawdy są objawione, skoro dopuszczają tak duże rozbieżności interpretacyjne.

Po drugie, można przyjąć, że słowa służące opisowi Boga mają szczególny sens i nie mogą być rozumiane potocznie. Stąd wyroki Boże są niezbadane (dla człowieka) i trzeba pogodzić się z nimi, bo Stwórca „wie", co czyni. To jednak wymaga uznania, że Słowo Boże podlega specjalnej hermeneutyce, którą dysponuje specjalny autorytet, np. jeden, święty, powszechny i apostolski Kościół. Ta argumentacja jest jednak kolista. Mamy wierzyć w Magisterium Kościoła, gdyż jest on umocowany przez Objawienie, ale o tym drugim dowiadujemy się od owego Urzędu Nauczycielskiego. Obie drogi nie są przekonywające i motywują ateizm. Jakoż rozważenie okresu warunkowego „Gdyby Bóg istniał, to A", gdzie A reprezentuje wiedzę o świecie naturalnym, dostarcza argumentów (przynajmniej dla kogoś mojego pokroju) dla uznania, że poprzednik jest fałszywy.

Poza okresem warunkowym

Kończę uwagą, że niniejszy szkic nie powinien być rozumiany jako głoszenie tezy, że religia to opium dla ludu. „Statystyczny" katolik (czy przedstawiciel innej denominacji religijnej) nie zaprząta sobie głowy filozoficznymi zawiłościami, lecz przyjmuje religijne hermeneutyki za dane i w zasadzie akceptowalne. Trudno jest sformułować warunki wystarczające dla odejścia od religii. Czasem jest to filozoficzny namysł, czasem wychowanie, czasem koniunkturalizm, a czasem sytuacja ekstremalna, jednostkowa lub zbiorowa. Tak samo działa to w drugą stronę – bycia religijnym. To, że pojawiają się ateiści i heretycy, jest równie zrozumiałe jak to, że są wierzący, zresztą o różnej sile swoich przekonań. Okoliczności towarzyszące wierze lub niewierze mają rozmaitą naturę i mogą być rozpatrywane niezależnie od prawdziwości czy fałszywości poprzednika okresu warunkowego „Gdyby Bóg istniał, to A". © JAN WOLEŃSKI

Drogi Tomasza

TOMASZ Z AKWINU w swojej słynnej „Sumie teologii", ale też w „Sumie przeciw poganom", postanowił udowodnić, że rozum wcale nie stoi w sprzeczności z wiarą, poprawnie stosowany dostarcza zaś wręcz dobrych, racjonalnych powodów, by uwierzyć. Taką właśnie rolę miało spełniać jego Pięć Dróg (Quinque Viae). Jest to pięć rozumowań, które wychodzą od rozsądnie brzmiących przesłanek na temat czegoś prostego, naturalnego, ziemskiego, na końcu których czeka na nas coś ostatecznego, nadnaturalnego – coś, co „powszechnie zwie się Bogiem". Oto owe drogi: z ruchu, z przyczynowości sprawczej, z przygodności, ze stopnia doskonałości i z celowości.
Dobrą ilustracją ogólnej metody Tomasza jest droga z ruchu. Oto jej przebieg. Wszędzie wokół siebie obserwujemy ruch i zmienność. Gdy się jednak nad tym zastanowić, każdy ruch wywoływany jest przez inny ruch – przez coś, co porusza. Powstaje więc nieskończony ciąg poruszycieli i poruszanych – skąd jednak w ten ciąg „wstrzyknięta" została owa dawka ruchu, którą przekazują oni sobie nawzajem? Cytując Tomasza: „Konieczne jest więc dojście do czegoś pierwszego poruszającego, przez co wszystko inne jest poruszane, i co wszyscy pojmują jako Boga". ©℗ ŁL

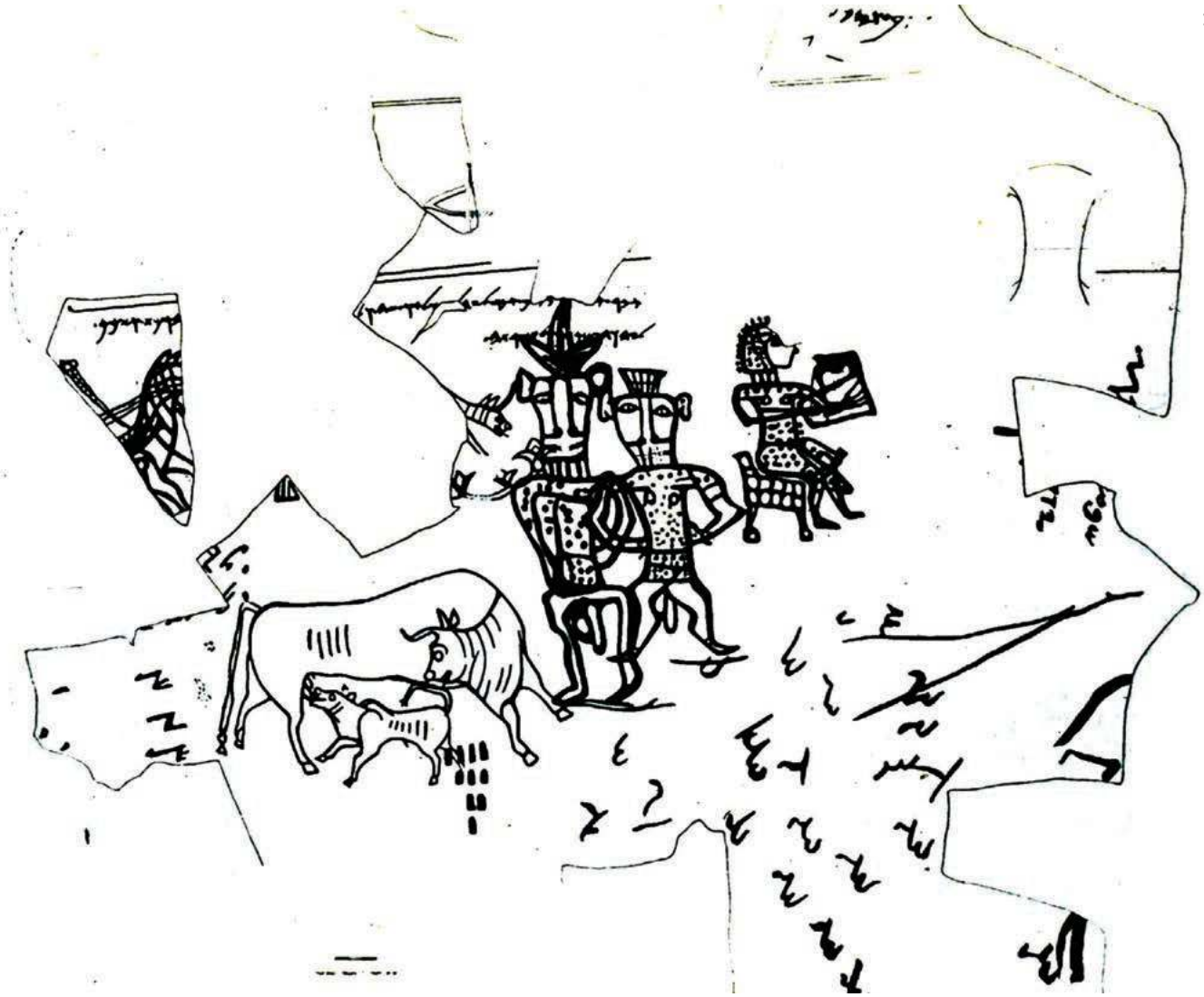

WWW.BIBLELANDPICTURES.COM / ALAMY STOCK PHOTO

Rycina z Samarii: JHWH i jego Aszera

Na obraz człowieka

MARCIN MAJEWSKI

Biblijny obraz JHWH jest bardzo odległy od filozoficznego ideału Absolutu. Bóg Starego Testamentu jest ludzki, cielesny, niezdecydowany i emocjonalny. Może cierpieć i się mylić.

W spektaklu Anat Gov „Mój Boże" w reżyserii Andrzeja Seweryna główny bohater – nie kto inny, jak sam Bóg – jest człowiekiem, który przychodzi do psychoterapeutki na konsultację. Ten Bóg ma nie tylko ludzką postać, ale i zupełnie ludzkie problemy: z porywczością, samozachwytem i samotnością. „Pacjent" wyraźnie nie radzi sobie ze swoim neurotycznym charakterem, jednocześnie jest bardzo spragniony... miłości.

Spektakl jest zabawną grą z różnymi biblijnymi obrazami Boga i humorystycznie, acz przenikliwie interpretuje i przekuwa w obraz sceniczny wybrane sceny Biblii: dzieje Adama i Ewy, potopu, wyjścia z Egiptu czy przypadek Hioba. Chciałbym go uczynić punktem początkowym refleksji nad biblijnym przedstawieniem Boga. Dlaczego? Dlatego, że obraz JHWH, który wyłania się z kart Biblii, różni się od definicji i przybliżeń, z jakimi stykamy się na katechezie, w kościele czy na wykładzie z filozofii, a bliższy jest obrazowi z komedii Anat Gov. ↦

Ciało i emocje

Po pierwsze, Bóg Biblii jest bardzo ludzki. Opis biblijny zaczyna się od tego, że Stwórca mówi – choć nie wiadomo do kogo i w jakim języku. Czy autor rzeczywiście uważał, że język istniał, zanim powstał człowiek i ludzka mowa? Najwyraźniej tak. Później Bóg patrzy, podziwia, cieszy się, odpoczywa. Ale też gniewa, złości oraz karze. Jest jak bliskowschodni władca, który troszczy się, ale i grozi. Jak ojciec, który jest wymagający, ale kocha. Taki Bóg może się mylić. Czasem żałuje tego, co zrobił, innym zaś razem poprawia własne niedoróbki. Autorzy biblijni nie mają problemu ze stwierdzeniami, iż Bóg uznał własne dzieło za „niedobre" i je poprawił (Rdz 2, 18), że żałował tego, co zrobił (Rdz 6, 6), a nawet, że się pomylił, i to w tak niebłahej kwestii jak zniszczenie ziemi potopem: „Nie będę już więcej złorzeczył ziemi ze względu na ludzi, bo usposobienie człowieka jest złe już od młodości. Przeto już nigdy nie zgładzę wszystkiego, co żyje, jak to uczyniłem" (Rdz 8, 21). JHWH najpierw żałuje, później zmienia decyzję co do świata i stara się naprawić to, co poszło źle, po potopie zaś stwierdza, że w sumie ogólnoświatowe zniszczenie nic nie dało. Usposobienie człowieka nadal jest złe, jak przed potopem, i takie pozostanie. Bóg też się myli.

Po drugie, Bóg Biblii ma – jak się wydaje – jakiś fizyczny wymiar, ma ciało. Stwierdzenie o cielesności Boga może wydać się prowokacyjne, skoro JHWH jest istotą duchową (Pwt 4, 10. 12. 15). Okazuje się jednak, że jest zasadne. I nie chodzi tu o wyrażenia typu „Bóg powiedział" czy „Bóg spojrzał", które pozornie zakładają Jego cielesność, ale *de facto* są utartymi konwencjami językowymi mówienia o istocie boskiej. Jako istoty cielesne, postrzegające świat zmysłowo, nie potrafimy mówić inaczej niż antropomorfizując. Tradycje biblijne wielokrotnie w ten właśnie metaforyczny sposób mówią o oczach, którymi Bóg patrzy (np. Ps 11, 4), uszach, które wysłuchują człowieka (np. Ps 31, 2), czy oddechu, którym tchnie (Rdz 2, 7). Czytamy, że Bóg posiada serce (np. Rdz 8, 21), z potęgą podnosi swą prawicę i ramię (np. Pwt 5, 15), słyszymy nawet o Bożych palcach (Wj 31, 18). Nie o takie rozumienie Jego cielesności tu chodzi. Badacze stawiając pytanie o ciało Boga, zwracają uwagę na biblijną koncepcję fizycznego ciała, na przekonanie, że Bóg ma jakąś postać czy formę materialną.

Choć Dekalog wyraźnie zabrania ludziom czynienia podobizn JHWH (Wj 20, 4), to niekoniecznie jest tak dlatego, że Bóg takiej postaci nie ma. JHWH ukazany w tradycjach biblijnych nie stroni od widzialnych reprezentacji. Wielu bohaterów Biblii może poszczycić się tym, że Go widzieli. Pisze o tym wprost Izajasz: „ujrzałem Pana siedzącego na wysokim i wyniosłym tronie, a tren Jego szaty wypełniał świątynię" (Iz 6, 1). Uwaga o szacie jest tu znacząca, oznacza bowiem coś okrywającego ciało. Bardziej bezpośrednie doświadczenie Boga przeżywa Ezechiel, który ujrzawszy Boga, dostrzegł „jakby zarys postaci człowieka (...) Następnie widziałem coś jakby połysk stopu złota ze srebrem, który wyglądał jak ogień wokół niego – ku górze od tego, co wyglądało jak biodra, i w dół od tego, co wyglądało jak biodra" (Ez 1, 26-27). Ciało Boga w doświadczeniu Ezechiela jest podobne do ludzkiego, ale jego substancja jawi się jako ogień. Takich tekstów jest w Biblii więcej. O ile więc materialne podobizny Boga są w Biblii zakazane, o tyle literackie przedstawienia boskiego ciała nie stanowią problemu.

> Zdaniem autorów Biblii Bóg nie tylko jest zdolny do cierpienia, ale faktycznie go doświadcza. **Tak jak doświadcza radości, gniewu czy żalu –** rzeczywistych, a nie metaforycznych emocji.

Cierpienie i konkurencja

Po trzecie, Bóg Biblii cierpi. Ta cecha, niemieszcząca się w konwencjonalnych ujęciach filozoficznych i teologicznych, dla których Bóg jest doskonałością pozbawioną wszelkich braków i czystym aktem (*actus purus*) – jest dla Biblii czymś oczywistym. I nie mówimy tu tylko o cierpieniu Jezusa człowieka, ale o cierpieniu Boga w jego odwiecznej niezmiennej naturze.

Zdaniem autorów Biblii Bóg nie tylko jest zdolny do cierpienia, ale faktycznie go doświadcza. Tak jak doświadcza radości, gniewu czy żalu – rzeczywistych, a nie metaforycznych emocji. Tu wracamy do koncepcji boskiego ciała, jako że emocje są zakorzenione w ciele i w nim się przejawiają. Jeśli Bóg aktywnie uczestniczy w historii swojego ludu i jest pośród niego obecny, to współdoświadcza jego losu. Księga Wyjścia powie, że Bóg „poznał" cierpienie swego ludu w niewoli egipskiej (Wj 2, 25). Użyty tu czasownik ידע (*jada*) oznacza „poznać przez doświadczenie, poczuć, przeżyć". Bóg cierpi jako zdradzony małżonek, dla którego Izrael jest niewierną oblubienicą. Obraz ten, wprowadzony do teologii biblijnej przez proroka Ozeasza, często później podejmowano na kartach Pisma Świętego.

Biblijne ujęcia Boga, który cierpi, mogą budzić nasz sprzeciw, gdyż wskazują na słabość Boga. Współczesny teolog Thomas Weinandy pisze, że jeśli Bóg cierpi, to nie jest w Jego mocy skuteczne pocieszanie cierpiących i ostateczne wyzwolenie świata ze zła, grzechu i cierpienia. Jakkolwiek jednak teologia rozwiąże palący problem możliwości cierpienia Boga – Bóg Biblii cierpi, Bóg Biblii bywa słaby.

Po czwarte, Bóg Biblii nie jest jedyny. A przynajmniej nie zawsze tak uważano. Wiele tekstów Biblii hebrajskiej nie pasuje do głęboko filozoficznej idei Boga jedynego i lokuje się gdzieś pomiędzy politeizmem a monoteizmem. Badacze nazywają ten etap religii Izraela monolatrią czy monoteizmem względnym – czyli czcią własnego Boga, bez radykalnego zanegowania istnienia innych bóstw innych narodów. Starożytna pieśń z Księgi Wyjścia zawiera takie m.in. wyznanie: „Któż jest pośród bogów równy Tobie, Panie, w blasku świętości, któż Ci jest podobny, straszliwy w czynach, cuda działający!" (Wj 15, 11), niewiele dalej zaś czytamy: „Teraz wyznaję, że Pan jest większy niż wszyscy inni bogowie, gdyż w ten sposób ukarał tych, co się nimi pysznili" (Wj 18, 11).

Badacz monoteizmu izraelskiego Mark Smith pisze, że dawne przekonanie, iż monoteizm izraelski sięga czasów Mojżesza, zostało zastąpione przez konsensus o pojawieniu się dyskursu monoteistycznego na przełomie VII i VI wieku przed Chrystusem. Cały szereg monoteistycznych wersów Biblii, jak: „Pan jest Bogiem,

a poza Nim nie ma innego" (Pwt 4, 35) – powstał w tym czasie lub później. Względny monoteizm przebija jeszcze z wypowiedzi św. Pawła: „A choćby byli na niebie i na ziemi tak zwani bogowie – jest zresztą mnóstwo takich bogów i panów – dla nas istnieje tylko jeden Bóg" (1 Kor 8, 5).

Teksty biblijne – choć zrewidowane pod kątem monoteistycznym – sugerują, że naród wybrany przez większość okresu biblijnego był monolatrystą: czcił JHWH jako swego narodowego Boga, nie zaprzeczając radykalnie istnieniu Kemosza Moabitów, Milkoma Ammonitów czy Aszura Asyryjczyków. Wręcz uznawał ich istnienie i konkurencyjność. W Psalmach czytamy: „Bo wszyscy bogowie pogan są bożkami, a Pan uczynił niebiosa" (Ps 95, 5). Septuaginta – zgodnie z kontekstem kulturowym – rozumie słowo „bożki" nie tyle jako coś, co nie istnieje, ale jako pomniejsze, nieznaczące bóstwa, δαιμόνια (od *daimonion* – bóstwo, boskość, bóg niższego rzędu, demon). Ten i podobne teksty nie mówią, jak się zdaje, o nieistnieniu innych bogów, ale o ich znikomym, a wręcz żadnym znaczeniu dla Izraela oraz podrzędności wobec jedynego Boga.

Czy Bóg miał żonę?

Ci, którzy byli ostatnimi redaktorami tekstów biblijnych, mieli wyraźnie monoteistyczną i etyczną perspektywę. I starali się ją wkomponować w teksty. W większości im się to udało, czasem jednak w swej redakcji przekazali źródła i cytaty, które z pewnością były pisane z innej, monolatrycznej perspektywy teologicznej. Liczne odkrycia archeologiczne w Ziemi Świętej – m.in. setki statuetek bóstw znajdowane w domach prywatnych i pałacach niemal każdego okresu biblijnego – potwierdzają, że w Izraelu epoki przed wygnaniem babilońskim kult Baala, Aszery, Szemesza (boga słońca), ofiary z niemowląt czy inne praktyki religijne piętnowane przez proroków reprezentowały normalny kult izraelski, podczas gdy bezwzględny monoteizm był stosunkowo późnym, lecz kluczowym unowocześnieniem.

Po piąte, Bóg Biblii prawdopodobnie miał małżonkę. Świadczą o tym choćby świeże odkrycia archeologiczne z Kuntillet Ajrud, gdzie odnaleziono inskrypcję „*Berachti etchem l'JHWH Szomron*", czyli: „Błogosławię was przez JHWH z Samarii i jego Aszerę". Formuła powtarza się w tekstach czterokrotnie. Co ciekawe, pod jedną z inskrypcji znajduje się rycina obrazująca błogosławieństwo. Co na niej widzimy? Parę postaci ludzkich kształtów, które są jednoznacznie oznaczone płciowo: JHWH jest większy i ma penisa, Aszera jest mniejsza i ma wyraźnie zaznaczone piersi (również z czymś, co przypomina penisa lub ogon). JHWH ma głowę w kształcie głowy byka – tak jak Baal. Oczywiście te wyobrażenia nie pojawiły się w samej Biblii, albo z niej zniknęły na etapie redakcji jerozolimskiej, wskazują jednak na zaskakujące – choć nie dla specjalistów – zbieżności pierwotnej tradycji religijnej Izraela z tradycją otaczającego środowiska, Kanaanu.

> Pod inskrypcją „JHWH z Samarii i jego Aszera" znajduje się para postaci. **JHWH jest większy i ma penisa, Aszera jest mniejsza** i ma wyraźnie zaznaczone piersi.

Podobną inskrypcję – „JHWH z Samarii i jego Aszera" – odnaleziono również w Khirbet El-Qom (750-700 przed Chrystusem). Obie dzieli być może zaledwie kilka dekad, powstały zaś w Izraelu w czasach dawno po Abrahamie, Mojżeszu, Dawidzie czy Salomonie. Potwierdzeniem przekonania o małżeństwie JHWH z Aszerą jest izraelska świątynia w Aradzie – mieście na południe od Jerozolimy, które od IX do VI w. przed Chrystusem znajdowało się pod rządami króla Judy. Tu odnaleziono jedyną jak dotąd zachowaną świątynię judejską (świątyni jerozolimskiej, jak wiadomo, nie ma, a na jej terenie nigdy nie udało się prowadzić prawdziwych wykopalisk).

Świątynia, bliźniacza z tą z Jerozolimy, ma dziedziniec, ołtarz, pomieszczenie święte i najświętsze. Wskazuje, że biblijna idea centralizacji kultu w Jerozolimie była bardziej życzeniem niż faktem; ważniejsze jednak, że w miejscu najświętszym odnaleziono dwa stojące kamienie – większy i mniejszy – a przed nimi dwa ołtarze kadzielne – również większy i mniejszy. Takie stojące kamienie w miejscu najświętszym znajdowano w innych sanktuariach Kanaanu. Symbolizowały bóstwo czczone w tym miejscu. Skąd więc w żydowskiej świątyni w Aradzie dwie stele? Wyraźnie w tym sanktuarium czciło się parę bóstw. Zdaniem konserwatywnego archeologa Williama Devera są to stele JHWH i Aszery, czego dowodzi on w swej książce „Did God Have a Wife?".

To, że Izraelici czcili boginię-kobietę, wiadomo także z wykopalisk osad i domostw judejskich, gdzie wielokrotnie odnajdywano figurki kobiece z mocno eksponowanymi piersiami, które badacze identyfikują z boginią (Aszerą lub Asztarte). Niektóre z wizerunków żeńskich bogiń były tak popularne, że liczy się je już w tysiące. Dane biblijne i archeologiczne z jednej strony rywalizują ze sobą – Biblia bardziej pokazuje, jak miałoby być, archeologia – jak w istocie było. Z drugiej strony dopełniają obrazu kultu JHWH jako Boga o bardzo ludzkim obliczu.

Ewolucja JHWH

Te wybrane i niekoniecznie reprezentatywne biblijne portrety Boga mają pokazać, że JHWH jest bliski człowiekowi i w sumie podobny do niego – tak jak człowiek jest podobny do Boga (Rdz 1, 26). Może potrafimy wyobrażać sobie Boga na ludzki sposób właśnie dlatego, że sami jesteśmy do Niego podobni – a On do nas. Bóg Biblii jest znacznie bardziej ludzki niż boski – w ujęciu boskości w filozofii Boga – i przypomina miejscami bohatera spektaklu Anat Gov, borykającego się z całkiem ludzkimi trudnościami. Można to złożyć na karb kultury starożytnej czy konieczności antropomorfizowania; można też upatrywać w tym istotnych elementów prawdy o Bogu.

Ten starożytny portret przejdzie z czasem wyraźną ewolucję, która zmieni się w rewolucję wraz z wprowadzeniem zakazu wyobrażania sobie JHWH pod jakąkolwiek postacią. Odtąd Bóg Biblii przestanie przypominać inne wyobrażenia bliskowschodnie i przekroczy granice ludzkiego poznania. Taki nowy obraz bezobrazowego Boga będzie zaskoczeniem dla Greków i Rzymian i stanie się inspiracją dla filozofów oraz teologów wszystkich czasów.

© MARCIN MAJEWSKI

ZA, A NAWET PRZECIW

argument odpowiedź

TEKST ŁUKASZ LAMŻA
INFOGRAFIKA LECH MAZURCZYK

Szukanie „dowodów na istnienie Boga” to stara zabawa teologów. Szybko okazało się jednak, że dowodu w ścisłym sensie przeprowadzić nie sposób, zaś co bystrzejsi teologowie, jak Tomasz z Akwinu, zdali sobie również sprawę, że jego istnienie byłoby wręcz niepożądane. Cóż to bowiem za nieskończony, nadnaturalny, wykraczający poza świat stworzony Bóg, którego można objąć skończonym ludzkim rozumem z równą łatwością, co podstawy arytmetyki? Co więcej, pewność właściwa dowodowi matematycznemu kłóci się niejako z czymś takim jak wiara. W świecie, w którym istniałby dowód na istnienie Boga, nie byłoby ostatecznie miejsca dla ludzi „wierzących”.
To, co określa się czasem jako „dowody na istnienie Boga”, są to więc w gruncie rzeczy raczej argumenty. Nawet bowiem najgłębsza wiara, jak mówi porzekadło Anzelma z Canterbury, szuka zrozumienia. Człowiek taki już jest, że uwielbia myśleć, drążyć, rozumkować. W toku stuleci szukania racjonalnych powodów, by wierzyć, powstały dziesiątki tego typu argumentów. W niedługim czasie do zabawy dołączyli zaś niewierzący, czego efektem jest interesujący, pobudzający do myślenia wielogłos.

Oto wybrane urywki z tego dialogu. ©℗

ARGUMENT Z PROJEKTU

ISTNIEJĄ NA ŚWIECIE rzeczy tak piękne, skomplikowane albo dobre, że nie mogły powstać na drodze „bezmyślnych” procesów przyrodniczych. Ich powstanie musiało wiązać się z ingerencją jakiejś istoty inteligentnej. Przykład: gdy znajdziemy na plaży zegarek, oczywiście przypuszczamy, że jest to twór człowieka. Nie sposób sobie wyobrazić, aby mógł powstać naturalnie, prawda? Otóż całe nasze ciało jest właśnie tego typu zegarkiem.

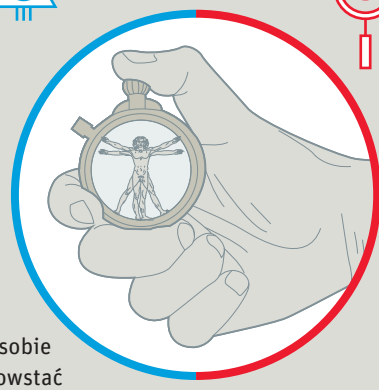

ARGUMENT Z KIEPSKIEGO PROJEKTU

SKORO CIAŁO LUDZKIE zostało zaprojektowane przez Boga, to jak wytłumaczyć jego rozmaite wady projektowe? Weźmy pod uwagę fakt, że z gardła prowadzi droga zarówno do płuc, jak i do żołądka. Po co łączyć układ pokarmowy z oddechowym? Uniemożliwia to jednoczesne oddychanie i jedzenie, co może doprowadzić do zakrztuszenia, nawet śmiertelnego. Wyjaśnienie naturalne jest jasne: płuca wyewoluowały po prostu z uchyłka rybiego układu pokarmowego. Ale czy inteligentny projektant nie mógłby po prostu rozdzielić tych dwóch układów?

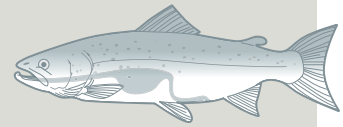

DRUGA DROGA TOMASZA

KAŻDE ZJAWISKO PRZYRODNICZE musi mieć swoją przyczynę. Oznacza to, że w poszukiwaniu wyjaśnień będziemy cofać się w nieskończoność – jakakolwiek byłaby odpowiedź na kolejne „Dlaczego?”, zawsze można ponownie zadać to samo pytanie. Ów nieskończony regres nie jest jednak racjonalny – bezkresny ciąg przyczyn i skutków sam w sobie nie ma żadnej racji. Jedynym sposobem na rozwiązanie tego problemu jest przyjęcie, że łańcuch w pewnym miejscu się urywa: istnieje coś, co spowodowało wszystko inne, samo jednak nie domaga się przyczyny. Takie coś nie może być zjawiskiem przyrodniczym, ponieważ te muszą mieć swoją przyczynę. Nie, to coś zupełnie innego: Pierwsza Przyczyna, którą powszechnie nazywamy Bogiem.

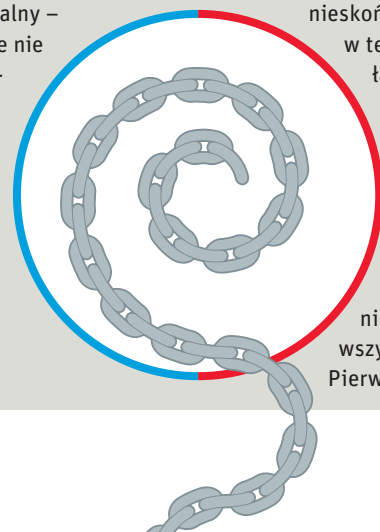

ZASADA HUME’A-EDWARDSA

ZAKOŃCZENIE ŁAŃCUCHA WYJAŚNIEŃ Pierwszą Przyczyną jest nie tylko nieeleganckie, ale i niekonieczne. A właściwie skąd to uprzedzenie do nieskończonego regresu? Spójrzmy na to w ten sposób: przypuśćmy, że łańcuch przyczyn i skutków rzeczywiście ciągnie się w nieskończoność – każdy fakt rzeczywiście domaga się kolejnej przyczyny i ta przyczyna istnieje, i jest nam znana. Ponumerujmy owe kolejne fakty kolejnymi liczbami całkowitymi: ..., -2, -1, 0, 1, 2... Czy będziemy w stanie wskazać cokolwiek, co nie ma swojej przyczyny? Nie! Inaczej mówiąc, wszystko jest ostatecznie wyjaśnione – i to bez Pierwszej Przyczyny.

GRA PASCALA

BÓG JEST CZY BOGA NIE MA? Obstawiaj.

Rozum nic nam nie podpowie. Pytanie to wykracza poza zakres racjonalnego myślenia i najrozumniej byłoby odmówić wzięcia udziału w tej grze. Grać jednak musimy. Moneta pofrunęła już w górę i jej dwie strony migoczą nam przed oczami. Bóg jest czy Boga nie ma? Spójrzmy na to w ten sposób: jeśli Bóg jest, nasza wiara zostanie wynagrodzona, i to nieskończenie, a niewiara ukarana. Jeśli jednak Boga nie ma, nasza wiara i niewiara nie mają żadnych wiecznych konsekwencji. Zakładaj się tedy, że „jest", bez wahania. Jeśli wygrasz, zyskujesz wszystko. Jeśli przegrasz, nie tracisz nic.

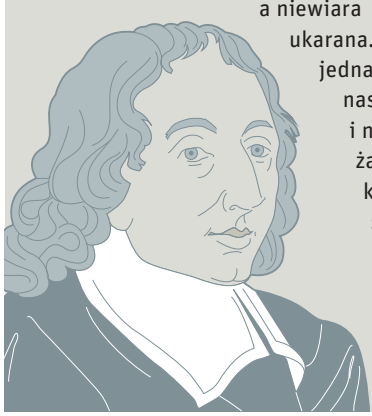

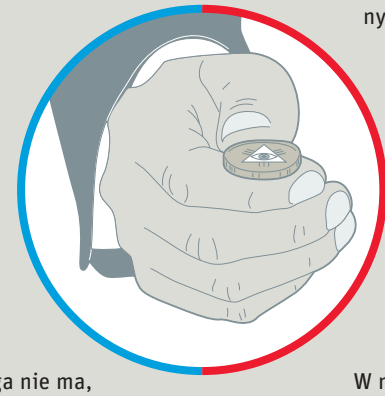

ODPOWIEDŹ WOLTERA

GRA PASCALA JEST NIEMORALNA I DZIECINNA. Nie można decydować o największych zagadnieniach filozoficznych i podejmować najważniejszych decyzji życiowych, opierając się na rachunku zysku i strat. Jeśli już chcesz sobie wybrać życie w zaświatach, rób to z głębokiej wiary, choćby i mylnej, a nie zimnej kalkulacji! Zresztą wiara ufundowana na myśleniu hazardzisty nigdy nie będzie głęboka. W najlepszym razie można liczyć na wiarę ostrożną, a być może nawet powierzchowną i udawaną. Wątpliwe, czy Bóg nagrodzi nas nieskończenie za tak letni stan ducha.

TRYLEMAT LEWISA

SĄ TACY, KTÓRZY SĄ SKŁONNI przyznać, że Jezus był wielkim nauczycielem i autorytetem duchowym, ale zaprzeczają, że był Bogiem. To absurd! Ktoś, kto mówiłby, jak Jezus, że jest Bogiem, ale nim nie był, wcale by nie był wielkim nauczycielem. Są więc trzy możliwości. Pierwsza: Jezus był szaleńcem. Szaleńcem tak szalonym jak ci ludzie, którzy twierdzą, że są Napoleonem albo jajkiem ugotowanym na twardo. Druga: był kłamcą, tak wytrawnym, podstępnym i złośliwym, jak sam Szatan. Trzecia: mówił prawdę. Był Bogiem, który zstąpił na ziemię. Innych możliwości nie ma, a już z całą pewnością nie jest nią ów aż nazbyt często powtarzany nonsens, że był po prostu „wielkim nauczycielem". Choć więc z początku opcja trzecia może się wydawać najtrudniejsza do zaakceptowania, jest w istocie dużo bardziej sensowna niż dwie pierwsze.

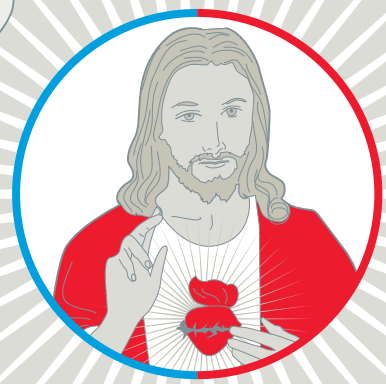

CZWARTA DROGA

JEST EWENTUALNOŚĆ CZWARTA, której Lewis nie przewidział. W powszechnie znanej, „mnemotechnicznej" wersji trylemat Lewisa skraca się do trzech słów na „L": Lunatic (szaleniec), Liar (kłamca) or Lord (Pan). A czemu nie „Legend"? Choć większość badaczy zgadza się dziś, że istniała kiedyś postać historyczna zwana Jezusem, szczegóły jego życia i wypowiedzi są już znacznie mniej pewne. Czy naprawdę możemy odpowiedzieć na pytanie, czy Jezus mógł być kłamcą albo szaleńcem, sądząc po jego wypowiedziach, które są w najlepszym razie sparafrazowane, a w najgorszym po prostu zmyślone?

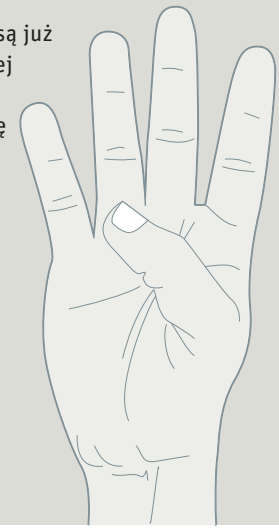

Metafizyczny remis

ARTUR SPORNIAK

Doprowadźmy spór między wierzącym w Boga a niewierzącym, przy dzisiejszym stanie wiedzy, do ostatecznych konkluzji.

W 1996 r. telewizja BBC wyemitowała film „Bóg pod mikroskopem". Jego głównym bohaterem jest Richard Dawkins, wybitny biolog, pisarz, jeden z twórców tzw. nowego ateizmu – nurtu, który odwołując się do nauki próbuje podważać wartość religii. Film składa się z dwóch części. W pierwszej Dawkins kwestionuje poznawczą rolę religii, przeciwstawiając jej wartość badań naukowych. Przekaz jest uatrakcyjniony krótką rozmową Dawkinsa z Jamesem Watsonem, współodkrywcą struktury DNA, za które to osiągnięcie otrzymał Nagrodę Nobla. Druga część filmu, będąca dyskusją nad poglądami Dawkinsa, nagrana została w bibliotece klasztoru w czeskim Brnie, w którym mieszkał i pracował twórca genetyki Gregor Mendel. W dyskusji oprócz głównego bohatera bierze udział kilka osób: filozofka Mary Warnock, teolog Wentzel van Huyssteen, historyk z London School of Economics David Starkey oraz polski uczony, kosmolog i teolog ks. Michał Heller.

W klasztorze Mendla

Dobór dyskutantów, który w intencji twórców miał zapewne uatrakcyjnić dyskusję i ukazać problem wiary w Boga z różnych perspektyw, sprawił, że w dużej mierze okazała się ona monologami specjalistów. Jedynie Heller podjął wyzwanie Dawkinsa na jego zasadach – obaj przecież zawodowo parają się naukami przyrodniczymi.

Główny zarzut Dawkinsa streszczał się do uwagi: na pytanie, jak powstał świat i jak funkcjonuje, odpowiedzieć może tylko nauka, religia tymczasem zawłaszcza odpowiedzi. O ile nauka potrafi uzasadnić swoje odpowiedzi, religia odwołuje się do autorytetu i objawienia, a takie arbitralne kryteria prawdziwości często w konsekwencji prowadzą do wojen plemiennych. Stąd wniosek, że religia jest czymś złym.

Heller przyjął strategię ukazania granic nauk przyrodniczych. Nauka zakłada racjonalność – poznawalność świata metodami wypracowanymi przez ludzki rozum – i to założenie jest wyborem etycznym, za którym przecież nie stoją racje „naukowe". Ostatecznym gwarantem racjonalności dla Hellera jest właśnie Bóg. Polski kosmolog powołał się tu na stwierdzenie Dostojewskiego: jeśli Boga nie ma, to wszystko wolno. „Poza tym wyborem, jeśli się z tobą nie zgadzam, możesz mnie zabić" – mówił Heller, a wybierając racjonalność, wybieramy wiarę w to, że racjonalność jest lepsza od irracjonalności. „W naukowy sposób nie potrafimy tego uzasadnić – przekonywał – gdyż nauka nie dysponuje metapoziomem opisu, aby powiedzieć, dlaczego wybieramy racjonalność, a nie irracjonalność, i dlaczego w imię racjonalności nie będziemy mordowali tych, którzy się z nami nie zgadzają, tylko będziemy z nimi dyskutować i starać się ich przekonać". Pytał też Dawkinsa, czy wierzy w racjonalność i jak wytłumaczy swoje pragnienie bycia naukowcem.

Dawkins przyznał, że nauka nie neguje etyki, przeciwnie – potrzebuje jej. Ale jego zdaniem nie potrzebuje religii. Sprzeciwił się także dostrzeganiu źródła religii w zachwycie nad światem. „Jak długo mówiąc o religii, będziemy mówili o odczuciu zachwytu i zdziwienia nad światem, to jestem religijny – przyznał Dawkins. – Ale nie jestem religijny w takim sensie, jak wy jesteście religijni, wyznając konkretną religię, która dla mnie nie jest zachwytem nad światem, tylko zrytualizowanym zachowaniem ewolucyjnym". Skrytykował także język religijny – jako zbyt metaforyczny.

W odpowiedzi Heller zauważył, że metafora nie jest czymś irracjonalnym i nie jest domeną tylko religii. Także nauki posługują się metaforami, np. w mechanice kwantowej, by przełożyć język matematyki na język odnoszący się do świata.

Puenta rozmowy została postawiona jednak poza kamerami. Po nagraniu jeden z uczestników spotkania zapytał, jaka właściwie jest między Dawkinsem a Hellerem różnica. Heller, zwracając się do Dawkinsa, odpowiedział: „Ty racjonalność piszesz przez małe »r«, ja piszę przez duże »R«".

GUENTHER SCHWERMER / BEW

Mural na Bulwarze Saint Laurent, Montreal, Kanada

Ziemia niczyja

Heller i Dawkins wiedli spór światopoglądowy – nie była to *stricte* naukowa dyskusja. Nie zderzali ze sobą tez teologicznych z tezami naukowymi. Nie mogliby tego robić, gdyż dziedzina nauk przyrodniczych i dziedzina teologii nie mają obszarów wspólnych. Nie ma między nimi wynikania, może natomiast być współbrzmienie – jak postulował swego czasu filozof nauki Ernan McMullin. Choć zajmują się tymi samymi przedmiotami – światem i człowiekiem – badają je pod innym kątem, stosują inne schematy pojęciowe i odwołują się do różnych metod.

Nie oznacza to, że ich izolacja jest całkowita, choć „oddziaływanie" jednej na drugą nie jest symetryczne. Nauki przyrodnicze są metodologicznie samowystarczalne i nie potrzebują znikąd wsparcia (założenie naturalizmu metodologicznego). Stąd jakiekolwiek próby uzupełniania nauki tezami teologicznymi, jak to proponują np. zwolennicy Inteligentnego Projektu, naruszają koherencję nauki, a religię narażają na kompromitację. W odniesieniu do tego, co naturalne, odpowiedzi nauk przyrodniczych są metodologicznie mocniejsze niż odpowiedzi teologii.

W nieco innej sytuacji jest teologia. Jako racjonalna interpretacja Objawienia zakłada ona obraz świata, czyli jakoś koherentny zbiór naturalnych tez, które powinny liczyć się z dobrze uzasadnionymi tezami nauk przyrodniczych. Mówiąc precyzyjniej: tezy teologiczne wynikają z koniunkcji tez religijnych i tez o naturalnym charakterze. Te drugie teolog powinien tak dobierać, by unikać ewidentnych sprzeczności z naukami przyrodniczymi (ale też nie uzależniać Objawienia od nich), jeśli nie chce narażać religii na oskarżenie o naiwność czy przesądy. Zatem pośredni wpływ nauk przyrodniczych na teologię jest istotny. Dlatego Heller w filmie BBC m.in. zauważa: „Teologii potrzebna jest nauka, która nieraz będzie kwestionowała pewniki dotyczące świata. Zadaniem teologów będzie wtedy korekta swoich wyobrażeń i metafor".

Choć teologia nie może oddziaływać bezpośrednio na naukę, może mieć wpływ na światopoglądowe tezy formowane pod wpływem nauk przyrodniczych. Wspomniany nieżyjący już McMullin wskazywał, że zarówno teologia, jak i nauka (np. kosmologia) powinny zgodnie formować nasz „pogląd na świat". Ów pogląd na świat jest jakby przestrzenią buforową między nauką a Objawieniem, w której może dochodzić do istotnych uzgodnień i harmonii.

Te uzgodnienia działają w obie strony. Wspomniałem, że tak powinniśmy interpretować Objawienie, by nie narażać je na konflikt z nauką, ale też naukę w naszym poglądzie na świat możemy tak interpretować, by metafizyczne tezy wynikające z tej interpretacji nie kolidowały z naszą wiarą. Mamy zatem prawo odrzucać np. naturalizm ontologiczny (głoszący, że granice metody naukowej wyznaczają granice świata), gdyż metodologia metafizyki nie wydaje się mocniejsza od metodologii teologii.

Racjonalna dyskusja ateisty z wierzącym jest zatem możliwa na gruncie metafizyki – „ziemi niczyjej". Czy taka dyskusja może być jednak konkluzywna? Spróbujmy kontynuować rozmowę z biblioteki Mendla i doprowadzić ją do najbardziej ogólnych (ostatecznych?) wniosków.

Świat otwarty i zamknięty

Najłatwiej jest to osiągnąć stawiając najbardziej ogólne pytania. Na przykład słynne pytanie Leibniza: dlaczego jest raczej coś niż nic? Nic przecież jest prostsze i łatwiejsze niż coś – można dopowiedzieć. Dlaczego więc cokolwiek istnieje?

Odpowiedź można próbować formułować z dwóch perspektyw: naturalistycznej, czyli ograniczającej się do tego świata, oraz innej, przekraczającej ontologiczny naturalizm. Spójrzmy najpierw z pierwszej perspektywy.

Nauka pokazuje, że świat sam się organizuje, można więc mówić o samopowstawaniu świata. Tak to przynajmniej wygląda w przypadku poszczególnych przedmiotów naturalnych: wiemy dziś, że nie tylko chmury powstają same, bez żadnej planowej ingerencji, ale również planety, gwiazdy czy galaktyki. Kusi oczywiście, by rozumowanie to rozciągnąć na cały Kosmos, jednak przekonujący opis samoistnego wyłonienia się Wszechświata nie jest łatwo sformułować. Przez pewien czas niektórzy fizycy i filozofowie bawili się obiecującą ideą, że po zsumowaniu wszystkich form energii we Wszechświecie uzyska się zero. Byłoby to oczywiście bardzo interesujące, ponieważ w pewnym sensie złagodzony zostałby problem powstania „czegoś" z „niczego". Gdyby sumaryczna energia Wszechświata wynosiła zero – a nie jest to tak absurdalne, jak się wydaje, ponieważ pewne człony w całkowitym „budżecie" energii zlicza się ze znakiem ujemnym – każde lokalne „coś" dałoby się zsumować z innym „czymś", a więc ostatecznie wyszłoby „nic". Szczegółowe obliczenia, oparte na gigantycznych zbiorach danych astronomicznych, pokazują jednak, że w przypadku naszego Wszechświata składowe „dodatnie" o wiele rzędów wielkości przewyższają „ujemne". ↦

↦ Fizycy James Hartle i Stephen Hawking podjęli z kolei próbę wyrażenia w języku fizyki stanu „tak pustego", jak to tylko możliwe, zadając następnie pytanie, jak prawdopodobne byłoby spontaniczne wyłonienie się naszego Wszechświata z owej „prawie nicości". Uzyskali wynik niezerowy, co niektórzy komentatorzy uznali za obiecującą wskazówkę, że jesteśmy o krok bliżej naukowej teorii samoistnego powstawania Wszechświata.

Z szerszej perspektywy sprawa wygląda inaczej. Świat nie tylko istnieje i jest „czymś", ale ponadto rządzi się racjonalnymi prawami, dającymi się sensownie badać. Człowiek wierzący powie: powstał jako stwórcze działanie Absolutnej Pełni i do niej zmierza. Dlatego jest racjonalny i pełen sensu. Jest otwarty na to, co nadaje mu sens.

Zwolennicy ontologicznego naturalizmu z kolei odpowiedzą: absolutna pełnia czy – jak chcecie – Bóg jest czymś o wiele bardziej nieoczywistym i domagającym się wyjaśnienia niż owe „coś", które Bóg ma wyjaśniać. Zatem, odwołując się do Boga, popełniacie błąd logiczny tłumaczenia nieznanego przez nieznane (*ignotum per ignotum*).

Tu nie chodzi o proste wnioskowanie logiczne – mogą się bronić zwolennicy świata otwartego na transcendencję. Chodzi o pytanie: skąd się bierze sens? Czy badając sens – np. racjonalność świata – również możemy mówić o jego samopowstawaniu czy samoorganizacji? Prawa przyrody samoistnie pączkują z nicości? Nawet jeśliby tak było, działoby się to znów wedle jakichś praw – tyle że wyższego rzędu. Jeżeli raz rozpoznaliśmy racjonalność, to nie możemy jej zignorować. Okazuje ona swoją „wyższość" wobec tego, co empiryczne. Prawa zastajemy i zawsze są one „mądrzejsze" od badanego świata. I są przede wszystkim „mądrzejsze" od nas – badaczy.

Narzuca się sugestia absolutnej pełni stojącej za rozpoznawanymi prawami, która nie domaga się już wyjaśnienia. Bowiem z perspektywy metafizycznej dwa stany rzeczywistości nie domagają się uzasadnienia: całkowita nicość i absolutna pełnia. Nasz świat (a w nim miejsce naszej rozumności) ze względu na swoją przygodność i przypadkowość jest jakby w pół drogi między nicością a pełnią. Przez to jest nieoczywisty i domagający się ostatecznego wyjaśnienia.

Więc dobrze, zawsze pozostaje „coś" niewyjaśnionego. Ale lepszy wróbel w garści niż kanarek na dachu – odpowie zwolennik świata zamkniętego. – Wolę zaczynać od zdziwienia zastanymi prawami przyrody niż od niezrozumiałej dla mnie idei Boga.

JANERIK HENRIKSSON / TT NEWSAGENCY / FORUM

RICHARD DAWKINS:

Religia jest dla mnie nie zachwytem nad światem, tylko zrytualizowanym zachowaniem ewolucyjnym.

JACEK TARAN

MICHAŁ HELLER:

Różnimy się tylko pisownią. Ja zapisuję racjonalność przez duże „R".

Rozmowa ta najwyraźniej prowadzi do remisu. Wychodzi z dwóch uprawnionych metafizycznych perspektyw: perspektywy odwołującej się do wiecznie istniejących praw przyrody, które powodują powstawanie świata z „niczego", oraz perspektywy zakładającej pełnię rzeczywistości, która udziela racjonalności przygodnemu światu.

Oba podejścia mają swoje słabe punkty: pierwsze ma kłopot z uzasadnieniem sensu świata, drugie wprowadza jako założenie byt osobliwy – metafizyczny absolut jako źródło sensu.

Skoro jednak racjonalna wydaje się zarówno metafizyczna wiara, jak też metafizyczna niewiara, dlaczego dla niektórych z nas oczywistością jest wierzyć, a dla innych nie wierzyć?

Zagadka Lema

Pewne światło na ten problem rzuca odpowiedź Stanisława Lema na pytanie, dlaczego nie wierzy, opublikowana w książce „Co nas łączy? Dialog z niewierzącymi" (2002). Lem długo się wzbraniał przed odpowiedzią, ale, naciskany przez redaktora książki Stanisława Obirka (dokumentacja owych nacisków skrupulatnie została załączona), odpowiedział w dwóch zdaniach: „W pewnym, jak sądzę: głębokim znaczeniu, człowiek cały wierzy sobą, albo nie wierzy. Ja nie wierzę".

Ta całościowość postawy może sugerować, że problem wiary i niewiary rozstrzyga się wcześniej niż w świadomy i racjonalny sposób. Być może decyduje o tym mieszanka złożona z genetycznych predyspozycji, wychowania i życiowych doświadczeń, choć zapewne po takim rozstrzygnięciu nic nie jest jeszcze ostatecznie przesądzone. Spróbujmy jednak bliżej sprecyzować obszar poszukiwań owego genetycznego czynnika. Na jaką psychologiczną różnicę można wskazać w postawach ateisty i wierzącego?

Wydaje się, że jest nią potrzeba kontroli. Ateista wyznacza granicę światu w tym miejscu, które jakoś daje się jeszcze kontrolować. Wierzący nie tylko nie boi się iść dalej, ale wręcz chce być prowadzony przez coś lub przez Kogoś, nad kim nie mamy kontroli. Odwołując się do metafory z życia wziętej: ateista woli być zawsze kierowcą, wierzący może być także pasażerem, który podziwia widoki, a ponadto wie, że tych najważniejszych podróży nie jest w stanie sam zrealizować.

To byłaby próba naturalistycznej odpowiedzi, skąd się bierze wiara i niewiara. Jest jeszcze teologiczna odpowiedź: wiara jest łaską (czyli darem). I ostatecznie nie nasza to sprawa, by Boga z niej dokładnie rozliczać.

©℗ ARTUR SPORNIAK

SHUTTERSTOCK

Kaplica Sykstyńska w Watykanie, freski Michała Anioła

Świat jest mową Boga

CHARLES TAYLOR, FILOZOF:

Nazywanie otwiera nas na rozumienie rzeczy, które byłyby dla nas niedostępne, gdybyśmy nie mieli słów. Ale to, co robi Adam w raju, i co my robimy w Adamie, stanowi także pewną analogię do tego, co czyni Bóg stwarzając.

MIŁOSZ PUCZYDŁOWSKI, MARTA SONIEWICKA: W wielu książkach posługiwał się Pan wyrażeniem „pełnia życia". Czym ona jest w wieku 87 lat?

CHARLES TAYLOR: Pełnią życia jest dawanie. Kochanie. Wszystko inne wydaje się mniej istotne lub płytkie w konfrontacji z ludźmi, którzy naprawdę coś dają. W szerszym znaczeniu może to być oferowanie dobrych pomysłów, zapewnianie dobrego przywództwa, idei lub dobrych instytucji.

Dawanie jest czymś, co nas definiuje?

Mamy oczywiście różne wymiary naszej podmiotowości: skąd pochodzisz, jacy ludzie są istotni w twoim życiu, itd. Pełnię życia jednak stanowi to, co dawałeś i dajesz innym. Jej część odnajdujemy w relacjach miłości czy rodzicielstwa, ale dawać można także coś w szerszym sensie, społeczeństwu.

Często słyszymy, że aby stać się szczęśliwym, musimy najpierw ↦

stać się sobą. Co to właściwie znaczy? Stawanie się sobą to odkrywanie własnej tożsamości – czy raczej stwarzanie siebie samego?

Robimy po trosze obie te rzeczy. Tworzenie i odkrywanie są ze sobą splecione. Zawsze rozpoczynamy od pewnego rodzaju intuicji. Przyjrzyjmy się np. poecie lub pisarzowi. Próbują oni odnaleźć swoje prawdziwe powołanie w pisaniu. Ale nie mogą przecież powiedzieć zbyt wiele o swoim powołaniu, zanim nie powstaną ich utwory. W tym procesie zawarty jest element eksploracji ukrytych wymiarów. Już po napisaniu autor może powiedzieć: „Cóż, przecież ja tak naprawdę wcale tego nie powiedziałem!" lub: „Te utwory mają w sobie coś innego, rzeczywiście powiedziałem to!". Możemy lepiej zrozumieć, co robimy, dopiero na końcu. I to jest odkrywanie. Drogą do odkrycia jest jednak tworzenie.

W jaki sposób odkrył Pan i stworzył własną tożsamość?

Miałem w życiu wiele takich momentów, w których czułem, że wszystko się odwraca i jestem na drodze do czegoś głębszego. Jeden z nich to teologia Soboru Watykańskiego II, uprawiana głównie przez jezuitów i dominikanów, takich jak Henri de Lubac, Yves Congar i inni. Francuscy duchowni w moim rodzinnym Montrealu mieli z nimi bliskie kontakty. Zetknąłem się więc z tymi ideami, jeszcze zanim zmarł Pius XII [w 1958 r. – red]. Właściwie byłem już w tym czasie gotowy opuścić Kościół katolicki, ale one mnie zawróciły.

Kolejny zwrotny punkt to lektura Dostojewskiego – pisarza bardzo dla mnie ważnego. A później, gdy w filozofii musiałem się zmierzyć z nurtami pozytywistycznymi i redukcjonistycznymi, ktoś zwrócił moją uwagę na Merleau-Ponty'ego. To z kolei wciągnęło mnie w cały nurt: Heideggera, Ricoeura i innych. Te lektury sprawiły, że na trwałe zająłem polityczne stanowisko lewicowej socjaldemokracji. W tamtych pismach znalazłem uzasadnienie, dlaczego powinienem popierać solidarność społeczną. W tym sensie odnalazłem w nich wymiar polityczny i teologiczny.

Jaki wymiar moralny ma używanie języka?

Twórcze użycie języka jest kluczowe dla aktu dawania. To ogólne stwierdzenie wcielamy w życie na wiele sposobów. Może ono oznaczać, że przy pomocy języka próbujemy przekazać jakąś wiadomość dotyczącą ludzkiego życia. Język okazuje się jednak odpowiednim narzędziem do dawania także na wiele innych sposobów. Chodzi mi o językową zdolność zrozumienia tego, że ludzie bardzo się od siebie różnią. Ten sposób posługiwania się językiem nazywam właśnie podejściem etnograficznym. Jest on pewnego rodzaju talentem, oczywiście nie w dosłownym tego słowa znaczeniu. Chodzi o odnajdywanie drogi, odnajdywanie języka, który daje dostęp do języka innych ludzi. W ten sposób zbliżamy się jakoś do tego, w jaki sposób oni rozumieją swój język. Dzięki językowi zdobywamy dostęp do wszelkich sposobów dawania, które są niezbędne, aby ustanowić relację z innymi.

Musimy zrozumieć, czym jest inne rozumienie rzeczywistości niż nasze własne – **bez tego nie zrobimy niczego dobrego.**

Język nie tylko może jednak uszlachetniać nas moralnie, może także posłużyć nam do krzywdzenia innych. Jak oraz dlaczego mamy dokonać właściwego wyboru w sprawie sposobu używania języka?

Przede wszystkim musimy zrozumieć, czym jest inne rozumienie rzeczywistości niż nasze własne – bez tego nie zrobimy niczego dobrego. Wyobraźmy sobie, że zakładam jakąś instytucję publiczną: szpital lub klinikę. Jej celem jest zapewnianie korzyści wielu ludziom. Ma się to dokonać poprzez świadczenie im rozmaitych usług. Przykład wielu państw dobrobytu pokazuje jednak, że często nie czynimy tym ludziom ani przysługi, ani szkody, ponieważ rządzący wcale nie troszczą się o to, czym taka usługa miałaby właściwie być. Dzieje się tak, gdy posiadamy własne rozumienie tego, jak leczyć ludzi, i nie włączamy ich w cały ten proces. Dopiero włączenie ludzi nadaje całemu przedsięwzięciu sens; nie zaś traktowanie ich w biurokratyczny sposób i przekazywanie im pieniędzy lub usług.

To jest właśnie jedna z dziedzin życia, gdzie niezbędne okazuje się coś, co nazywam podejściem etnograficznym. Przede wszystkim muszę najpierw spostrzec, że ci ludzie wcale nie są zadowoleni z usług, które im świadczę. Można wówczas podążyć dwiema drogami. Albo z nimi jest coś nie tak, albo to ja nie zrozumiałem, co oznacza dla nich dobre życie. Spróbujmy więc ich o to zapytać. Jest to jeden z wymiarów języka, którego, jak sądzę, w dzisiejszym świecie bardzo brakuje.

A zatem życie moralne oznacza dawanie pierwszeństwa innym. I tutaj pojawia się problem, z którym wszyscy się dziś mierzymy. Problem populizmu. Wielu polityków kieruje się nienawiścią, brakiem zrozumienia innych. Natomiast ludzie po mojej stronie, jak sądzę, nie potrafią właściwie im odpowiedzieć. Nie należy ich potępiać, ale próbować ich zrozumieć; co ich martwi, co ich irytuje. Zarówno z politycznego, jak i po prostu z ludzkiego punktu widzenia podejście etnograficzne jest bardzo rozsądne. Dzięki niemu możemy mieć nadzieję, że osiągniemy taką postać zrozumienia, która pozwoli nam żyć jeszcze długo razem. To coś dużo lepszego niż wzmaganie nienawiści lub gniewu. Są tacy, którzy są pełni gniewu na nas, ale odpowiadanie gniewem na gniew nigdy nie jest dobrą, długoterminową polityką. Dlatego zdolność rozumienia innych i zdanie sobie sprawy, że nigdy w pełni się nie rozumiemy, są tak ważne i wymagają nieustannej pracy.

Pańskiej filozofii blisko do tradycji chrześcijańskiej, zgodnie z którą „na początku był Logos (było słowo)". Jak Pan rozumie to stwierdzenie?

Idea Logosu to idea słowa, które bardzo odbiega od słów, którymi się posługujemy. Aby to wyjaśnić, najłatwiej mi jest się posłużyć analogią do wielkich dzieł literackich, takich jak „Bracia Karamazow" Dostojewskiego. Ta powieść, słowa, którymi ujęto świat, otworzyła przede mną cały świat – jacy ludzie są, jakie są ich możliwości – to otworzyło przestrzeń nowych znaczeń dla mnie. Dzięki temu mogę zrozumieć życie ludzkie, które wcześniej było dla mnie niedostępne. Na tym więc polega twórcza moc języka.

Jednak jako metafora teologiczna to stwierdzenie odnosi się do twórczej mocy, która nie tylko otwiera dostęp do czegoś, ale stwarza to, co jest. Więc to jest ten skok teologiczny, w którym nasza relacja ze światem staje się dla nas zrozumiała i w którym otwieramy się na nowy wymiar rzeczywistości i doświadczeń. Ta metafora mówi także, że świat jest czymś stworzonym, co nas samych może też kształtować i przekształcać.

W Księdze Rodzaju czytamy nie tylko o tym, że świat został stworzony przez Boga, ale też o tym, że nazywanie wszelkich stworzeń zostało oddane Adamowi. W ten sposób Bóg zaprosił człowieka do udziału w akcie stworzenia?

Można tak powiedzieć. Z pewnością nazywanie otwiera nas na rozumienie rzeczy, które byłyby dla nas niedostępne, gdybyśmy nie mieli słów. Ale z perspektywy teologicznej można by to rozumieć tak, że człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boga. To, co robi Adam, i co my robimy w Adamie, stanowi pewną analogię do tego, co czyni Bóg stwarzając.

Na czym polega tajemnica języka? Czy jest tak, że my mówimy językiem, czy raczej to język mówi nami?

Musimy zrozumieć, że język wyraża o nas wiele głębokich rzeczy, które stanowią dla nas wezwanie do odczytania. Ludziom często się wydaje, że język jest jedynie instrumentem komunikacji. Istnieje jednak także to inne podejście, które nazywam właśnie podejściem etnograficznym. Zaczyna się ono od stwierdzenia: „czegoś o tobie nie rozumiem". Wiąże się ono z zadawaniem pytań, dlaczego ktoś użył takiego, a nie innego wyrażenia. Jest próbą zrozumienia tego, co się wokół nas dzieje.

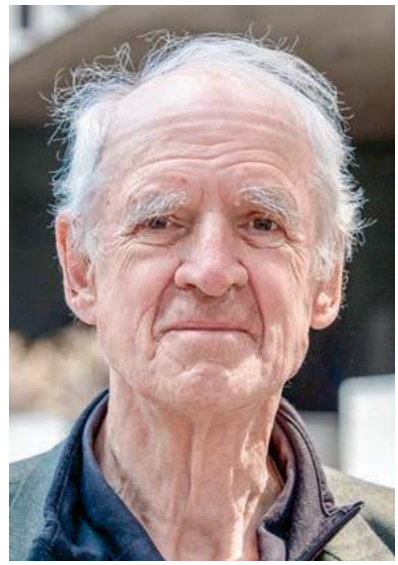

LÉA-KIM CHÂTEAUNEUF / WIKIMEDIA.ORG

CHARLES TAYLOR (ur. 1931) jest kanadyjskim filozofem, emerytowanym profesorem Uniwersytetu McGill w Montrealu. Wniósł wkład w szereg dziedzin filozoficznej refleksji, m.in. filozofię polityczną, moralną, umysłu i języka. Zyskał światowy rozgłos i szereg najbardziej prestiżowych wyróżnień po publikacji książki „A Secular Age" („Epoka świecka", 2007): Nagrodę Templetona w 2007 r., Nagrodę Kioto w 2008 r., Nagrodę Klugego w 2015 r. i Nagrodę Berggruena w 2016 r. Był jednym z głównych gości Copernicus Festival 2019: Język. Wywiad został przeprowadzony przy okazji festiwalu.

W swojej ostatniej książce wspomina Pan Johanna Hamanna, filozofa pruskiego oświecenia, który powiedział, że świat jest mową Boga, a dla nas dostępne są tylko tłumaczenia, dlatego nie możemy pojąć oryginału. Niektórzy naukowcy, jak np. Michał Heller, twierdzą, że matematyka jest językiem Boga. Inni, jak genetyk Francis Collins, twierdzą, że DNA jest językiem Boga. Czy te metafory do Pana przemawiają?

To zależy, co oni przez to rozumieją. Może być tak, że istnieje pewna głęboka prawda, której nie da się przetłumaczyć na kategorie niematematyczne, zwykłą mowę, jaką posługują się ludzie. Można jedynie dać pewną wskazówkę, jak to coś rozumieć, ale czasem nie da się tego przetłumaczyć na inny język niż matematyka, czy w ogóle na jakikolwiek inny język, z którym mamy do czynienia. Nie da się tego wyrazić w innym języku niż oryginalny bez utraty znaczenia. Jest tu więc pewna analogia do Hamanna, z tym że on traktował to stwierdzenie, iż świat jest mową Boga, z teologicznego punktu widzenia bardzo poważnie.

Wielokrotnie podkreślał Pan, m.in. w ostatniej książce, że funkcją języka jest łączenie nas na powrót ze sobą samym, z innymi, ze światem. Czy sądzi Pan, że jest coś, np. w naszym moralnym bądź religijnym doświadczeniu, co wykracza poza artykulację?

Bez wątpienia. Nigdy nie będziemy w stanie w pełni wszystkiego wyrazić. Poczucie tego, co boskie, poczucie Boga, boskiej miłości – to jest coś, co możemy bezustannie poruszać, ale czego nigdy w pełni nie wyartykułujemy. Takie próby nigdy się nie skończą. Nie są one bezsensowne, ale nigdy nie pozwolą nam na oddanie tego w pełni.

Sztuka, poezja, literatura, muzyka mogą nam pomóc uzyskać wgląd w tego typu doświadczenia?

Oczywiście. Tu znowu widać, że dysponujemy różnymi językami. Więcej niż jednym medium, więcej niż jednym środkiem wyrażania. Uważam, że Bach jest znakomitym wyrazicielem wiary chrześcijańskiej. Można próbować powiedzieć coś więcej o tym, dlaczego tak jest. Widać wówczas, że używa się dwóch różnych środków wyrazu. Z jednej strony środkiem wyrazu jest muzyka, z drugiej język krytyków muzycznych, którzy tę muzykę komentują i starają się zrozumieć, dlaczego ten język sztuki aż tak silnie oddziałuje. A językiem oryginalnym w przypadku Bacha może być msza. Zawsze są różne media współpracujące we wzajemnej próbie wyrazu. Każde z nich coś nam mówi o innym medium, a w przestrzeni między nimi rodzi się głębsze rozumienie.

© Rozmawiali MIŁOSZ PUCZYDŁOWSKI i MARTA SONIEWICKA

Pytania dziecka i teologa

PIOTR SIKORA

Bardzo chcielibyśmy zrozumieć, kim jest Bóg, wyrazić to w spójnej teorii. Tego jednak z definicji zrobić się nie da.

Wiele lat temu jeden z moich synów, wówczas kilkuletni, spytał: „Tato, czy Pan Bóg jest wszędzie?”. „Tak, synku” – odrzekłem bez namysłu. „Na pewno?”. „Oczywiście”. „Ale czy na pewno?” – szelmowski błysk w oku zdradził, że za drugim „czy na pewno?” zaświtała myśl, która raczej nie spodobałaby się katechetce. „Na pewno” – nie dałem się zbić z tropu. Na co syn wypalił: „Czyli u mnie w pupie też!?”.

Wolność i wszechwiedza

Dziecięca zdolność łamania schematów i konwencji, ogłaszania z krzykiem: „Król jest nagi!”, ujawniła w tym przypadku często wypieraną przez nas sprzeczność w myśleniu o Bogu. Po jednej jej stronie znajduje się hierarchiczna wizja rzeczywistości, w której jest horyzont wartości, rzeczy wzniosłe i wstydliwe, z Bogiem zajmującym miejsce w najwyższym punkcie sfery tych pierwszych. Po drugiej zaś – przekonanie, że ów Bóg, właśnie jako absolutnie doskonały, nie może być gdzieś nieobecny – jakby nie miał w jakąś przestrzeń wstępu.

Wszechobecność Boga rodzi jednak inne poważne problemy. Znów odwołam się do intuicji dzieci. Drugi z moich synów, także mając kilka lat, w plastyczny sposób wytłumaczył mi związek pomiędzy boską wszechobecnością a niewidzialnością. Wszechobecny Bóg musi być niewidzialny – stwierdził – w przeciwnym razie wszystko by sobą zasłaniał.

Ów obraz, który pojawił się w dziecięcym umyśle znajdującym się w zmysłowo-wyobrażeniowej fazie rozwoju, jest aspektem szerszego problemu. Jeśli Bóg jest wszechobecny nie tylko w sensie przestrzennym, ale w każdym innym, to całkowicie i w każdym aspekcie wypełnia wszystko: także nasze myśli, uczucia, teorię Einsteina i zbiór liczb pierwszych. Wypełnia tak zupełnie, iż nie tylko jest „w nich”, ale raczej jest „nimi wszystkimi”. A jeśli tak, to na nic, co nie jest Nim, po prostu nie ma miejsca.

Jeśli powyższy wywód brzmi dla kogoś zbyt abstrakcyjnie, warto wydobyć na jaw niektóre jego konsekwencje, bardziej konkretne, bo dotyczące kwestii bliższych naszemu doświadczeniu. Na przykład: wolność. Jak ją pogodzić z boską wszechmocą? Gdy spotykamy drugiego człowieka, rozpoznajemy, że jest ona lub on wolnym podmiotem właśnie przez to, że nie możemy nią lub nim w pełni manipulować, nawet gdybyśmy bardzo tego chcieli. Wolność innych zakłada ograniczenie naszej wolności, to, że nie jesteśmy wszechmocni. A Bóg jest...

Wolność trudno też pogodzić z boską wszechwiedzą. Skoro bowiem Bóg wie wszystko, wie też, co zrobię w każdej chwili, która mi w życiu została. Czy zatem naprawdę mogę wybierać? Czy nie jest raczej tak, że moje życie zapisane jest raz na zawsze w boskim umyśle? Lub inne pytanie: skoro Bóg wszystko wie, wszystko może i chce dla nas najlepiej – jaki jest sens modlitewnej prośby? Po co miałbym go o cokolwiek prosić – zna On nie tylko moje pragnienia, ale i to, czy ich spełnienie przyniesie mi dobro i satysfakcję.

Wreszcie najbardziej drażniący z wszelkich problemów: kwestia obecności w świecie zła. Skoro Bóg jest absolutnie dobry, wszechmocny i wszechwiedzący, dlaczego nie może zrobić tak, by nikt nie cierpiał? Religijni myśliciele każdego pokolenia trudzili się nad rozwiązaniem tej zagadki, ale żadna z odpowiedzi nie jest powszechnie przekonująca.

Naturalne ograniczenia

Wszystkie te intelektualne kłopoty nie są ani przypadkowe, ani nie wynikają z naszych błędów w rozumowaniu czy też z braku odpowiedniej wiedzy. Należą do natury rzeczy. Dobrze zrozumiał to święty Augustyn, dlatego zakończył jedno ze swoich kazań słowami: „Zrozumiałeś? Nie? To dobrze. Gdybyś zrozumiał, nie o Bogu byłaby to mowa”.

Augustyn, jak wielu innych myślicieli przed nim i po nim, pojął, że jesteśmy z istoty swej ograniczeni. Ograniczony jest też zatem nasz dyskursywny rozum, operujący pojęciami wyrażanymi językowo, za pomocą których opisujemy otaczającą nas rzeczywistość i budujemy teorie, które ją wyjaśniają. Wszelki język, który możemy pojąć i którego możemy używać, dobrze pasuje do świata składającego się z wielu wzajemnie powiązanych elementów. Elementy te mają też różną naturę – są wśród nich jednostkowe rze-

SPENCER PLATT

Kaplica Sykstyńska, 2018 r.

czy, ich stany, cechy i czynności, a także relacje między nimi – ale wszystkie są ograniczone i wzajemnie uwarunkowane.

Dlatego język, który my, ludzie, rozwinęliśmy, próbując poznać, opisać i wyjaśnić ten świat, składa się z wielu słów, będących różnymi częściami mowy. Znaczenie każdego słowa jest określone m.in. przez miejsce, jakie zajmuje w całym systemie językowym, i przez kontekst, w jakim jest użyte w danym przypadku. Nazwane i opisane może być to, co jest elementem świata, co istnieje w szerszym kontekście, na którego tle można to rozpoznać i zrozumieć.

Język i wyrażane w nim dyskursywne myślenie o takiej właśnie naturze nie bardzo jednak nadają się do pojmowania Boga. By zrozumieć naturę tych kłopotów, trzeba wyjść od rozważenia, o co nam chodzi, gdy mówimy „Bóg". Pisząc „nam", mam teraz na myśli osoby wyrosłe w kulturze, której religijne i myślowe korzenie leżą w tradycji biblijnej i w antycznej Grecji. Ograniczenie to nie jest bez znaczenia: wielokulturowy i wieloreligijny charakter globalnej cywilizacji zmusza każdą i każdego z nas do uświadomienia sobie, że istnieją sposoby postrzegania świata bardzo różne od tego, do którego myśmy przywykli. Być może więc istnieją ludzie, którzy wyrośli w innych kulturach i którzy nie mogą rozpoznać się w poniższej przedstawionej narracji.

Przyjęcie powyższej perspektywy pozwala uznać, że niezależnie od tego, gdzie i jak słowo „Bóg" jest dziś używane, źródłowo pochodzi ono z języka religijnego. Zajmuje w nim centralne miejsce – jako imię tego czegoś (kogoś?), co stanowi ostateczny cel i podstawę religijnego zaangażowania.

Ścisłe powiązanie myślenia i mówienia o Bogu z religijnym zaangażowaniem jest tu kluczowe. To nie tak, że ludzie najpierw myśleli o Bogu, tworzyli spekulatywne koncepcje, kim i jaki On jest, a potem dopiero zaczynali (bądź nie) w Niego wierzyć, czcić Go i dążyć do Niego. Raczej rozpoznawali w sobie pewne tajemnicze, ale i głębokie, fundamentalne pragnienie, którego nie mogły zaspokoić zwykłe rzeczy w świecie. Dostrzegali jednak, że istnieje „coś", jakiś wymiar rzeczywistości, który odpowiada temu pragnieniu – coś wzbudzającego jednocześnie trwogę i zachwyt, coś, co godne oddania i czci. Dostrzegali też, że ich egzystencja codzienna daleka jest od ideału – i w związku z tym odkrywali w sobie potrzebę głębokiej, radykalnej transformacji siebie i świata, potrzebę zbawienia. Rozpoznawali także, że nadzieję na tę transformację, czyli na zbawienie, można pokładać tylko w tym (Tym), co godne owej najwyższej czci i zaangażowania.

Komu przysługuje cześć

Religijne zaangażowanie tego rodzaju kierowane jest intuicją, że Rzeczywistość, która jest jego sensem, jest doskonała. Czcimy Boga, bo godny jest czci. Stawiamy dla Niego na szalę całe nasze życie – bo warto. W religijnym zaangażowaniu zarówno poszczególnego człowieka, jak i całych wspólnot (tworzących religijne tradycje) „pracuje" więc refleksja pytająca i usiłująca sprawdzić, czy obiekt naszej czci i dążenia – który uznajemy za Boga – jest tej czci i dążenia godny; mówiąc inaczej: czy rzeczywiście jest Bogiem, a nie bożkiem, omyłkowo wziętym za Boga.

Jak to sprawdzić? Rozważając np., czy to, co aktualnie jest przedmiotem naszej czci i wiary, ma jakiś brak sprawiający, że mogłoby być doskonalsze. Bóg, który mógłby być lepszy – to żaden Bóg. Jeśli to Bóg prawdziwy – nie jesteśmy w stanie nawet pomyśleć o czymś lepszym od Niego.

Owa religijna intuicja pobudza więc proces uwznioślania obrazu czy też koncepcji Boga. W miarę rozwoju, tak poszczególnej osoby, jak i całej religijnej tradycji, Bóg jest pojmowany jako coraz doskonalszy. Ostatecznie proces ów prowadzi do uznania, że wszelkie własności, które są przypisywane Bogu, muszą przysługiwać Mu w stopniu największym, nieskończonym. Bóg jest nie tyle mocny, co wszechmocny, nie tyle miłosierny, co absolutnie miłosierny, nie tyle obdarzony ogromną wiedzą, co wszechwiedzący. Co ↦

↦ więcej – Bogu, od którego nie można pomyśleć nic lepszego, nie może brakować żadnej doskonałości. Nie tylko więc musi On być nieskończenie doskonały, ale musi być nieskończenie doskonały pod każdym względem.

Na tym jednak nie koniec. Chrześcijańska intuicja rozróżnia bowiem dwa rodzaje religijnej czci. Inna cześć przysługuje Bogu samemu, a inna wszystkim pozostałym bytom przynależącym jakoś do sfery *sacrum*. Różnica polega na tym, że ta druga cześć – *dulia* – jest warunkowa. Osoba świętego zasługuje na cześć właśnie z tego względu, że – i tylko o tyle, o ile – uobecnia w sobie Świętość samą, posiadając w jakimś stopniu właściwe jej doskonałości. Gdyby się okazało, że dana osoba tak naprawdę nie jest taka (święta), jak się wydawało, wszelka religijna cześć ku niej ustaje. Albowiem tak naprawdę, ostatecznie, przedmiotem czci jest świętość i doskonałość – nie święci ludzie ani święte przedmioty.

Ta ostateczna cześć – *latria* – jest zupełnie innego rodzaju niż *dulia* i to właśnie ona należna jest Bogu. Jego czcimy nie ze względu na to, że jest jakiś, lub dlatego, że coś zrobił, lecz po prostu dlatego, że jest Bogiem. Znaczy to jednak, że Bóg, który naprawdę jest Bogiem, nie jest doskonały tylko „przypadkiem" (filozof powiedziałby: „przygodnie"). Świętość i doskonałość jest Jego istotą, czyli nie da się nawet pomyśleć, że mógłby nie być doskonały. Innymi słowy: jeśli da się pomyśleć, że Bóg nie jest święty i doskonały, to znaczy tyle, że byt, o którym myślimy, nazywając go „Bogiem", tak naprawdę Bogiem nie jest.

Niemożność pomyślenia, że Bóg nie jest doskonały, to niemożność odróżnienia (nawet w myśli) Boga i doskonałości. Bóg prawdziwy nie tylko jest nieskończenie doskonały pod wszelkim względem – On j e s t tą wszystkoobejmującą doskonałością. Bóg nie jest święty – Bóg jest Świętością. Bóg nie jest miłosierny – Bóg jest Miłosierdziem. Bóg nie jest wszechwiedzący – Bóg jest Wszechwiedzą.

Granice myśli, granice języka

Kłopot polega jednak na tym, że jeśli chcemy zachować osobową wizję Boga (a jest to uzasadnione nie tylko tradycją biblijną, ale także rozumowaniem, wszak bycie osobą też jest pewną doskonałością, której Bóg nie może być pozbawiony), to w powyższych twierdzeniach z koniecznością łamane są podstawowe zasady logiki. Próba pomyślenia Boga godnego bezwarunkowej czci (*latria*) doprowadza do sformułowań, w których pomieszane są różne kategorie rzeczywistości. Do jednej z takich kategorii – bytów jednostkowych – należą osoby. Do zupełnie innych cechy, takie jak wiedza czy dobroć, albo relacje, jak miłość. Nie da się zatem poprawnie logicznie pomyśleć tego, co z drugiej strony trzeba koniecznie pomyśleć: np. że Bóg jest miłością. Taka myśl zakłada rzecz niemożliwą: że byt jednostkowy jest relacją – filozofowie uznaliby to za ewidentny „błąd kategorialny".

Problem jest jeszcze głębszy: dotyczy samej możliwości nazywania Boga. Sensowne użycie nazwy zakłada bowiem, że ma ona swój właściwy przedmiot, o którym mówi, czyli do którego się odnosi. Choć przedmioty różnych nazw mogą mieć bardzo różną naturę, wspólne jest im to, że każdy z nich musi dać się odróżnić od przedmiotów innych nazw. Można powiedzieć, że aby coś nazwać, musimy to wyodrębnić z tła – jako pewien element szerszej rzeczywistości. To jednak, co jest elementem szerszej rzeczywistości, jest od tej szerszej rzeczywistości „mniejsze", nie ma więc charakteru absolutnego. Jeśli więc imię „Bóg" ma mieć swój przedmiot odniesienia, to przedmiot ów musi być jednym z elementów czegoś od siebie większego. W samym akcie używania imienia „Bóg" umieszczamy to, co tak nazywamy, na jakimś szerszym tle, a więc pozbawiamy to charakteru absolutnego, a tym samym czynimy co najwyżej bożkiem, niegodnym religijnej czci i dążenia.

Drogowskaz

Co możemy więc począć w tak poznawczo niewygodnej sytuacji? Średniowieczny mistyk i filozof Mistrz Eckhart wyraził dosadnie nasz kłopot: cokolwiek wskażesz, cokolwiek pojmiesz, cokolwiek nazwiesz – nie jest to Bogiem. A zatem: każdy, kto mówi o Bogu – ostrzegał Eckhart z właściwą sobie emfazą – kłamie. Nie chcesz kłamać o Bogu – zamilcz.

> Każdy, kto mówi o Bogu – ostrzegał Mistrz Eckhart z właściwą sobie emfazą **– kłamie. Nie chcesz kłamać o Bogu – zamilcz.**

Trzeba jednak pamiętać, że Eckhart mówiąc powyższe, sam mówił o Bogu. I nie przestawał mówić o Nim w innych kazaniach – jak nie przestają o Nim mówić tradycje religijne, w tym chrześcijaństwo. Okazuje się bowiem, że owo „kłamstwo" jest człowiekowi religijnemu do życia konieczne. Tak naprawdę nie musi być kłamstwem, trzeba tylko dobrze zrozumieć jego naturę i rolę.

Augustyn, Eckhart i wielu mistyków i świętych dobrze pojęło tę kwestię. Chodzi o to, że język, w którym posługujemy się słowem „Bóg", nie jest narzędziem budowania teoretycznych, spójnych teologicznych (albo filozoficznych) teorii.

Owszem, mamy tendencję, by próbować tak język o Bogu traktować. Jak mawiają logicy, każdej spójnej teorii odpowiada pewien model – uporządkowany system elementów, posiadanych przez nie cech i łączących ich relacji. Jest w nas pragnienie stworzenia takiego modelu, który pozwoliłby nam zobaczyć, kim i jaki jest Bóg, dostrzec, jakie łączą Go relacje z nami, ze światem. Pozwoliłoby to nam wyjaśnić dręczące wielu problemy: jak pogodzić wszechmoc z wolnością, wszechmocną dobroć z cierpieniem niewinnych, a nawet rozwiązać dogmatyczny, chrześcijański paradoks Trójcy – Boga Ojca, Boga Syna i Boga Ducha, którzy są różni, z których każdy jest całym Bogiem i którzy trzej są jednym Bogiem.

Gdybyśmy jednak taki model stworzyli, byłby to model na naszą miarę. Moglibyśmy ponazywać elementy tego modelu, niektórym (jednemu?) przypisując pobożnie imiona boskie. Z religijnego punktu widzenia nie Boga (w Jego relacjach do świata) byłby to model. Nazywanie go takim byłoby kłamstwem.

Trzeba się więc pogodzić, że nie mamy takiego modelu i mieć nie będziemy. On nie istnieje, nie jest możliwy. Język religijny, biblijne opowieści, dogmatyczne formuły, filozoficzne i teologiczne traktaty – to wszystko tylko mniej lub bardziej udolne próby wyrażenia niewyrażalnego,

rozeznania się w ludzkim religijnym pragnieniu, zorientowania się w świecie kryjącym Tajemnicę, ukierunkowania religijnego dążenia.

Popatrzmy tak np. na chrześcijański dogmat o Trójcy. Jest paradoksem blokującym teoretyczną spekulację o Bogu. Wyraża jednak głębokie doświadczenie i nadaje kierunek chrześcijańskiemu zaangażowaniu. Mówi o tym, że religijne dążenie człowieka jest jednocześnie czymś bardzo osobistym, ale ma swoje ostateczne źródło w rzeczywistości większej niż człowiek – co w języku biblijnym można nazwać boskim Duchem, posłanym do naszych serc. Dążenie to prowadzi do odkrycia przez człowieka w sobie i w świecie Wzorca, Miary, Sensu – Logosu. Odkrycie to nie jest jednak końcem drogi. Wzorzec ów nie zatrzymuje na sobie, lecz – jako Syn Ojca, Obraz Boga niewidzialnego – odsyła dalej ku swemu niepojętemu Źródłu.

Podobną rolę odgrywa myśl o wszechobecności Boga. W perspektywie teoretycznej równie paradoksalna co dogmat o Trójcy, posiada egzystencjalne znaczenie. Sugeruje m.in., że religijne dążenie nie jest jednym z wielu innych ludzkich dążeń (do zbudowania relacji międzyludzkiej miłości, osobistego rozwoju, społecznego sukcesu czy zabezpieczenia sobie i bliskim środków do życia). Wszechobecność Boga oznacza, że zaangażowanie religijne obejmuje wszystkie ludzkie aktywności, w nich się realizuje (lub może realizować), jest wymiarem całej ludzkiej egzystencji. Relacja do Boga nie jest jedną spośród innych relacji – istnieje w nich wszystkich. Doświadczenie Boga nie jest czymś „specjalnym", odrębnym od wszystkich innych doświadczeń – lecz towarzyszy każdemu ludzkiemu doświadczeniu.

Wszystko to jednak tylko nieudolne próby ujęcia czegoś, czego ująć się nie da. O czymkolwiek byśmy pomyśleli, cokolwiek byśmy ujęli w słowa, nie jest to Bóg – tj. nie o to ostatecznie w religijnym zaangażowaniu chodzi. Jeśli będziemy o tym pamiętali, wówczas religijny język o Bogu przestanie być kłamstwem – a stanie się drogowskazem.

©℗ PIOTR SIKORA

BRUCE ROLFF / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

Dobry Pasterz, Dyrektor wszechświata

JACEK PRUSAK SJ

Obraz Boga kształtuje się nie tyle w procesie wierzenia w „coś", ile raczej w sposobie odnoszenia się do „kogoś". Relacja ta, zupełnie jak relacja z drugim człowiekiem, może być zaś najróżniejsza: od zdrowej i serdecznej po patologiczną.

W przekonaniu wielu osób na pytanie o istnienie Boga można odpowiedzieć na jeden z trzech sposobów: poprzez afirmację (wiara religijna), poprzez zaprzeczenie (ateizm) lub zawieszenie sądu (agnostycyzm). Psychologia problematyzuje jednak ten trójpodział. Jak pokazały bowiem pionierskie i przełomowe badania Any-Marii Rizzuto (w Polsce znanej m.in. z książki „Narodziny żyjącego Boga"), dychotomiczne myślenie o stosunku ludzi do Boga (wierzący kontra niewierzący) nie wystarcza, aby zrozumieć ich świat wewnętrzny. Badania argentyńskiej psychiatrki i psychoanalityczki wskazały istnienie czterech możliwości bądź czterech kategorii osób: (1) tych, które wierzą w Boga i nie wątpią w Jego istnienie; (2) tych, które mają wątpliwości, czy On istnieje, czy nie, więc ich wiara bądź niewiara nie jest pewna; ↦

↦ (3) tych, które są zdumione, zażenowane, zaskoczone bądź rozzłoszczone wiarą ludzi w istotę, która ich samych nie interesuje; (4) tych, które zmagają się z surowym, wymagającym Bogiem, którego chętnie pozbyłyby się ze swojego życia, gdyby nie były przekonane, że On istnieje i ma nad nimi władzę.

Zdaniem Rizzuto każdy, kto wychował się w kręgu cywilizacji judeochrześcijańskiej oraz islamskiej, ma świadomą bądź nieświadomą psychiczną reprezentację Boga. Mówiąc inaczej, nie ma osoby niemającej „swego Boga". Nie chodzi tu jednak o to, że osoby uważające się za ateistów potajemnie i nieświadomie „wierzą" w Boga, tylko o to, że nawet jeśli odrzucają Jego istnienie, to zakładają tym samym, jaki nie może być, i nie jest to dla nich obojętne. Wyobrażenia Boga wywierają więc na człowieka wpływ jako wzorce odczuwania, myślenia i działania, które są życiowe lub nieżyciowe, negujące życie lub je wspierające. Natomiast sam „obraz Boga" (subiektywna reprezentacja Boga) jest psychologicznie konieczny, aby człowiek mógł się do Niego odnosić w sposób relacyjny. Jak podkreśla popularny pisarz religijny Philip Yancey w książce „Sposób na niewidzialnego Boga": „chrześcijanie trzymają się obietnicy osobistej relacji z Bogiem, tak jakby chcieli powiedzieć, że poznanie Boga opiera się na tych samych zasadach, co budowanie relacji z ludźmi". Powstaje jednak istotne pytanie, jak mogę mieć osobistą relację z kimś, kogo nie widzę, nie słyszę, nie czuję – tak jak to się dzieje w innych relacjach – z kimś, co do kogo nie mogę mieć całkowitej pewności, czy naprawdę istnieje? Z tym „nieobecnym dla zmysłów" Bogiem związane są bowiem rozliczne uczucia.

Bóg życia i śmierci

Jak pokazują badania empiryczne, różne teologiczne wyobrażenia Boga (Jego obrazy) obecne w nauczaniu Kościoła (Pan, Stwórca, Ojciec, Pasterz itp.) stają się religijnie znaczące dopiero w subiektywnym procesie wewnętrznego pojmowania i przyswajania sobie tychże „wizerunków". Należy więc pamiętać o różnicy między pojęciem Boga („Bogiem teologów"), który jest wynikiem refleksji i odpowiada wyobrażeniu Boga zawartego w doktrynie i kulcie, od „obrazu Boga" (Jego psychicznej reprezentacji), który często ma cechy nieświadomie mu przypisywane i nosi na sobie silne znamię doświadczeń życiowych człowieka. Ten „żywy Bóg" kształtuje się pod wpływem doświadczeń interpersonalnych i nosi na sobie ślady reprezentacji także innych „obiektów" z życia człowieka, które zostały przekształcone wskutek idealizacji, projekcji, rozszczepienia i przemieszczenia i nigdy nie są wierną kopią tych doświadczeń. Ślady takiego procesu można zaobserwować w obrazie utęsknionego Boga pełnego ciepła i troski, jaki stwarza sobie dziecko (i dorosły), gdy obok siebie ma autorytarnego i niedostępnego emocjonalnie ojca. Są one także obecne w obrazie Boga jako wiernego towarzysza, który nigdy nie zawodzi, jak kochająca i zatroskana matka lub prawdziwy przyjaciel – obrazie tworzonym, gdy w życiu brak nam takich osób. Mówiąc jeszcze inaczej, pojęcie Boga może być bardzo wyrafinowane, ale jeśli nie jest ono związane z jakimś obrazem przemawiającym do człowieka, to nie będzie miało egzystencjalnego sensu. „Obraz Boga" kształtuje się bowiem nie tyle w procesie wierzenia w „coś", gdzie akcent położony jest na treść wiary, ile w sposobie odnoszenia się do „kogoś", czyli w jakości więzi.

> Każdy, kto wychował się w kręgu cywilizacji judeochrześcijańskiej lub islamskiej, **ma świadomą bądź nieświadomą psychiczną** reprezentację Boga.

Zobaczmy teraz, jak w tej typologii zaproponowanej przez Rizzuto może wyglądać dojrzała i niedojrzała wiara, a więc sytuacja, w której Bóg staje się znaczący w pozytywny bądź negatywny sposób w życiu człowieka. Zacznijmy od świadectwa znanego niemieckiego psychoanalityka i terapeuty ciała Tilmanna Mosera, autora wielu książek podejmujących temat psychologicznych skutków hitleryzmu i wojny oraz psychicznych skutków represyjnej religijności. „Pozbawiłeś mnie gruntownie pewności, bym kiedykolwiek mógł czuć się w porządku, bym mógł pogodzić się ze sobą, bym mógł siebie akceptować takim, jakim jestem. (...) Pozbawiłeś mnie prawie wszystkich szans, bym mógł prowadzić życie w zgodzie ze sobą. (...) Dla mnie byłeś uosobieniem wrogości do życia" („Zatrucie Bogiem"). Moser znany jest z wprowadzenia do literatury psychologicznej terminu „zatrucie Bogiem" na określenie zjawiska wywołanego przez neurotyczny obraz Boga.

Zanim jednak zastanowimy się, czym jest nerwica eklezjogenna, spójrzmy na opis dojrzałej wiary w życiu człowieka, który stał się przewodnikiem duchowym wielu bardzo różnych ludzi. „Będąc mnichem, mówił o Bogu, ale najczęściej łączył jego imię ze słowem »miłość«. Kiedy mówił o Bogu, używał zaimka »On«, to nie był »On«, którego znałem, odległy autorytet, do którego należy się zbliżać na kolanach, Dyrektor Wszechświata, przywoływany, aby wzmocnić dyscyplinę, moralność lub posłuszeństwo wobec doktryny. Ojciec Joe nie potrzebował metalowej linijki, żeby straszyć nią uczniów. Postać jego Boga była delikatna, hojna, nieskończenie kreatywna, muzykalna, artystyczna, był to inżynier i architekt geniuszu, który głęboko odczuwał radość własną i innych, którego możesz głęboko zranić, lecz on nigdy z ciebie nie zrezygnuje, który obsypuje cię darami i możliwościami bez względu na to, czy je przyjmujesz, który stawia przed tobą zadania, ale nie porzuca cię, jeśli ich nie zrealizujesz. Zgodnie z ukształtowanym w latach pięćdziesiątych (minionego wieku) wyobrażeniem do tego opisu bardziej pasowałby zaimek »ona«. Ojciec Joe mówił o tej osobie z czułością i wdzięcznością, z szacunkiem, ale też znaczną poufałością. Zażyłość nie rodziła pogardy. Strach nie wchodził w grę. Jego Bóg mógł mieć niezliczoną ilość innych trosk, ale z pewnością miał czas, żeby być najlepszym przyjacielem ojca Joe".

Tak zmarłego już angielskiego benedyktyna, który przez 40 lat był jego duchowym powiernikiem i przyjacielem (w rzeczywistości był to o. Joseph Warrillow z opactwa w Quarr na wyspie Wight), opisał w autobiograficznej książce pisarz i satyryk Tony Hendra („Ojciec Joe", przeł. I. Chlewińska).

FINE ART IMAGES / EAST NEWS

Mistrz z Tahull, „Ręka Boga", XII w., fresk w kościele San Climente w Tahull, Hiszpania

Między dojrzałością a patologią

Na podstawie obu tych świadectw można zauważyć, że dojrzały „obraz Boga" to taki, z którym można mieć relację personalną i który spełnia funkcję relacyjną – a więc jest to Bóg, z którym można się komunikować, który mówi i słucha, do którego można mówić i którego można słuchać. Psycholodzy podkreślają, że taki „obraz Boga" jest miarą religijności dojrzałej i buduje pozytywną motywację do działania – w tym zwłaszcza do zachowań altruistycznych. Związany jest on również z przekonaniem o stałej pozytywnej obecności Boga w świecie i życiu tej osoby. Świadkiem takiego Boga w życiu ojca Joe był Hendra.

Z kolei niedojrzały „obraz Boga" powstaje wtedy, kiedy dochodzi do antropomorfizacji Boga bądź wygląda on tak („obraz Boga"), jakby został zatrzymany na pewnym etapie rozwojowym człowieka. W konsekwencji relacji z negatywnymi, kluczowymi wzorcami zachowań ważnych osób w życiu dziecka rozwija się w nim w sposób nieświadomy negatywny „demoniczny" wizerunek Boga. Do najczęściej spotykanych neurotycznych „obrazów Boga" należą: karzący Bóg sędzia, Bóg samowolny, Bóg śmierci, Bóg stały obserwator, Bóg domagający się wielkich osiągnięć. Życie religijne w „towarzystwie" takiego „Boga" toczy się w cieniu psychicznego kompleksu: lęku, przymusu i dysocjacji mających związek z traumatycznymi przeżyciami. Do Boga kierowanych jest wiele skarg, te zaś – oraz odczuwanie Boga jako Tego, który krzywdzi, nie daje, ale odbiera człowiekowi nadzieję – mają związek z deficytem religijnym. Deficyt ów przeżywany jest jako brak poczucia bezpieczeństwa; brak poczucia bycia kochanym i akceptowanym; brak doświadczania własnej wartości; brak doświadczenia bycia szczęśliwym oraz brak nadziei na bycie szczęśliwym. Każdą z tych „lamentacji" znajdziemy w „modlitwie" Mosera.

> Badania pokazują, że ci, którzy cierpią na skutek niskiej samooceny, są bardziej skłonni postrzegać Boga **jako surowego, krytycznego i potępiającego.**

Oba tak różne od siebie świadectwa pokazują, że nie jest przesadą stwierdzenie, iż nie można zrozumieć osoby wierzącej, nie wiedząc, w jaki sposób ujmuje ona ideę Boga. Jego „obraz" czy też, bardziej trafnie, „reprezentacja" odnosi się do osobistego, emocjonalnego doświadczenia Boga lub wewnętrznej psychicznej reprezentacji Boga. Kolejność jest następująca: wiodące są czynniki emocjonalne, a dopiero za nimi podąża refleksja poznawcza. Rizzuto, a za nią następna generacja badaczy pokazali, że dla człowieka wielorakie wyobrażenia Boga, jakie od najwcześniejszych lat dziecięcych powstają w jego umyśle, mają fundamentalne znaczenie nie tylko dla rozwoju jego religijności, ale również osobowości. Krakowski psycholog i psychoterapeuta Andrzej Molenda w pracy „Rola obrazu Boga w nerwicy eklezjogennej" zauważa, że deficyty religijne są częścią systemu obronnego. Doświadczenie kliniczne wskazuje zaś, że deficyt psychologiczny może mieć ukryty charakter i przejawiać się w postaci deficytu religijnego. Tak więc osoby nieakceptujące siebie widzą Boga jako ↦

karzącego, surowego, niewyrozumiałego, a purytańskie wychowanie jest przenoszone na „obraz Boga". Staje się on wtedy źródłem skrupułów i uosobieniem norm rodzicielskich. Neurotyczny „obraz Boga" jest więc miarą nerwicy eklezjogennej, w której patologiczny lęk przed przekroczeniem Bożych przykazań czy norm kościelnych staje się pancerzem hamującym rozwój osobowości. Moralność, zamiast ograniczać, paraliżuje.

William Blake „Stworzenie świata", Bristish Museum

BRITISH MUSEUM / DOMENA PUBLICZNA

Obrazy i ikony

Jedna z postaci powieści Johna Updike'a „Miesiąc niedziel" zauważyła: „Brak mi wiary albo raczej mam wiarę, ale ona zdaje się nie mieć zastosowania". Wyraziła w ten sposób dylemat dotyczący tego, w jaki sposób Bóg „rodzi się" i staje się „żywy" w psychice człowieka. W badaniach nad „obrazem Boga" nie rozstrzyga się realności Jego istnienia. Dla psychologa Bóg jest o tyle ważny i realistyczny, o ile ma wpływ na zachowanie danego człowieka. Niezależnie od sposobu powstania „obrazu Boga" i od czasu, w jakim to następuje, oraz niezależnie od tego, czy obraz ten jest uświadomiony czy nie, aktywny czy też uśpiony, najważniejszą jego rolą jest zdolność bycia używanym w służbie psychicznej integracji. Choć można pokazać łączność między „obrazem Boga" a zachowaniem człowieka, to nie są one tożsame. „Obraz Boga (*Imago Dei*) – pisze znany analityk jungowski Josef Rudin w „Psychoterapii i religii" (przeł. T. Czarnawski) – to najbardziej tajemnicze centrum ludzkiej egzystencji, ponieważ człowiek wydaje się stworzony według tego obrazu. Dlatego istota ludzka wciąż musi obraz ten odnajdywać w najgłębszym swym wnętrzu i we wszystkich rzeczach, wciąż musi być przez ten obraz kształtowana. Równocześnie jednak obraz Boga okazuje się najbardziej niebezpiecznym partnerem ludzkiego bytu. Cóż czynić, kiedy jest on zniekształcony, kiedy zdradza cechy sprzeczne z naturą ludzką, cechy nerwicy i demoniczności. Czy nie należy wówczas mówić o chorym obrazie Boga, zniekształconym i wypaczającym ludzką duszę?".

Badania psychologiczne pokazują, że „obraz Boga" powstaje jako wynik oddziaływań całej sytuacji rodzinnej i zawiera zarówno pierwiastki męskie-ojcowskie (np. wiedza, moc, siła, sprawiedliwość, prawo, porządek), jak i kobiece-macierzyńskie (opieka, troska, wrażliwość). To, który z tych elementów rodzicielskiego *imago* zdobędzie większe znaczenie, uwarunkowane jest doświadczeniami indywidualnymi, obrazem siebie i samoakceptacją oraz wpływami kulturowymi. Kształtowanie się „obrazu Boga" pod wpływem rodzicielskiego *imago* jest tym silniejsze, im wyraźniej mamy do czynienia z wyraźnym odrzuceniem lub preferowaniem jednego z rodziców. Tendencja ta wydaje się być silniejsza, gdy osobą preferowaną jest matka. W przypadku badanych osób, które nie preferowały żadnego z rodziców w specjalny sposób, „obraz Boga" zawierał cechy obojga rodziców, i to w o wiele bardziej wyraźny sposób niż w przypadku innych badanych. Odrzucenie lub preferowanie jednego z rodziców w kształtowaniu się „obrazu Boga" prowadzi często albo do wyolbrzymienia pewnych „idealnych" cech preferowanego rodzica w „obrazie Boga", albo do zniekształcenia (zubożenia) „obrazu Boga" z powodu negatywnych cech niechcianego (mniej lub bardziej) rodzica. Niektórzy badacze uważają nawet, że dla rozwoju religijności ważniejsza jest pozytywna identyfikacja z rodzicem, nawet gdyby był on niewierzący, niż identyfikacja zaburzona w rodzinie wierzącej. Wyjątkiem są jedynie rodzice-ateiści walczący, gdyż ich negatywna postawa wobec wiary nie buduje dobrego „obrazu Boga" u dzieci. Zaburzona identyfikacja z rodzicem powoduje więc powikłania w „obrazie Boga". Kiedy jest on wypracowany wyłącznie na podstawie *imago* rodzicielskiego, jest często zwiastunem ukrytej psychopatologii.

Ów „obraz Boga" jest również zależny od obrazu siebie, a intensywność postawy religijnej odzwierciedla się z kolei w obrazie siebie. Akceptacja siebie koreluje bowiem pozytywnie z wiarą w akceptującego Boga. Ze względu na metodologię owych badań nie jest jednak jasne, co jest wcześniejsze: samoocena czy „obraz Boga". Niektórzy badacze twierdzą, że pozytywny „obraz Boga" jest odpowiedzią na zapotrzebowanie negatywnego obrazu siebie, ponieważ koncepcja Boga cierpliwego, troskliwego i życzliwego może podwyższać samoocenę. Inni z kolei twierdzą, że to pozytywna samoocena wyprzedza pozytywny „obraz Boga", i odwrotnie: negatywna samoocena skłania człowieka do negatywnej oceny Boga. Przyjmuje się jednak, że „osoby, które prawdopodobnie najbardziej potrzebują obrazu Boga łagodnego, cierpliwego i kochającego (np. ci, którzy cierpią na skutek niskiej samooceny), są bardziej skłonne postrzegać Boga jako surowego, krytycznego i potępiającego" (jak zauważa Beata Kostrubiec w pracy „Obrazy postmodernizmu. Badania empiryczne obrazu siebie i obrazu Boga u zwolenników postmodernizmu").

Granicą psychologicznych poszukiwań „obrazu Boga", ale również zachętą do nich, jest wgląd św. Augustyna z Hippony, który w swoich „Wyznaniach" napisał: „Ty byłeś bardziej wewnątrz mnie niż to, co we mnie było najbardziej osobiste, a zarazem wyżej nade mną, niż mogłem myślą sięgnąć kiedykolwiek" (III, 6). Wtedy „obraz" przestaje już być „idolem", a staje się ikoną, w której „mój Bóg" i „Jego obraz" nie są ani tym samym, ani nie są różni od siebie.

©℗ JACEK PRUSAK

REKLAMA

WOJNA. MÓJ DOM

Nie naprawiam dziur po wpadających kulach. Chcę, aby ci, którzy mnie odwiedzają, widzieli, jak tu się żyje.

Swietłana

Każdego dnia pomagamy ludziom, których wojna zmusiła do pozostawienia całego dotychczasowego życia za sobą.

WESPRZYJ POLSKĄ AKCJĘ HUMANITARNĄ
www.pah.org.pl/wplac

pah
Polska Akcja Humanitarna

REKLAMA

MUZEUM KSIĄŻĄT
CZARTORYSKICH

OTWARCIE 20.12.2019

KOLEKCJA NASZEJ HISTORII

Leonardo da Vinci
Dama z gronostajem, ok. 1490

Obraz przedstawia alegoryczny portret Cecylii Gallerani, damy dworu i kochanki księcia Mediolanu Ludovica Sforzy, zwanego Il Moro. Ukazujące 16-letnią dziewczynę dzieło powstało na jego zlecenie. Trzymane przez Cecylię zwierzątko, zinterpretowane jako gronostaj, stanowi aluzję do Ludovica. W 1488 roku książę został uhonorowany przez króla Neapolu Orderem Gronostaja i odtąd zwano go Ermellino Bianco – Białym Gronostajem.

ul. Pijarska 15, Kraków

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Fundusze Europejskie Infrastruktura i Środowisko
Rzeczpospolita Polska
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego